



**ALEKSANDER  
MAKOWSKI**

**BEZ  
SUMIENIA**

**ALEKSANDER  
MAKOWSKI**

**BEZ  
SUMIENIA**

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2015

# Spis treści

## 1963

29 kwietnia  
30 kwietnia  
1 maja  
2 maja  
4 maja  
5 maja  
6 maja  
8 maja  
2 czerwca  
3 lipca  
8 września  
22 listopada  
23 listopada  
6 grudnia  
8 grudnia  
9 grudnia

## 1964

18 stycznia  
12 czerwca  
19 czerwca  
22 czerwca  
7 sierpnia  
8 sierpnia  
9 sierpnia  
6 września  
15 września  
18 września  
15 października  
24 listopada  
17 grudnia  
18 grudnia

19 grudnia

20 grudnia

## **1965**

1 marca

5 maja

20 listopada

25 listopada

24 grudnia

## **1966**

1 marca

10 marca

28 maja

4 września

24 listopada

## **1967**

25 czerwca

17 września

14 października

23 listopada

24 listopada

## **1968**

26 stycznia

29 stycznia

30 stycznia

31 stycznia

**1963**

**29 kwietnia**

Podczas lotu do Kairu Dolores w pewnej chwili poczuła, że ktoś ją obserwuje. Spojrzała w lewo. Po drugiej stronie korytarza, w tym samym rzędzie pustych foteli, siedziała przy oknie urodziwa młoda Egipcjanka, przyglądając się jej z przyjaznym uśmiechem. Gdy tylko zauważyła, że Dolores na nią patrzy, natychmiast się do niej przysiadła.

– Jestem Amira – przedstawiła się. – Przepraszam, że tak się na ciebie gapię. Wiem, to nieładnie, ale jesteś taka piękna, że musiałam ci to powiedzieć. Długo będziesz w Kairze?

– Może tydzień – odparła ostrożnie Dolores.

– To musisz przyjść na basen w Gezira Club i sobie pogadamy. Jestem tam codziennie rano. Przyjdź koniecznie! – Amira poderwała się. – Muszę biec na koniec samolotu i poplotkować ze znajomymi. Wybacz, że byłam namolna.

Cóż to za zjawisko? – pomyślała Dolores.

Coś niecoś wiedziała o mentalności młodych Egipcjanek, które w relacjach między kobietami potrafią być spontaniczne i bezpośrednie, więc nie zapaliły jej się w głowie żadne lampki ostrzegawcze. Poczuła natomiast przyływ zadowolenia.

No to jestem piękna! Może to dobry omen – doszła do wniosku, gdy samolot Air Italia zaczął zniżać się do lądowania.

Przejście do odprawy paszportowej zajęło jej kilkanaście minut. Stojąc przed oficerem egipskiej straży granicznej, który ze znużoną miną wertował paszport, nie czuła żadnego niepokoju. Była pewna, że jej dokumenty są idealnie podrobione przez najlepszej klasy specjalistów, a wiza jest oryginalna. Kątem oka zauważyła piękną Egipcjankę z samolotu, która przechodziła przez sąsiednie stanowisko odprawy paszportowej bez żadnej kontroli. Przed nią szedł barczysty oficer armii egipskiej, z widocznym

szacunkiem torując jej drogę. Amira też zauważyła swoją nową znajomą i zaczęła energicznie do niej machać. Dolores szybko odwzajemniła pozdrowienie. Może dlatego oficer straży granicznej natychmiast oddał jej paszport i z uśmiechem życzył miłego pobytu. W ciągu piętnastu minut odebrała walizkę i zasiadłszy w limuzynie wysłanej przez hotel, w którym miała zamieszkać, z ciekawością zaczęła chłonąć miasto za szybą.

Wyczerpana po ciężkim dniu, kazała zanieść swój bagaż do wynajętego apartamentu, a każdego, kto jej pomógł, wynagrodziła hojnym napiwkiem. Potem wypila dwa podwójne giny z tonikiem w hotelowym barze i udała się do pokoju. Nie rozpakowując walizki, wzięła szybki prysznic i nago wskoczyła do łóżka. Zasnęła, nim zdążyła przyłożyć głowę do poduszki.

## 30 kwietnia

Rankiem, wypoczęta i odprężona, Dolores siedziała na tarasie hotelu Mena House i podziwiała widok na piramidę Cheopsa, odległą o zaledwie siedemset metrów. Pomyślała, że być może na tym właśnie tarasie w 1943 roku Churchill i Roosevelt omawiali przygotowania do operacji „Overlord”, podczas gdy ona zabijała Niemców w okupowanej Polsce.

Walczyliśmy z tym samym wrogiem – ta myśl dodała jej otuchy przed zbliżającą się operacją wywiadowczą.

Mimo że Mena House usytuowany był na obrzeżach Kairu, w znacznej odległości od centrum, uchodził za najbardziej prestiżowy hotel w mieście i jako taki idealnie pasował do legendy zamożnej kobiety interesu z Ameryki Południowej.

Argentyński paszport Dolores opiewał na nazwisko Rosalindy Gutiérrez z Buenos Aires, od wielu lat mieszkającej w Nowym Jorku i Londynie. Jej rodzice nie żyli. Pani Gutiérrez posiadała akcje wielu firm przemysłu perfumeryjnego i kosmetycznego notowanych na giełdzie nowojorskiej, a także akcje na okaziciela tych spółek, które trzymały się z daleka od giełdy, gdyż nie zamierzały ujawniać mechanizmów swojego biznesowego funkcjonowania. Mogłaby sy-pać nazwiskami z branży przez pół dnia, ale ponieważ branża znana była z obsesyjnej niemal niechęci do afiszowania się powiązaniem personalnymi, przeto ustalenie przez osobę postronną, kogo tak naprawdę pani Gutiérrez zna, kto zna ją i jakie robią ze sobą interesy, zajęłoby ogromną ilość czasu, i to bez nadziei na sukces. Dlatego właśnie specjaliści z Mosadu, wybierając dla Dolores legendę, postanowili oprzeć się na świecie drogich perfum i pięknych zapachów. Z tego też powodu, aby przydać legendzie odpowiedniego wigoru, pani Gutiérrez była umówiona o dziesiątej na rozmowę z dyrektorem Mena House, gdyż zamierzała wysondować możliwość otwarcia w hotelu niewielkiego butików z najlepszymi perfumami.

Mając zatem przed sobą pracowity dzień, Dolores zamówiła

tradycyjne angielskie śniadanie złożone z jajek sadzonych na boczku, smażonych na patelni pomidorów, ziemniaków, fasolki w sosie pomidorowym i kiełbasek wieprzowych. Nie wyobrażała sobie jajek sadzonych niepolanych słuszną porcją keczupu, poprosiła więc o butelkę heinza. A że dzień zapowiadał się upalnie, postanowiła to wszystko splukać doskonałym piwem egipskim Stella produkowanym na licencji jednego z państw Starego Kontynentu. Śniadanie podano ze sprawnością i profesjonalizmem, jakiej pani Gutiérrez nie odnotowała jeszcze w żadnym z licznych hoteli, w których miała okazję bywać z racji swego niecodziennego zawodu. Prośba o butelkę heinza, a tym bardziej o piwo, nie wywołała u obsługi nawet najlżejszego uniesienia brwi.

Do kurwy nędzy – pomyślała z podziwem Dolores, ukryta gdzieś w głębi wytwornej pani Gutiérrez – ktoś to bractwo nieźle wyszkolił i dalej trzyma za ryj na króciutkim wędzidle!

Posiliwszy się, wróciła do swojego apartamentu, żeby zamienić luźną poranną sukienkę na srebrzystą garsonkę rasowej kobiety interesu. Garsonka była ręcznie szyta w Mediolanie z najlepszego jedwabiu. Srebrzyste szpilki i także torebka, również dzieło mediolańskich mistrzów, dopełniały całości, której ukoronowaniem była nieskazitelna pojedyncza perła oprawiona w białe złoto, majestatycznie opadająca na złotym łańcuszku ze smukłej szyi pani Rosalindy Gutiérrez.

Thomas Archer był dyrektorem Mena House od pięciu lat. Przekroczył już sześćdziesiątkę i objęcie tego stanowiska było zwieńczeniem kariery, która obejmowała kierowanie najlepszymi hotelami na wszystkich kontynentach świata. Był uznanym w branży zawodowcem, jak również wielkim znawcą i miłośnikiem muzyki klasycznej i w jego hotelu wszystko grało tak jak w symfoniach ukochanych mistrzów – perfekcyjnie.

Gdy zatem punkt dziesiąta otworzyły się drzwi do jego gabinetu i sekretarz wprowadził kobietę o niepokojącej urodzie, Archer instynktownie wyczuł, że stoi przed nim istota niebezpiecznie zbliżona do tak cenionej przezeń perfekcji. Ale do jakiej perfekcji? Tego jeszcze nie wiedział i to go niepokoiło. Ubrany w nienagannie skrojony przez kairskich krawców jasnogranatowy garnitur oraz ciemnobordowy krawat gustownie dobrany do błękitnej koszuli,



wstał zza biurka w stylu Ludwika XVI, z blatem inkrustowanym zieloną skórą, podszedł do gościa i ucałował wyciągniętą na powitanie dłoń.

– Witam, madame, w Mena House. Nazywam się Thomas Archer i mam zaszczyt zarządzać tym hotelem. Jestem do pani usług.

Wskazał jeden z foteli stojących przed biurkiem, a sam zajął miejsce w drugim, naprzeciwko. Spiralnie kanelowane nogi, oparcie w kształcie tarczy i delikatna dekoracja snycerska, charakterystyczne dla mebli Jeana-Baptiste’a Sénego, jednego z największych wytwórców krzesel klasycystycznych, tudzież jasnożółte obicia z białymi wzorami z epoki czyniły z tej pary foteli prawdziwe dzieła sztuki. Olbrzymi jedwabny dywan perski leżący na podłodze nadawał pomieszczeniu ton elegancji i jednocześnie wschodniego przepychu.

– Czy napije się pani herbaty? – zaproponował Thomas Archer.

Oficer wywiadu izraelskiego z zainteresowaniem przyglądała się swemu rozmówcy. Siedzący przed nią wysoki, szczupły mężczyzna o bujnej szpakowatej czuprynie nie wyglądał na typowego menedżera hotelu klasy lux. Sprawiał raczej wrażenie przedstawiciela brytyjskiej arystokracji.

Nietuzinkowy typ – pomyślała.

– Z przyjemnością, drogi dyrektorze – odpowiedziała po angielsku, gdyż w tym właśnie języku zwrócił się do niej Archer, a gdy ów wydał sekretarzowi stosowne polecenie, od razu przeszła do rzeczy: – Nazywam się Rosalinda Gutiérrez i jestem Argentyнкą, aczkolwiek interesy prowadzę przede wszystkim w Nowym Jorku i Londynie. Moja specjalność to perfumy i kosmetyki. Do tej pory zajmowałam się głównie operacjami hurtowymi w tej branży oraz, powiedzmy, restrukturyzacją firm. Ale ostatnio pomyślałam, że warto byłoby założyć w paru niezwyklej lokalizacjach butiki perfumeryjne najwyższej klasy. Piramidy w Gizie z pewnością stanowią jedną z najbardziej niezwyklej lokalizacji na świecie, a Mena House jest jednym z najbardziej niezwyklej hoteli...

Dyrektor słuchał w skupieniu siedzącej przed nim kobiety, ale nie komentował, gdyż miał w zwyczaju wysłuchiwać swoich interlokutorów do końca.

– Jest pan inteligentnym człowiekiem, który zarządza tym obiektem perfekcyjnie – ciągnęła Rosalinda Gutiérrez, niespieszona brakiem reakcji z jego strony. – A zatem nie wątpię, że już pan wie, do czego chciałabym pana namówić. Co pan na to, drogi dyrektorze?

– Szanowna pani – odezwał się dyrektor Archer – odpowiem wprost. To znakomity pomysł! Od strony marketingowej potencjał jest nieograniczony: tajemniczość piramid, mistyka Orientu, przepych dworu faraonów, zagadka Sfinksa, magnetyzm postaci Napoleona... Czyż muszę wymieniać dalej?

Dolores niełatwo było zaskoczyć i w ostatnich latach praktycznie nikomu to się nie udało – nie licząc tragicznej informacji o śmierci Inez i Rata. Ale ten Anglik prawie ją znokautował swoją wypowiedzią. Przyjrzała mu się uważnie.

Jeżeli facet robi sobie jaja, to mu zaraz przypierdolę – pomyślała.

– To naprawdę świetny pomysł, pani Gutiérrez. Znakomity! – powtórzył Thomas Archer w sposób tak naturalny, jakby oznajmiał, że właśnie zaczęło padać. – Prosty, logiczny, genialny. Gratuluję inwencji. Jeśli przeszło pani przez myśl, że sobie dworuję, to zapewniam, że tak nie jest.

– Pan mi się podoba, dyrektorze Archer. Bardzo mi się pan podoba! – odrzekła Rosalinda Gutiérrez z kokieteryą, jaka ledwo by uszła w dobrym towarzystwie. Ale to znów dała o sobie znać Dolores. – Jak mówimy poniżej Rio Grande, ma pan *cojones*, señor!

– Aby nie wyjść na impertynenta, madame Gutiérrez, pozwolę sobie jedynie stwierdzić, że ma pani piękny umysł i bardzo mi się podobają rezultaty jego pracy – rzekł szarmancko dyrektor Mena House. – Ale ad rem! Domyśla się pani, że pomysł muszę skonsultować z właścicielami naszego hotelu.

– Ależ oczywiście, drogi panie Archer – zapewniła. – Procedura rzecz święta.

– Na pewno będzie pani zwiedzać nasze piękne i prastare miasto – zagaił dyrektor. – Musi więc pani koniecznie wpaść do Gezira Club na wyspie Zamalek. Aczkolwiek obiekt udostępniono, że się tak wyrażę, masom, to nadal są tam miejsca, gdzie bywa wyłącznie śmietanka towarzyska naszej metropolii. Polecam

zwłaszcza basen i jego okolice. Gdyby doszła pani do wniosku, że również Gezira Club stanowi interesującą lokalizację, to ułatwię niezbędne kontakty. Dyrektor jest moim dobrym znajomym.

– Niezwykle uprzejmy i uczynny z pana człowiek – odpowiedziała pani Gutiérrez, mile zaskoczona. – Właśnie tam się wybierałam. Wielu moich znajomych bardzo zachwalało to miejsce.

– I słusznie. Nie będę pani zanudzał historią klubu, bo zakładam, że odrobiła pani pracę domową przed przylotem do Kairu. Zresztą na to zawsze znajdzie się czas... Jak mówiłem, obecni władcy Egiptu wprawdzie wpuścili plebs na teren klubu, ale najlepsze jego części zostawili wyłącznie dla siebie i dla takich jak my, naturalnie.

– Naturalnie. Nie spodziewałabym się innego rozwiązania po pułkowniku Naserze – odpowiedziała beztrząsco, choć z namysłem. – To przecież wychowanek armii brytyjskiej, musi więc mieć w sobie coś z oficera i dżentelmena...

Dyrektor uśmiechnął się pod nosem i nie skomentował tej wypowiedzi.

To kobieta nie tylko niezwyklej urody, ale także inteligencji – skonstatował z zadowoleniem. Należy jej pomóc. Kto wie, czego tu dokona...

– Szkoda czasu, madame! – W Thomasie Archerze obudził się człowiek czynu. – Jeżeli pani pozwoli, to mój kierowca odwiezie panią do Gezira Club na pierwszą lustrację. Na miejscu są pojazdy klubowe z kierowcami do wynajęcia, więc będzie pani mogła wrócić, kiedy uzna za stosowne.

– Nie wiem, jak panu dziękować. – Z właściwą sobie kiokieterią Rosalinda Gutiérrez odegrała lekkie zmieszanie. – Nie chciałabym sprawiać kłopotu...

– To naprawdę żaden kłopot, droga madame – zapewnił pogodnie dyrektor. – Ujmijmy to tak: szczególnie goście naszego hotelu zasługują na szczególną atencję...

Nie czekając na odpowiedź, przywołał sekretarza i wydał mu odpowiednie polecenie.

Następnie poprowadził panią Gutiérrez ze swojego gabinetu przed wejście do hotelu, gdzie lada chwila miał zająć jego służbowy samochód. Gdy stanęli na podjeździe w porannym słońcu,

dyrektor po chwili zastanowienia powiedział:

– Madame Gutiérrez, proszę mnie źle nie zrozumieć, a impertynencję z góry wybaczyć, ale przyszła mi do głowy pewna myśl. Aby odnieść sukces biznesowy w Kairze, winna pani zaistnieć w tutejszym towarzystwie. Jutro, w środę, w Gezira Club odbędzie się doroczne soirée dyplomatyczne, na którym obecni będą wszyscy, którzy cokolwiek w tym mieście znaczą. To niezwykle prestiżowa impreza i jako szef Mena House mam obowiązek w niej uczestniczyć. Proponuję, aby mi pani towarzyszyła jako gość specjalny naszego hotelu. Pani udział w soirée może bowiem posłużyć wspólnemu, dobrze pojętemu interesowi. Będzie to także świetna okazja, aby poznać dyrektora Gezira Club.

Dolores aż zapiszczała z radości, gdyż udział w takim przyjęciu znakomicie podbudowywał jej legendę obrotnej kobiety interesu. Tym bardziej że świat dyplomacji i świat perfum tworzyły idealną parę. Jednak reakcja Rosalindy Gutiérrez musiała być taktowna i wyważona, bo takiej zapewne oczekiwał dyrektor najlepszego hotelu w mieście.

– Drogi panie Archer, to byłby dla mnie zaszczyt towarzyszyć panu podczas tak znakomitej imprezy. Z całego serca doceniam pański wspaniały gest, ale... nie wybaczyłabym sobie, gdybym pokrzyżowała panu plany... lub pani Archer.

– Gdyby była jakaś pani Archer, madame, to nie mógłbym zaprosić pani – odrzekł krótko i rzeczowo dyrektor. – Takie wyznaję zasady.

– Ależ naturalnie. Jest pan dżentelmenem. Z tym większą radością przyjmuję pańską propozycję – zapewniła szybko pani Gutiérrez.

Kurwa mać, więc tacy faceci jeszcze istnieją! – pomyślała za jej plecami Dolores.

Na hotelowy podjazd wjechał bentley w kolorze piasku pustyni. Thomas Archer osobiście otworzył tylne drzwi, wskazując swojemu gościowi miejsce. Następnie udzielił kierowcy stosownych instrukcji i gdy samochód ruszył, pomachał na pożegnanie oddalającej się w nim pięknej kobiecie.

Dolores spędziła w Gezira Club kilka godzin, myszkujejąc po

całym obiekcie. Połowę czasu poświęciła na dokładne zapoznanie się z kompleksem basenowym. Chciała wiedzieć, jak najlepiej można by się ewakuować z tego miejsca, gdyby doszło do nieprzewidzianego rozwoju wydarzeń.

Ucieczka z terenu klubu – analizowała chłodno – to tylko liryczny wstęp. Nawet jeżeli się uda, to muszę jeszcze ewakuować się z wyspy Zamalek pośrodku Nilu.

Gdyby i to się udało, musiałyby dotrzeć zapamiętaną trasą do bezpiecznego lokalu na obrzeżach Miasta Umarłych, wielkiego cmentarza w obrębie Kairu, w znacznej już mierze zamieszkanego przez kairską biedotę. I w tym safe housie czekać na ewentualną pomoc wywiadu izraelskiego w opuszczeniu kraju.

Po powrocie do hotelu wzięła długą, gorącą kąpiel w olbrzymiej wannie w łazience swojego apartamentu i doszła do wniosku, że dojrzała do drinka i kolacji, tym bardziej że zbliżała się dwudziesta, a od angielskiego śniadania na hotelowym tarasie przez cały dzień nic nie jadła.

Założyła prostą czarną suknię do samej ziemi, a na odkryte ramiona zarzuciła czarny żakiet. Jej piękna twarz i kruczoczarne włosy tworzyły z tym strojem imponującą całość. Usta pomalowała mocną czerwoną szminką, w stylu argentyńskim, a na szyi zawiesiła perłę oprawioną w białe złoto.

Ledwo weszła do hotelowego westybulu, gdy jak spod ziemi wyrósł obok niej Thomas Archer.

– Madame Gutiérrez, witam panią wieczorową porą – pozdrowił ją z galanterią. – Może przy kieliszku dom pérignona i kolacji na tarasie zechce mi pani opowiedzieć, jak upłynął dzień...

– To byłoby doprawdy perfekcyjne jego zwieńczenie – ucieszyła się Rosalinda Gutiérrez. – Ale nie śmiałybym odciągać pana od obowiązków...

– Gdybym powiedział, że kolacja z takim gościem jak pani to jeden z moich najmilszych obowiązków, zapewne wyszedłbym na impertynenta – odrzekł, jak zwykle rzeczowo, Thomas Archer. – Powiem więc tylko, że na czas kolacji przekażę swoje obowiązki kierownikowi recepcji. Przejdźmy na taras, madame.

Już na tarasie szepnął coś do ucha maître de salle, który

natychmiast stanął przed nim prawie na baczność. W mgnieniu oka zaroiło się od kelnerów, którzy błyskawicznie przygotowali stół z widokiem na piramidy. Maître osobiście otworzył szampana, rozlał go do kieliszków, po czym, umieściwszy butelkę w naczyniu z lodem, uklonił się i dyskretnie oddalił.

– Pani zdrowie, madame Gutiérrez – wznosił toast dyrektor Mena House.

– Za nasze zdrowie, mister Archer – odpowiedziała Rosalinda Gutiérrez i oboje pociągnęli po łyku wyśmienitego dom pérignona. – Spędziłam kilka godzin w Gezira Club. To rzeczywiście imponujący obiekt i ma fascynujące zakątki. Wręcz czarujące, także pod względem handlowym. Dla odpowiedniej branży, oczywiście.

– Oczywiście, madame – przytaknął niczym echo szpakowaty mężczyzna.

– Ale robiąc interesy w różnych krajach na różnych kontynentach, przekonałam się, że oprócz bogatych klientów nic tak dobrze nie wpływa na sprzedaż jak określony poziom stabilizacji, nazwijmy to, politycznej i społecznej. Ja o polityce nie mam najmniejszego pojęcia, zwłaszcza egipskiej, że nie wspomnę o społeczeństwie – przyznała się pani Gutiérrez i patrząc wnikliwie na swojego gospodarza, dodała: – Pan natomiast, panie Archer, mógłby mnie w tej mierze z powodzeniem, jak mi nie mam, oświecić.

Pełna niespodzianek ta madame Gutiérrez – pomyślał dyrektor Thomas Archer. Ma rzeczywiście piękny umysł. Bo po co miałaby inwestować w jakąś sytuację rewolucyjną lub jeszcze gorszą?

I już chciał zaspokoić jej ciekawość, gdy nagle zorientował się, że zaniedbuje obowiązki nie tylko dżentelmena, ale i, co gorsza, szefa Mena House.

– Proszę mi wybaczyć, madame, ale musi pani umierać z głodu! – stwierdził z obawą. – Zanim zaspokoję pani ciekawość, muszę zaspokoić pani głód. Co pani sobie życzy na kolację?

– W rzeczy samej! Zapomniałam, że jestem głodna jak wilk – odpowiedziała wesoło. – To niechybnie pana wina, bo na ogół nie zdarza mi się o tym zapomnieć. Mogę prosić menu?

– Nie potrzebuje pani menu. Skoro zawiniłem, pani życzenie kulinarne będzie dla mnie rozkazem! – oznajmił szarmancko Thomas

Archer.

Ja pierdolę – pomyślała Dolores, ukryta głęboko pod postacią Rosalindy Gutiérrez. Ten facet jest z innej bajki. Zapomniał się przenieść z ubiegłego wieku do obecnego kurewstwa. Gdyby nie miłość do Malcolma, tobym mu chyba dupy dała albo łaskę odwaliała... Chociaż?!

– No dobrze... Ale potrafię być nieznośna! – ostrzegła przekornie pani Gutiérrez.

Lecz Thomas Archer patrzył na nią spokojnym wzrokiem doświadczonego życiowo człowieka, który wydaje się panować nad sytuacją. Każdą sytuacją. Zbijało to nieco z tropu Dolores, która była przyzwyczajona do tego, że na takim etapie znajomości przedstawiciele płci przeciwnej czołgali się u jej stóp. Chyba że postanowiła dopuścić ich nieco wyżej... Zdecydowała zatem przejść do ataku.

– Może troszeczkę kawioru do szampana... – zaczęła głośno myśleć pani Gutiérrez.

Dyrektor skinął na maître'a, który pragnąc popisać się swoją sprawnością, krążył w pobliżu niczym meteor i w ułamku sekundy stanął wyprężony obok pryncypała, gotów realizować wszelkie polecenia.

– Słucham, szefie.

– Podaj, James, z łaski swojej czarny kawior irański i nieco czerwonego. Do tego grzanki, masło i gęstą śmietanę. I każ kuchni przygotować trochę sałatki z krabów – zarządził Archer. – Co zaś się tyczy głównego dania, to naradzimy się zaraz z naszym drogim gościem. Madame... Jaki jest pani wybór?

– Może odrobinę homara z rusztu w tandemie z polędwicą Kobe. Też z rusztu... – rozmarzyła się Rosalinda Gutiérrez.

– Załatwione, droga pani – odpowiedział rzeczowo Thomas Archer ku zaskoczeniu swojego gościa, gdyż polędwica Kobe była podawana jedynie w najbardziej ekskluzywnych restauracjach i hotelach, o czym pani Gutiérrez, testując dyrektora, doskonale wiedziała.

– Brawo, drogi panie Archer – skomentowała z podziwem.

– Dziękuję – odpowiedział. – A teraz słówko o polityce. W

pięćdziesiątym drugim roku w Egipcie obalono monarchię króla Faruka. Był to znany międzynarodowy playboy, który w swoim pałacu w Aleksandrii zgromadził największą na świecie kolekcję pornografii. Tak lubił się bawić, zwłaszcza we Włoszech, że nie zorientował się, iż grupa młodych oficerów armii egipskiej zamierza pozbawić go władzy. Dowodził nimi Gamal Abdel Naser, który miłościwie nam panuje do dnia dzisiejszego jako prezydent Egiptu. Po cichu wspierali go zawsze nasi amerykańscy kuzyni. W pięćdziesiątym szóstym roku Naser postanowił znacjonalizować Kanał Sueski i naraził się na zbrojny gniew Francji, Izraela i Wielkiej Brytanii, ale Amerykanie tupnęli nogą i z inwazji nic nie wyszło. Tymczasem Naser już wyrósł z krótkich spodenek i wybił się na niezależność. Zażądał od Stanów, aby częściowo sfinansowały jego flagowy projekt, gigantyczną tamę na Nilu. Ale nasi amerykańscy przyjaciele odmówili, gdyż Naser akurat oficjalnie uznał Chińską Republikę Ludową. Poprosił więc o pomoc Rosjan... Nie zanudzam pani?

– Ależ skąd! To, co pan mówi, jest bardzo interesujące dla takiej politycznej ignorantki jak ja – zapewniła pani Gutiérrez.

– Rosjanie natychmiast potrzęsnęli sakiewką i w Asuanie powstaje właśnie jedna z największych tam na świecie – kontynuował dyrektor. – Ma wytwarzać prawie połowę prądu w kraju...

– To fascynujące – rzekła pani Gutiérrez. – Ale finansując taki projekt, Rosjanie, na mój kobiecy rozum, zajmują w tym kraju miejsce Amerykanów. Chyba że się mylę?

– Ależ skąd! – odparł Thomas Archer. – Ma pani wyjątkowy umysł. Nowym wielkim bratem w Egipcie są Rosjanie! Z punktu widzenia ewentualnego inwestora Egipt jest zatem krajem stabilnym, bo nawet gdyby Naser chciał wprowadzić tu socjalizm, to skupione wokół niego elity będą najlepszymi klientami pani butików z perfumami.

– Chyba więc mogę inwestować w Egipcie – stwierdziła pani Gutiérrez. – Skoro prezydent Naser buduje taką tamę, to Egipcjanie pewnie go doceniają, gdyż Nil nie będzie ich zalewał...

– Słuszne rozumowanie, madame – przytaknął dyrektor.

– Ale też nie wierzę, aby prezydent Naser w ogóle nie miał



kłopotów, bo przecież każdy je ma, nieprawdaż?

– Bractwo Muzułmańskie! – odparł gospodarz, który zdążył się już przyzwyczaić do trafnych spostrzeżeń pani Gutiérrez. – Islamscy fundamentaliści działający tu od czterdziestu lat. Ale tutejsza policja polityczna, muchabarat, radzi sobie z nimi na różne sposoby...

– Domyślam się, że może to być dla nich bolesne... – ni to zapytała, ni to stwierdziła uroczą towarzyszką szefa Mena House.

Podano dwa rodzaje kawioru i świeżą sałatkę z krabów. Maître de salle osobiście zadbał o odpowiednie rozstawienie talerzy, naczyń z kawiozem, grzankami i śmietaną, ułożenie serwet na kolanach gości, dopełnienie kieliszków, podanie masła czosnkowego do grzanek. Gdy wszystkiego już dopilnował, a jego goście szykowali się do wzniesienia w kolejnym toaście kieliszków z szampanem, chrząknął dyskretnie.

– Tak, James, słucham – zareagował Archer, obeznany z taktownymi sygnałami podwładnego.

– Pragnę jedynie poinformować szanownych państwa, że nasz drogi szef kuchni właśnie otrzymał dostawę najświeższych, precudnej urody i jakości przegrzebków i ośmiela się sugerować niewielką ciepłą przystawkę w sosie jego inwencji.

– Madame? – Dyrektor spojrział wyczekująco na swoją towarzyszkę.

– Przegrzebki, coquilles Saint-Jacques! Nigdy nie odmawiam!

– Załatwione! – podsumował Thomas Archer. – Proceduj, James!

– *Of course, sir.*

Napili się szampana i zaczęli jeść kawior.

– Pan tu dowodzi jak na froncie, drogi panie Archer – skonstatowała madame Gutiérrez. – Był pan kiedyś w wojsku?

– Równie dobrze ja mógłbym panią o to zapytać – roześmiał się dyrektor. Ale w śmiechu tym była nuta, która wyrwała Dolores w ciele madame Gutiérrez z błogiej drzemki. – Pytała pani, czy są tu jeszcze jakieś inne problemy. I tak, i nie. To zależy, jak na to patrzeć. Otóż po wojnie napłynęło do Egiptu nieco podwładnych Adolfa Hitlera. Zwłaszcza z SS. Oczywiście za wiedzą i zgodą naszych amerykańskich przyjaciół, którzy wykorzystują ich wiedzę i

doświadczenie do walki z komunizmem. Tutaj byli naziści doradzają w różnych sferach, nazwijmy to, bezpieczeństwa państwa. Egipcjan łączy z nimi wspólna niechęć do Izraela, wroga muzułmanów.

– No tak, wróg mojego wroga jest moim przyjacielem – skomentowała pani Gutiérrez, a ukryta za jej maską Dolores odnotowała uwagi dyrektora z ciekawością, gdyż temat nie był jej obcy, i to nie tylko ze względu na współpracowników Dominika z SS. – Nie sądzę jednak, by mogło to rzutować na moje ewentualne interesy w tym pięknym kraju nad Nilem.

Gdy skończyli posilać się kawiozem i sałatką z krabów, Thomas Archer chciał dokonać wyboru win do kolejnych dań, ale pani Gutiérrez przekonała go, że powinni po prostu pozostać przy dom pérignonie, z deserem włącznie. Dyrektor uznał, że to dobry pomysł, i polecił otworzyć kolejną butelkę.

Przegrzebki, aby nie zmącić ich naturalnego smaku, podano w prostym, delikatnym sosie z szalotek i pomidorów na bazie białego wina, zapieczone na wielkich płaskich muszlach. Zdaniem pani Gutiérrez były wyborne.

Ale dopiero polędwica Kobe wzbudziła peany zachwytu dwojga biesiadników. Pieczolowicie podsmażona na grillu i podana bez żadnych dodatków, oprócz kawałków homara, dosłownie rozplywała się w ustach.

– Deser? – zapytał dyrektor, gdy skończyli danie główne.

– Boże broń! – odparła pani Gutiérrez. – Pozostało mi miejsce jedynie na espresso i kieliszek cointreau.

Już po chwili delektowali się w ciszy likierem pomarańczowym, podanym osobiście przez maître'a.

– Co za baśniowe miejsce! – Rosalinda Gutiérrez pierwsza przerwała milczenie. – Nigdzie nie widziałam tak gwiazdzistego nieba jak to nad piramidami.

– Rys romantyzmu w pani charakterze daje o sobie znać – skomentował Archer. – To dobra cecha i wbrew pozorom przydatna w każdym fachu.

– W interesach także?

– Naturalnie! Nuta romantyzmu pozwala zachować właściwy dystans do wymogów dnia codziennego i naporu rzeczywistości.

Wydaje się nam podpowiadać: nie zawsze, nie wszystko, nie za każdą cenę...

Mądry człowiek – pomyślała Dolores.

**1 maja**

Środowy poranek pani Gutiérrez rozpoczęła od przejażdżki na rumaku z hotelowej stajni dookoła piramid i monumentalnej rzeźby Sfinksa. Dawno nie czuła się tak dobrze. Następnie włożyła przewiewną ciemną sukienkę w białe groszki i piaskowym bentleyem Mena House udała się do Gezira Club, gdzie w restauracji przy basenie zjadła lekki lunch.

Przy okazji nawiązała znajomość z kilkoma młodymi, bardzo urodziwymi Egipcjankami z wyższych sfer, stałymi bywalczyniami klubu i basenu. Rej wśród nich wodziła poznana w samolocie Amira, która dostrzegłszy Dolores, natychmiast do niej podbiegła i serdecznie ją uścisnęła. Wchodząc w swoje nowe „ja”, które coraz bardziej jej się podobało, Argentynka wręczyła nowym koleżankom próbki perfum, ujawniając przy okazji rąbka tajemnicy swoich planów biznesowych w Kairze. Wzbudziła tym ogólny zachwyt i sympatię poznanych kobiet. I o to jej chodziło. Na tym polega budowanie legendy.

Dolores była z siebie zadowolona. Postanowiła, że następnego dnia powtórzy ten scenariusz. Samochodem klubu wróciła do Mena House i już jako Rosalinda Gutiérrez powoli zaczęła się przygotowywać do dyplomatycznego soirée w Gezira Club, zaplanowanego na ten wieczór.

\*

Piaskowy bentley wjechał majestatycznie na rozległe tereny Gezira Club i posuwał się powoli w kierunku kompleksu basenowego, gdzie odbywało się przyjęcie.

Rosalinda Gutiérrez zdecydowała się na ognieście czerwona sukienkę wieczorową do połowy łydki, gdyż organizatorzy

zaznaczyli, że długie suknie nie są *de rigueur*. Na nogach miała czarne szpilki, w ręku czarną torebkę, a na szyi wisiołek z perłą. Wyglądała bosko – jak nie omieszkał zauważyć szef Mena House. A maître de salle James, gdy ujrzał ją w hotelowym westybulu, po prostu podszedł do niej, uklonił się i bez słowa pocałował w rękę.

Czarny smoking Thomasa Archera tworzył świetne tło dla wieczornej toalety Rosalindy. Ubrany w czerń mężczyzna wydawał się nieco wyższy i jeszcze szczuplejszy.

To całkiem przystojny facet! – uświadomiła sobie nagle Dolores. I ma w sobie coś takiego męskiego. Trudno go rozgryźć.

Bentley zatrzymał się przed budynkiem basenu. Do wejścia prowadził szeroki bordowy dywan. Zgodnie ze zwyczajem dyplomatycznym honory domu pełnił dziekan korpusu dyplomatycznego, którym w Egipcie zwyczajowo był nuncjusz apostolski. W imieniu gospodarzy asystował mu minister spraw zagranicznych Egiptu z małżonką.

Thomas Archer i jego partnerka wysiedli z Bentleya i stanęli na dywanie, po czym on podał jej ramię i ruszyli przed siebie. Uroda i strój pani Gutiérrez sprawiły, że od pierwszej chwili oczy wszystkich obecnych skierowane były na nią. Gdy podeszli do komitetu powitalnego, przedstawiciel egipskiego protokołu wziął zaproszenie, które podał mu szef Mena House, i dokonał prezentacji nowo przybyłych.

– Drogi Thomasie – rzekł jowialnie minister spraw zagranicznych, który regularnie bywał w hotelu, często w celach pozasłużbowych, i niezwykle cenił dyskrecję dyrektora.

– Miło cię widzieć. Panią także, madame Gutiérrez.

W małżonce ministra Rosalinda bez trudu rozpoznała piękną Amirę. Ponownie uściśniły się serdecznie, nie naruszając jednakże protokołu.

– Tym razem przeszedłeś sam siebie, stary draniu – szepnęła konfidencyjnie minister do ucha Thomasa, wskazując prawie niezauważalnie na panią Gutiérrez, która właśnie podchodziła do nuncjusza.

– Ciebie nigdy nie prześcignę – odwzajemnił się Archer również konfidencyjnym szeptem.

Nuncjusz, który wiele lat spędził w slumsach biedoty Ameryki Południowej, z zainteresowaniem spojrzął na Rosalindę Gutiérrez. Uścisnął jej rękę i przemówił po hiszpańsku:

– Gratuluję, córko, stroju dopasowanego kolorem do tego dnia, o którym nie wszyscy wiedzą, że jest...

– Ja, ekscelencjo, wiem! – weszła nuncjuszowi w słowo pani Gutiérrez, a właściwie ukryta pod jej postacią Dolores. – Że jest to Święto Pracy, dzień ludzi biednych oraz tych, co pracy nie mają, a więc święto godności.

– Brawo, córko. Pozory potrafią mylić – rzekł nuncjusz z ciepłym uśmiechem i dodał: – Proszę mówić do mnie „ojcze”...

Rosalinda Gutiérrez skinęła głową i dygnęła z szacunkiem.

– Witam, mister Archer. – Nuncjusz świetnie znał szefa Mena House, gdyż często grywał z nim w brydża. – Inteligentna kobieta... pańska towarzyszka. To dobrze.

– Cieszy mnie opinia ojca – odrzekł Archer, który od dawna wiedział, że nuncjusz nie lubi być tytułowany ekscelencją.

Rosalindę niemal natychmiast obiegnęła grupka perfekcyjnie zadbanych Egipcjanek, a do nagle osamotnionego Archera podszedł dyrektor Gezira Club – Rais Said. Patrząc na niego, nikt by nie odgadł, że ten człowiek w dzieciństwie zebrał na obrzeżach Miasta Umarłych, gdzie mieszkała jego rodzina. Ale był dzieckiem niezwykle inteligentnym i utalentowanym, na co zwróciła uwagę szefowa amerykańskiej stacji archeologicznej w Kairze. To za jej sprawą, dorabiając u archeologów, mógł się jednocześnie uczyć w amerykańskiej szkole, a gdy ją skończył, wygrał stypendium Uniwersytetu Princeton w Stanach Zjednoczonych. Wprawdzie o sprawach stypendialnych decydował tam wówczas profesor egiptologii i uczeń emerytowanej już szefowej stacji, ale przecież kretny nie dostałby się na tak prestiżową uczelnię...

– *Hi*, Tom – przywitał się Rais.

– Rais, *mon ami*. – Archer uścisnął dłoń przyjaciela. – Jak sprawy?

– W normie, Tom – rzekł Rais. – Ale widzę, że ty szalejesz. Kim jest to zjawisko w czerwonej sukience?

– W czerwonej? No popatrz, nawet tego nie zauważyłem... –

zaczął się przekomarzać szef Mena House.

– Nie pierdol, Archer! – przywołał go do porządku Rais.

– Okej, okej! To nasz gość hotelowy, madame Rosalinda Gutiérrez z Argentyny rodem – wyjaśnił Archer. – Pani od perfum, o której ci mówiłem i którą zamierzam przedstawić ci dziś wieczór.

– Ale nie mówiłeś, że przy niej Evita to zwykła blondynka – zauważył Rais Said, który sam uchodził za bardzo przystojnego mężczyznę.

Przy wejściu powstało jakieś zamieszanie i część gości zaczęła zmierzać w tym kierunku. W otoczeniu grupy wojskowych na teren basenu wkroczył prezydent Gamal Abdel Naser, szczególnie gorąco witany przez obecnych na przyjęciu Egipcjan. Do Rosalindy podbiegła podekscytowana Amira, chwyciła ją za rękę i pociągnęła w stronę nowo przybyłego. Nie ulegało wątpliwości, że żona ministra spraw zagranicznych jest w dobrej komitywie z prezydentem, który szeroko uśmiechnął się na jej widok, po czym serdecznie ją uściskał. Amira wykorzystała ten moment, aby szepnąć mu parę zdań do ucha, a następnie przedstawiła swoją argentyńską przyjaciółkę.

– Panie prezydencie, pragnę zaprezentować naszą drogą Rosalindę Gutiérrez – powiedziała otoczona wianuszkami pozostałych bywalczyń basenu.

– Witam w naszym pięknym kraju, madame – odezwał się prezydent, ściskając dłoń lekko oszołomionej Rosalindy. – Cieszy mnie niezmiernie, że tak urodziwa kobieta z dalekiej Argentyny myśli o inwestowaniu w Egipcie.

– To naprawdę piękny kraj, ekscelencjo, ale jego największym skarbem są piękni mieszkańcy, czego dowodem niech będzie uroczą Amira – odparła całkowicie już opanowana kobieta interesu.

– Świetnie powiedziane, pani Gutiérrez, doprawdy świetnie – rzekł z uznaniem Naser, któremu bardzo przypadło do gustu połączenie piękna kraju z pięknem jego mieszkańców. – Będę panią cytował, madame. Panowie oficerowie i drodzy goście, madame Gutiérrez ma nasze poparcie.

– Dziękuję, panie prezydencie. – Rosalinda Gutiérrez dygnęła, tak jak wcześniej uczyniła to przed nuncjuszem.

Naser uklonił się lekko i ruszył dalej, by witać się z kolejnymi gośćmi.

Obserwujący tę scenę dyrektor Mena House lekko uśmiechał się do siebie, nie kryjąc zadowolenia, a stojący obok Rais Said z podziwem kiwał głową. Ale zanim obaj dyrektorzy zdążyli podejść do pani Gutiérrez, wyprzedziła ich wszędobylska Amira, prowadząc ze sobą oficera z orszaku prezydenta.

– Rosalindo, kochanie, cóż za przepiękna wypowiedź! Możesz być pewna, że zrobiłaś wrażenie, bo nasz drogi Gamal rzadko rekomenduje kogoś publicznie. Prawda, Fawzi?

– Absolutnie potwierdzam... – zaczął oficer, lecz Amira nie dała mu kontynuować.

– Teraz, gdy masz poparcie samego prezydenta, to pozostaje ci już tylko zacząć u nas swoje inwestycje. Prawda, Fawzi? – Ale znów nie dała mu dojść do słowa. – Nawet jeśli zabraknie ci kapitału, kochanie, to się nie martw, znajdziemy tyle, ile trzeba. Prawda...

Zamilkła na chwilę, zorientowawszy się, że zapomniała dokonać prezentacji.

– Ale ze mnie trzpiotka – rzekła kokieteryjnie. – Rosalindo, mam przyjemność przedstawić ci brygadiera Faruka Kemala. Zaufanego człowieka naszego prezydenta.

– Rosalinda Gutiérrez. Bardzo mi przyjemnie. – Argentynka wyciągnęła rękę.

– To zaszczyt panią poznać – odparł Kemal i ucałował dłoń pięknej kobiety.

Był dość postawnym mężczyzną po pięćdziesiątce, o lekko rozbieganych oczach i zmęczonej twarzy, której resztki urody niszczył, jak można się było domyślać, regularnie pity alkohol.

– Wybacz, Rosalindo, ale muszę przedstawić Fawziego nowemu ambasadorowi Maroka – zaordynowała Amira. – Na razie, kochanie. Do jutra na basenie.

Oficer wywiadu izraelskiego patrzyła za odchodzącym brygadierem ciągniętym przez śliczną żonę ministra i uśmiech zadowolenia nie schodził z jej pięknej twarzy. W Faruku Kemal urozpoznała bowiem agenta Ramzesa, którego zdjęcie, rysopis, nazwisko, stopień wojskowy i mnóstwo szczegółów życiorysu miała



mocno zakodowane w pamięci.

Przeszło jej przez myśl, że mogłaby nie czekać do niedzieli i nawiązać z nim kontakt tu i teraz, ale rozważywszy sprawę, doszła do wniosku, że to zbyt ryzykowne.

Wypowiadając hasło i pokazując znak rozpoznawczy, oddam inicjatywę przeciwnikowi. Będą mogli mnie zdjąć, kiedy zechcą, i nikt się o tym nie dowie, bo nasi ludzie z zabezpieczenia operacji będą tu dopiero w niedzielę. Do tego czasu mogą być przesłuchiwana, a to trochę za długo jak na pieszczoty trzeciego stopnia. Pierdolić taką improwizację! Czekamy grzecznie do niedzieli! – zdecydowała.

Z tych operacyjnych przemyśleń wyrwał ją znajomy, przyjazny głos dyrektora Mena House, który podszedł do niej ze swym przyjacielem Raisem Saidem.

– Madame Gutiérrez, gratuluję zawojowania najważniejszego człowieka w Egipcie. Działa pani jak tornado – mówił serdecznym tonem Thomas Archer. – Pozwoli pani, że przedstawię swojego przyjaciela Raisa Saida, dyrektora i władcę Gezira Club, a więc człowieka bardzo wpływowego.

– Miło mi, señora Gutiérrez – przywitał się szef klubu. – Widzę, że zaprzyjaźniła się pani z Amirą. To dobrze, bo jest ona duszą tutejszego towarzystwa i zna wszystkich. Porządna dziewczyna. Polubiła panią, więc nie ma rzeczy, której nie byłaby w stanie dla pani załatwić. Z butikiem w kompleksie basenowym Gezira Club włącznie, jeżeli dojdzie pani do wniosku, że to dobry ruch biznesowy.

– Dziękuję bardzo, dyrektorze. To piękny zakątek, o którym dużo myślę – zapewniła pani Gutiérrez.

Podszedł kelner z tacą zastawioną smukłymi kieliszkami z szampanem. Wszyscy troje wzięli po jednym i usiedli przy nakrytym bielutkim obrusem stoliku tuż przy brzegu basenu.

– Proszę natomiast uważać, droga pani, na brygadiera Faruka Kemala, ksywa „Fawzi”, do którego kochana Amira ma jakąś niezrozumiałą słabość i którego właśnie pani przedstawiła – rzekł ostrzegawczo szef Mena House.

Czerwone lampki w głowie Dolores zamigotały ostrym

światłem. Oto bowiem niespodziewanie nadarzała się okazja do poszerzenia wiedzy o agencie Ramzesie.

– Nie wygląda groźnie... – zaczęła i szybko zamilkła, gdy do rozmowy włączył się Rais Said.

– Już nie. Brygadier to świetny oficer, który zaliczył kursy w brytyjskiej szkole wojskowej Sandhurst i francuskiej Saint-Cyr i cieszy się opinią genialnego sztabowca. Problem polega na tym – zaczął tłumaczyć – że pochodzi ze znakomitego rodu, ale bardzo ubożalego. Ma natomiast naturalne dla swego rodu ambicje, by błyszczeć w towarzystwie. To kosztuje, jak wiemy, a Fawzi ani nikt z jego rodziny nie ma najmniejszego drygu do zarabiania pieniędzy. Zwłaszcza takich, które pozwoliłyby brygadierowi żyć na poziomie, do jakiego aspiruje. Musi więc pożyczać, jak wszyscy żyjący ponad stan. A ponieważ nie ma z czego oddawać, naraża się na nieprzyjemności. Pożycza zatem kolejne pieniądze, aby zwracać poprzednie. Robi tak od lat, tracąc wszelką wiarygodność kredytową. Ma wielkie szczęście, że nasz prezydent go lubi i niekiedy rekompensuje wierzycielowi utratę pieniędzy jakimś intratnym kontraktem państwowym albo nieoczekiwaną premią lub po prostu, klepiąc go po plecach, sugeruje wspaniałomyślność wobec brygadiera. Problemy finansowe powodują, że Fawzi zagląda do kieliszka znacznie częściej niż nasza trójka razem wzięta, co nie pomaga mu w rozwiązywaniu problemów finansowych. Takie zamknięte koło. Gdyby więc brygadier, licząc na pani niewiedzę, zgłosił się po pożyczkę, to radziłbym przygotować sobie dobre kontrargumenty. Fawzi ma cały wachlarz propozycji biznesowych, które pomagają mu wyciągać od ludzi pieniądze, zatem proszę nie dać się zwieść. O jego tragicznej sytuacji finansowej wie niewiele osób w towarzystwie i prawie nikt poza nim, gdyż brygadier to mistrz kamuflażu...

Thomas Archer spojrział na panią Gutiérrez, uniósł znacząco brwi i dodał swoje, jak zwykle rzeczowe przemyślenia.

– Mam wrażenie, madame, że także cierpliwość prezydenta Nasera jest już na wyczerpaniu i nawet kochana Amira, która dawno temu durzyła się w naszym wojaku, nie będzie w stanie mu pomóc. Tutejszy korpus oficerski cechują wysokie standardy wzorowane na armii brytyjskiej i pewne zachowania nie mogą być i nie są

tolerowane...

– Boże, to brzmi bardzo złowieszczo i groźnie – rzekła wylężnionym głosem Rosalinda Gutiérrez. – Co zatem czeka przyjaciela Amiry?

Z ministrem spraw zagranicznych łączyły Thomasa Archera dość szczególne stosunki. Polityk miał wielką słabość do Etiopek, Somalijek i innych czarnych piękności, a żeby mógł się z nimi spotykać, dyrektor udostępniał mu w Mena House pokój z niezależnym wejściem. Że zaś minister prawie codziennie rozmawiał z samym Naserem, Archer wiedział, że brygadier lada dzień dostanie polecenie ustatkowania się i życia z oficerskiej pensji w odległym garnizonie armii egipskiej lub honorowego rozstania się z tym światem – za pomocą rewolweru z jedną kulą.

– Powiem pani coś, o czym musi pani natychmiast zapomnieć – rzekł prawie szeptem szef Mena House. – Amira będzie namawiać panią na interesy z Fawzim. Pod żadnym pozorem proszę się na to nie zgadzać. Ona jeszcze nie wie, że to człowiek skończony. W wojsku i w towarzystwie. Jako oficer zawsze może wybrać drogę honoru. Wie pani, co mam na myśli?

– Chyba się domyślam... – odparła blada pani Gutiérrez i pospiesznie dodała: – Ale chcę o tym wszystkim natychmiast zapomnieć, drogi przyjacielu.

– Świetnie, proponuję jeszcze po kieliszku szampana, a następnie poznam panią z dwoma ambasadorami. Związku Radzieckiego i dla kontrastu Stanów Zjednoczonych. Jak się pani przekona, są tacy różni, a jednak tacy podobni.

– Nie mogę się doczekać! – ucieszyła się madame Gutiérrez.

Kurwa mać, kocham cię, Archer, bo potwierdzasz moje najgorsze przewidywania co do Ramzesa – chciała wykrzyknąć Dolores – i zanim stąd wyjadę, to dam ci dupy albo specjalnie po to wrócę! Boże, to się nazywa być we właściwym czasie we właściwym miejscu. Kto, do kurwy nędzy, robił rozpracowanie Ramzesa przed werbunkiem? To jest robota Mosadu, wywiadu nad wywiadami? Szimon, ty smutny fiucie, to ma być superagent w obiekcie? Ja pierdołę, ale wtopa!

Gdy już tak powścikała się w myślach, zaczęła kalkulować na

zimno. Zadłużony po uszy oficer zrobi wszystko, żeby przetrwać kolejny rok lub dwa. Ktoś płacił za leczenie Fawziego w Szwajcarii, wiedząc, że to bankrut i nicpoń, ale za to jakże łatwo sterowalny! Bez zgody egipskich służb specjalnych oficer sztabu nigdzie za granicę by nie pojechał. Mogą go lepić i kształtować jak plastelinę. A jak jeszcze dorzucą parę groszy i obietnicę, że przetrwa w sztabie generalnym, bo to służy ich celom, to mają go w garści! Co robić w tej sytuacji? Po co nam podwójny agent? Albo wręcz martwy, jeśli postawi na honor i walnie sobie w łeb, co wyraźnie sugerował kochany Archer!

A może rozegramy plan B: wypłoszymy zwierzynę z lasu i zobaczymy, kto ewentualnie steruje brygadierem? – pomyślała.

Gra operacyjna ze służbą specjalną przeciwnika na jego terenie jest jednym z najbardziej niebezpiecznych przedsięwzięć wywiadowczych. Ale też może wiele wyjaśnić – szybko, skutecznie i na ogół bez wątpliwości. Plan B został wstępnie uzgodniony z Cewim. Jeśli zacznie się rozwijać zgodnie z przewidywaniami, to Dolores ma także pozwolenie kierownictwa na realizację planu C...

– Madame Gutiérrez – wyrwał ją z rozmyślań głos dyrektora Mena House – pani zdrowie. Pijemy szampana i idziemy spotkać się z ambasadorami wielkich mocarstw.

**2 maja**

Soirée trwało jeszcze do wczesnych godzin rannych.

Pani Gutiérrez i Thomas Archer wsiedli do piaskowego bentleya i ruszyli w drogę powrotną do Mena House. Zapach jaśminu był wszechobecny w całym mieście, zwłaszcza w nocnym, chłodniejszym powietrzu. Samochód mknął pustymi ulicami Kairu, mijając jedynie zaprzężone w osiołki wozy śmieciarzy.

– Obudziła pani szlachetne uczucia w ambasadorze amerykańskim, pani Gutiérrez – zwierzył się jej Thomas Archer. – Rzekłbym ojcowskie, bo powiedział naszemu przyjacielowi Raisowi Saidowi, a to ulubieniec Amerykanów, że pani i jego córka jesteście do siebie podobne jak dwie krople wody. Świetnie! Obecny ambasador amerykański to bardzo wpływowy człowiek o mentalności dżentelmena starej daty. Mówi się, że jest w zażyłych stosunkach z klanem Kennedych, a więc także z Białym Domem, a to zawsze wzmacnia pozycję ambasadora w kraju urzędowania.

Bentley wjechał na hotelowy podjazd i zatrzymał się przed frontowymi drzwiami Mena House. Kobieta i mężczyzna weszli powoli do westybulu.

– Drinka na dobranoc? Jako zwieńczenie wspaniałego wieczoru? – zapytał Thomas Archer, patrząc w oczy madame Gutiérrez.

– Twój pokój czy mój? – odparła za nią Dolores.

\*

Tego dnia pani Gutiérrez spotkała się na basenie ze swoją nową przyjaciółką i jej koleżankami, z których jedna była żoną szefa sztabu armii egipskiej, dopiero po południu. Jak przewidział szef

Mena House, Amira poruszyła wątek planów biznesowych brygadiera, ale uczyniła to z takim brakiem przekonania, że Argentynce bez trudu przyszło zgasić temat w zarodku. W końcu Amira wyznała przyjaciółce, że bardzo się martwi o zdrowie psychiczne Fawziego, i opowiedziała jej wszystko o problemach finansowych, które zaczynały rzutować na jego karierę wojskową.

– To był kiedyś wspaniały człowiek i mężczyzna – kończyła swoją opowieść Amira głosem pełnym smutku, przyznając, że się w nim durzyła. – A teraz mój mąż, i nie tylko on, mówi, że jeżeli Fawzi jest oficerem i dżentelmenem, to powinien...

– Nikt z nas nie ucieknie przeznaczeniu, kochana Amiro – weszła jej w słowo pani Gutiérrez. – Ważne jest także to, co pozostawimy po sobie w pamięci innych. A dla oficera może to być bezcenne...

– Niestety, pewnie masz rację, droga Rosalindo – odparła piękna Egipcjanka ze łzami w ciemnych oczach.

No to po agencji Ramzesie! – skonkludowała oficer wywiadu izraelskiego. Muszę założyć, że jest podstawiony. Ale dobrze byłoby wiedzieć przez kogo. Przystępujemy zatem do realizacji planu B...

**4 maja**

W sobotę rano, po powrocie z porannej przejażdżki konnej, pani Gutiérrez zastała w recepcji zaproszenie od ambasadora Stanów Zjednoczonych na dinner w jego rezydencji, zaplanowany na ten wieczór. W odręcznym dopisku ambasador przeproszał za zbyt małe wyprzedzenie czasowe.

Jeszcze w stroju jeździeckim Rosalinda Gutiérrez zapukała do gabinetu dyrektora Mena House, uchyliła drzwi i wetknęła głowę do środka.

– Mogę, szefie? – zapytała, upewniwszy się, że Thomas Archer jest sam.

Mężczyzna wstał od wspaniałego francuskiego biurka, podszedł do kobiety w kostiumie amazonki i pocałował ją w rękę. Pani Gutiérrez zrewanżowała mu się pocałunkiem w same usta i usiadła na jednym z pięknych foteli w stylu Ludwika XVI. Po spędzonej wspólnie nocy ze środy na czwartek pomiędzy panią Gutiérrez a panem Archerem zapanowała większa bezpośredniość.

– To twoja sprawka, mój drogi? – zapytała Rosalinda, pokazując szefowi Mena House zaproszenie od amerykańskiego ambasadora.

– Przecenia mnie pani, madame Gutiérrez – odpowiedział Thomas Archer, który jako dżentelmen nie uważał, by noc z kobietą zwalniała go z przestrzegania zasad etykiety towarzyskiej. – To wyłącznie zasługa pana ambasadora, dla którego jest pani głównym gościem, a moja skromna osoba stanowi jedynie nędzny dodatek.

Mówiąc to, podniósł z biurka identyczne zaproszenie.

– Co jest grane? – dociekała pani Gutiérrez.

– Ambasador szczerze panią polubił...

– Możesz przestać zwracać się do mnie oficjalnie, przynajmniej na osobności? – zapytała. – Doceniam, że jesteś taki szarmancki, ale...

– Dobrze, Rosalindo – odparł rzeczowo Thomas Archer. – A teraz ad rem. Na dzisiejszej kolacji u pana ambasadora, oprócz nas, będą też twoja kochana Amira z mężem, ministrem spraw zagranicznych Egiptu, i mój przyjaciel Rais Said ze swoją przyjaciółką.

– To sympatyczny człowiek... pan ambasador... wyczuwam w nim pozytywne fluidy – rzekła pani Gutiérrez. – Coś o nim wiesz?

Szef Mena House uśmiechnął się, jakby go ktoś zapytał, czy wie, ile pokoi liczy jego hotel albo jaka jest dziś pogoda.

– Ambasador John S. Badeau to najlepsze, co mogło się przytrafić dyplomacji Stanów Zjednoczonych w tym kraju – rzekł z przekonaniem Thomas Archer. – Pierwszy raz postawił nogę na Bliskim Wschodzie w dwudziestym ósmym roku i od tamtego czasu robi tu różne użyteczne rzeczy, bo to inżynier z wykształcenia, a pastor i społecznik z zamiłowania. Biegłe zna arabski i tuż po wojnie przez osiem lat był prezesem Uniwersytetu Amerykańskiego w Kairze. Wykształcił część polityków obecnie rządzących Egiptem. Kiedy mówiłem, że to wyjątkowy człowiek, nie rzucałem słów na wiatr.

– No to kolacja zapowiada się interesująco – podsumowała pani Gutiérrez.

Dinner w rezydencji ambasadora Stanów Zjednoczonych był czarujący. Rozsiane po rezydencji liczne fotografie córki Johna Badeau pozwalały gościom osobiście się przekonać o jej uderzającym podobieństwie do pani Gutiérrez. Serdeczność dyplomaty dla uroczej Argentynki stała się aż nadto zrozumiała.

Bliski Wschód nie miał tajemnic dla ambasadora Badeau, który mógł godzinami opowiadać o swoich przeżyciach w tym regionie, nie zanudzając nikogo z gości. Pani Gutiérrez słuchała opowieści biesiadników o Oriencie, tak przy tym lawirując rozmową, aby namówić możliwie dużą część towarzystwa na spotkania przy basenie Gezira Club w niedzielne przedpołudnie... Robiła to jednak tak delikatnie, że w pewnym momencie żywiołowa Amira przejęła inicjatywę, traktując pomysł jako swój własny.

Kolacja dobiegała końca i goście powoli zaczęli się



rozchodzić. Amira przypominała wszystkim, że jutro poranną kawę piją na basenie.

– Dziękuję pani serdecznie za niezapomniany wieczór – zęgnął się wylewnie z Rosalindą Gutiérreż ambasador Badeau. – Jakbym gościł swoją kochaną córeczkę. O ile nic mnie nie powstrzyma, to wpadnę jutro do Gezira Club.

Piaskowy bentley odwiózł panią Gutiérreż i jej towarzysza do Mena House. Thomas Archer zaproponował drinka na tarasie, gdyż jako dżentelmen starej daty wiedział, że jeżeli kobieta będzie miała ochotę wypić go gdzie indziej... to znajdzie sposób, aby dać to partnerowi do zrozumienia. Ponieważ przyjęła zaproszenie w takiej formie, w jakiej ono padło, uznał sprawę za zamkniętą, przynajmniej na ten wieczór. Zamówili gin z tonikiem w długich szklankach i zapatrzili się w gwieździste niebo nad piramidami.

– W ich obliczu jesteśmy jak pył na wietrze – powiedziała w pewnym momencie Rosalinda Gutiérreż.

– Nie tobie jednej przychodzi do głowy takie skojarzenie – odparł Archer.

Nie bardzo miała ochotę zostać sama, ale też nie chciała, aby Archer wyczuł u niej pewne mimowolne napięcie. Jutro mogło wydarzyć się wszystko i nie mogła sobie pozwolić na to, aby tego wieczoru coś mu nie pasowało do jej wizerunku, do jakiego nawykł. Dopiła więc gin z tonikiem, pocałowała Thomasa na dobranoc i udała się do swego apartamentu.

**5 maja**

Był piękny słoneczny dzień i kairska śmietanka towarzyska dopisała na basenie klubu wyjątkowo licznie. Na dwunastą zapowiedziano gonitwę konną, a następnie wyścig zaprzęgów. Przy stoliku razem z panią Gutiérrez siedzieli Thomas Archer, Amira i jej mąż, minister spraw zagranicznych. Tylko od czasu do czasu dosiadał się do nich Rais Said, gdyż jako szef Gezira Club miał tego dnia pełne ręce roboty. Popijali świeżo zmieloną, aromatyczną kawę i jedli specjały arabskiego cukiernictwa. Kobiety ubrane były w przewiewne, letnie, wzorzyste sukienki we wszystkich kolorach tęczy. Na głowach miały olbrzymie słomiane kapelusze zasłaniające przed słońcem. Mężczyźni stawili się na ogół w jasnych spodniach i białych koszulach. Niektórzy z przewieszonymi przez ramię pulowerami.

– Rais, jesteś dziś taki zapracowany – odezwała się w pewnym momencie pani Gutiérrez. – Musisz mi pokazać swój gabinet.

Rais Said nie dał się dwa razy prosić i wnet Amira i pani Gutiérrez znalazły się w biurze szefa klubu, które mieściło się tuż nad basenem i zapewniało widok z lotu ptaka nie tylko na kąpielisko, lecz także na drogę dojazdową do kompleksu basenowego. Takiej właśnie perspektywy potrzebowała Dolores. Miejsce, w którym niebawem powinna nawiązać kontakt z agentem o kryptonimie „Ramzes”, miała przed sobą jak na dłoni.

Nie wiedzą, kto skontaktuje się z Ramzesem – analizowała sytuację – jeżeli więc zastawiają pułapkę, robią to ostrożnie, bo na ślepo. Część aktywów muszą mieć już na miejscu, a część dobije tuż przed jedenastą.

Amira z zaciekawieniem oglądała bibliotekę w gabinecie Raisa Saida, a pani Gutiérrez z równą uwagą śledziła ludzi na basenie.

Mam was, skurwiele – uśmiechnęła się do siebie, zauważywszy pięciu czy sześciu postawnych blondynów w jasnych garniturach. Ustawieni w strategicznych miejscach, czytali gazety lub popijali zimne napoje.

Dochodziła jedenasta. Przed bramę kompleksu basenowego zajechały trzy ciemne limuzyny Mercedes i wysiadło z nich kilku mężczyzn, również w garniturach.

Muszą gdzieś schować spluwy – domyśliła się Dolores. Mam nadzieję, że nie mają w planie zastrzelić osoby nawiązującej kontakt.

Kilkaset metrów od budynków basenowych zatrzymały się trzy wojskowe ciężarówki przykryte brezentem, ale nikt z nich nie wysiadał.

Duża akcja – drwiła w myślach Dolores. Jakby Aryjczycy mieli wkroczyć do żydowskiego getta...

Przed wejście do kompleksu podjechała czwarta ciemna limuzyna i wysiadł z niej... brygadier Faruk Kemal we własnej osobie. Na zegarze w gabinecie Raisa Saída była za pięć jedenasta. Agent Ramzes wszedł na basen i zaczął witać się z towarzystwem. Za nim weszli jeszcze trzej mężczyźni w garniturach i razem z już obecnymi zaczęli tworzyć wokół brygadiera bardzo luźny krąg.

Amira podeszła do okna, stanęła obok pani Gutiérrez i spojrzała w kierunku basenu. Już miała odejść, gdy coś przykuło jej uwagę, bo jeszcze raz popatrzyła w dół, jakby chciała się upewnić, że jej się nie przywidziało.

– Och, chłopcy z Reichu przyszli się wykąpać – mruknęła pod nosem, ale wystarczająco głośno, by usłyszała to Dolores.

W tym momencie do biura wrócił Rais Saíd.

– Chodźcie, śliczne panie, szkoda dnia – zaordynował. – Na dole zaraz będą podawać szampana...

Cała trójka opuściła gabinet i zeszła na teren basenu. Kilka metrów przed nimi stał brygadier Faruk Kemal. Wyraźnie zdenerwowany, rozbieganym wzrokiem rozglądał się dookoła. Zdążył już wypić kieliszek szampana i właśnie sięgnął po następny z tacy, którą podsunął mu usłużny starszy kelner.

Amira złapała Rosalindę za rękę i pociągnęła ją w kierunku brygadiera, wykrzykując głośno:

– Fawzi, *cher ami*. Idziemy do ciebie!

W pierwszej chwili brygadier próbował udawać, że nie słyszy, i zgubić się w tłumie, ale widocznie doszedł do wniosku, że to i tak nic nie da. Było pięć po jedenastej.

– Nie uciekaj nam, mój drogi – upomniała go Amira.

– Witam, drogie panie, witam serdecznie – przemówił brygadier, ściskając dłoń pani Rosalindy Gutiérrezz.

– Ależ ze mnie gapa... – powiedziała nagle pani Gutiérrezz. – Amiro, kochanie, pomóż mi założyć moją perelkę, bo czuję się na wpół nieubrana...

Mówiąc to, wyjęła z białej torebki swój wisiołek z perłą i podała pięknej Egipcjance, która z wielką wprawą zapięła go od tyłu na szyi Argentynki.

– No, teraz lepiej – rzekła madame Gutiérrezz, odwracając się do brygadiera Faruka Kemala, jakby oczekiwała od niego słów pochwały.

Ramzes zaniemówił. Patrzył na panią Gutiérrezz, patrzył na perłę na jej szyi i zaczęły mu się trząść ręce. Chciał odstawić kieliszek z szampanem, ale nie miał gdzie. Wolną ręką sięgnął do kieszeni spodni, jakby za wszelką cenę chciał z niej coś wyjąć, ale w zdenerwowaniu nie mógł trafić w wycięcie.

– Idę do toalety – szepnęła pani Gutiérrezz do ucha Amiry i rzuciwszy żołnierzowi *pardon*, odwróciła się szybko na pięcie w kierunku budynku basenowego. Kątem oka zauważyła, że w jej stronę zmierza Thomas Archer z ambasadorem Badeau, a drugim odnotowała dziwne poruszenie wśród blondynów w garniturach.

– To ona! To ona...! – krzyczał brygadier, biegnąc za panią Gutiérrezz. W końcu do niej dopadł, złapał lewą ręką jej lewą rękę i odwrócił do siebie, próbując znaleźć jakąś kieszeń, do której mógłby jej wcisnąć coś, co trzymał w prawej dłoni. Ale sukienka pani Gutiérrezz nie miała żadnych kieszeni, więc w oczach obecnych wyglądało to tak, jakby brygadier próbował... obmacywać piękną Argentynkę.

Pani Gutiérrezz, szarpnięta gwałtownie za lewą rękę, nie straciła równowagi, lecz drugą ręką wymierzyła z półobrotu napastnikowi prawy prosty w nos.

Cios był tak celny i mocny, że Fawzi natychmiast zalał się krwią i padł na plecy. Z jego otwartej prawej dłoni wypadł niewielki przedmiot przypominający metalowy krążek i potoczył się po podłodze. Dwaj mężczyźni w garniturach rozpaczliwie próbowali go

złapać, on jednak był szybszy i wpadł do basenu w jego najgłębszej części.

Zgromadzone towarzystwo zamarło w bezruchu... Po chwili tłum, jak jeden żywy organizm, wybuchł szalonym aplauzem. Ludzie bili brawo, krzyczeli, część kobiet gwizdała.

Rosalinda Gutiérrez wyprostowała się i natychmiast została otoczona przez sześciu mężczyzn w garniturach, którzy zaczęli popychać ją do wyjścia.

– Jesteś zatrzymana, suko – szepnął jej do ucha po niemiecku siódmy, starszy od pozostałych facet w garniturze.

Ale gdy tak przemieszczali się w stronę stojących przed kompleksem basenowym samochodów, prawie niosąc wołającą o pomoc Rosalindę, zaszli im drogę ambasador Badeau i szef Mena House.

– Co tu się dzieje? Puścić natychmiast tę kobietę! – zażądał stanowczo ambasador Stanów Zjednoczonych.

Rzuciło się jednak na niego dwóch mężczyzn w garniturach i powaliło na ziemię. Jeden z nich próbował go kopnąć, ale ledwie zdążył unieść nogę, dostał od Thomasa Archera potężnego kopniaka w krocze i zwinął się w kłębek. Drugi z napastników wyjął rewolwer i wycelował w tłum, który jakby przysiadł. To wystarczyło, aby wlokący panią Gutiérrez faceci dotarli do ciemnych limuzyn, zapakowali się do nich i odjechali z piskiem opon.

Do podnoszącego się ambasadora Badeau podbiegli Thomas Archer i Rais Said, a tuż za nimi Amira. Egipcjanka wprost nie mogła uwierzyć, że scena, która przed chwilą rozegrała się na jej oczach, była prawdziwa, a nie wyjęta z filmu sensacyjnego.

– Czy nic panu nie jest, ambasadorze? – zapytał z troską w głosie szef Mena House, pomagając mu wstać.

Ale amerykański dyplomata stał już mocno na nogach.

– Dziękuję za pomoc, sir. Ładnie pan kopie – pochwalił Archera w pełni opanowanym głosem. Spokój ambasadora krył jednak głęboki gniew i zdecydowaną wolę natychmiastowego działania.

Jak spod ziemi wyrósł przy nim ambasador Związku Radzieckiego i zaczął otrzępywać Amerykanina z resztek kurzu.

– Może pan liczyć na moją pomoc w tej sprawie – rzekł, ściskając mu rękę, i dodał dla porządku: – Bezinteresowną, *no strings attached*...

– *Spasibo*. Cokolwiek pan zrobi, by jak najszybciej wyrwać panią Gutiérrez z rąk tych bydlaków, poprę to w pełni – odpowiedział stanowczo ambasador Badeau i jego wzrok pastora zatrzymał się na Amirze. – Gdzie twój mąż, córko?

Minister spraw zagranicznych, który scenę walki pani Gutiérrez z brygadierem i to, co nastąpiło potem, obserwował z drugiego końca basenu, gdzie wcześniej, otoczony wianuszkami czarnych piękności z licznych ambasad z głębi Czarnego Łądu, spokojnie popijał szampana, stanął wyprężony niemal na baczność przed ambasadorem Stanów Zjednoczonych.

– Ekscelencjo, proszę przyjąć wyrazy najgłębszego ubolewania, doprawdy nie wiem, co powiedzieć...

Ambasador John S. Badeau był człowiekiem głębokiej wiary i idealistą. Ale żeby móc sobie na to pozwolić, poznał najpierw świat od podszewki, z całym jego dobrem i złem. Miał niezachwianą wiarę w możliwość nawracania złych ludzi na drogę dobra, ale nie był kolejnym użytecznym idiotą i wiedział, że niekiedy wymaga to drastycznych działań. Tak jak w tej właśnie sytuacji. Dlatego wziął ministra pod rękę i podprowadził pod ścianę budynku, gdzie nikt nie mógł ich usłyszeć ani przeszkodzić im w rozmowie.

– Pan nie musi nic mówić, drogi ministrze. Ja będę mówił! – zaczął ambasador Badeau, jakby wygłaszał kazanie, w którym wszelka dyskusja jest wykluczona, a słuchający może tylko na koniec przytaknąć sakramentalnym „amen”. – Mam nadzieję, że za godzinę przyjmie mnie prezydent Gamal Abdel Naser. Przed chwilą nieproszeni bandyci, których pana kraj toleruje na swoim terytorium, napadli na ambasadora Stanów Zjednoczonych, grożąc mu bronią. Myślę, że czas tolerancji dla tych ludzi dobiegł końca, wszędzie. Jeżeli nie dojdzie zaraz do mojego spotkania z prezydentem Naserem, to jeszcze dziś opuszczę Egipt, aby jutro spotkać się ze swoim prezydentem i osobiście mu opowiedzieć, jak został tu potraktowany oficjalny przedstawiciel Stanów Zjednoczonych. Czy w pełni się rozumiemy, panie ministrze?

– Tak, panie ambasadorze. W pełni! – odpowiedział mąż

Amiry, który nigdy przedtem nie wysłuchał takiej reprimendy od żadnego ambasadora, i kazał natychmiast się zawieźć do pałacu prezydenta.

W gabinecie Raisa Saída ambasador rosyjski, korzystając z uprzejmości gospodarza, telefonował do swojej ambasady. Piętro niżej dzwonił na miasto starszy kelner, który jeszcze niedawno raczył brygadiera szampanem. Jak mówił kolegom, ostatnio chorowała jego wnuczka i martwił się o jej zdrowie.

W całym tym zamieszaniu wszyscy jakby zapomnieli o Faruku Kemalu, który siedział przy stoliku, przykładając ręcznik z lodem do wciąż krwawiącej twarzy. Jedyne Amira usiadła przy nim na krześle i starała się mu pomóc.

– Fawzi, kochanie, co ty najlepszego zrobisz? Czemu się zadałeś z tymi zbrodniarzami? – pytała przez łzy.

– Nie miałem wyboru – odpowiedział Fawzi, który nie mógł uwierzyć, że prosta, jak go zapewniano, i bardzo dobrze opłacona operacja przerodziła się w koszmar o trudnych jeszcze do przewidzenia konsekwencjach.

Amira kazała wezwać karetkę pogotowia, gdyż brygadier coraz mocniej krwawił z rozbitego nosa.

Lekko poturbowana pani Gutiérrez siedziała pomiędzy dwoma osilkami w garniturach na tylnym siedzeniu środkowej limuzyny konwoju, który przemieszczał się ulicami Kairu w stronę Miasta Umarłych. Oczy miała zawiązane czarną chustą.

No to zrealizowaliśmy plan B – pomyślała z satysfakcją Dolores. Ustalona z agentem Ramzesem procedura składała się z dwóch elementów. Pierwszym było okazanie przez osobę nawiązującą kontakt znaku rozpoznawczego – pojedynczej perły. Potem Ramzes powinien był wypowiedzieć hasło, które ściśle odwoływało się do motywu perły i zawierało jedno słowo klucz. Hasło musiało się spotkać ze stosownym odzewem osoby nawiązującej kontakt. Dopiero wtedy obie strony mogły rozpocząć właściwą rozmowę operacyjną.

Każdy wywiad musi zakładać, że pierwsze spotkanie z nowo

zawerbowanym agentem na terytorium jego kraju może być pułapka. A idealna pułapka to taka, w której osoba nawiązująca kontakt nie tylko okaże znak rozpoznawczy, wymieni hasło i odzew, lecz także zgodzi się przejąć od agenta prawdziwy materiał wywiadowczy, co ją całkowicie pograży i uniemożliwi jej jakiegokolwiek tłumaczenia.

Działanie Dolores było obliczone na sprowokowanie takiej reakcji Ramzesa, która świadczyłaby o jego podwójnej roli, a założenie na szyję wisiora z perłą mogłaby pani Gutiérrez wiarygodnie wytłumaczyć jako coś niewinnego i naturalnego.

Dałeś dupy, kolego brygadierze – podsumowała oficer wywiadu izraelskiego. Myślałeś, że uciekam, i za wszelką cenę chciałeś mi podrzucić materiał wywiadowczy, aby twoi kumple mogli go przy mnie znaleźć, bo bałeś się, że inaczej ci nie zapłacą. Ty smutny fiucie! Dobrze, że ci przypierdoliłam na pożegnanie!

Konwój dotarł do Miasta Umarłych. Samochód, którym wieziono panią Gutiérrez, wjechał do kompleksu budynków pilnowanych przez żołnierzy armii egipskiej, a reszta pojazdów udała się w dalszą drogę.

Jadący za konwojem dwaj motocykliści zatrzymali się. Byli to kurierzy Gezira Club, których na co dzień zatrudniał Rais Said w celu zapewnienia cateringu ze znakomitej restauracji klubu jego licznym stałym członkom. Zнали całe miasto jak nikt i potrafili poruszać się w nim po mistrzowsku. Jeden z nich został przy obiekcie wojskowym, a drugi podjechał do pobliskiego sklepu z owocami i warzywami i za niewielką opłatą zadzwonił do szefa.

– Mów! – rzucił do słuchawki Rais Said, który odebrał telefon w swoim gabinecie i pilnie słuchał. – *Good work!* Macie po premii w wysokości miesięcznego zarobku. Czekać tam i meldować, gdyby coś się zmieniło.

Odłożył słuchawkę i podszedł do wiszącej na ścianie wielkiej mapy Kairu. Razem z nim podeszli Thomas Archer i ambasador Związku Radzieckiego.

– To tu – wskazał punkt na mapie. – Stary obiekt wojskowy. Myślę, że musimy się spieszyć, panie ambasadorze...



Ambasador, który w czasie wojny walczył pod Stalingradem przeciwko Niemcom, wykonał kolejny telefon, podając dokładne współrzędne z mapy, po czym odłożył słuchawkę.

– Znają obiekt, wiedzą, gdzie leży – zameldował krótko i dodał z uśmiechem: – Kawaleria w drodze, jak by powiedział nasz drogi John Badeau. A swoją drogą, pani Gutiérrez *gieroj krasawica*. Da sobie radę z tymi dupkami... Proszę się nie martwić, mój najlepszy człowiek tam jedzie.

– Proponuję, panowie, wypić drinka i poczekać na rozwój sytuacji... – rzekł Rais Said i odebrał telefon, który właśnie zadzwonił. – Panie ambasadorze, ambasador Badeau do pana!

Ambasador Związku Radzieckiego zamienił parę słów ze swoim amerykańskim odpowiednikiem i odłożył słuchawkę.

– Prezydent Naser jest wstrząśnięty dzisiejszym incydentem – poinformował zebranych i dodał z uśmiechem: – Będzie się działo! John Badeau zaraz będzie u nas z powrotem.

Thomas Archer z zaciekawieniem obserwował zgodne współdziałanie ambasadorów mocarstw, które na ogół mocno ze sobą rywalizowały. Także w Egipcie. Nie tak nie mobilizuje jak wspólny wróg – pomyślał.

\*

Gdy pojazd wiozący Dolores zatrzymał się przed jednym z budynków, kobietę bezceremonialnie wywleczono na zewnątrz i z oczami opasanymi czarną chustą zaprowadzono do pokoju na pierwszym piętrze. Tam posadzono ją na drewnianym, mocnym krześle przytwierdzonym do podłogi. Jej prawą rękę ktoś przykuł kajdankami do oparcia.

Uwolniona od chusty Dolores rozejrzała się po pokoju. Był wielki. Musiał mieć około pięćdziesięciu metrów kwadratowych. Oprócz jeszcze paru krzeseł i dużego biurka nie było w nim żadnych innych mebli. Na ścianie za biurkiem, na tle sięgającej od sufitu prawie do podłogi ogromnej flagi Trzeciej Rzeszy ze swastyką,

wisiał okazałych rozmiarów portret Adolfa Hitlera.

Przed uwieszoną stał w charakterystycznym rozkroku wysoki mężczyzna w pustynnym mundurze polowym Afrikakorps. Na twarzy miał okazałych rozmiarów bliznę. Nazywał się Otto Skorzeny i był Obersturmbannführerem SS, niegdyś ulubieńcem Führera i weteranem elitarnego pułku Waffen-SS – Leibstandarte Adolf Hitler. Od wielu lat czuł się nad Nilem prawie jak w domu, podobnie jak spora grupa jego towarzyszy, za zgodą i wiedzą amerykańskiego wywiadu strzegąca bezpieczeństwa państwa egipskiego, między innymi przed zapędami światowego komunizmu. Od pewnego jednak czasu niemieccy specjaliści zaczęli tworzyć podwaliny pod egipski przemysł raketowy o zasięgu obejmującym Izrael, co bardzo niepokoiło Mosad i jego politycznych zwierzchników. Otto Skorzeny zaś, legendarny komandos Trzeciej Rzeszy, był guru tej nazistowskiej społeczności w kraju piramid.

Dolores doskonale wiedziała, kto przed nią stoi, bo zanim wysłano ją do Kairu z misją skompromitowania go na wszelkie możliwe sposoby, obejrzała setki zdjęć i filmów, na których został uwieczniony. Operacja nawiązania kontaktu z Ramzesem była bowiem jedynie znaczącym etapem tej głównej misji. Dogłębne ponowne sprawdzenie żydowskiego lekarza ze Szwajcarii, który dał naprowadzenie na Ramzesa, wykazało, że tamten był wprawdzie w obozie koncentracyjnym, ale szybko z niego wyszedł, zakapowawszy innych Żydów, i najprawdopodobniej trafił pod skrzydła Skorzenego, który ulokował go w Szwajcarii jeszcze w czasie wojny i hojnie wynagradzając, wykorzystywał do zbierania informacji niezbędnych do realizacji operacji dywersyjnych w Europie. Wszystko wskazywało na to, że doktor przypuszczalnie kontynuował tę współpracę także po wojnie, gdyż był już tak skompromitowany, że nie miał innego wyjścia, a Obersturmbannführer ciągle płacił... Ludzie Mosadu nie mieli wprawdzie twardych dowodów zdradzieckiej działalności doktora – bo gdyby mieli, to już by nie żył – ale posiadany materiał poszlakowy był mocny.

Stało się ewidentne, że Otto Skorzeny postanowił ściągnąć do Egiptu oficera wywiadu izraelskiego, ująć go i obnosić się ze swoim sukcesem wobec egipskich gospodarzy. Bo ujęcie oficera Mosadu na gorącym uczynku w sercu Kairu stanowiłoby wyczyn, jakiego żaden

Egipcjanin – ba, żaden Arab! – nie mógłby zlekceważyć. Wabikiem doskonałym miał być brygadier Faruk Kemal. Gdy na przełomie marca i kwietnia wszystko stało się jasne, Cewi i Dolores postanowili wejść w akcję Skorzenego, a jego potencjalny sukces obrócić w możliwie dużą porażkę.

W Egipcie szło nowe. Wielkiego brata amerykańskiego zaczynał zastępować wielki brat rosyjski, któremu esesmani Skorzenego i on sam nie byli do niczego potrzebni, gdyż, po pierwsze, im nie ufał, a po drugie, miał własnych.

Dolores w pełni sobie uświadamiała, że piłka jest jeszcze w grze, ale to ona strzeliła pierwszego gola w tym meczu. Bardzo jej w tym pomógł brak profesjonalizmu i opanowania brygadiera Fawziego, ale też na to liczyła. Zaczęła się wczuwać w postać Rosalindy Gutiérrez, kobiety interesu z Argentyny, gdyż to było w tej chwili najważniejsze.

Do pokoju weszło jeszcze dwóch rostrych mężczyzn w połowych mundurach. Jeden z nich zaczął referować coś Skorzenemu na ucho. Musiała to być intrygująca wiadomość, gdyż SS-Obersturmbannführer zaczął intensywnie drapać się po czole, choć wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę. Gdy skończyli, Skorzeny wziął jedno z krzeseł, postawił je przed Dolores oparciem do przodu i usiadł, rozchylając szeroko kolana. Z uśmiechem popatrzył jej prosto w oczy.

– Witam w Kairze, złotko, w siedzibie Leibstandarte Adolf Hitler – zaczął mówić po angielsku z nutą triumfu w głosie. – Jesteś oficerem izraelskiego wywiadu, szpiegiem złapanym na gorącym uczynku przejmowania tajemnic państwa egipskiego. Grozi ci kara śmierci. Choć jako kobiecie może ci się upiec. Ale musisz sobie na to zasłużyć. A teraz mów: nazwisko, stopień, przydział organizacyjny i te wszystkie rzeczy, które mnie interesują. Wiesz dobrze, o co mi chodzi...

– Ja zdecydowanie protestuję! To jakiś zły sen... Nazywam się Rosalinda Gutiérrez, jestem Argentyнкą i działam w branży perfumeryjnej. Nigdy nie byłam w żadnym Izraelu ani się tam nie wybieram! – zaczęła prawie krzyczeć Rosalinda Gutiérrez. – Proszę mnie natychmiast rozkuć i puścić...

Celnie wymierzone uderzenie otwartą dłonią w twarz

przerwało jej protesty.

– Zaczniemy jeszcze raz, moja droga – cierpliwie powiedział Niemiec. – Może mój angielski szwankuje. Powtórzę więc to, co istotne, po hiszpańsku.

I tak właśnie zrobił.

– Szanowny panie! Protestuję przeciwko takiemu traktowaniu! Spójrzmy na fakty. Bez emocji, biznesowo – odparła z godnością, również po hiszpańsku, pani Gutiérrez. – Na basenie Gezira Club rzuca się na mnie brygadier Faruk Kemal, ksywa „Fawzi”, którego poznałam parę dni temu przez swoją przyjaciółkę Amirę, żonę ministra spraw zagranicznych Egiptu. Wrzeszczy: „To ona!”, obłapia mnie i próbuje za wszelką cenę wcisnąć mi jakiś przedmiot. Dostał więc w ryj, że się tak wyrażę, bo w kraju, skąd pochodzę, kobiety tak reagują na chamstwo. Potem doskakuje do mnie banda facetów w garniturach, uprowadza siłą i przywozi tutaj z zawiązanymi oczami. I jeszcze wychodząc z basenu, bije ambasadora Stanów Zjednoczonych. A teraz pan mi wmawia, że jestem oficerem jakiegoś wywiadu...

Otto Skorzeny wstał i na nowo rozpoczął konsultacje z jednym z mężczyzn w polowych mundurach. Potem powrócił na swoje miejsce naprzeciwko pani Gutiérrez i ponownie przechodząc na angielski, zaczął cedzić przez zęby:

– Posłuchaj mnie uważnie, żydowska kurwo! Ja dokładnie wiem, jaki wywiad cię tu przysłał. Słyszałaś, że w czasie wojny każdy esesman miał swojego Żyda? Więc pewien Żyd ze Szwajcarii to mój Żyd i wpierdoliłaś się w pułapkę, z której już nie wyjdiesz. Dlatego jestem z tobą taki do bólu szczerzy. Poza tym chcę zaoszczędzić sobie czasu, a tobie dużego dyskomfortu. Zaczniij więc gadać, bo porozmawiamy w piwnicy na dole... a moi ludzie uwielbiają rozmawiać tam z kobietami!

Mężczyźni w polowych mundurach zarechotali zgodnie, jakby usłyszeli z ust SS-Obersturmbannführera dobry kawał.

– Panie oficerze, zastosujmy trochę logiki do tego, co pan mówi – rzekła w odpowiedzi Rosalinda Gutiérrez. – Twierdzi pan, że jestem oficerem wywiadu izraelskiego i wpadłam w zastawioną przez pana pułapkę. Wnioskuje, że byłby to dla pana wielki sukces, pod warunkiem że byłaby to prawda. Ale sukces jest sukcesem

dopiero wtedy, gdy zostanie stosownie nagłośniony i uznany za taki zarówno przez opinię publiczną, jak i różnych decydentów, krajowych i zagranicznych. Obcych szpiegów złapanych na gorącym uczynku stawia się przed sądem. Tak przynajmniej opisują to w gazetach. Zatem o sukcesie mógłby pan mówić dopiero wtedy, gdy sąd egipski skazałby mnie za szpiegostwo. A przecież zarówno armia egipska, administracja, jak i sądownictwo to wciąż w dużej mierze stara szkoła brytyjska. Jakie dowody przedstawi pan takiemu sądowi, żądając dla mnie wyroku skazującego? Jakiegoś swojego Żyda ze Szwajcarii jako świadka oskarżenia?

Z ust Skorzenego wyrwał się ryk wściekłości, która powoli w nim narastała, w miarę jak pani Gutiérrez rozwijała swój elokwentny monolog. Podrywając się z krzesła, zdzielił ją pięścią w twarz. Chciał trafić w nos, ale w ostatniej chwili kobieta wykonała lekki unik i otrzymała uderzenie w szczękę. Bolesne, ale najmniej szkodliwe. Mimo to spadła z krzesła jak ścięta, brocząc obficie krwią z rozciętej wargi. Pokój razem z esesmanami wirował jej przed oczyma. Wydawało jej się, że słyszy warkot jakichś olbrzymich silników...

Czołgi? W centrum miasta? – pomyślała. Coś mi się pojebało!

Na teren kompleksu wojskowego, do którego dwie godziny wcześniej przywieziono panią Gutiérrez, wjechała z impetem kolumna pięciu najnowszej generacji czołgów radzieckiej produkcji T-62, a za nimi kilka ciężarówek z egipskimi komandosami i dwa samochody osobowe. Kolumnę zamykało dwóch Egipcjan na motorach. Komandosi rozsypali się po obiekcie, a prowadzony przez nich komendant kompleksu usłużnie wskazywał palcem na budynek, w którym znajdowała się uprowadzona. Co najmniej dwudziestu komandosów pod wodzą kapitana ruszyło w tamtym kierunku, odbezpieczając w biegu AK-47 ze składanymi metalowymi kolbami. Kilku trzymało w rękach granaty.

Z jednego z samochodów osobowych wysiadł wysokiej rangi oficer armii egipskiej, którego natychmiast szczelnie otoczyła grupa komandosów z bronią gotową do strzału. Ruszyli szybkim krokiem w stronę budynku, w którym zniknęła pierwsza grupa. Z drugiego samochodu wysiadła kobieta, której towarzyszył ogromnych rozmiarów człowiek w czarnym garniturze, ostrzyżony do gołej

skóry, z wąsami. Oni także udali się do zabezpieczonego przez egipskich komandosów budynku. Na teren kompleksu wjeżdżały kolejne pojazdy z komandosami, którzy przejmowali nad nim całkowitą kontrolę, a na zewnątrz ustawiały się kolejne czołgi.

Pokój przestał wirować Dolores przed oczyma, za to zaczęło jej dzwonić w lewym uchu, po tej stronie twarzy, gdzie trafiła ją pięść Niemca. Czuli, że zaczyna mocno puchnąć. Krew z twarzy kapiała na jej letnią sukienkę.

Poleżę sobie – pomyślała. Bo jak wstanę, to ten jebany faszysta znowu mi przypierdoli...

Drzwi do gabinetu otworzyły się z impetem i do środka wpadło dwóch ludzi w garniturach. Dolores rozpoznała w nich swoich porywaczy z basenu. Starszy, który nazwał ją suką, szeptał coś na ucho Skorzenemu. Ale nie zdążył dokończyć, bo drzwi do pokoju, kopnięte z potworną siłą żołnierskim butem, wyskoczyły z zawiasów i wleciały do pomieszczenia, a tuż za nimi wdarła się grupa komandosów, krzycząc wniebogłosy: *Hände hoch! Hände hoch!* Dowodzący nimi młody kapitan z wąsem w hiszpańskim stylu nakazał rozbroić Niemców i ustawić ich pod tą ścianą, na której majestatycznie wisiał portret Führera.

Nareszcie, kurwa, odsiecz przybyła – pomyślała Dolores. Więc chyba nie śnię!

Jakby na potwierdzenie tego czyjeś mocarne ręce uniosły ją jak piórko z podłogi i posadziły na krześle. Były to ręce ogromnego, łysego mężczyzny w czarnym garniturze.

– *Sadis', diewoczka* – rzekł przyjaźnie po rosyjsku, po czym potężnym nożem sprężynowym, który pojawił się w jego wielkiej jak patelnia prawej dłoni, uwolnił Dolores od kajdanków, dosłownie rozkręcając zamki. – *Spokojno. Tieper' wsio budiet choroszo. Komandir rukowodit.* – Co powiedziawszy, stanął za krzesłem, na którym przed chwilą posadził kobietę.

Pani Gutiérrez rozejrzała się po pokoju. Naprzeciwko niej stało pod ścianą sześciu Niemców z podniesionymi rękoma, a wśród nich SS-Obersturmbannführer Otto Skorzeny. Pilnowało ich co najmniej dziesięciu egipskich komandosów z odbezpieczonymi i gotowymi do strzału AK-47, z przystojnym kapitanem na czele. Kilka metrów od nich stała kobieta, chyba Europejka, w jasnej garsonce i z czarną,

pokaźnych rozmiarów torbą w prawym ręku. Musiała być jakieś dziesięć lat starsza od Dolores. Ładna w sumie twarz miała w sobie trudny do uchwycenia wyraz. Hardość! – to było właściwe określenie. Harda, twarda twarz. Ale miała też w sobie uderzające podobieństwo do kogoś, kogo Dolores znała...

Do pokoju wszedł wysokiej rangi oficer armii egipskiej, któremu kapitan natychmiast zameldował przebieg i stan prowadzonej operacji. Pani Gutiérrezz rozpoznała w nim szefa sztabu armii egipskiej, męża jednej z pięknych koleżanek Amiry. Oficer szybkim spojrzeniem ocenił sytuację. Podszedł do pani Gutiérrezz i usiadł przy niej na krześle, na którym niedawno siedział Otto Skorzeny.

– Jak się pani czuje, droga pani Gutiérrezz? – zapytał z autentyczną troską w głosie i rzucił do stojącego obok adiutanta: – Lekarza, natychmiast!

– Nigdy nie czułam się tak dobrze na widok munduru, panie generale – odrzekła Rosalinda Gutiérrezz.

– *Brave girl!* Proszę przyjąć gorące przeprosiny za ten incydent. Lekarz zaraz się panią zajmie.

Szef sztabu wstał z krzesła, które natychmiast zajął lekarz wojskowy elitarnej jednostki egipskich komandosów, i nakazał wyprowadzić z pokoju wszystkich Niemców oprócz Skorzenego, do którego podszedł i zbliżywszy twarz do twarzy legendy Trzeciej Rzeszy, zaczął mówić:

– Nie dość, że jest pan idiotą, Skorzeny, to jeszcze jest pan skończonym idiotą. Nie tylko w przerośni, ale i w rzeczywistości, zwłaszcza egipskiej. Mam prezydencki rozkaz deportowania pana w trybie natychmiastowym. Ja rozumiem, że chciał pan schwytać izraelskiego szpiega, ale posłużenie się w tym celu naszym kochanym Fawzim to był szczyt niefrasobliwości! Chyba że oprócz majączenia brygadiera o perle i znaku rozpoznawczym ma pan jakieś twarde dowody na to, że pani Gutiérrezz jest oficerem izraelskiego wywiadu... W takim wypadku każę ją aresztować. Tu, w tym pokoju!

Ale SS-Obersturmbannführer nic nie odpowiedział.

– Tak myślałem. Wie pan, nawet jeżeli ona jest z izraelskiego wywiadu, to rozegrała was wszystkich jak dzieci. Wolę więc założyć,

że nie jest, bo wtedy głupota Fawziego pozostanie jedynie jego głupotą, a nie kompromitacją nas wszystkich. Natomiast pobicie ambasadora Badeau na basenie przez pana *Schutzstaffel* to już prawdziwy majstersztyk. Co za pomysł, żeby bić ambasadora mocarstwa, które pana do tej pory chroniło! Zwłaszcza że Badeau może poskarżyć się Naserowi w lepszym arabskim niż ten, którym posługuje się większość z nas. Nie mówiąc już o tym, że nasz nowy sojusznik ze Wschodu, dostarczający nam piękne cacka najnowszej generacji, na gąsienicach i z lufami, wydaje się pana nie lubić. W czym utwierdza go ta dama z zaciętą twarzą, która pilnuje jego interesów w naszym kraju, a której pańscy kumple nie traktowali najlepiej w czasie wojny. W sumie siła złego na jednego. Powtórzył pan osiągnięcie swojego Führera – utworzył przeciwko sobie front wschodni i front zachodni. Gratuluję. Uda się pan z kapitanem i jego komandosami. Żegnam!

Szef sztabu podszedł do kobiety w garsonce i zamienił z nią parę słów. Następnie zbliżył się do opatrzonej przez lekarza wojskowego pani Gutiérrez.

– Muszę jechać do pałacu prezydenta i zdać relację. Madame pułkownik zgodziła się zadbać o panią i odwieźć na basen, gdzie wszyscy czekają. Na pewno zobaczymy się jutro. – Z tymi słowami opuścił pokój.

W jego ślady zamierzał także pójść młody kapitan komandosów z resztą swoich podkomendnych pilnujących Skorzenego. Kobieta w garsonce – madame pułkownik, jak ją nazwał szef sztabu – przesunęła się w stronę pani Gutiérrez tak, że znalazła się obok niej na wprost portretu Adolfa Hitlera i po przekątnej w stosunku do SS-Obersturmbannführera, który stał ze dwa metry od wizerunku swojego idola.

– Powoli, kapitanie – rzekła po arabsku do kapitana komandosów. – Mam dwa słowa do tej niemieckiej świni.

Ruchem ręki kapitan wstrzymał swoich podwładnych.

Madame pułkownik, zdejmując żakiet, zwróciła się po niemiecku do Skorzenego.

– Jest tylko jeden powód, dla którego nie zabiję cię tu i teraz, bydlaku. Dałam słowo szefowi sztabu, że będą mogli spokojnie deportować cię do Hiszpanii, do twojego kolegi Franco. Ale jeżeli



spotkam cię gdziekolwiek w Europie, czy nawet w Hiszpanii, to rozwałę ci ten faszystowski łeb na kawałki...

Mówiąc to, błyskawicznie wyjęła z czarnej torby rewolwer kalibru 12,3 mm, wymierzyła go w portret Führera i metodycznie opróżniła bębenek ze wszystkich naboii. Pięć ogromnych pocisków dosłownie rozerwało na strzępy podobiznę Adolfa Hitlera i mocno naruszyło spory kawałek ściany. Otto Skorzeny, weteran wielu akcji specjalnych, nieco pochylał głowę. Kapitan komandosów nawet nie drgnął, podobnie jak żaden z jego podkomendnych. Wąsaty olbrzym uśmiechnął się szeroko, widząc, jak portret Führera rozlatuje się w kawałki. Natomiast panią Gutiérrez bardziej niż strzelanina zainteresował zblakły już nieco numer wytatuowany na nagim przedramieniu madame pułkownik. Ten numer dostrzegł także SS-Obersturmbannführer Otto Skorzeny i zrozumiał, że tylko cudem nie stracił dziś życia.

– Dziękuję za cierpliwość, panie kapitanie, może pan zabrać to ścierwo – rzekła po arabsku madame pułkownik i lekko się skłoniła, chowając broń do torby.

– Tak jest, madame colonel – odpowiedział kapitan, salutując, a swoim żołnierzom wydał krótki rozkaz: – Ewakuować się, biegiem.

W ciągu kilku sekund zostali w pokoju tylko pani Gutiérrez, madame pułkownik i jej potężny towarzysz.

– Jak się pani czuje, madame Gutiérrez? – zapytała kobieta po angielsku, sięgając do czarnej torby. Wyjęła cygaretkę, a olbrzym podał jej ogień.

– Już dobrze. Zanim przyjechaliście, ten bydlak zdążył dwa razy mi przyłożyć.

– Szef sztabu uparł się na czołgi, a one wolno jeżdżą po mieście. Inaczej Szwab przywaliłby pani tylko raz...

Spojrzały na siebie i wybuchnęły śmiechem.

– I tak dziękuję za odsiecz, madame colonel – rzekła pani Gutiérrez. – Przepraszam, muszę zapytać. Czego właściwie jest pani pułkownikiem?

– KGB – odparła madame colonel, wypuszczając dym z cygaretki i wciąż się uśmiechając. – A ściślej mówiąc, jestem pułkownikiem wywiadu Związku Radzieckiego i jego rezydentem w

Egipcie.

Dolores zaniemówiła na sekundę lub dwie, bo tyle czasu potrzebowała, żeby pozbierać myśli. Nie spodziewała się, że w trakcie operacji w Kairze otrzyma tak nieoczekiwane wsparcie.

Pułkownik wywiadu KGB, była więźniarka niemieckiego obozu koncentracyjnego... A to ci dopiero! Rezydent w Kairze! I to uderzające podobieństwo do...

Dolores otrząsnęła się z natłoku skojarzeń. Wiedziała, że musi jak najszybciej wcielić się w postać pani Gutiérrez, cudem uratowanej z rąk nazistów.

– To wprost niewiarygodne! – powiedziała, stosownie zaskoczona. – Zostałam uratowana przez wywiad rosyjski! Nikt mi nie uwierzy! Jak pani się nazywa, komu zawdzięczam życie?

Madame pułkownik patrzyła na stojącą przed nią oficer wywiadu izraelskiego i lekko się uśmiechała. Nie odpowiedziała na jej pytanie.

– Nie tu po nas – rzekła tylko. – Podwożę panią do Gezira Club, bo tam zgromadziła się część towarzystwa i pewnie nie może się już pani doczekać spotkania. Chodźmy!

Cała trójka udała się do samochodu osobowego, który czekał przed budynkiem. Kobiety zajęły miejsca z tyłu, a wielki podwładny madame pułkownik usadowił się obok kierowcy. Ruszyli w stronę wyspy Zamalek.

Pani Gutiérrez chętnie zadałaby madame pułkownik całą masę pytań, ale wiedziała, że najprawdopodobniej nie uzyska na nie żadnej odpowiedzi. Milczała zatem, podobnie jak tamta. Ale w końcu postanowiła spróbować, gdyż właśnie dojeżdżali do kompleksu basenowego. Dochodziła siedemnasta.

– Raczej nie mogę liczyć na babskie pogaduszki – zaczęła pani Gutiérrez – ale nie daje mi spokoju ten numer na pani przedramieniu. Widziałam takie w Argentynie u znajomych z gminy żydowskiej... Ale pani chyba nie jest Żydówką...? W którym obozie panią więziono?

Na polecenie madame pułkownik samochód zatrzymał się nieopodal wejścia na basen. Pułkownik wysiadła i gestem ręki zaprosiła panią Gutiérrez, by zrobiła to samo.

Nie odpowie mi nawet na te pytania – pomyślała Dolores.

Ale się pomyliła. Madame pułkownik stanęła nagle na wprost swojej rozmówczyni i patrząc jej głęboko w oczy, powiedziała najczystszą polszczyzną:

– Zapytaj swojego szefa i pozdrów go ode mnie. Gratuluję wam tej operacji. Ładnie rozegrałeś tych hitlerowskich skurwysynów i cieszę się, że przy tym byłam. Może kiedyś to powtórzymy, koleżanko Dolores?

Zaskoczenie, zdumienie, niedowierzanie – wszystko to odmalowało się w tej chwili na twarzy oficer wywiadu izraelskiego, która po prostu stała, nie mogąc wykrztusić z siebie żadnego dźwięku.

– Mam na imię Jana. Pozdrów go – rzekła madame pułkownik, ujmując jej prawą dłoń i mocno ją ściskając.

Nagle odwróciła się na pięcie i zniknęła we wnętrzu pojazdu, który odjechał, zanim Dolores zdążyła ochłonąć.

Co to, kurwa, było? – zapytała samą siebie, dalej stojąc jak wryta. I nagle zdała sobie sprawę, że wie, do kogo madame pułkownik jest tak uderzająco podobna... Do Jana Ratza!

– Rosalindo! – wyrwał ją z odrętwienia głos Thomasa Archera. – Nareszcie jesteś! Cieszę się, że cię widzę w jednym kawałku. No, prawie w jednym...

– Thomas, kochanie! – ucieszyła się pani Gutiérrez na widok szefa Mena House. – Jak miło cię widzieć!

– Szef sztabu przysłał wiadomość, że madame colonel cię odwiedzie... – zaczął mówić Thomas Archer.

– To niesamowita kobieta! – weszła mu w słowo pani Gutiérrez. – W pewnej chwili byłam przekonana, że po prostu zastrzeli Skorzenego!

I opowiedziała pokrótce, co zaszło w wielkim pokoju obiektu wojskowego na obrzeżach Miasta Umarłych.

– Tak. Madame colonel to ciekawa postać. Żeby wyrwać cię z łap tych drani, zmobilizowała Egipcjan do jak najszybszego działania. Nie chcę nawet myśleć, co mogłoby się stać, gdyby na jej miejscu był jakiś kretyn biurokrata – powiedział jak zwykle rzeczowo Thomas Archer. – Natomiast ambasador Badeau

praktycznie wymógł na prezydencie Naserze decyzję polityczną, aby wyrzucić z Egiptu tych pogrobowców Adolfa Hitlera. To wielkie osiągnięcie, madame Gutiérrez! Gratuluję tobie i nam wszystkim...

Przez ulotną chwilę Dolores wydało się, że dyrektor Mena House może nie być wyłącznie tym, kim jest oficjalnie, ale teraz nie czuła ani potrzeby, ani ochoty roztrząsania tej kwestii. Weszli na pustą o tej porze basen i ruszyli w stronę gabinetu Raisa Saïda. W środku zastali ambasadora Badeau i gospodarza. Na widok pięknej Argentynki mężczyźni natychmiast powstali z foteli.

– Madame Gutiérrez! Witam panią wśród żywych – zaczął jowialnie ambasador Badeau i patrząc na jej opuchniętą twarz z opatrunkiem, dodał: – Co ci naziści pani zrobili? Ależ bydlaki!

– To drobnostka, panie ambasadorze. – Pani Gutiérrez uściskała się serdecznie z Amerykaninem. – Bardzo dziękuję za wsparcie w tej sprawie. Pan Archer mówił mi, że rozmawiał pan z samym prezydentem Naserem...

– Drobnostka, droga pani – odparł ambasador. – W końcu ja też zostałem poszkodowany, a tym samym sponiewierano godność mojego państwa. Ale najistotniejsze jest to, że cały ten incydent zadziałał jak katalizator i przyczynił się do skutecznego, mam nadzieję, pozbycia się Skorzenego i jego bandy z Egiptu. Teraz u prezydenta jest mój rosyjski odpowiednik, który, jestem pewien, doprowadzi tę sprawę do sprawiedliwego końca, bo nie cierpi nazistów.

– Ale o co chodziło w tym wszystkim brygadierowi Farukowi Kemalowi...? – zapytała w uroczo naiwny sposób pani Gutiérrez.

– No cóż! – włączył się do rozmowy Rais Saïd. – Fawzi to żyjący od zawsze ponad stan bankrut. Każdemu z nas, tak jak tu stoimy, winien jest mniejsze lub większe pieniądze. Zgodnie oceniamy, że chciał naciągnąć Skorzenego, sprzedając mu misterny plan namierzenia i wydania w jego łapy izraelskiego szpiega. Padło na panią, gdyż wydała mu się pani łatwym celem – sama, przejazdem, bez przyjaciół, z państwa, które nie jest mocarstwem. Trudno jest udowodnić, że nie jest się szpiegiem. Zwłaszcza że brygadier chciał za wszelką cenę podrzucić pani to małe cacko, które wyłowiliśmy z basenu.

Podszedł do biurka i z jednej z szuflad wyjął niewielki

metalowy krążek, który wcześniej wypadł z ręki brygadiera i poturlał się do basenu. Zanim pani Gutiérrez zdążyła zapytać, co to takiego, dyrektor Gezira Club pospieszył z własnym komentarzem:

– Zakładamy, że wewnątrz najprawdopodobniej znajduje się autentyczny materiał szpiegowski w zminiaturyzowanej postaci, który brygadier wykradł ze sztabu generalnego. Gdyby udało mu się to pani podrzucić, udowodnienie niewinności byłoby bardzo trudne. Na szczęście okazał się fajtlapą, którego pani znokautowała. Na różne sposoby...

– Co z nim będzie? – zapytała bez przesadnej troski pani Gutiérrez.

– Z tego, co wiem, to działał bez porozumienia z egipskimi służbami specjalnymi, jedynie ze Skorzenym – odezwał się ambasador Badeau. – To dla Egipcjan bardzo wygodna sytuacja i daje im duże pole manewru. Toteż albo wyrzucą go z wojska, albo wyślą do bardzo małego i bardzo gorącego garnizonu gdzieś na południu kraju.

– Jest zawsze trzecia droga dla oficera, ale to, chwała Bogu, nie nasza sprawa – odezwał się Thomas Archer. – Musi pani być wyczerpana. Jeżeli panowie pozwolą, odwiozę madame Gutiérrez do Mena House.

Rosalinda ciepło pożegnała się z amerykańskim ambasadorem i Raisem Saidem, po czym wraz z Thomasem Archerem udała się piaskowym bentleyem do hotelu.

– Co wiesz o mojej wybawczym, madame colonel? – zapytała podczas jazdy.

– To rzeczywiście tutejszy rezydent wywiadu KGB. Musi być bardzo ceniona w swojej centrali, bo Kair to obecnie dla Rosjan jedna z ważniejszych rezydentur w skali globalnej. Wygląda na to, że wprowadzają się tu na dobre, zastępując Amerykanów, jak ci wspominałem – tłumaczył szef Mena House. – Jak sama zauważyłaś, to nietuzinkowa postać. W czasie wojny siedziała w Konzentrationslager Auschwitz. Musiałaś słyszeć o tym piekle. Obóz wyzwoliła Armia Czerwona. Zakładam więc, że wstąpiła w jej szeregi i z czasem została pułkownikiem.

– To nie Rosjanka, zatem? Bo Żydówką chyba też nie jest? –

analizowała pani Gutiérrez. – Jak się nazywa?

– Jekatierina Iwanowa. – Thomas Archer zaśmiał się i dorzucił:  
– Ale to lewe nazwisko.

Kim jesteś, Jano vel Jekatierino Iwanowa? – zamyśliła się Dolores. Dlaczego tak ci zależało na ocaleniu mojej dupy?

Dojechali do hotelu i każde poszło do swojego pokoju, żeby się odświeżyć. Pani Gutiérrez zrzuciła z siebie brudną, zakrwawioną odzież i zaczęła napszczać gorącej wody do wanny. Tymczasem wykonała dwa telefony. Pierwszy – pod przydzielony jej na czas operacji numer kontaktowy wywiadu izraelskiego w Rzymie, informując ustalonym kodem, że jest bezpieczna i nie dzwoni pod presją. Zawiadomiła też, kiedy należy jej oczekiwać w Wiecznym Mieście. Drugi – pod numer podany jej przez Dominika, przekazując podobną informację. Potem wzięła długą, gorącą i bardzo zasłużoną kąpiel.

Dyrektor Mena House udał się do swojego gabinetu i przygotował telegram opisujący najnowsze przygody pani Rosalindy Gutiérrez. Następnie zaszyfrował go i wysłał pod pewien adres w Londynie, który stanowił jedną ze skrzynek kontaktowych szefa brytyjskich struktur krajowych Ligi Rodów. Thomas Archer był rezydentem struktur w Kairze, a rozkaz, jaki otrzymał w tej sprawie, brzmiał: „Otoczyć Argentynkę opieką”. Nie pytał się, jak ma to robić i dlaczego, a tym bardziej kim jest piękna Argentynka. Po prostu robił to tak, jak go nauczono – skutecznie.

Jeżeli celem działań pani Gutiérrez w Egipcie było wymięcenie esesmanów – pomyślał – to na pewno jej się to udało. Choć trzeba przyznać, że miała dużo szczęścia. Zwłaszcza gdy ci idioci od Skorzenego zadarli z ambasadorem Badeau. Ciekawa jest też szybkość działania madame colonel. No cóż, szef naszych struktur z pewnością wie, co trzeba robić...

6 maja

Po dobrze spędzonej nocy pani Gutiérrez udała się do Gezira Club, aby pożegnać się z Amirą i jej pięknymi przyjaciółkami.

– Fawzi okazał się oszustem i bankrutem, a nie oficerem i dżentelmenem – zwierzyła się Amira. – Mój mąż uważa, że chciał wyłudzić od Niemców pieniądze, wmawiając im, że jesteś izraelskim szpiegiem. Tu, w Kairze, jest w towarzystwie skończony. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego!

– I słusznie, moja droga – pochwaliła wybór ślicznej Egipcjanki pani Gutiérrez. – Od takich indywiduów należy trzymać się z daleka. Jest w końcu masa w miarę prawdziwych mężczyzn na świecie. Czyż nie? – Puściła do Amiry oko i obie się roześmiały.

Wieczorem Thomas Archer odwiózł madame Gutiérrez na lotnisko, skąd miała się udać do Rzymu. Dyrektor załatwił procedurę dla VIP-ów i wnet znaleźli się w saloniku dla tej klasy pasażerów. Archer zamówił dwa kieliszki szampana Veuve Clicquot „La Grande Dame”.

– Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, drogi Thomasie, w czasie tego oszałamiającego pobytu w Kairze – rzekła pani Gutiérrez. – Gdyby nie twoje znajomości i zakulisowe działania, które czułam przez skórę, to kto wie, jak ta egipska przygoda mogłaby się dla mnie skończyć. Herr Skorzeny nie żartował, mówiąc w pewnej chwili, że już stamtąd nie wyjadę...

– Na szczęście się mylił – rzekł ze stoickim spokojem Anglik. – Ale jazda po bandzie, Rosalindo, niekiedy kończy się kraksą.

– Wiem. Pamiętaj jednak, że wielkie ryzyko przynosi wielkie nagrody – odparła z przekonaniem. – Ale nie wracajmy już do tego, co było. Nie żegnam cię, Thomasie. Wiem, że prędzej czy później gdzieś się spotkamy. *Adieu, mon cher ami.*

Mówiąc to, wzniosła kieliszek szampana. Gdy wypili, pocałowali się jak starzy znajomi i Rosalinda Gutiérrez ruszyła w

stronę czekającego na start samolotu.



**8 maja**

Mieszkanie o powierzchni około stu siedemdziesięciu metrów kwadratowych, usytuowane po prawej stronie kompleksu budynków watykańskich na czwartej, ostatniej kondygnacji, było całe otoczone tarasami, z których rozciągał się widok na Watykan i Bazylikę Świętego Piotra. Składało się z czterech dużych pokoi sypialnych, salonu i kuchni. Podłogi sypialni wyłożone były – włoskim zwyczajem – dębową klepką, co zapewniało większe ciepło i przytulność w jesienne i zimowe miesiące, a salon i kuchnia – białym marmurem, co w upalne lata niosło chłód. Do budynku przylegały inne posesje, z którymi taras lokalu konspiracyjnego Mosadu łączył się w dwóch miejscach. Te styki tarasu z przyległymi posesjami były tak przystosowane, że w razie niebezpieczeństwa pozwalały na błyskawiczną ewakuację lokalu przyległymi budynkami do labiryntu ulic na dole, a stamtąd, z góry ustalonymi trasami, do kolejnych bezpiecznych miejsc. Co jakiś czas drożność tej drogi była dyskretnie sprawdzana przez opiekunów lokalu. Żmudne, czasochłonne, a więc także kosztowne czynności gwarantowały prawie pełne bezpieczeństwo.

W nocy Dolores spała jak dziecko, podczas gdy w pokoju obok czuwało dwóch uzbrojonych członków grupy operacyjnej Mosadu. Kobieta i mężczyzna.

Rano w lokalu konspiracyjnym zjawił się Cewi. Stary szpieg długo ścisnął na powitanie swoją podwładną, nic nie mówiąc. Dolores wydawało się, że jest wzruszony.

Ale czy to możliwe? Cewi, ten najtwardszy z twardych? Może ja czegoś nie wiem o twardzielach? – przeszło jej przez myśl.

Dwoje członków grupy operacyjnej tymczasem opuściło lokal i zajęło miejsce w kawiarence kilka metrów od wejścia do budynku, skąd rozpoczęło obserwację uliczki. Reszta grupy rozlokowała się w promieniu dwustu metrów, środki łączności miała w pogotowiu. Broń także.

Dolores i jej przełożony usiedli w porannym słońcu na tarasie z widokiem na Bazylikę Świętego Piotra i popijali poranną kawę.

Tak musi być w raju – zamyślił się Cewi, ale natychmiast przestał marzyć.

– Mów – powiedział.

Dolores zaczęła relacjonować dzień po dniu, godzina po godzinie, a czasem nawet minuta po minucie, to, co przeżyła w Kairze. Ale nie byłyby sobą, gdyby kilku najciekawszych wątków i wynikających z nich pytań nie zostawiła na sam koniec. Doszła bowiem do wniosku, że należy jej się parę wyjaśnień.

– Madame colonel, rezydent wywiadu KGB w Kairze, która uratowała mi dupę, ma na imię Jana, a na ręku wytatuowany numer z Auschwitz. Jekatierina Iwanowa to lewe imię. Na pożegnanie kazała mi pozdrowić szefa, trochę tak, jakby cię znała. Aha, mówiła do mnie „koleżanko Dolores” – wypaliła niemal jednym tchem i odetchnęła głęboko. – Masz ochotę to skomentować?

Cewi spojrzał na nią niedowierzającym wzrokiem.

– Co powiedziałaś? Jak miała na imię? Więźniarka obozu koncentracyjnego? – strzelał pytaniami niczym karabin maszynowy, prawie tracąc panowanie nad sobą. – Rezydent KGB? Ja pierdołę, to wprost nieprawdopodobne!

– Ale cię ruszyło! Mówiłam, że to niesamowita kobieta. Kim jest Jana? – zapytała Dolores, zaskoczona jego reakcją.

Chyba dotknęłam jakiegoś ciągle żywego nerwu – pomyślała.

Cewi milczał.

Czy to możliwe, że madame colonel to moja Jana? Jak mogłem stracić ją z oczu na prawie dwadzieścia lat? Ale ona, jak widać, mnie nie straciła. Ach, życie potrafi płatać figle.

Spojrzał na Dolores tak smutnym wzrokiem, że aż ją zatkało.

Kurwa! – pomyślała. Nie jest dobrze. Człowiek cierpi... Ale musiałam zapytać go o tę Janę!

Cewi wstał, podszedł do swojej torby podróżnej, wyciągnął z niej litrową butelkę bimbru ze śliwek i suszonych rodzynek, ulubionego trunku Dolores, wyjął z kredensu dwie szklanki i wrócił na miejsce. Uśmiechnął się.

– Przywiozłem to dla ciebie – rzekł zupełnie już opanowanym,

ciepłym głosem. – Chyba wypijemy razem, bo prezent, który ty dla mnie przywiozłaś, jest mocniejszy. Opowiem ci o Janie.

Rozlał bimbler do szklanek. Wypili i Cewi zaczął opowiadać. O dziewczynie uratowanej z Auschwitz, wspólnej walce na szlaku bojowym Armii Czerwonej do Berlina, a przede wszystkim o rodzącej się wielkiej miłości i nagłym rozstaniu. Gdy skończył, Dolores nie miała najmniejszej wątpliwości, że madame colonel to Jana – wielka, niespełniona miłość Cewiego.

– Gdy opowiadałaś, z jaką odwagą i zaciętością walczyła na froncie, to jakbym widziała panią pułkownik w akcji. Ta sama hardość. Chyba wyniosła ją z obozu. To musi być ona – rzekła z przekonaniem. – Jak nas namierzyła? Niczym nie była zaskoczona.

Cewi rozsiadł się wygodnie w wiklinowym fotelu i ponownie napełnił szklanki bimbrem. Od dawna Dolores nie widziała go tak zadowolonego. Wręcz... szczęśliwego. Tak, był szczęśliwy!

– To najpierw wypijmy jej zdrowie! I twoje za to, że mi ją przywróciłaś – zaproponował spontanicznie.

A gdy wypili, zaczęli analizować sytuację, tak jak przystało oficerom operacyjnym – na zimno i bez emocji.

– Wiedziała, że udaję się do Palestyny, bo sam jej o tym powiedziałem, kiedy się żegnaliśmy – mówił Cewi. – Wiedziała zatem, gdzie mnie szukać. Miała też moje... nasze zdjęcia z czasów wojny. Wystarczy pokazać agentom i niech szukają w naszym małym kraju. A jak wiemy, wywiad radziecki ma w Izraelu swoje aktywa. W pewnym momencie mnie zlokalizowała i mogła zadaniować ich źródła, aby śledziły moją karierę. Zwłaszcza jeśli jej obowiązki obejmowały rejon Bliskiego Wschodu, a musiało tak być, skoro, jak powiedziałaś, mówiła po arabsku i została szefem ich rezydentury w Kairze, najważniejszej w świecie arabskim. Jeżeli madame colonel przyglądała się mnie, to musiała wyjść również na ciebie jako moją podwładną i bliskiego współpracownika. Może nawet ich ludzie uzyskali twoje zdjęcie...

– To, co mówisz, jest, rzecz jasna, logiczne i bardzo prawdopodobne – przyznała Dolores. – Ale jak madame colonel weszła w naszą operację, do kurwy nędzy?! Bo odniosłam nieodparte wrażenie, że całość akcji była jej znana. Zwłaszcza gdy nam pogratulowała, ciesząc się skromnie, że mogła podać usłużną rączkę.

– To proste – odpowiedział bez namysłu Cewi. – Spenetrowała agencjonalnie operację Skorzenego i wiedziała, że zastawia on pułapkę na wywiad izraelski. Myślisz, że wywiad radziecki nie ma swoich esesmanów na całym świecie? W końcu to Rosjanie wypuszczają ich ze swoich łagrów tysiącami. Pewnie nawet wiedziała, że Ramzes odgrywa rolę podwójnego agenta, znała datę i miejsce nawiązania kontaktu. Dlatego radziecki ambasador był na basenie i murem stanął po stronie swojego pobitego amerykańskiego kolegi. Takie dostał wytyczne od madame colonel. A ona zadziałała jak błyskawica, bo była dobrze przygotowana na każdą ewentualność. Przecież wiesz, że najbardziej genialna improwizacja to ta, w którą włoży się najwięcej pracy i potu.

– A może zrobiła to dlatego, że byliście niegdyś kochankami i, mówiąc kolokwialnie, bzykałeś ją, mój drogi – analizowała dalej Dolores. – Dlaczego nam pomogła? Jaki miała w tym cel?

– Taki otrzymała rozkaz od swojej centrali. To oczywiste. Inaczej nie mogłaby przeprowadzić operacji na taką skalę – odpowiedział Cewi z uśmiechem. – Rosjanie wchodzą do Egiptu na poważnie. Zastępują Amerykanów, którzy popełniają tam błąd za błędem i sami się podkładają. Postanowili więc wyrzucić także amerykańskich esesmanów, bo za takich uważają Skorzenego i jego grupę. Powiem więcej: Rosjanie nałożyli swoją operację na naszą i dlatego wyszedł nam taki majstersztyk. Nie nie ujmując twojemu geniuszowi operacyjnemu i odwadze osobistej.

– Ale jeżeli jest tak, jak mówisz, to madame colonel mogła pozwolić Skorzenemu mnie zabić – nagle olśniło Dolores. – Wtedy miałyby absolutną pewność, że burza, którą wywołałoby takie morderstwo, musiałaby go zmieść z powierzchni ziemi na sto procent. A nawet na dwieście.

– Mogła mu pozwolić, ale tego nie zrobiła, bo jest Janą, byłym więźniem Konzentrationslager Auschwitz. Siedziała tam parę lat i nienawidzi esesmanów za to, jak mordowali ludzi. Wierz mi, nigdy nie dopuściłaby do sytuacji, w której esesman zabiłby w jej obecności kogokolwiek, chyba że drugiego esesmana. Jasne, wiedziała, kim jesteś i że pracujemy razem, ale myślę, że był to dodatkowy motyw, aby za wszelką cenę ocalić ci tyłek. Realizowała tę operację z pasją, bo odgrywała się za lata strachu, ponieważ i

upokorzenia w tym pieprzonym obozie – podsumował Cewi.

– No to wszystko jasne – rzekła Dolores. – Cieszę się, że poznałam madame colonel. Zawsze chciałabym mieć takich sojuszników jak ona.

– Jana to Jana, a KGB to KGB – odpowiedział rzeczowo. – Radzę nie mylić jednego z drugim.

– Ale warto byłoby mieć z nią kontakt. Nie mów, że nie chciałbyś dać jej buziaka. To nadal całkiem fajna laska...

– Nie musisz mnie zachęcać, Dolores, skoro drogi Jany i moja znowu się przecięły w tak nieoczekiwany sposób. Gdybym był wierzący, pomyślałbym, że to znak od Boga. – Cewi przerwał i zaczerpnął powietrza. – Ale pozwól, że zabiorę się za to na swój sposób.

– Tak na dobrą sprawę to nie jestem spalona w Egipcie jako pani Gutiérrez, wręcz odwrotnie – rzuciła nagle Dolores. – Mogę tam w każdej chwili wrócić i zająć się butikiem i madame colonel.

Cewi nic nie odpowiedział, ale też nie odrzucił tej sugestii. Sytuacja była co najmniej nietypowa.

Moja Jana rezydentem wywiadu KGB w Kairze, a ja jednym z wiceszefów Mosadu – pomyślał. Piękna para!

Wiedział, że powinien o tej sytuacji poinformować szefa. Ale nie był pewny, czy chce to zrobić.

Mam nadzieję, że nie każą mi jej zawerbować – zaśmiał się w duchu.

Znał procedury i rozumiał, że w takich przypadkach każdy wywiad pierwszej klasy postępuje bardzo ostrożnie i roztropnie. Na ogół. A jego wywiad był wywiadem pierwszej klasy.

– Muszę biec i nadać szyfrogram do centrali – oznajmił, przerywając milczenie. – A ty masz chyba spotkanie z Dominikiem. Podziękuj mu za błyskawiczne informacje, które nam przekazywał, gdy nie dzwoniłaś i gdy zadzwoniłaś, że jesteś bezpieczna.

– Nie omieszka, szefie.

Cewi wyszedł i za chwilę powróciło do mieszkania dwoje członków grupy operacyjnej. Dolores poinformowała ich, że idzie na spotkanie i kiedy wróci.

Z Dominikiem była umówiona w tym samym miejscu co

poprzednio – w Bazylice Świętego Piotra, a więc niedaleko. Gdy weszła do monumentalnej budowli, Dominik już siedział w jednej z tylnych ławek.

Wysłuchawszy kairskiej relacji Dolores oraz opowieści o Cewim i Janie, pokręcił głową.

– Niesamowita historia, ale typowa dla tej wojny – ocenił, myśląc o swoim bracie, pułkowniku wywiadu polskiego w Warszawie. Poprzedniego dnia dostał od niego frapującą informację, którą musiał podzielić się z Dolores. – Ale ja też mam dla ciebie coś ciekawego. Dwudziestego pierwszego kwietnia ktoś odstrzelił w Sajgonie Ricka Sanmartina.

– Same niespodzianki – skomentowała nieco zaskoczona Dolores. – Rozumiem, że to nie twoja robota, bo inaczej sam byś się pochwalił. Ani nie Malcolma i jego ojca, boby– śmy o tym wiedzieli. Czyja więc? Przypadek?

– Nie wiem, szczerze mówiąc – przyznał Dominik. – Ale przypadek bym wykluczył, bo to była typowa egzekucja w stylu sajgońskim. Z moich informacji wynika, że Sanmartino kręcił się tam od paru tygodni, montując kanał przerzutowy heroiny. Przypuszczalnie w miejsce tego z Ameryki Południowej, który im zamknęliśmy. To dosyć niebezpieczne zajęcie w tamtym mieście, zwłaszcza że po rozmowach lorda Greya z braćmi Kennedy był chyba na wylocie z CIA.

– Nie przeczę, że niebezpieczne. Ale raczej nie na etapie montowania, bo wtedy każdy pali się do uruchomienia kanału i zarabiania kasy. Dopiero później, gdy zyski pęcznią, chciwość współników bierze górę nad rozsądkiem i zaczyna się śmiertelna walka o pieniądze. To, że mogli go już wyrzucić z CIA, niewiele zmienia. Sądzę, że Martin Van Vert był nadal jego protektorem i pewnie razem kombinowali. W mojej ocenie musimy przyjąć osobny wariant, że ktoś inny zapolewał na Ricka Sanmartina.

– Tak. Ktoś kazał go odstrzelić. Czyżbyśmy mieli ukrytego sojusznika? – zadumał się Dominik. – Tak czy siak powinniśmy wiedzieć, kto za tym stoi i dlaczego. Także dla własnego bezpieczeństwa.

– Nie znam twoich możliwości w Sajgonie i nie chcę znać, ale niewątpliwie tam należy poszperać – oceniła Dolores. – Z tego, co

wiem, ludzie CIA nie giną w Sajgonie codziennie. Takie zabójstwo to wydarzenie. Musi się toczyć kilka śledztw naraz: CIA, wojska amerykańskiego, policji południowowietnamskiej czy nawet ich armii. Partnerzy Sanmartina od narkotyków pewnie też badają sprawę. A jak toczą się śledztwa, to w powietrzu latają informacje. Zawsze któraś jest prawdziwa, a przynajmniej może wskazać właściwy trop.

– Masz rację. Jeżeli gdzieś zaczynać poszukiwania naszego potencjalnego sojusznika, który rąbnął Sanmartina, to właśnie w Sajgonie – zgodził się Dominik. – Zajmę się tym, ale trochę to potrwa. Chodźmy na jakieś spaghetti i chianti.

We dwoje opuścili bazylikę i ruszyli bez pośpiechu w stronę Piazza Navona.

– Jak się mają Andy i Max? – zapytała Dolores. – Kiedyś będę musiała się wybrać w odwiedzin do siostrzeńca.

– Chłopcy są w szkole w Szwajcarii pod czujnym okiem Gerarda i jego synów. Z Maxem nie ma kłopotów, bo to typ intelektualisty. Uwielbia zdobywać wiedzę, czytać. Ma raczej łagodne usposobienie, jak Inez – opowiadał Dominik. – Natomiast Andy to zupełnie inna historia. Inteligentny jak Ratz, ale jeszcze gorszy zawiadyka od niego. Nie przepuści żadnej okazji do bijatyki. Kiedyś Gerard obiecał mu, że nauczy go walczyć, i Andy nie odpuszcza, wciąż mu o tym przypomina. A wiesz, co Gerard potrafi...

– Wiem. Musimy pomyśleć o przyszłości chłopców, bo ani się obejrzymy, a staną się mężczyznami. W razie czego mogę ich przygarnąć w Izraelu. Potrzebujemy takich młodych i zdolnych ludzi. Nikt nie będzie zaglądał im w papiery. Oprócz mnie. Zresztą twój syn Max jest Żydem po matce.

– Zawsze to jakiś pomysł, ale najpierw trzeba ich odpowiednio wykształcić – odparł Dominik. – Potem zobaczymy, do czego się nadają. Max na pewno byłby genialnym analitykiem. Chyba macie tam takich?

– Oczywiście, że mamy! – obruszyła się Dolores. – Myślałeś, że tylko biegamy z kłamkami po świecie i zabijamy ludzi?

– A robicie coś jeszcze? – zapytał przekornie.

Postanowiła się na nim odegrać.

– Jak interesy, panie przemytniku? – zagadnęła. – Świat normalnie, granice już nie takie dziurawe?

– Nie zauważyłem, moja droga – odparł protekcjonalnie. – Czasami porządek i stabilizacja na granicy są bardzo pożądane. Wiadomo, komu dać łapówkę, i wiadomo, że jak dasz, to sprawa będzie załatwiona. Czyste, przejrzyste układy biznesowe. Ale ponieważ świat się zmienia, więc ja też. Dużo kasy inwestuję w legalne interesy, przede wszystkim w nieruchomości. To takie stateczne i bezpieczne. Choć przemysł nadal zapewnia najlepszą płynność finansową. Weź na przykład naszych przyjaciół z CIA czy innych wywiadów. Robią w narkotykach, bo stopa zysku to tysiąc procent lub więcej. Kto się temu oprze?

Doszli do Piazza Navona, a potem wstąpili do Palazzo Doria, by rzucić okiem na portret papieża Innocentego X namalowany przez Velázquez. Zaspokoiwszy potrzeby duchowe, ruszyli na poszukiwanie restauracji, co potrwało dosłownie chwilę. Na stół natychmiast wjechała butelka chianti Ruffino. Zamówili tagliatelle all'amatriciana jako danie główne, a na przystawkę dużą porcję carpaccio z połędwicy wołowej.

– Twoje zdrowie, kochana Dolores. – Dominik wznosił kieliszek z czerwonym winem. – Gdy nie zadzwoniłaś z Kairu w niedzielę o wyznaczonej porze, zacząłem się martwić. Nie chciałem stracić również ciebie. Piję więc za twój awans do kierownictwa Mosadu. Wtedy nie puszczą cię na takie harce!

– Dziękuję, Dominiku. To dobrze mieć kogoś, kto się martwi – odpowiedziała.

Kelner przyniósł ogromny talerz carpaccio i wzięli się do jedzenia. Opróżnienie talerza nie zajęło im wiele czasu, gdyż po symbolicznym włoskim śniadaniu, jakie każde z nich spożyło rankiem, ich żołądki wołały o swoje. Bez nadmiernej mitręgi kelner podał dymiące talerze z tagliatelle i kolejną butelkę chianti Ruffino.

– Jak oni to robią, że tylko we Włoszech makaron smakuje tak dobrze? – odezwała się Dolores, kończąc swoją porcję. Jej uznanie było szczere, jako że wszelkie zajęcia kuchenne, z gotowaniem włącznie, były jej całkowicie obce.



– Ręcznie robiony makaron z odpowiedniej mąki – odpowiedział Dominik. – I kilkaset lat praktyki...

Kelner migiem uprzątnął puste talerze.

– Jasne – przytaknęła Dolores i poruszyła temat, który nie dawał jej spokoju: – Wiesz, nie mówiłam o tym Cewiemu, ponieważ to go specjalnie nie dotyczy, ale było coś w madame colonel, co mnie w pewnym momencie замуrowało...

– Ciekaw jestem. – Dominik podniósł kieliszek i zaczął powoli popijać wyborne chianti. – Inteligencja, uroda?

– Uderzające podobieństwo do Jana Racza. – Uważnie popatrzyła na swojego rozmówcę.

Kieliszek znieruchomiał w jego ręku. Dominik odstawił go na stół, nie odrywając wzroku od Dolores. Przelknął ślinę.

– Jak bardzo uderzające? – zapytał. Wyglądał, jakby od odpowiedzi, którą miał za chwilę usłyszeć, zależało rozwiązanie jakiejś tajemnicy.

– Momentami wyglądała jak jego starsza siostra. – Zamilkła, by po kilku sekundach dodać: – Czy Racz miał siostrę?

– Tak. Miał siostrę przyrodną, która zaginęła, gdy Niemcy ruszyli na Wschód i zagarnęli od Rosjan nasze polskie kresy – odparł Dominik. – Nigdy jej nie widziałem. Racz wspominał o niej ze dwa razy. Wiesz, że nie był wylewny.

– Powiedziałeś „zaginięła”, nie „zginęła”. Skąd taka pewność?

– Była w ruskiej partyzantce. Jej oddział rozbili Niemcy. Wieśniaków i ocalałych partyzantów zapędzono do grzebania zabitych, ale jej ciała nigdy nie znaleziono. Któryś z ocalałych partyzantów uciekł dosłownie sprzed niemieckiego plutonu egzekucyjnego i taka informacja dotarła do Racza. Dziewczynę uznano za zaginioną – wyjaśniał Dominik, starając się przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów sprawy, o której sądził, że jest już na zawsze pogrzebana.

Zapadło milczenie. Oboje zatopili się na chwilę we własnych myślach. Wreszcie pierwsza odezwała się Dolores.

– Madame colonel może zatem być siostrą naszego przyjaciela Jana Racza – rzekła i dodała już bardziej w swoim stylu: – Ja pierdole, ale byłby numer! Chyba zaczęłabym wierzyć w opatrność

boską!

– Teoretycznie jest to możliwe, choć uderzające podobieństwa trafiają się także pomiędzy zupełnie obcymi ludźmi – stwierdził Dominik. – Ale podejźmy do tego na chłodno. Ratz uznał siostrę za zabiłą, bo w czasie wojny człowiek zaginiony to na ogół tyle co martwy, i nigdy jej nie szukał. Natomiast madame colonel nie miała żadnych podstaw, by sądzić, że jej brat nie żyje. Może go szukała i trafiła w Polsce na jakiś ślad, który się urwał, bo przecież wysłałem Jana z Malcolmem do Anglii. Ale w Londynie Ratz stał się z czasem sławny, prawdziwy celebryta! Może na przykład dostała cynk, że w londyńskiej *society* jest Polak łudząco do niej podobny. I sprawdziła...

– Zmierzasz do tego, że madame colonel i Ratz byli przez cały ten czas w kontakcie, a my nic o tym nie wiedzieliśmy? – zapytała się z niedowierzaniem Dolores. – Zaraz powiesz, że Ratz był agentem KGB!

– Na razie ty to powiedziałaś. Nie rozpędzaj się. Ja tylko mówię, że Jana, mając do dyspozycji możliwości KGB, mogła go odnaleźć w Londynie. Do zawerbowania go jako agenta KGB to jeszcze bardzo daleka droga. Ja na jej miejscu dwa razy bym się zastanowił, zanimbym ujawnił szefom KGB, że mój brat bryluje w najlepszym londyńskim towarzystwie.

– Dlaczego? Chcieliby go zawerbować? – zapytała Dolores, jakby nie rozumiejąc, o co Dominikowi chodzi. – Myślisz, że dla madame colonel byłby to jakiś problem?

Dominik zachnął się.

– Gdy Cewi zamelduje szefowi Mosadu, że jego wielka miłość Jana to madame colonel, rezydent wywiadu KGB w Kairze, i zostanie rozkaz zawerbowania jej, to co, oszaleje z radości? A ty namawiałaś Inez do współpracy?

– Możemy tak sobie gdybać do usranej śmierci, kim jest pułkownik Jana i jakie były jej związki z Ratzem – podsumowała Dolores. – Rosalinda Gutiérrez musi po prostu ponownie odwiedzić Kair i odbyć z madame colonel szczerą, męską rozmowę. Nie widzę innej możliwości, aby posunąć sprawę, a musimy rozwiązać tę zagadkę.

Dominik wydawał się nie słyszeć tego, co mówi przyjaciółka, choć podświadomie rejestrował każde jej słowo. Ocknął się nagle z głębokiej zadumy i zaczął dedukować.

– Jeżeli pułkownik Jana znalazła swojego brata w Londynie, to musiała także namierzyć Inez. Nie mogła wiedzieć, że jesteś jej siostrą, bo było to nie do wytropienia, dopóki nie ustaliła cię jako podwładnej Cewiego i...

– ...i nie porównała naszych aktualnych fotografii, bo przecież jej ludzie musieli obfotografować Inez i mnie! – weszła mu w słowo Dolores. – W Kairze już zatem wiedziała, że jestem siostrą Inez. A Inez mieszkała w Londynie z jej bratem, więc Jana mogła zakładać, że są, *pardon*, parą! Dlatego tak jej zależało na ochronie mojego tyłka. Sądziła, że broni siostry kobiety swojego brata!

– Dokładnie, pani oficer, słusznie rozumiesz – pochwalił Dominik. – Ale to nie wszystko. Nie wiem, kiedy madame colonel wpadła na trop Ratza w Londynie, ale od czterdziestego piątego roku miała na to dość czasu...

– Do czego zmierzasz? – ponownie weszła mu w słowo, nie bacząc na jego ledwo niezauważalną irytację.

– Zmierzam do tego, że gdy w Nowym Jorku zabito Inez i Ratza, Jana już wiedziała, że Jan Ratz to jej brat. A zatem – Amerykanie zabili jej brata i jego kobietę! Bo przecież wszyscy mieli myśleć, że Inez to kobieta Jana! – rzekł dobitnie Dominik. – Skoro my mogliśmy ustalić, kto ich zabił, to równie dobrze mogła to zrobić pułkownik Jana, mając do dyspozycji aparat KGB. Stawiam więc tezę, że to ona kazała odstrzelić w Sajgonie Ricka Sanmartina!

O kurwa, dobre! – niemal wykrzyknęła Dolores.

– To oznacza, że musiała się także dowiedzieć o Martinie Van Vercie i całej jego jebanej rodzinie. Ja pierdolę, ale mamy sojusznika! Lord Grey i Malcolm zawyją z radości. Trochę nas to wzmacnia...

– Trochę to mało powiedziane. Ale pod pewnymi warunkami – zauważył Dominik.

Nalał wina do kieliszków i zamyślił się. Dolores się nie odzywała. Piła wino i czekała na jego słowa.

– Przetrwalem w tym, co robię, tyle lat, bo starałem się opierać

na ludziach, którym mogę ufać, w zasadzie bezgranicznie. Inez, ty, Ratz, Gerard, Malcolm, także lord Grey, chociaż nie wie, że istnieję, ale ja wiem, że jest godny zaufania. Mógłbym wymienić jeszcze parę osób, ale o nich na razie nie musisz wiedzieć. Tworzymy mocną grupę i w razie potrzeby gotowi jesteśmy jedno za drugie poświęcić życie. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Jesteśmy skuteczni, bo nikt o nas nie wie. I oto pojawia się pułkownik Jana. Jakby zesłała ją przeznaczenie, by zapełniła pustkę po Ratzu. Dokooptujmy ją do naszej grupy, a ona z czasem dokooptuje Cewiego. Tylko w ten sposób można przetrwać w dzisiejszym świecie.

– Co mam robić? – zapytała Dolores, wiedząc doskonale, że w rozgrywkach strategicznych na takim poziomie musi się jeszcze wiele nauczyć od Dominika. Cierpliwie zatem korzystała z okazji.

– Musisz ponownie jechać do Kairu i spotkać się z madame colonel. Powiesz jej, że istnieje grupa ludzi, dla których jej brat był ważny. Bardzo ważny. Ujawnisz, co ustaliliśmy w sprawie zabójstwa w Nowym Jorku i że działamy poza strukturami oficjalnymi. I zaprosisz ją do współpracy. Oczywiście także poza strukturami oficjalnymi. Jeżeli wyrazi zainteresowanie, to przekaże też jakieś swoje ustalenia i informacje, świadczące o jej dobrej woli...

– Na przykład potwierdzi, że to ona kazała odstrzelić Sanmartina – weszła mu w słowo Dolores.

– Na przykład – zgodził się Dominik. – Nie wiemy na sto procent, czy madame colonel to rzeczywiście ta sama Jana, którą Cewi uratował z Auschwitz. Może ktoś się pod nią podszywa, może to jakaś gra operacyjna Rosjan? Numer obozowy nietrudno podrobić. Madame colonel nie powiedziała nic, co dotyczyłoby Cewiego osobiście, bo doskonale wiedziała, że wtedy właśnie musiałby zameldować o tym swoim szefom.

– Co zatem Cewi ma zrobić? – niecierpliwiła się Dolores, która ledwo nadążała za kombinacjami swego rozmówcy.

– Nie! – odpowiedział z przekonaniem Dominik. – Co miałby zameldować swoim przełożonym? „Wydaje mi się, że madame colonel to moja Jana”? Wyskakując z czymś takim, tylko by się ośmieszył. Pojedziesz do Kairu, bo Mosad będzie zainteresowany podtrzymaniem kontaktu z madame colonel, a po powrocie powiesz

Cewiemu, że ona nie przyznaje się do bycia jego Janą. Nie odbierzesz mu w ten sposób nadziei, ale dasz uzasadnienie, by nie meldował o niczym swoim szefom. Wiadomo, że madame colonel nigdy się nie zgodzi na żadną współpracę z Mosadem. Ale na współdziałanie z nami przeciwko Van Vertom – dlaczego nie? Tu ma prawdziwą i najlepszą motywację: zemstę. Do tego wymierzoną pośrednio w głównego przeciwnika swojej służby, czyli w CIA. Tym łatwiej będzie jej usprawiedliwić takie współdziałanie.

– Nie chciałabym oszukiwać Cewiego ani wprowadzać go w błąd – zaoponowała.

– Oddasz mu największą przysługę – zripostował Dominik. – Gdy raz zamelduje o niej przełożonym, to Jana będzie dla niego na zawsze stracona. Stanie się obiektem rozpracowania waszego wywiadu. A tak to kto wie? Daj mu szansę i nadzieję na szczęście.

Dopili wino. Pożegnali się czulej niż zwykle i każde poszło w swoją stronę. Aż do następnego spotkania.

\*

Dolores wróciła do lokalu konspiracyjnego, gdzie czekał już Cewi. Usiadła naprzeciwko swojego przełożonego, wzięła go za rękę i wyłożyła mu wszystkie argumenty Dominika w sprawie pułkownik Jany. Po raz pierwszy zobaczyła łzy płynące po twarzy mężczyzny, który w swoim życiu widział i przeszedł prawie wszystko.

Twardziel z ludzkim sercem – pomyślała.

Gdy skończyła mówić, Cewi otarł łzy i uśmiechnął się do niej.

– Dziękuję ci, jesteś przyjacielem. Zrobimy tak, jak mówisz. Może madame colonel to rzeczywiście nie moja Jana – rzekł z ulgą, jakby zdjął z ramion wielki ciężar. – Wybacz, Dolores, ale teraz muszę cię opuścić. Spieszę nadzorować pewną operację w Szwajcarii. Pamiętasz tego człowieka, którego Otto Skorzeny nazywał „swoim Żydem” i który dał nam naprowadzenie na Ramzesa? Mam go dostarczyć do portu w Hajfie, gdzie będą czekać na niego specjaliści od dociekania prawdy. A my zobaczymy się za

kilka dni w Tel Awiwie. *Szalom.*

## 2 czerwca

W najdalszym rogu hotelowego tarasu, przy stoliku nakrytym białym obrusem, siedziały Rosalinda Gutiérrez i pułkownik Jekatierina Iwanowa, rezydent wywiadu KGB w Kairze, oficjalnie radca polityczny ambasady ZSRR. Obok w naczyniu z lodem chłodziła się butelka szampana Dom Pérignon. Na stole centralną pozycję zajmowała litrowa butelka bimbru ze śliwek i suszonych rodzynek, którą pani Gutiérrez przywiozła ze sobą. Część stołu zastawiona była różnymi przystawkami kuchni libańskiej. Był także akcent irański w postaci kawioru w kryształowym naczyniu osadzonym w szklanej misce z lodem.

Dyrektor Mena House zadbał, aby nikt nie przeszkadzał paniom w rozmowie. Dlatego wszystkie stoliki dookoła były zarezerwowane, a kelnerzy czuwali poza zasięgiem głosu kobiet. Dbał o to potężny ochroniarz i kierowca pani pułkownik. Ale na wszelki wypadek kobiety uzgodniły, że rozmowa będzie prowadzona po polsku. Gdy wypily pierwszy kieliszek bimbru i madame colonel pochwaliła trunk, Dolores przystąpiła do rzeczy.

– Pozdrowiłam Cewiego, tak jak prosiłaś. On też cię pozdrowia, jeżeli jesteś tą Janą, którą poznał w Auschwitz.

– Tak, to ja. Rozstaliśmy się, bo on chciał walczyć o Palestynę, a ja zabijać Niemców – odpowiedziała pułkownik KGB.

– Jakbym słyszała Cewiego – odrzekła zafascynowana Dolores, wpatrując się w madame colonel. – To ty, jego Jana. Nie mam wątpliwości. Szukałaś go po wojnie?

– Tak, szukałam i znalazłam. Nie było to trudne. Macie taki ładny mały kraj... Przy okazji namierzyłam ciebie, jego podwładną. Gdy przyleciałaś do Kairu i zaczęłaś udzielać się towarzysko, moi ludzie rozpoznali cię ze zdjęć. Zakładałam, że to ty będziesz próbowała nawiązać kontakt z Farukiem Kemalem. Jak się domyślasz, przeniknęliśmy do operacji Skorzenego i wiedzieliśmy, że brygadier jest podwójnym agentem. Dlatego byłam przygotowana

na różne niespodzianki, z tą na basenie włącznie...

– Pozwoliłaś mi działać, żeby Niemcy mnie zdjęli i wybuchł skandal. Rozumiem. Ale przecież mogłam odejść, nic nie robiąc, bez całej tej awantury...

– Ktoś inny tak, ale nie ty. Znam twój profil operacyjny – powiedziała z uśmiechem pułkownik. – Musiałaś co najmniej zdemaskować przeciwnika. Po obu stronach była wielka wola sukcesu i na to liczyłam...

– Wykorzystaliście naszą operację, aby pozbyć się stąd esesmanów? – zapytała wprost Dolores.

– Tak właśnie było! – odparła równie szczerze madame colonel.

– To powiedz mi, kogo jeszcze szukałaś po wojnie – poprosiła nagle oficer wywiadu izraelskiego, czując, że nadszedł moment prawdy.

– Brata – padła natychmiast odpowiedź.

– Jana Ratz! – Dolores bacznie obserwowała reakcję swojej rozmówczynie.

– Tak. – Madame colonel ani przez chwilę nie wydawała się zbита z tropu czy zaskoczona. – Odnalazłam go w Londynie u boku pewnej pięknej kobiety o imieniu Inez. Łudzaco podobnej do ciebie. To twoja siostra, prawda?

– Rodzona – przyznała bez wahania Dolores.

Pułkownik KGB sięgnęła po butelkę bimbrowa, napełniła kieliszki i wzniosła swój do góry. Kiedy wypity, nalała następną kolejkę.

– No to mamy do omówienia wspólną wendetę – rzekła dobitnie. – Chyba że się mylę?

– Nie mylisz się! – odpowiedziała Dolores. – To ty kazałaś odstrzelić Ricka Sanmartina w Sajgonie?

– A wy maczaliście paluszki w zniknięciu Denisa Fargo? – zripostowała madame colonel. – I załatwiliście Wujowi Tomaso pobyt w więzieniu, że nie wspomnę o reszcie?

– A jeżeli powiem, że tak? – Dolores nigdy wcześniej sobie nie wyobrażała, że w rozmowie z oficerem innego wywiadu, nawet zaprzyjaźnionego, mogłaby się zdobyć na tak daleko posuniętą



szczerłość.

– To ja powiem, że osobiście spowodowałam rozwałkę w Sajgonie – odrzekła spokojnie Jana i zaproponowała: – To wypijmy za szczerłość.

Wypiły, i tym razem Dolores napełniła kieliszki.

– Jak i gdzie poznałaś mojego brata? Opowiedz mi o tym – poprosiła pułkownik i szybko dodała: – To znaczy opowiedz to, co chcesz i możesz...

– Naszych rodziców zabili Niemcy, gdy likwidowali getto w małym miasteczku w Polsce, którego nazwa nic ci nie powie. Inez i mnie przygarnął pewien oddział partyzancki. Jego dowódca robił jakieś interesy z ojcem, który ufał mu na tyle, że pewnego dnia oddał mu Inez i mnie na przechowanie. Chyba' przeczuwał, że w getcie niedługo zacznie się rzeź. Dziś myślę, że Inez zawsze podobała się temu dowódcy. W jego oddziale był Jan. Gdy podrosłam, poprosiłam go, aby nauczył mnie zabijać wroga. Najpierw zabijałam razem z nim, a potem już sama. Zabijałam podwójnie, za siebie i za Inez, bo ona zawsze była delikatna i wrażliwa. Piękna jak Madonna, jak kiedyś powiedziała o niej pewna dobra kobieta, choć Niemka. Gdy skończyła się wojna, chciałam dalej zabijać wrogów – Niemców, Arabów, kogokolwiek, kto zagrażał Żydom. Tak trafiłam do Mosadu. Jak ty do KGB, bo też chciałaś się mścić.

– Jakim cudem Ratz wylądował w Londynie z Inez i zrobił taką karierę? – zapytała pułkownik Jana. – Krążyły plotki, jakoby uratował życie pewnego młodego lorda, za co został prawie usynowiony przez jego ojca.

Dolores, zamiast odpowiedzieć, sama zadała pytanie:

– Kto w twojej firmie wiedział, że Jan Ratz jest twoim bratem?

Madame colonel bystro na nią spojrzała, po czym uśmiechnęła się, zrozumiawszy, że pytanie nie jest podchwytliwe i może mieć głębokie uzasadnienie.

– Czy ja wyglądam na idiotkę, moja droga? Ja wiedziałam i basta! Wywiad KGB to dobra firma, ale tkwi w wielkiej strukturze pełnej debili, którzy nic o wywiadzie nie wiedzą i nic nie rozumieją. Gdybym powiedziała, że mam brata na Zachodzie, to moi przełożeni zaczęliby mi dupę zawracać, bym go zawerbowała. Natomiast różni

nadzorczy spoza wywiadu wykorzystaliby to, żeby mnie wykończyć, sugerując, że na pewno to on mnie zawerbował i muszę być brytyjskim albo Bóg wie czym szpiegiem. Wtedy mieliby sukces, nie wychodząc zza biurka, bez narażania własnej dupy w terenie, czego boją się jak ognia, pierdoleni biurokraci! Wolalam więc nic nie mówić i nie nawiązywać z nim kontaktu. A wy powiedzieliście swoim, że pułkownik Jekatierina Iwanowa to kochanka Cewiego ze szlaku Armii Czerwonej?

– Na razie nie było takiej potrzeby, bo nie wiedzieliśmy na sto procent, że ty to ty – odrzekła dyplomatycznie oficer wywiadu izraelskiego.

– Świetna odpowiedź! Godna Talleyranda. – Madame colonel klasnęła w dłonie. – A teraz może odpowiesz na moje wcześniejsze pytanie. Jakim cudem mój brat wylądował w Londynie i wspiął się prawie na same wyżyny socjety brytyjskiej?

– Może na to pytanie powinien odpowiedzieć ktoś, kto go tam wysłał – ostrożnie zasugerowała Dolores, trzymając się taktyki uzgodnionej w Rzymie z Dominikiem.

– A kto to taki? – zapytała równie ostrożnie pułkownik Jana i uściśliła: – Chodzi mi głównie o to, czy zrzeszony, tak jak my, w jakiejś służbie wywiadowczej.

– Niezrzeszony. Człowiek interesu. Był przełożonym Ratza w czasie wojny w Polsce – odpowiedziała Dolores. – Inez, moja siostra, była jego kobietą. Jan jedynie się nią opiekował na polecenie tego człowieka.

Madame colonel zeszywniała, ale już w następnej chwili wzięła kieliszek bimbrowy i wzniosła go do góry.

– To bardzo zmienia postać rzeczy – stwierdziła, ponownie napełniając kieliszki. – Komuś zabito kobietę i przyjaciela. Ten ktoś umie sobie radzić, skoro przetrwał wojnę w Polsce i wysłał stamtąd Ratza do Londynu. A teraz robi interesy. Zakładam, że nie w Polsce – analizowała. – Gdybym spotkała się z tym człowiekiem, to pogadalibyśmy sobie o wspólnej zemście za śmierć mojego brata i twojej siostry? Zemście całkowicie prywatnej, poza jakimikolwiek strukturami naszych organizacji? Czy dobrze rozumiem?

– Madame colonel, jak zwykle, rozumuje bez zarzutu – odparła

Dolores. – To może być bardzo interesująca i owocna rozmowa.

– Nie wątpię – rzekła pułkownik KGB. – Ale jeżeli mamy rozmawiać o takim nieoficjalnym współdziałaniu, to już tu i teraz musimy ustalić pewne zasady i warunki, a następnie ściśle się ich trzymać, bo inaczej wylądujemy w czarnej dupie. Mam w związku z tym pytanie za sto dolarów. Twój z Mosadu wie, że się ze mną teraz spotykasz, to oczywiste. Jakie masz wobec mnie zadanie do zrealizowania?

Dolores po raz pierwszy znalazła się w sytuacji tak otwartego dialogu z oficerem innej, potencjalnie wrogiej służby wywiadowczej. Starszym i znacznie bardziej doświadczonym. Ale lata spędzone w organizacji Dominika nauczyły ją oddzielać interesy swojej służby od troski o bliskich. Dlatego nie miała specjalnego problemu z odpowiedzią na to pytanie.

– Nie mam wobec ciebie zadań operacyjnych. Mam ci podziękować za uratowanie mi życia i, jak to mówicie u was, poddierżkę w naszej operacji. Szef naszego wywiadu zalecił mi utrzymywać z tobą dobry kontakt, a może nawet się zakolegować – wyznała.

– Dziękuję za szczerość. To logiczne i mądre. Wywiady lubią mieć takie kanały jak nasz, oparte na kombatantwie, bo to mocna więź – odpowiedziała pułkownik. – Ja swoim zamelduję, że realizujesz tu dalej jakieś zadania i spotkałam się z tobą, żeby podtrzymać kontakt, i takie tam pierdoły. W końcu to moje podwórko. Napiszę, że jesteście w Mosadzie wdzięczni za pomoc i otwarci na kontakty, gdyby wymagała tego sytuacja. Da nam to legendę do spotkań w całej Europie i reszcie świata. A podstawowy warunek naszego współdziałania, jeżeli zgodzę się na nie po rozmowie z człowiekiem, o którym mówiłaś, jest prosty: nie dzielimy się informacjami o naszych służbach, zadaniach i bieżących operacjach. Celem naszej współpracy jest pomścić waszą i moją brata...

– Twój brat był także nasz! Proszę o tym nie zapominać, madame colonel! – hardo weszła jej w słowo Dolores.

Dopiero gdy pułkownik KGB w odpowiedzi uśmiechnęła się przyjaźnie, oficer wywiadu izraelskiego zrozumiała, że ostatnie zdanie Jany było celową podpuchą, obliczoną na zbadanie jej reakcji

i nastawienia.

Stara sztuczka, ale, jak widać, skuteczna – pomyślała Dolores, tylko trochę zła na siebie, że tak spontanicznie zareagowała. A chuj tam, niech wie, co czuję!

– Przepraszam za ten numer, ale nie mogłam się powstrzymać. To ta jebana rutyna – usprawiedliwiła się pułkownik Jana. – Myślę, że będzie dobrze. Może wymienimy informacje o zabójstwie w Nowym Jorku?

– My wiemy wszystko, a ty chyba nie, bo nie mogłaś prowadzić oficjalnego śledztwa siłami swojego wywiadu. Mów więc pierwsza, jeśli mogę prosić...

Pułkownik KGB zaśmiała się serdecznie, co trochę zdezorientowało Dolores, której nie wydawało się, by powiedziała coś śmiesznego.

– Okej, moja droga. Nie będziemy się licytować – rzekła w końcu madame colonel. – Inez i Jan zginęli, bo młodemu Fargo noga przykleiła się do pedału gazu. Pech, który uruchomił całą lawinę niepożądanych zdarzeń. Ale to wszystko wycisnęliście z Denisa Fargo, zanim go sprzątnęliście. Ładna inscenizacja z tym Kubańczykiem. Jak znam Brazylię, to amerykańskiego chłopca zjadły piranie?

– Dobrze pani pułkownik dedukuje. Denis Fargo dostał ataku serca, ale już po przesłuchaniu, gdy wrócił do domu. Trzeba było jakoś pozbyć się ciała – odpowiedziała Dolores zgodnie z prawdą.

– Gdy wrócił do domu, powiadasz? No jasne! Wrócił do domu, bo dostał propozycję współpracy i nie mógł jej odrzucić. Na co poszedł? Stawiam na kobietę i kasę, bo pierwsze wymaga drugiego.

Dolores z podziwem obserwowała madame colonel, która wydawała się w swoim żywiole.

– *Touché*, jak mówią Francuzi.

– Podpadliście CIA – kontynuowała Jana – bo budowaliście konkurencyjny kanał narkotykowy przez Nowy Jork. Chyba nie wiedzieliście wtedy, że to oni są konkurencją.

– Wszystko było niby omówione z włoską mafią...

– No tak, Wuj Tomaso. Ładnie go posadziliście – oceniła madame colonel. – Bójka czy niestrawność?

– Atak serca – odpowiedziała Dolores, nie wchodząc w szczegóły, o które madame colonel nie uważała zresztą za stosowne pytać, i przeszła do rzeczy. – Masz rację. Nie będziemy się licytować. Dużo wiesz jak na improwizację śledztwa. *Chapeau bas!*

– Mamy zatem Lodgera i Van Vertów. Tego pierwszego nawet warto zostawić przy życiu, żeby cały czas się bał. To niezła kara. Ale ci drudzy to zupełnie inna liga – zauważyła pułkownik KGB. – Macie jakieś przemyślenia?

– Prawdę mówiąc, chyba jeszcze nie – odpowiedziała Dolores, żeby nie ujawniać rozmów lorda Greya z prezydentem Kennedym i jego bratem na temat Van Vertów.

– No dobrze – podsumowała Jana, uśmiechając się przyjaźnie i nie drażąc tematu. – Pogadamy o tym przy okazji ewentualnego spotkania z twoim dowódcą z partyzantki.

Instykt podpowiadał Dolores, że wiedza pułkownik KGB w tej sprawie może okazać się zaskakująca. Postanowiła więc grać bezpiecznie i zmieniła temat.

– Jak trafiłaś do Auschwitz? Jeżeli mogę zapytać i nie jest to zbyt bolesny temat...

– Bynajmniej. Poradziłam sobie z tym przy setnym zabitym Niemcu – odpowiedziała hardo pułkownik Jana.

Dolores nie mogła oderwać wzroku od jej twarzy. Malował się na niej głęboki spokój. Aż za głęboki. Siła woli, która powstrzymuje coś strasznego...

Jak tama, która zaraz może pęknąć – pomyślała – i zgładzić wszystkich dookoła.

– Pochodzimy z Kresów Wschodnich, spod Lwowa – zaczęła opowiadać Jana. – Mieliśmy tam małe gospodarstwo. Gdy w trzydziestym dziewiątym wybuchła wojna i Polska, podzielona między Niemców i Rosjan, przestała istnieć, to w moim życiu niewiele się zmieniło. Dla takich jak my okupacja sowiecka oznaczała koniec państwa polskiego, ale nie koniec życia. Bardziej baliśmy się ukraińskich nacjonalistów, którzy zaczęli podnosić łeb, bo struktury państwa polskiego już nie trzymały ich za ryj. Mieliśmy złe przecucia, dlatego Jana, mojego brata, wysłaliśmy do rodziny do Lwowa. Piekło zaczęło się, gdy Hitler zaatakował Związek

Radziecki, a armia Stalina zwinęła się jak kartka papieru. Niemcy spalili naszą wieś i zabili rodziców. Ja uciekłam do lasu i znalazłam się w oddziale partyzanckim złożonym z niedobitków różnej maści – Polaków, Ukraińców, a także Rosjan z rozgromionych pododdziałów Armii Czerwonej. Ci ostatni przechwycili dowództwo i zajęli się szkoleniem. Przez pierwsze pół roku chodziło jedynie o to, aby przetrwać. Walczyć zaczęliśmy dopiero pod koniec drugiej połowy roku. Odnieśliśmy parę sukcesów. Wkurwiło to chyba Niemców, bo rzucili przeciwko nam takie siły, że musieliśmy polec. Mnie ogłuszył pocisk artyleryjski i zostałam wzięta do niewoli...

– Boże! – wymknęło się Dolores, bo przewidywała dalszy ciąg tej historii.

– Już chcieli mnie gwałcić, ale wykrzyczałam, że mam kiłę czy inny syf. Akurat miałam na dupie jakąś wysypkę alergiczną, więc Niemcy woleli mnie nie tykać. Ale mi nie odpuścili. Przyprawdzili jeńca rosyjskiego z innego rozbitego oddziału partyzanckiego i pod groźbą śmierci kazali mu mnie wyruchać. Gdy próbował, wbiłam mu patyk w oko aż do mózgu. Niemcy oszaleli z radości i przyprawdzili następnego. Ale wtedy zjawił się oficer SS, kazał postawić mnie na nogi i zrobił im wykład o odwadze. Powiedział, że jestem wprawdzie bandytką z lasu, ale okazałam odwagę i inteligencję. A on ceni te cechy, zwłaszcza u kobiet, i chciałby, aby jego żołnierze też się nimi wykazywali na polu walki. Czysty surrealizm! Oczywiście nie o mnie mu chodziło. Po prostu umacniał w swoim oddziale dyscyplinę i motywację do walki. Mówił podwładnym: skoro ten kocmołuch z lasu potrafi dzielnie walczyć, to wy, rasa panów, tym bardziej. Gdy skończył, podszedł do mnie i powiedział: „Nie zabiję cię, ale też nie mogę cię puścić, bo dalej byś zabijała moich ludzi. Lecz dam ci szansę na przetrwanie”. I tak trafiłam do Auschwitz. Można powiedzieć, że esesman ocalił mi życie, choć posłał do piekła. Do obozu dotarłam w połowie czterdziestego trzeciego roku. Przeżyłam do wyzwolenia. Rozumiesz teraz, dlaczego wstąpiłam do Armii Czerwonej, ja, Polka z Kresów Wschodnich. Aby mścić się na Niemcach, wstąpiłabym do hufców samego Szatana. Doszliśmy z Cewim do Berlina. Cały szlak bojowy. Zostaliśmy kochankami. Nie my jedni, bo człowiek nie znał wtedy dnia ani godziny i był pazerny na życie. Auschwitz obudził w Cewim

korzenie żydowskie, o których on wcześniej chyba nie myślał. Rozstaliśmy się w połowie czterdziestego piątego roku, bo każde z nas musiało robić swoje. Jakby obóz pokierował naszym życiem. Cewi zrobił karierę w Mosadzie, a ja w KGB. Szpiegujemy się nawzajem, ale nie jesteśmy wrogami.

– Cewi nie jest do końca wciągnięty w istotę naszej zemsty za śmierć Inez i Ratz, bo to nie byli jego bliscy – zauważyła Dolores. – Choć dał mi kontakt na ludzi, którzy pomogli załatwić Wuję Tomasa. Ale nie wie, że Jan Ratz był twoim bratem, bo ta wiedza jest mu do niczego niepotrzebna...

– Słusznie rozumiesz. Proponuję, abyśmy skoncentrowali się na rodzie Van Vertów – zasugerowała pułkownik Jana. – Jeżeli ma dojść do mojego spotkania z mężczyzną twojej siostry Inez, to oni powinni być głównym tematem naszej rozmowy.

– Oczywiście – potwierdziła Dolores. – Van Vertowie są podstawowym obiektem naszego rozpracowania.

– Sympatycznie się z panią rozmawiało, pani Gutiérrez – powiedziała madame colonel. – To miłe, że zechciała pani raz jeszcze pofatygować się do Kairu, żeby mi podziękować za pomoc. Gratuluję znakomitej legendy. Rais Said to człowiek CIA, więc dla formalności zamelduje do Waszyngtonu, że odbyłyśmy takie kurtuazyjne spotkanie. Nasz gospodarz Thomas Archer teoretycznie powinien zameldować o tym MI6, ale nie mam takiego potwierdzenia. Może więc zamelduje gdzieś wyżej, bo ze swoimi możliwościami musi mieć jakiś przydział. Powiadom swoich, że przypadłyśmy sobie do gustu i że w sytuacji kryzysowej jestem otwarta na kontakt, a ja zamelduję to samo swoim. Cewiemu powiedz, że nie udało ci się ustalić, czy jestem tą Janą, którą poznał w Auschwitz. Nie będzie musiał nic meldować przełożonym i komplikować nam wszystkim życia. Ale dodaj, że nie tracisz nadziei, że może następnym razem się przyznam...

Ustaliły między sobą oficjalny system łączności i serdecznie się pożegnały. Nie zapomniały też o systemie nieoficjalnym, o którym nie miały najmniejszego zamiaru nikomu meldować.

**3 lipca**

Szwajcarską posiadłość Van Vertów stanowiła dziesięciohektarowa działka nad Jeziorem Zuryskim, gęsto porośnięta drzewami iglastymi. Dom był repliką willi Mansi w miejscowości Segromigno nieopodal Lukki w Toskanii. Imponujące podcienie prowadzące do głównych drzwi wejściowych, ozdobione rzeźbami, szczególnie przypadły do gustu staremu Van Vertowi i zadecydowały o budowie domu właśnie w tym stylu. Z tylnych okien rozpościerał się wspaniały widok na jezioro.

Od kilku dni Victor Van Vert i jego syn Martin spotykali się z szefami lub przedstawicielami struktur krajowych Ligi Rodów. Odbyli już rozmowy z Francuzami, Niemcami, Szwajcarami, Japończykami i delegacją Południowej Afryki. Izrael reprezentował nestor jednej z najstarszych europejskich rodzin bankierskich. Wszyscy byli zgodni co do jednego: komunizmowi należy dawać odpór wszelkimi możliwymi sposobami, zwłaszcza poprzez wybór takich rządów, które to zapewnią. Jeśli zaś chodzi o ruchy lewicowe na Zachodzie, część rozmówców uważała, że należy je mocno infiltrować i pozyskiwać jako potencjalnego sojusznika w zwalczaniu komunizmu, przede wszystkim w Europie i krajach Trzeciego Świata.

Victor Van Vert miał powody do zadowolenia. Szczególnie cieszyła go jednomyślność przedstawicieli struktur krajowych w sprawie konieczności powstrzymania ekspansji komunizmu chińskiego w Azji, który uznano za wyjątkowo niebezpieczny. Oznaczało to, że zwiększenie militarnej obecności Stanów Zjednoczonych w Indochinach i rozpoczęcie działań wojennych w Wietnamie spotka się z poparciem elit najważniejszych państw świata.

Dobry nastrój ojca nieco zaskoczył Martina, któremu wydawało się, że wycofanie się Stanów z Wietnamu Południowego jest przesądzone.



– Myślałem, ojcze, że klan Kennedych ma zupełnie inne zamiary w tej sprawie i że Wietnam jest już stracony – zaryzykował.

– Ludzie, których tu gościmy, mają decydujący wpływ na to, co się dzieje w ich krajach – odparł Victor Van Vert. – Wybierają polityków, są właścicielami gazet, telewizji i innych mediów kształtujących opinię publiczną. Oni boją się ekspansji komunizmu w Azji, bo to najliczniejsza część świata. Postaramy się, aby ich niepokój i troska dotarły do Białego Domu i pomogły jego lokatorowi podjąć właściwą decyzję. Prezydenci amerykańscy na ogół liczyli się z tego typu opiniami.

– A jeżeli tym razem tak się nie stanie? – Martin zaryzykował kolejne pytanie. – Stawka dla nas i części naszych przyjaciół jest ogromna. Niełatwo będzie z niej zrezygnować.

Stary Van Vert spojrzał przeciągle na syna.

– Nikt tu nie zamierza z niczego rezygnować. Przypomnę ci stare amerykańskie powiedzenie: „Każdego wiceprezydenta dzieli od prezydentury tylko jedno uderzenie serca prezydenta”.

Martipa zamurowało. Nie umiał znaleźć odpowiedzi. Z niezręcznej sytuacji wybawiło go leciutkie pukanie do drzwi salonu i wejście zaufanego kamerdynera, którego Victor przywiózł do Szwajcarii z rezydencji na Long Island. Służący podszedł do nestora rodu i zaczął coś mu szeptać na ucho.

– Przyjechał nasz ostatni rozmówca, Martinie – oznajmił Victor Van Vert. – Szef struktur krajowych Ligi w Wielkiej Brytanii.

Ojciec i syn podeszli do ogromnych okien salonu na wysokim parterze prawego skrzydła budynku.

Na podjazd przed willą wtoczył się powoli czarny rolls-royce. Kamerdyner, który przed chwilą poinformował Victora o przybyciu gościa, już czekał przy frontowych schodach, by otworzyć tylne drzwi pojazdu. Z samochodu wysiadł dystyngowany starszy mężczyzna mniej więcej w wieku Victora Van Verta.

Martin, który z zainteresowaniem obserwował ceremonię powitania, nagle wyteżył wzrok i niemal przykleił się do szyby.

Przecież ja znam tego człowieka! – uświadomił sobie były pracownik CIA.

– Ależ, ojcze! – wykrzyknął. – To lord Grey!

– W rzeczy samej, drogi chłopcze. Lord William Huntington Grey we własnej osobie. Szef struktur krajowych Ligi w Wielkiej Brytanii. Teoretycznie mój najważniejszy partner i sojusznik w Lidze, a w rzeczywistości... – zawiesił głos. – Pozwolisz, Martinie, że pierwszą część rozmowy z lordem Greyem odbędę sam. Ze zrozumiałych względów, chłopcze. Dołączysz nieco później.

– Tak, ojcze, oczywiście – przytaknął nadal oszołomiony Martin. – Ze zrozumiałych względów...

Boże – pomyślał, gdy ojciec wyszedł przywitać szacownego gościa w progach swojego szwajcarskiego domu – co ja narobiłem! Doprowadziłem do śmierci bliskich szefa brytyjskich struktur Ligi. Ojciec powinien mnie wydziedziczyć. Ale nie widzę, aby aż tak się tym przejmował. Co tu naprawdę jest grane?

Kamerdyner wprowadził lorda Greya do wielkiej sali przyjęć na parterze, przyozdobionej olbrzymim granitowym kominkiem. Nie zdążył nawet zapytać gościa, czego by się napił, gdy zjawił się gospodarz.

– W porządku, James – rzekł Van Vert do kamerdynera. – Ja zajmę się naszym drogim gościem i przyjacielem.

Mówiąc to, ruszył w stronę Anglika, szeroko uśmiechnięty, z wyciągniętą ręką. Lord Grey uściśnął dłoń Victora i odwzajemnił mu się typowo brytyjskim dyskretnym uśmiechem.

– Porto, prawda, Williamie? – zapytał pro forma Van Vert, który doskonale znał nawyki i upodobania gościa. – James, podaj butelkę porto i kieliszki. Sami się obsłużymy, jak na dużych chłopców przystało.

Kamerdyner ustawił wszystko na mahoniowym stoliku przy kominku, przysunął dwa skórzane fotele, po czym dyskretnie się oddalił. Victor rozlał porto do kieliszków i zajął miejsce naprzeciwko lorda Greya.

Znali się od ponad sześćdziesięciu lat. Gdy po raz pierwszy spotkali się w wytwornym towarzystwie najbogatszych ludzi świata – jeden jako bohater spod Omdurmanu, drugi jako uczestnik wojny amerykańsko-hiszpańskiej – szybko przypadli sobie do gustu. Dziś cała ich przyjaźń mogła lec w gruzach. Victor wiedział, że nie może sobie pozwolić na utratę szacunku lorda Greya, dlatego od razu

przeszedł do rzeczy.

– Ponad pięć lat temu w Nowym Jorku doszło do okropnego wypadku, w którym zginęli kobieta i mężczyzna. Ona miała na imię Inez, on nazywał się Jan Ratz. Dopiero niedawno na skutek pewnego splotu wydarzeń dowiedziałem się, że był to ten Polak, który podczas wojny uratował twojego Malcolma. Niestety, jakieś fatum sprawiło, że w ten incydent zaangażowany był mój syn Martin. Ich drogi przecięły się w możliwie najgorszy sposób. Proszę cię więc jak najpokorniej, abyś zechciał wybaczyć jemu i mnie. Zrób to w imię naszej długiej przyjaźni!

Lord Grey patrzył stalowym wzrokiem na Victora Van Verta, który już od dawna nie miał nic wspólnego z tamtym młodym żołnierzem walczącym pod San Juan Hill.

Ciekawe, o czym on jeszcze wie... Czy wie o mojej rozmowie z prezydentem Stanów Zjednoczonych i jego bratem? Że to ja dostarczyłem im anonim?

Wykluczył taką możliwość i mimo szczerości swego rozmówcy – wymuszonej zresztą przez splot wydarzeń, jak to ujął sam Van Vert – postanowił grać, a raczej rozgrywać tę partię po swojemu.

– Dziękuję ci za te słowa, Victorze. Polegam na ustaleniach, jakich dokonało w śledztwie MI6, bo Jan Ratz był także ich człowiekiem. Wynika z nich jednoznacznie, że doszło wtedy do tragicznego wypadku. Sądzę zatem, że udział twojego Martina też był przypadkowy. Dla mnie sprawa jest zamknięta. Niech umarli spoczywają w spokoju.

Victor Van Vert był zaskoczony reakcją przyjaciela. Spodziewał się znacznie cięższej przeprawy. Oczywiście nie awantury, gdyż siedzący przed nim brytyjski arystokrata słynął z dobrych manier i legendarnego opanowania, ale co najmniej wyrzutów.

Albo udaje – pomyślał Victor – albo nie zna wszystkich szczegółów. Nie będę drażył, bo jak udaje, to nic mi nie powie, a jeśli nie wie, to tym bardziej. Spróbuję innej taktyki wobec starego brytyjskiego lwa. A może lisa...?

– Bardzo się cieszę, że tak do tego podchodzisz – oświadczył.  
– Bałem się, że ten godny najwyższego ubolewania incydent źle

wpłyne na relacje naszych rodzin. A jest tyle do zrobienia... Jeżeli zatem pozwolisz, to przejdźmy do spraw naszej Ligi. Przede wszystkim chcę cię poinformować, że Martin został koordynatorem struktur krajowych. Jednogłośnie zgodzili się na to wszyscy amerykańscy udziałowcy naszej organizacji.

– To świetny i naturalny wybór, Victorze. Doświadczenie wyniesione z CIA bardzo się Martinowi przyda w wypełnianiu tej funkcji – odpowiedział lord Grey, którego ta wiadomość wcale nie zaskoczyła, gdyż wybór rzeczywiście wydawał mu się naturalny, aczkolwiek potencjalnie niebezpieczny, jeśli wziąć pod uwagę rolę Martina w obrocie narkotykami.

Ale w końcu – pomyślał Anglik – Imperium Brytyjskie również stoczyło w XIX wieku parę wojen opiumowych z Chinami, aby móc Chińczyków faszerować heroiną. Zresztą Martin w nowej roli to, dzięki Bogu, nie mój problem.

I jakby wyprzedzając następny ruch Victora, dodał:

– Chętnie pogratuluję Martinowi osobiście. Ostatnio widziałem go chyba z dziesięć lat temu. Zakładam, że jako nowy koordynator uczestniczy w tutejszych spotkaniach...

Po raz kolejny Victor Van Vert zdał sobie sprawę, że przenikliwość lorda Williama Huntingtona Greya jest zbyt wielka, by można było czymkolwiek go zaskoczyć.

Co on ma takiego, czego ja nie mam? – zadał sobie pytanie.

Ale żadna odpowiedź nie przychodziła mu do głowy.

– Oczywiście! Martin przyjechał tu ze mną – zapewnił starego Anglika. – Byłby zachwycony, gdybyś mu osobiście pogratulował tej nominacji. Pozwolisz, że go poproszę i dalszą rozmowę poprowadzimy we trójkę.

Victor skorzystał z telefonu wewnętrznego rezydencji i prawie natychmiast w sali przyjęć zjawił się Martin Van Vert, który siedział dotąd w pokoju obok, przysłuchując się rozmowie dwóch weteranów przez specjalnie zainstalowany system.

– Lordzie Grey, to zaszczyt i przyjemność powitać pana w naszych skromnych szwajcarskich progach. – Uścisnęła rękę gościa, szczerze zadowolony z dotychczasowego przebiegu spotkania.

– Witaj, chłopcze. Miło cię widzieć po tylu latach – od-

powiedział lord Grey. – Ale przede wszystkim gratuluję ci nominacji na koordynatora struktur amerykańskich. To wielka odpowiedzialność.

– Dziękuję, lordzie Grey. W pełni zdaję sobie z tego sprawę – odparł Martin. – I obiecuję nie popełnić już żadnych takich błędów jak w przeszłości, za których wybaczenie nie wiem jak dziękować...

Właśnie popełniłeś kolejny – pomyślał lord Grey, bo gdy rozmawiał z Victorem o wybaczeniu błędów, Martina nie było w sali przyjęć. Siedziałeś gdzieś obok i podsłuchiwałeś, ale tym razem ci daruję i cię nie ośmieszę.

– Błędy przeszłości muszą pozostać błędami przeszłości. Należy z nich jedynie wyciągnąć właściwe wnioski – rzekł lord Grey, kontynuując swoją rozgrywkę. – Dzisiaj mówmy o przyszłości, bo tylko ona tak naprawdę się liczy.

– Celnie powiedziane, Williamie – włączył się do rozmowy Victor Van Vert, który natychmiast odnotował gafę Martina. Toteż zwracając się do syna, dodał dla podtrzymania pozorów: – Ustaliliśmy z lordem Greyem, że ten tragiczny nowojorski incydent, a raczej nieszczęśliwy wypadek, jakim w istocie był, uznamy za zamknięty. Usiądźmy i pomówmy o sprawach Ligi.

Napełnił porto puste kieliszki swój i gościa, a Martin nalał sobie szklaneczkę szkockiej whisky Lagavulin, bez wody i lodu, gdyż szkoda mu było rozcieńczać pięćdziesięcioletni trunek. Następnie Victor zaczął relacjonować lordowi Greyowi przebieg dotychczasowych rozmów, zmierzając do oczywistego wniosku – że wojna jest jedynym sposobem powstrzymania ekspansji komunizmu w Indochinach.

Anglik nie miał zamiaru stawać po stronie przeciwników takiej wojny, gdyż nie chciał ujawniać Van Vertom swoich rzeczywistych poglądów, a przede wszystkim wiedzy, jaką wyniósł ze spotkania z prezydentem i jego bratem. Postanowił więc grać rolę adwokata diabła. Oceniał, że to pozwoli mu wyciągnąć od Victora jak najwięcej informacji dotyczących jego planów.

– Ja, Victorze, nie jestem ani przeciwnikiem, ani zwolennikiem takiej wojny. Jestem, tak jak my wszyscy, przeciwnikiem ekspansji komunizmu, z oczywistych względów. Istotne jest jedynie, jak najskuteczniej jej zapobiec. Obaj znamy prezydenta de Gaulle'a.

Przyznasz, że jest on wybitnym ekspertem od Indochin. Ostatnio gościł mnie u siebie we Francji i wyznał, że jest zdeklarowanym przeciwnikiem zwiększania obecności militarnej Stanów Zjednoczonych w Azji, bo uważa, że wojna w Wietnamie będzie taką samą pułapką dla was, jaką swego czasu stała się dla armii francuskiej. Doskonale rozumiem, że wielu naszych przyjaciół, w tym twoje imperium zbrojeniowe, świetnie by na tej wojnie zarobiło, i nie mam nic przeciwko temu, ale co będzie, jeśli nie zwyciężycie? Oczywiście wszyscy, którzy mają zarobić, i tak zarobią, ale przegrana wojna to dla Ameryki niedobra sprawa. Wzięłeś pod uwagę taką ewentualność i jej konsekwencje?

– Przede wszystkim cieszę się, że nie jesteś pacyfistą i defetystą, tylko starasz się podchodzić do sprawy z chłodną kalkulacją – odpowiedział Victor Van Vert. – Bardzo cenię naszego przyjaciela de Gaulle’a i znam jego opinię, która, jak widać, się nie zmienia. Ale on w tej kwestii po prostu nie ma racji. Nie da się sensownie porównać potencjału Francuzów w Indochinach w latach pięćdziesiątych i Francji jako takiej z potencjałem Stanów Zjednoczonych dnia dzisiejszego. Dlatego w ogóle nie biorę pod uwagę możliwości jakiegokolwiek przegranej. My tych wietnamskich komunistów najzwyczajniej w świecie rozniesiemy w drobny mak!

– Wojna w dżungli ma swoją specyfikę. Samoloty, czołgi, ciężka artyleria często niewiele znaczą, bo nie ma możliwości ich użycia. Na ogół decyduje człowiek i prosta broń. Ale gdyby do takiej wojny doszło, to bardzo bym się cieszył, gdybyś to ty miał rację – odparł pojednawczo lord Grey. – I to jest fundamentalne pytanie. Czy dojdzie do wojny w Wietnamie? Zdecyduje o tym wasz prezydent, oczywiście z udziałem Kongresu. Istotne jest zatem, co zamierza John Kennedy. Bo bez jego decyzji tej wojny nie będzie.

Victor Van Vert spojrział na swojego rozmówcę, jakby się zastanawiał, w jakim stopniu może być z nim szczery. Po chwili odezwał się, starannie dobierając słowa.

– Z Kennedym czy bez niego, do tej wojny dojdzie, bo jest niezbędna. Dlatego mam do ciebie, drogi przyjacielu, jedno pytanie. Czy w razie jej wybuchu twoje struktury i Wielka Brytania nas poprą?

Ciekawe, jak zamierzasz wywołać wojnę w Wietnamie wbrew

woli prezydenta Stanów Zjednoczonych – cisnęło się na usta lordowi Greyowi, ale wolał nie mówić tego głośno. Zdał sobie nagle sprawę, że ma do czynienia z człowiekiem, który opierając się na sobie tylko znanych przesłankach, podjął określoną decyzję i zmierza do celu za wszelką cenę.

Tylko kto zapłaci tę cenę? – przyszło na myśl brytyjskiemu arystokracie.

– Drogi Victorze, przecież nasza organizacja istnieje po to, aby wzajemnie się wspierać – uspokoił rozmówcę. – Co do twojego pytania, to znasz mechanizmy rządzące takimi sytuacjami. Jeżeli Stany Zjednoczone decyzją prezydenta pójdą na wojnę w Wietnamie, to ja zagwarantuję poparcie ze strony brytyjskiego establishmentu, zarówno rządowego, jak i z pałacu Buckingham, że nie wspomnę o udziałowcach naszej struktury. Odpowiadając zatem na twoje pytanie... tak, poprzemy was, jeżeli dojdzie do takiej wojny.

Napięta twarz Victora pojaśniała.

– Dziękuję ci, drogi przyjacielu – rzekł, szczerze ukontentowany. – Na pewno tego nie pożałujesz. Martinie – zwrócił się do syna – jesteś świadkiem ważnego momentu w historii świata i naszych rodów. Bądź więc tak miły i poproś, z łaski swojej, aby James zaserwował nam najlepszego szampana, jakiego znajdzie w tym domu. Nie odmówisz, Williamie, prawda?

– Znasz mój słaby punkt – odparł lord Grey i zażartował: – Wiesz dobrze, że ja nigdy nie odmawiam szampana. Zwłaszcza twojego...

Victor zaśmiał się serdecznie i odczekawszy, aż Martin wyjdzie z sali, żeby przekazać służbie życzenie ojca, pochylił się w stronę lorda Greya i zaczął mówić podekscytowanym tonem:

– Proszę, posłuchaj mnie, Williamie, uważnie. Abstrahując już od bezspornej moralnej słuszności tej wojny, nasze rody zarobią na niej krocie. Wszystko wyliczył mój drugi syn Vick, który, jak pewnie pamiętasz, zarządza naszym rodzinnym imperium biznesowym. Wiem, że jesteś człowiekiem zamożnym, jak my wszyscy, ale na wojnie w Wietnamie podwoimy nasze majątki. A to jest nie do pogardzenia. Znasz mechanizmy londyńskiego City jak mało kto. Przy właściwych inwestycjach, opartych na ostrożnym insider trading, giełdy w Nowym Jorku i Londynie mogą stać się dla nas kopalniami

złota. Wierz mi, lordzie Grey, ta wojna to okazja życia! Nie skorzystać z niej byłoby niewybaczalnym grzechem!

Lord Grey słuchał Victora Van Verta z rosnącą uwagą i zainteresowaniem. Podskórnie wiedział, że jego rozmówca ma rację. Wiele rodów będzie chciało wzbogacić się na tej wojnie, jeżeli do niej dojdzie. Opór z jego strony byłby dla nich niezrozumiały i bezsensowny, a co najważniejsze – odosobniony. Poza tym doskonale zdawał sobie sprawę, że jego syn Malcolm nie powiększy rodowego bogactwa, gdyż zupełnie nie jest tym zainteresowany. A w Lidze nie ma miejsca dla ubogich krewnych.

– Jak to mówicie w Ameryce, Victorze, masz mnie na pokładzie – rzekł w końcu. – To rzeczywiście niebywała okazja i wielu będzie chciało z niej skorzystać. Najwięcej ugrają ci, którzy najlepiej się przygotowują i zaczną działać najwcześniej.

– Nie wiesz, jak się cieszę, Williamie, słysząc od ciebie te słowa – odparł Van Vert.

W tej samej chwili do sali przyjąć wkroczył Martin, dzierżąc w ręku dwie butelki szampana „La Grande Année” Bollinger, które czekały na tę chwilę przez ostatnie dwadzieścia pięć lat. Za nim szedł kamerdyner, niosąc kubek z lodem i kieliszki.

– Kolację zjemy za godzinę lub dwie – zaordynował Victor i kiedy kamerdyner wyszedł, podał napełnione kieliszki gościowi i synowi. – Wypijmy, moi drodzy, za nasze przyszłe sukcesy. Do odważnych świat należy!

Spełnili toast. Martin przysunął do stolika przy kominku trzeci fotel i dopiero teraz poczuł się pełnoprawnym uczestnikiem spotkania. Nagle coś mu się przypomniało.

– Przed chwilą radio podało, że niejaki Kim Philby z MI6 pojawił się w Moskwie i otrzymał obywatelstwo ZSRR – poinformował zebranych były pracownik CIA, któremu nazwisko to nie było obce, bo pamiętał je bowiem z czasów, gdy Philby był przydzielony do ambasady brytyjskiej w Waszyngtonie.

– Więc jednak... – rzekł lord Grey, unosząc brwi i marszcząc czoło.

– To ktoś znany? – zapytał Victor, któremu to nazwisko nic nie mówiło. – Potencjalne zagrożenie dla naszych interesów?



– Nie sędę. Kim Philby to oficer wywiadu brytyjskiego i przez wiele lat szef komórki MI6 zajmującej się Rosją i jej służbami – wyjaśnił brytyjski arystokrata. – Wielu w MI6 podejrzewało go o współpracę z KGB, ale nigdy nie było na to dowodów. Aż do dziś. Dla MI6 jego ucieczka do Moskwy to katastrofa i wielki kłopot, bo przecież można domniemywać, że skoro Rosjanie go wycofali, to znaczy, że mają już w naszym wywiadzie kogoś innego.

Po kolacji lord Grey opuścił szwajcarską rezydencję Van Vertów i czarnym rolls-royce'em gospodarzy udał się na lotnisko, skąd miał odlecieć do Londynu.

Pożegnawszy gościa, Victor i Martin Van Vertowie wrócili do sali przyjęć, by dopić szampana i podsumować wydarzenia dnia. Martin był przede wszystkim ciekaw opinii ojca w sprawie rozmowy z Anglikiem.

– Sędę, że udało się oczyścić atmosferę wokół tego przekłętego incydentu w Nowym Jorku – ocenił Victor. – Może mój czcigodny przyjaciel wie na ten temat więcej, niż zechciał powiedzieć, ale najistotniejsze jest to, że postanowił, jak myślę, przejść nad tą sprawą do porządku...

– Ale nadal znikają i giną ludzie z nią związani! – zaoponował Martin.

Stary Van Vert spojrział na syna z lekkim zniecierpliwieniem. Chciał rzucić cierpką uwagę, że taka jest cena niekompetencji, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

– Porządek rzeczy na naszej planecie jest taki, że jedni giną za różne sprawy, a inni muszą tymi sprawami zarządzać. My należymy do tej drugiej grupy, a tacy jak Fargo, Wuj Tomaso czy Sanmartino to żołnierze historii. W Wietnamie zginą ich tysiące, żołnierzy historii w dosłownym znaczeniu. Między innymi po to, aby tacy jak my nie musieli się zabijać między sobą, bo miałyby to fatalne następstwa dla spraw tego świata, za które odpowiadamy. Rozumiesz, drogi chłopcze?

Martin Van Vert w milczeniu skinął głową.

– Wszyscy wiemy – kontynuował ojciec – że za niepotrzebną śmierć tych dwojga w Nowym Jorku ktoś musiał ponieść konsekwencje. Ratz był typowym żołnierzem historii, a ta kobieta

godną ubolewania stratą uboczną. Dlatego implikacją ich śmierci musiała być śmierć żołnierzy drugiej strony. I tak się stało. Atmosfera została oczyszczona. Lord Grey zna te zasady i doskonale je rozumie. Wie, że musi iść naprzód razem z nami, bo maruderzy Ligi łatwo mogą się stać żołnierzami historii.

– A jeżeli po drugiej stronie są jeszcze jacyś żołnierze historii, którzy nie zamierzają przejść do porządku nad śmiercią Ratza i tej kobiety, a lord Grey nie ma na nich wpływu? – zapytał Martin.

– Jesteś, synu, koordynatorem naszych struktur i masz do dyspozycji swoich żołnierzy – odparł spokojnie, lecz dobitnie Victor Van Vert. – Oni muszą znaleźć tamtych i albo nakłonić ich do odstąpienia od dalszej zemsty, albo wyeliminować.

– To odpowiedz mi, ojczu, na jeszcze jedno pytanie. – Martin zdecydował się poruszyć sprawę, która zaczęła go nurtować. – Skoro nie jesteśmy żołnierzami historii, to dlaczego się zgodziłeś, abym w czasie wojny wstąpił do OSS i brał udział w tajnych operacjach na tyłach wroga? Przecież w każdej chwili mogłem polec.

– Mylisz dwie różne rzeczy, synu. Biorąc udział w misjach OSS, nie byłeś żadnym żołnierzem historii. Odpowiadałeś na zew rodu zgodnie z zasadą *noblesse oblige*, tak jak ja pod San Juan Hill czy lord Grey pod Omdurmanem. – Victor mówił z taką pewnością, jakby całe życie czekał na to pytanie. – Gdybyś poległ, byłbyś bohaterem, ale przeżyłeś i dzięki tamtym doświadczeniom będziesz dobrym koordynatorem naszych struktur.

– Twarde zasady rządzą światem, w który mnie wprowadzasz, ojczu – podsumował refleksyjnie Martin Van Vert. – Świat wywiadu również jest twardy, ale obowiązują w nim zasady lojalności i wierności wobec towarzyszy broni, a czasem nawet fair play względem przeciwnika...

– Tu też, Martinie – wszedł mu w słowo Victor – ale tylko w stosunku do swojego rodu i naszych struktur. O reszcie zapomnij.

– Bo to żołnierze historii? – zapytał Martin z ledwo wyczuwalną ironią.

– Właśnie tak! – rzekł z całą powagą nestor rodu Van Vertów i napelnił kieliszki szampanem Bollinger.

## 8 września

– Miesiąc temu widziałam się z Malcolmem – opowiadała Dolores. – Nie wydawał się szczególnie zaskoczony, gdy mu powiedziałam o śmierci Ricka Sanmartina, ale przede wszystkim uderzyło mnie to, że jakby wyparował z niego cały entuzjazm dla naszej zemsty za śmierć Inez i Jana. W pewnym momencie rzucił nawet uwagę, że liczba zabitych po obu stronach się zrównoważyła. Coś musiało się stać. Czyżby wystraszył się potęgi Van Vertów?

– Ale przecież lord Grey zadbał o to, by nasz anonim dotarł na najwyższy szczebel władzy w Stanach, a Malcolm dokładnie nam o tym opowiedział – zauważył Dominik. – Czy tak postępuje człowiek, który nie chce się mścić? Poza tym były konsekwencje tego ruchu. Martin Van Vert musiał zrezygnować z pracy dla amerykańskiego rządu, a cały ich ród ma przechlapane tam, gdzie to się najbardziej liczy. W Gabinetecie Ovalnym Białego Domu.

– Owszem, ale to było kilka miesięcy temu – upierała się Dolores. – Możesz to nazwać, jak chcesz, intuicją kobiecą czy intuicją oficera wywiadu, ale teraz wydaje mi się, że jest inaczej.

Rozmawiali w trzypokojowym mieszkaniu z kuchnią, które niespełna dwa tygodnie wcześniej wynajęto dla nich w Mediolanie, nieopodal katedry Narodzin Najświętszej Marii Panny. Miało około osiemdziesięciu metrów kwadratowych i było zastawione starymi, ciężkimi meblami. Okna dwóch pokoi wychodziły na dziedziniec, co ułatwiało namierzenie ewentualnych nieproszonych gości. Wejście na klatkę schodową mieściło się w przechodnim podwórzu, do którego wiodła z ulicy szeroka, niska brama z łukowatym sklepieniem, a druga, na tyłach dziedzińca, wychodziła na ulicę równoległą. Zanim to mieszkanie wynajęto, sprawdzono, że na szczycie klatki jest wyjście na dach połączony z dachami przylegających budynków, co mogło stanowić potencjalną drogę szybkiej ewakuacji. Dom stał przy jednej z uliczek odchodzących od placu katedralnego, pełnej starych sklepów z dziełami sztuki i

nowszych butików z najmodniejszą odzieżą i obuwem.

– Wrócimy do sprawy – obiecał Dominik. – Ale teraz dochodzi dwunasta. Musimy już iść.

Opuścili dom i podążyli w kierunku placu. Tam Dolores wyłowiła w tłumie turystów pułkownik Janę, nawiązała z nią kontakt wzrokowy, po czym zawróciła w uliczkę, z której przyszła. W tym czasie Dominik, dokładnie przyswoiwszy sobie rysopis pani pułkownik, realizował kontrobservację miejsca spotkania kobiet i ich trasy do lokalu konspiracyjnego.

Jednym z dwóch zestawów kluczy Dolores otworzyła drzwi wejściowe do domu i wchodząc, zostawiła je uchylone dla madame colonel, która niebawem pojawiła się na klatce schodowej i podążyła za swoją przewodniczką do mieszkania. Parę minut później wrócił Dominik, skorzystawszy z drugiego zestawu kluczy. Był zrelaksowany i uśmiechnięty, co oznaczało, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Dolores dokonała prezentacji. Podała jego prawdziwe imię, gdyż ustalili wcześniej, że będzie to sprzyjać właściwej atmosferze spotkania.

– Mówmy sobie po imieniu, bo przecież los sprawił, że nie jesteśmy sobie obcy – zaproponowała pułkownik Jana.

– Masz rację – odpowiedział Dominik. – Już wiele nas łączy i zanim stąd wyjdziemy, ta wspólnota interesów pewnie jeszcze się umocni. Założenie tego spotkania jest takie, że najpierw wymienimy się informacjami w wiadomej sprawie, a następnie zastanowimy się, co robić dalej.

Nikt nie oponował. Usiedli w niewielkim salonie na fotelach z aksamitną bordową tapicerką. Dolores przygotowała i podała kawę z ekspresu, wodę mineralną i litrową butelkę bimbrowa ze śliwek i suszonych rodzynek. Napelniła nim kieliszki.

– To wypijmy za to spotkanie, tak jak piło się w Polsce – zaproponował Dominik i wszyscy spełnili toast.

– Właśnie mi uświadomiłeś – powiedziała nagle Jana – że my troje właściwie jesteśmy Polakami.

Dominik i Dolores spojrzeli na siebie nieco zaskoczeni. Nie spodziewali się, że pułkownik KGB tak bez ogródek podkreśli swoje

polskie korzenie.

Albo sprytnie zagrywa, albo tak czuje – przeszło Dominikowi przez myśl.

– Bo jesteśmy – przyznał. – Tak jak byli nimi twój brat i moja Inez. Pewnie dlatego rozmawiamy teraz po polsku. Musisz poznać historię Jana Ratza, bo to był prawdziwy mężczyzna, z którego byłabyś dumna.

I zaczął opowiadać. A kiedy doszedł do wypadku przed hotelem Algonquin, Dolores ponownie napełniła kieliszki bimbrem i wszyscy wypili.

Pułkownik KGB siedziała zadumana, jak gdyby trawiąc w myślach to, co przed chwilą usłyszała. Nagle ożywiła się i zadała proste pytanie:

– Co zamierzacie dalej? Wspólnym wysiłkiem pozbyliśmy się, że tak to ujmę, pionków, zostały grube ryby. Van Vertów nie da się sprzątnąć ot tak, po prostu.

– Wiemy o tym. Dlatego postanowiliśmy działać inaczej – odparł Dominik i zrelacjonował akcję z anonimem.

– No... brawo! Świetnie pomyślane i jeszcze lepiej wykonane. Przyznam, że nie znałam tego epizodu. W oczach Kennedych Van Vertowie są skończeni, zresztą to starzy wrogowie – powiedziała z niekłamanym uznaniem pułkownik KGB. Po chwili jednak, jakby z pewnym zakłopotaniem, dodała: – Ale w takiej sytuacji tym bardziej czegoś tu nie rozumiem...

– Wszystko ci wytłumaczymy, pytaj śmiało! – zachęcała Dolores, dumna jak paw z uznania madame colonel.

– KGB to wywiad agenturalny. Werbunek agentów i uporczywa obserwacja celów to główna metoda naszej pracy – odrzekła bez pośpiechu Jana. – Domyślcie się zatem, skąd wiem, że trzeciego lipca lord Grey był gościem Victora i Martina Van Vertów w ich szwajcarskiej rezydencji nad Jeziorem Zuryskim. Przez prawie sześć godzin...

W salonie wynajętego mieszkania zaległa cisza. Zupełnie jak w sali koncertowej, gdy dyrygent unosi batutę, a zastygła w bezruchu orkiestra czeka na sygnał do rozpoczęcia muzycznej uczy. Takie skojarzenie przyszło na myśl Janie, prywatnie miłośniczce muzyki

symfonicznej.

W końcu odezwał się Dominik.

– Lord Grey nigdy nie ukrywał swojej znajomości z Victorem Van Vertem. Obracają się w tym samym towarzystwie...

– Jakim towarzystwie? – zapytała na pozór niewinnie pułkownik Jana, ale Dolores wyczuła instynktownie, że najgorsze dopiero nastąpi.

– Bogatych i ustosunkowanych ludzi z całego świata... – zaczął powoli Dominik i nagle zamilkł.

– To nie takie proste, Dominiku – podjęła temat madame colonel. – Tego samego dnia, gdy lord Grey spotykał się w Szwajcarii z Van Vertami, w Moskwie pojawił się wysokiej rangi oficer MI6 Kim Philby i postanowił zamieszkać tam na stałe. Tak jak paru jego kolegów wcześniej. Był agentem KGB niemal od czasów uniwersyteckich. Wie wszystko o establishmencie brytyjskim i bardzo dużo o amerykańskim. Podczas swojego ostatniego pobytu w Moskwie rozmawiałam z nim wiele godzin. Według Philby’ego Van Vertowie i Greyowie są częścią światowej struktury najbogatszych rodów, takiej międzynarodówki bogaczy wagi superciężkiej, którzy porozumiewają się ze sobą ponad głowami rządów, aby pomnażać swoje aktywa i nie wchodzić sobie wzajemnie w drogę. Wiedza Philby’ego w tym zakresie potwierdza informacje znalezione przez nas jeszcze w archiwach carskiej ochrony i pozyskane od jej oficerów, których Dzierżyński kazał zatrudnić w wywiadzie nowego państwa radzieckiego. Ten klub najbogatszych to nie fenomen ostatnich lat, ale znacznie starsza formacja. Dziś najważniejszą rolę odgrywają w niej struktury rodów amerykańskich i brytyjskich. Szefem tych pierwszych jest Victor Van Vert, a strukturą brytyjską zarządza wasz przyjaciel, lord William Huntington Grey.

W salonie znów zaległa cisza. Madame colonel nie pozostało zatem nic innego, jak tylko napełnić kieliszki bimbrem. Dolores i Dominik patrzyli na siebie z niedowierzaniem. Obojgu przyszło na myśl, że pułkownik KGB może prowadzić jakąś grę, ale jaką i po co? Sama tkwiła w tej sprawie i wydawała się autentycznie zaangażowana. A jeżeli po prostu ich rozpracowywała na polecenie swoich przełożonych? Może wywiad postawił jej jakieś zadania, które dla nich dwojga nie były jeszcze jasne?

Pierwsza odezwała się Dolores.

– Nie obraż się, Jano, ale w mitologii izraelskiej jest legenda o faryzeuszach, którzy opracowali złą kabałę, aby zapanować nad światem...

Madame colonel ani myślała się obrażać. Przeciwnie, uśmiechnęła się ze zrozumieniem i zaczęła wyjaśniać.

– Znam tę legendę, Dolores. To chyba między innymi na jej podstawie nasi znakomici poprzednicy z ochrony sporządzili dokument zatytułowany *Protokoły mędrców Syjonu*, który swego czasu narobił sporo zamieszania nie tylko w Europie. Niestety, organizacja, o której mówię, to nie legenda, lecz rzeczywistość. Gdy przejęto dokumenty ochrony na ten temat, a oficerowie, którzy je tworzyli, zaczęli przybliżać tę kwestię nowym władcom, już wtedy zapadła decyzja, aby założyć stosowną teczkę obiektową i kontynuować rozpracowywanie tej kwestii jako potencjalnego zagrożenia dla ZSRR. Z informacji ochrony wynikało, że przed rewolucją rody rosyjskie też należały do tych międzynarodowych struktur. Jednak w porewolucyjnej zawierusze znakomitą ich większość trafił szlag. Jak więc widzicie, KGB zajmuje się tą kwestią już od kilkadziesiąt lat i zapewniam was, że nie są to bajki.

– Czy próbowaliście infiltrować te struktury poprzez rosyjskie rody, które przetrwały na emigracji i były na tyle przewidujące, aby przed rewolucją wyprowadzić znaczną część swoich majątków na Zachód? – włączył się do rozmowy Dominik, starając się ustalić w ten sposób wiarygodność pułkownik KGB.

– Oczywiście, i to z pewnym powodzeniem – odpowiedziała bez wahania Jana. – Ale to, co zostało z tych rodów na emigracji, praktycznie przestało się liczyć, bo były one przetrzebione i utraciły jakikolwiek wpływ na wydarzenia w Rosji, czyli de facto w ZSRR, a przecież właśnie to ma dla międzynarodowych struktur najbogatszych rodów zasadnicze znaczenie. Dlatego niedobitki rodów rosyjskich wypadły z gry. Ponadto wiemy, że struktury te mają własne służby wywiadowcze, które przewidziały, że będziemy starali się infiltrować białych Rosjan na emigracji. Tym bardziej odcięli ich od dalszej, nazwijmy to, przynależności klubowej.

– To logiczne i przekonujące – ocenił Dominik. – Wróćmy

jednak do przerwane go wątku. Anonim, o którym wspomniałem, napisał młody Malcolm Grey, a do prezydenta Kennedy'ego i jego brata dokument ten dotarł z odpowiednim komentarzem tylko dzięki dobrej woli i osobistemu zaangażowaniu samego lorda Greya. Czym to wytłumaczysz? Działaniem na dwa fronty?

– Wśród rodów zdarzają się kłótnie, nieporozumienia i różnice poglądów, jak w każdej rodzinie czy organizacji. Ale po to właśnie są te struktury, żeby niesnaski nie przerodziły się w otwartą wojnę, która jest najkosztowniejszym sposobem dochodzenia do ugody, a rody chcą zarabiać, nie tracić – tłumaczyła oficer KGB. – Lord Grey to człowiek honoru i musiał jakoś pomścić śmierć dobroczyńcy swojego syna. Malcolm tym bardziej. Przekazując Kennedym anonim, Anglik zemścił się podwójnie, ponieważ dał im niebywały materiał kompromitujący Martina Van Verta, a zatem cały ród Van Vertów, który od dawna wchodził im w drogę. Tym samym lord Grey poprawił własną pozycję w Lidze Rodów, bo dopóki w Stanach rządzi klan z Hyannis Port, to wpływy Van Vertów są tam równe zeru. Nie musi już więc się mścić.

– Dlaczego zatem spotkał się z Van Vertami? – zapytał Dominik.

– O ile wiem, było to rutynowe spotkanie przedstawicieli krajowych struktur Ligi, więc lord Grey musiał się na nie stawić, zwłaszcza że już porachował się po cichu z Van Vertami – odpowiedziała madame colonel. – Victor chyba go przeprosił za incydent w Nowym Jorku, bo w pewnym momencie połało się dużo szampana. Najlepszego... Popijali już we trójkę, z Martinem Van Vertem, stąd mój wniosek.

Dolores i Dominik spojrzeli po sobie. Jeżeli to, co mówiła Jana, było zgodne ze stanem faktycznym, stanowiło dla obojga informację wielkiej wagi. Dlatego Dolores zdecydowała się pójść dalej i zadać jeszcze jedno pytanie. Była zdenerwowana i starała się opanować, gdyż nie chciała, aby jej rozmówczyni to wyczuła, niemniej odpowiedź, taka czy inna, miała dla niej życiowe wręcz znaczenie.

– A co możesz powiedzieć o Malcolmie, synu lorda Greya? Był bardzo przydatny w naszych działaniach przeciwko Van Vertom i innym ludziom z grupy Martina. Nie bardzo chce mi się wierzyć, że



przebaczy i zapomni.

– Nie mogę ci udzielić informacji pewnej, bo po prostu takiej nie mam – odrzekła madame colonel, wyczuwając w głosie Dolores napięcie. – Mogę jedynie spekulować...

– Spekuluj, proszę – wtrącił się Dominik, gdyż doskonale zdawał sobie sprawę, ile wysiłku psychicznego kosztuje Dolores ta rozmowa.

– Nie ma takiej możliwości, aby syn lorda Greya nie wiedział o istnieniu Ligi czy o roli, jaką jego ojciec pełni w jej brytyjskich strukturach, ponieważ cały zamysł organizacji opiera się na powiązaniach rodzinnych. Gwarantuje to maksimum szczelności i zaufania – tłumaczyła pułkownik Jana. – Jeśli syn nie jest upośledzony ani nie istnieją żadne inne istotne powody... a tu nie mamy do czynienia z niczym takim... ojciec musi go wprowadzić w struktury Ligi. Jeżeli lord Grey coś uzgodnił z Van Vertami w Szwajcarii, to jego syn powinien się do tego bezwzględnie zastosować. Takie zasady obowiązują w Lidze. W przeciwnym razie szef struktur krajowych utraciłby wiarygodność. Malcolm Grey nie ma wyboru – szlachectwo zobowiązuje. W przypadku tej rodziny dosłownie.

– Sugerujesz zatem, że dla Greyów sprawa śmierci Inez i Rataja jest zamknięta? – Dolores chciała się upewnić, że dobrze rozumie spekulacje Jany. – Bo dogadali się z Van Vertami jak ród z rodem?

– Tak wnioskuję w świetle ich spotkania w Szwajcarii – rzekła pułkownik KGB. – Żeby nie wypaść z klubu najbogatszych, należy nieustannie pomnażać majątek, a zemsta temu nie sprzyja. Zresztą postaw się na miejscu lorda Greya. On i tak dużo zrobił, aby dokopać Van Vertom. Teraz musi myśleć o interesach własnego rodu, także finansowych.

Przecucie Dolores co do zmiany nastawienia Malcolma jednak się sprawdziło. Zaczynał w niej narastać gniew.

– Może dla Greyów sprawa jest zamknięta, ale na pewno nie dla mnie – oznajmiła dobitnie. – A dla was?

Jana nie wiedziała, jakie relacje łączą Dolores z Malcolmem, i nie zamierzała o to pytać, ale czuła coraz wyraźniej, że jest tu jakieś drugie dno.

Czyżby jednak...? – pomyślała. Niedobrze. Kiedy w grę wchodzi zemsta, uczucie to zawsze zły doradca.

– Sądzę, że dla nikogo z nas ta sprawa nie jest jeszcze zamknięta – powiedziała głośno. – Nie możemy jednak po prostu zabić Martina Van Verta. Byłoby to dla niego... hm... za mało bolesne i prawdopodobnie sprowokowałoby gwałtowną reakcję Van Vertów, a może też innych rodów. Musimy wymyślić coś bardziej finezyjnego, co dotknie całą jego rodzinę. Jak wiecie, jestem adeptem agenturalnej szkoły wywiadu. Dlatego proponuję podjąć drobiazgowie rozpracowanie Martina Van Verta i jego rodu, tak jak rozpracowuje się figuranta do werbunku. Musimy wiedzieć o Martinie wszystko, więcej, niż on sam wie o sobie. Znajdziemy wtedy jego najsłabszy punkt i w niego uderzymy...

– Albo ten najsłabszy punkt sami wykreujemy, madame colonel, bo chyba tak też się robi w wywiadzie agenturalnym, nieprawdaż? – wszedł jej w słowo Dominik.

– No brawo! Widzę, że mam do czynienia z fachowcem – ucieszyła się Jana. – Oczywiście, że tak się robi. Ale skoro o tym mówisz, to intuicja szpiega podpowiada mi, że coś ci chodzi po głowie...

– Tak, pani pułkownik. Chodzi – przyznał się Dominik z rozbrajającą szczerością.

Dolores przysłuchiwała się rozmowie dwojga zawodowców i coraz bardziej poprawiał jej się humor. Nie miała już żadnych wątpliwości, że także dla nich śmierć Inez i Jana nie jest sprawą zamkniętą.

– Obsiądziemy młodego Van Verta jak muchy gówno, że użyję takiego porównania – podsumowała.

– Zrobimy to jeszcze lepiej – odpowiedziała Jana. – Ale nie możecie wprowadzić w nasze plany ani lorda Greya, ani jego syna. W tej sprawie nie są już naszymi sojusznikami. Niestety... Rozumiemy się?

– Tak – odparła pewnym głosem Dolores i dodała: – Ale rozsądniej będzie przed nimi udawać, że i dla nas sprawa jest zamknięta.

Dominik rozlał biber do kieliszków i zaproponował

tradycyjny toast:

– Na pohybel naszym wrogom!

Kiedy się napili, pułkownik Jana nieoczekiwanie zmieniła temat.

– Dlaczego Cewi przez tyle lat nie znalazł sobie żony?

– Sama sobie czasem zadawałam to pytanie – odpowiedziała Dolores. – A ty masz męża, dzieci?

– Nie miałam męża. Czasu nie było ani chęci. – Jana na krótko pogrążyła się w zadumie. – Przez pierwsze lata po wojnie chyba jeszcze żyłam myślami o związku z Cewim. Potem przyzwyczałam się już do stanu wolnego i jest mi z tym dobrze.

– No to masz odpowiedź, dlaczego Cewi jest sam – odrzekła Dolores. – Odwrotna strona tego samego medalu.

– Pozdrów go ode mnie – poprosiła pułkownik Jana. – Gdyby kiedyś miał ochotę spotkać się ze mną, to z mojej strony nie byłoby przeszkód.

– Powiem mu to. Ucieszy się. Jestem o tym przekonana.

## 22 listopada

Już od kilku dni Dolores przebywała w Londynie, spotykając się z Malcolmem w atmosferze pełnego odprężenia. W rozmowach żadne z nich nawet nie wspomniało o rodzice Van Vertów. Malcolm powiedział jej natomiast, że zadzwonił do niego ktoś z Białego Domu i zapytał, czy nie byłby zainteresowany posadą honorowego członka rady naukowej Smithsonian Institution, najbardziej prestiżowego kompleksu muzealno-badawczego w Stanach Zjednoczonych. Prezydent John Kennedy rewanżował się za wizytę lorda Greya w Hyannis Port. Ale Dolores nie wykorzystała nawet tej okazji, by nawiązać do zemsty na Van Vertach. Uznała, że jeśli kwestia ta jest zamknięta dla Malcolma, to nie będzie mu niczego narzucać, tylko po prostu zajmie się tym, co ustaliła z Dominikiem i madame colonel. Nie chciała też dopuścić do sytuacji, w której Van Vertowie i jakieś struktury rodowe stanęłyby między nią a jej ukochanym.

O siedemnastej w hotelu Ritz na Piccadilly zaczęto podawać popołudniową herbatę. W tym neoklasycystycznym budynku w stylu Ludwika XVI było to wydarzenie dnia. Malcolm uwielbiał celebry, jaka temu towarzyszyła, i starał się do brytyjskiej tradycji przekonać ukochaną. Udawało mu się to jedynie w niewielkim stopniu, bo aczkolwiek Dolores chętnie uczestniczyła w *five o'clock tea*, to głównie dlatego, że ją to śmieszyło i miała dobrą zabawę... Ale zachowywała się poprawnie i elegancko.

Tym bardziej że tego wieczoru mieli udać się na kolację do domu lorda Greya. Malcolm tak długo męczył Dolores, aby zgodziła się na taką prezentację, aż uległa jego prośbom. Jako oficer wywiadu izraelskiego skalkulowała, że dobrze będzie poznać ojca Malcolma, a zarazem szefa brytyjskich struktur Ligi. Postawiła jednak ukochanemu warunek, że na razie nie może jej przedstawić jako siostry Inez. Malcolm przychylił się do tego pomysłu. Nie chciał tłumaczyć ojcu, że zna Dolores już dwadzieścia lat i że przez te wszystkie lata widywał się z nią regularnie. Wolał poczekać, aż znajomość lorda Greya z piękną sympatią syna nieco okrzepnie...

W rezydencji w Kensington mieli się stawić za niecałe dwie godziny, ale chcieli przejść na piechotę przez Hyde Park, toteż szybko uporali się z popołudniową herbatą w Ritzu i ruszyli w drogę. Szli niespiesznie, jak ludzie nieobarczeni żadnymi troskami...

Kwadrans po dziewiętnastej Malcolm zastukał poślacaną kołatką do drzwi londyńskiej rezydencji rodziny Greyów. Otworzył majordomus, który serdecznie powitał młodego lorda i nisko się uklonił jego partnerce. Służąca przyjęła od nich wierzchnią odzież, a majordomus poprowadził do salonu, w którym oczekiwał lord Grey. Malcolm przywitał się z ojcem, a następnie przedstawił swoją towarzyszkę.

– To jest Eve, ojcze, wspominałem ci, że znamy się trochę.

Lord Grey z wielkim zainteresowaniem, ograniczonym jedynie wymogami dobrych manier i etykiety, przyglądał się Dolores. Przez chwilę wydawało mu się, że być może gdzieś ją widział, ale to przecież było niemożliwe, gdyż zapamiętałaby tak piękną twarz...

– Bardzo mi miło powitać panią w naszym domu, Eve – rzekł z uśmiechem. Nie pamiętał, kiedy Malcolm ostatni raz przedstawiał mu jakąś swoją znajomą. Dobre wychowanie nie pozwalało mu o tym wspomnieć, aby nie zawstydząć syna, ale pragnął podkreślić specjalny charakter tego spotkania. – Może napijemy się z tej okazji szampana, droga pani?

– Z największą przyjemnością, lordzie Grey – odpowiedziała kobieta o niepokojącej urodzie i usiadła w jasnobieżowym fotelu, który wskazał jej gospodarz.

Stary arystokrata skinął na majordomusa, który zabrał się do otwierania czekającej już w kubelku z lodem butelki szampana Dom Pérignon, a następnie powoli napełnił trunkiem smukłe kieliszki i podał je całej trójce, poczynając od kobiety.

– Dopilnuję przygotowań do kolacji, milordzie – rzekł majordomus i gdy lord Grey skinął głową, opuścił pokój.

– Pani zdrowie, Eve. Mam nadzieję, że nie będzie to nasze ostatnie spotkanie – rzekł gospodarz i jakby z lekkim ociąganiem dodał: – Ani tym bardziej wasze, moi drodzy...

Ale zanim ktokolwiek zdążył choćby zamoczyć usta w szampanie, do salonu wbiegł majordomus i nie zachowując żadnych

wymogów etykiety, zaczął mamrotać:

– Zabito amerykańskiego prezydenta... Radio podaje, że zamordowano Johna Kennedy'ego... Zastrzelono go w Teksasie...

Cała trójka spojrzała na niego jak na człowieka niespełna rozumu. Malcolm natychmiast włączył stojące w salonie radio ustawione na BBC. Spiker bez przerwy informował, że podczas przejazdu otwartym samochodem przez Dallas w Teksasie postrzelony został prezydent Stanów Zjednoczonych. Zmarł w szpitalu około trzynastej lokalnego czasu...

Napełniony szampanem kieliszek wysunął się z ręki lorda Greya i z hukiem rozbił się o podłogę. Stojąca obok Dolores błyskawicznie podskoczyła do chwiejącego się na nogach arystokraty i pomogła mu usiąść w jednym z foteli. Stary człowiek szeptał coś do siebie i to, co usłyszała, po prostu ją zmroziło.

– Kazali go zabić, Victor kazał go zabić...

Natychmiast znalazł się przy nich Malcolm, wziął ojca za rękę i zaczął mierzyć mu puls. Lord Grey powoli dochodził do siebie. Majordomus pochylał się nad rozbitym kieliszkiem. Dolores wnet doszła do wniosku, że powinna opuścić dom Greyów, gdyż ojciec i syn będą chcieli porozmawiać...

– Malcolmie, lordzie Grey, pozwolicie, że się pożegnam. Sytuacja jest nadzwyczajna i z pewnością chcecie porozmawiać i spotkać się z różnymi ludźmi. Kolację zjemy kiedy indziej. Bez problemu złapię taksówkę i dotrę do hotelu.

Ani lord Grey, ani jego syn nie oponowali. Wiedzieli, że muszą porozmawiać, a nie mogli tego zrobić w jej obecności. Malcolm odprowadził Dolores do drzwi wejściowych i pocałował na pożegnanie.

– Postaram się zaaranżować tę kolację na jutro wieczór, kochanie. Dasz sobie radę? – zapytał troskliwie.

– Zapomniałaś, że jestem szpiegiem? – odparła. – Lepiej zajmij się ojcem. Do jutra.

Gdy zamknęły się za nią drzwi i przeszła kilka metrów ulicą, wyjęła z torebki niewielki odbiornik i w mig dostroiła go do urządzenia podsłuchowego, które podczepiła pod jeden z foteli w salonie podczas zamieszania ze stłuczonym kieliszkiem. Z uwagą

zaczęła się przysłuchiwać rozmowie, jaka toczyła się w domu Greyów.

– Już lepiej, ojcze? – zapytał troskliwie Malcolm, z niepokojem patrząc na lorda Greya, który siedział sztywno w fotelu, wpatrzony w jeden punkt.

Stary arystokrata nie odpowiedział, tylko uspokajająco skinął głową. Dopiero po chwili się odezwał.

– Podaj mi, Malcolmie, lampkę koniaku. Muszę się wzmocnić. Sobie też nalej. Powinniśmy poważnie porozmawiać.

Malcolm nalał koniaku do wielkich kieliszków i usiadł obok ojca.

– Gdy niedawno rozmawiałem w Szwajcarii z Vic torem Van Vertem, był głęboko i absolutnie przekonany, że dojdzie do wojny w Wietnamie. Z prezydentem Kennedym czy bez niego, jak to określił. Teraz rozumiem, o co mogło mu chodzić. On musiał wiedzieć, że prezydent zginie – oświadczył lord Grey. – To straszne. Nie uwierzyłbym w coś takiego, gdybym sam go nie słyszał.

– Czy chcesz powiedzieć, ojcze, że Van Vertowie zawiązali spisek na życie prezydenta Kennedy’ego? – z niedowierzaniem zapytał Malcolm.

– Victor Van Vert przekonał szefów i przedstawicieli głównych struktur krajowych Ligi, że wojna w Wietnamie jest niezbędna dla powstrzymania komunizmu w Azji. Wszyscy zarobią na niej krocie, bo będzie to długa i skomplikowana batalia. My też zarobimy, inwestując w City, bo bylibyśmy głupi, nie robiąc tego – odpowiedział lord Grey. – Podstawową przeszkodą był John Kennedy. Ale już nie żyje. Jego miejsce zajmie wiceprezydent Lyndon Johnson, konserwatywny demokrat z Teksasu. On nie będzie oponował przeciwko wojnie. Nie sposób wykluczyć, że Victor i jego kumple stoją za tym morderstwem, choć nigdy nie sądziłem, że mogą posunąć się tak daleko... Czy wiadomo, kim jest sprawca? Działał w pojedynkę czy w grupie?

– Nie jeszcze nie słyszałem o sprawcy – rzekł Malcolm. – Ale to, co mówisz o Victorze, napawa mnie przerażeniem, a niełatwo mnie przerazić. Jeżeli rzeczywiście on stoi za zamachem na prezydenta Stanów Zjednoczonych, to nie ma dla niego świętości.

Jego ród i ci, na których ma wpływ, będą gotowi na wszystko, aby osiągnąć swoje cele...

– Na to wygląda – odrzekł w zamyśleniu stary arystokrata. – Zabójstwo arcyksięcia Ferdynanda i jego małżonki stało się bezpośrednią przyczyną pierwszej wojny światowej. Także wtedy ci, którzy mieli zarobić na niej krocie – zarobili. Van Vertowie i wszystkie rody w państwach europejskich. My też... Tak, wojna to wspinały biznes, niestety!

– Moi polegli bracia i ich towarzysze broni nie podzieliliby takiego poglądu – zachnął się Malcolm. – Nie wspomnę już o milionach zabitych cywilów!

– I ja go nie podzielam, synu! – zripostował energicznie lord Grey. – Odwieczny problem najbogatszych rodów Ligi polega na tym, że zdaniem większości najlepszym i najszybszym sposobem pomnażania majątku jest wojna i obrót bronią na wielką skalę. Ci, którzy uważają, że bogactwo płynie głównie z pokojowego handlu, znoszenia barier celnych i maksymalnego poszerzania strefy całkowicie wolnego obrotu towarów i usług, są cały czas w mniejszości. Ludzie lubią kurczowo trzymać się sprawdzonych, jak im się wydaje, metod.

– Musi być coś, co możemy zrobić, aby powstrzymać Van Vertów i im podobnych – rzekł Malcolm. – Ciągłe wojny to szaleństwo...

– Zgadzam się z tobą. Sam od wielu lat należę do tej pokojowej mniejszości w Lidze. Jak święty Augustyn zawsze uważałem, że pokój jest gwarancją porządku – odparł ojciec. – Ale nic nie da się zrobić w obecnej rzeczywistości. Nie mamy niepodważalnych dowodów, że Van Vertowie stoją za zabójstwem prezydenta Stanów Zjednoczonych. Mamy tylko przekonanie oparte na mojej rozmowie z Victorem i Martinem w Szwajcarii. To bardzo mało. Do kogo z tym pójdziesz? Do kolejnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, który szczerze nienawidził swojego poprzednika i jego brata, bo czuł się przy nich jak wieśniak? Do wielkich mediów? Przecież one są kontrolowane przez rody Ligi! Jeżeli zaś będziesz zbyt namolny, to cię zabiją. Dziś otrzymaliśmy próbkę ich możliwości...

– To co robić? – zapytał Malcolm, nie dając za wygraną.



– Trzeba zrobić wszystko, aby nie wypaść z górnej półki Ligi, bo wtedy już zupełnie nie będziemy wiedzieli, co ci ludzie knują. Może kiedyś znajdzie się na nich sposób. Ale nie dzisiaj i nie jutro. Paradoksalnie więc musimy wykorzystać do granic możliwości nadchodzącą wojnę w Wietnamie, aby umocnić naszą pozycję finansową i być blisko Van Vertów.

– Ktoś mógłby to nazwać bardzo cyniczną polityką – cierpko zauważył młody lord Grey, patrząc ojcu w oczy.

– Nie, synu – odparł zdecydowanie brytyjski arystokrata. – To jest *Realpolitik* w wydaniu metternichowskim. Polityka jako wypadkowa rzeczy możliwych. Jeżeli masz lepszy pomysł, to gotów jestem cię wysłuchać.

– Nie, ojcze. Nie nie przychodzi mi do głowy – rzekł z rezygnacją Malcolm.

– Zaprosz swoją uroczą znajomą jutro na kolację – zaproponował lord Grey. – Jest w niej coś niepokojącego...

– Tak zrobię, ojcze – ochoczo zgodził się Malcolm.

Dolores odjęła odbiornik od ucha, schowała go do torebki. Złapała taksówkę i kazała się zawieźć do Ritza. Tam usiadła przy barze i zamówiła porcję czarnego kawioru z grzankami i kieliszek polskiej wyborowej. Była z siebie zadowolona. Gdy przyszło jej na myśl, aby na wszelki wypadek zabrać ze sobą do domu Greyów sprzęt do podsłuchu, nawet nie przypuszczała, że tragiczne zrzędzenie losu, jakim była gwałtowna śmierć amerykańskiego prezydenta, pozwoli jej uzyskać tak bezcenne informacje o metodach działania Ligi. Mimo bogatych doświadczeń wojennych i operacyjnych była wstrząśnięta tym, co usłyszała. Zdała sobie sprawę, że Van Vertowie i struktury rodów to znacznie potężniejszy i bardziej bezwzględny przeciwnik, niż sądziła.

Wypiła stojącą przed nią wódkę i zaczęła delektować się kawiozem. Myślała o Malcolmie. Instykt podpowiadał jej, że wiadomość o zamordowaniu prezydenta Stanów Zjednoczonych w wyniku potencjalnego spisku była dla niego wstrząsem. Doskonale знаła jego wrażliwość i głębokie przekonanie, że każdego człowieka powinny obowiązywać podstawowe zasady moralne.

Poczucie fair play nie pozwoli mu przejść do porządku nad tym

morderstwem – pomyślała. Przekonam go, że musi wziąć udział w walce z Van Vertami i tymi ich strukturami razem ze mną, Dominikiem i Janą.

\*

We wspaniałej bibliotece rezydencji Van Vertów na Long Island zgromadzili się czterej najważniejsi członkowie rodu Van Vertów: Victor, jego brat Frederick oraz synowie Martin i Vick. Pili stuletnią whisky, która dziesiątki lat dojrzewała w dębowych skrzyniach i nie była dostępna w sprzedaży dla zwykłych śmiertelników. Kamerdyner dostał tego wieczoru wolne i pijący obsługiwali się sami. Mimo zapowiedzianej żałoby narodowej w związku ze śmiercią prezydenta wszyscy byli w doskonałych humorach.

Victor Van Vert wznosił szklaneczkę ze szlachetnym trunkiem.

– Proponuję zdrowie nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Lyndona Bainesa Johnsona. Oby spełnił wszystkie nasze oczekiwania...

– *Hear, hear!* – zakrzyknęli na angielską modłę pozostali i zgodnie wypili do dna.

– Lyndon to porządny chłop – zaczął mówić Frederick Van Vert, który ze świeżo upieczonym prezydentem spędził wiele lat w Kongresie. – I nietuzinkowy człowiek. W jednej chwili potrafi zachować się jak kowboj z najgorszego saloonu, a w drugiej wykazać wyrefinowaniem poety. To w sumie głęboki umysł. A co do naszych oczekiwań, to nie mam najmniejszych wątpliwości, że je spełni. Wybiera się do niego nasz przyjaciel, były prezydent Dwight Eisenhower, który doradzi mu, co należy robić w zakresie bezpieczeństwa narodowego, zwłaszcza w Wietnamie...

Martin Van Vert niewiele mówił tego wieczoru. Od wielu miesięcy wdrażał się w obowiązki koordynatora amerykańskich struktur Ligi. Poznawał wiele osób. Ale cały czas odnosił wrażenie, że nie zgłębił jeszcze wszystkich tajemnic organizacji. Śmierć prezydenta w wyniku zamachu zaskoczyła go w takim samym

stopniu jak cały naród. Natychmiast przypomniał sobie, z jaką pewnością ojciec mówił o nadchodzącej wojnie w Wietnamie, zwłaszcza podczas spotkania z lordem Greyem w Szwajcarii.

Jak on to wtedy ujął? – Martin wyteżył pamięć. „Z Kennedym czy bez niego, do tej wojny dojdzie”. Jeżeli za zamachem stali ludzie struktur, to na pewno kierował nimi Frederick pod ścisłą kuratelą ojca – przeszło mu przez myśl. Musieli planować to od dawna. Nie wtajemniczyli mnie, gdyż nie było takiej potrzeby. Stara zasada *need to know*.

Skoro tak, to wiedział doskonale, że nie będzie mógł zapytać ojca ani nikogo z tego grona, czy struktury miały coś wspólnego ze śmiercią prezydenta. Nikt mu nic nie powie...

Targały nim sprzeczne uczucia. Jeszcze niedawno był wysokiej rangi oficerem amerykańskiego wywiadu, miał za zadanie bronić bezpieczeństwa narodowego, państwa i... prezydenta.

Jeżeli stoi za tym moja rodzina, to wobec kogo mam być lojalny? – pomyślał nagle.

Victor Van Vert, wyczuwając rozterki syna, podszedł do niego, wziął go pod ramię i zaczął wyjaśniać:

– Bywają niekiedy takie sytuacje, synu, że życie nie pozostawia wyboru...

– Zawsze jest wybór – odparł Martin. – Dobry lub zły!

– No, Martin, nie dąsaj się. Nie mogliśmy cię o wszystkim uprzedzić – rzekł pojednawczo Victor. – Ale to się zmieni. Przrzekam!

O Boże, więc to jednak oni! – uświadomił sobie ponad wszelką wątpliwość. Ojciec myśli, że mam im za złe, że nie wciągnęli mnie w ten spisek! Bogu dzięki, że tak się stało, bo nie wiem, co bym zrobił...

– Nie ma sprawy, ojczu. Jestem dorosły i rozumiem wymogi i mechanizmy organizacyjne. – Udzieliwszy takiej odpowiedzi, jakiej oczekiwał ojciec, Martin wzniósł toast. – Parafrazując stare francuskie powiedzenie: prezydent nie żyje, niech żyje prezydent!

– Świetny tekst! – podchwycił stryj Frederick. – Piję za to!

Tego wieczoru nikt w rezydencji na Long Island nie mówił już o zamordowanym prezydencie. Wszystkie rozmowy dotyczyły jego

następcy i tego, co zamierza robić w Azji.

## 23 listopada

– Dlaczego zginął prezydent John Kennedy?

Dolores zadała to pytanie lordowi Greyowi, bo wydawało jej się, że byłoby nienaturalne, gdyby tego nie zrobiła.

– Bardzo trudno jest na to odpowiedzieć – odrzekł lord Grey. – Na ogół przywódcy państw giną w zamachach, bo komuś przeszkadzają. Czas pokaże, kto odniesie z tej śmierci największą korzyść. Cokolwiek dziś powiem, może się okazać przedwczesne.

Oficer wywiadu izraelskiego nie kontynuowała tematu, gdyż nie było już takiej potrzeby. Słowa brytyjskiego arystokraty wydawały się wystarczająco szczerze.

Po kolacji majordomus zaprosił wszystkich na kawę i koniak do salonu. Pozwoliło to Dolores zająć miejsce w tym samym fotelu co dzień wcześniej i usunąć podpięte pod niego urządzenie podsłuchowe.

Wczorajsze wydarzenia kładły się cieniem na przebiegu kolacji w kensingtonskiej rezydencji Greyów. Przez cały wieczór stary lord był zamyślony i jakby nieobecny. Rozmowa nie kleiła się i Dolores postanowiła jak najszybciej się pożegnać.

– Mam nadzieję, że nasze kolejne spotkanie odbędzie się w weselszych okolicznościach – rzekł na pożegnanie gospodarz, usprawiedliwiając w ten sposób swoje niedostateczne zaangażowanie towarzyskie. – Malcolm, odwieź panią Eve do hotelu, jak na dżentelmena przystało.

Przejazd taksówką zajął im kilka minut i Dolores zaproponowała drinka w barze hotelowym. Sama zamówiła wódkę, a Malcolm poprosił o koniak Hennessy. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, odezwał się młody lord Grey.

– Wczoraj późnym wieczorem, zanim poszedłem spać, znalazłem pod fotelem w salonie urządzenie podsłuchowe – oznajmił spokojnym głosem. – Zakładam, że jest już z powrotem w twojej

torebce. Znasz zatem prawdę o zabójstwie amerykańskiego prezydenta i wiesz, kto za tym stoi. To straszna prawda. Co zamierzasz z nią zrobić?

Słowa Malcolma mocno ją zaskoczyły. Po chwili namysłu uznała jednak, że dobrze się stało, gdyż zaoszczędziło jej to niepotrzebnych manewrów. Przeszła zatem od razu do sedna.

– Pytanie powinno brzmieć: co my zamierzamy z tym zrobić? Nie pytaj skąd, ale wiem o istnieniu Ligi zrzeszającej najbogatsze rody. Zresztą dlaczego taka organizacja miałaby nie istnieć? To nawet logiczne. Ale to, co usłyszałam wczoraj... Sprawy przybierają niebezpieczny obrót. Chcesz powstrzymać tych ludzi? Wierzę ci, bo wiem, jakim jesteś człowiekiem. Spróbujmy więc zrobić to razem... Pomóż mi!

– W jaki sposób? – zapytał Malcolm. To, że Dolores wie o istnieniu Ligi, jakoś go nie zaskoczyło. W końcu była oficerem jednego z najlepszych wywiadów na świecie...

– Na początek powiedz mi wszystko, co wiesz o tej organizacji.

Jeżeli to zrobi – pomyślała – to znaczy, że mi ufa i jest gotów naprawdę nam pomóc.

– Zgoda, powiem ci. Chcę jednak, abyś miała pełną świadomość, że tym samym składam swoje życie, a także życie ojca, w twoje ręce.

Zamówił kolejny koniak i wypił go duszkiem, po czym rozpoczął długi monolog. Kiedy wreszcie dobrnął do końca, sprawiał wrażenie człowieka, który zrzucił z pleców ciężki plecak.

– Dałem ojcu słowo honoru, że nikomu tego nie ujawnię – wyznał. – Ale to, co się stało wczoraj w Dallas, dramatycznie zmieniło sytuację. Pierwotnie zamysł powołania Ligi zakładał działanie na rzecz zachowania równowagi w świecie i eliminacji niepotrzebnych napięć, niekiedy w drodze rewolucji, ale zawsze w imię jakiegoś postępu. To, co robią Van Vertowie, prowadzi do wynaturzenia tej organizacji. Albo uda się wrócić do pierwotnych zamysłów jej działania, albo... Nie czuję się już związany słowem, które dałem. Jestem przekonany, że ojciec tylko taktycznie będzie udawał, że wspiera Van Vertów, a w rzeczywistości nie zamierza

podporządkować się ich planom.

– Obserwując go dzisiaj, odniosłam podobne wrażenie – zaryzykowała Dolores. – Musimy go pozyskać jako sojusznika!

– Ja się tym zajmę, moja droga – odpowiedział. – Mój ojciec to dobry strateg. Gdyby Imperium Brytyjskie nadal istniało, to pewnie on decydowałby o profilu i działaniach Ligi, a nie Van Vertowie. Ale pocieszam się, że historycznie pokłady zdrowego rozsądku drzemiące w Ameryce zawsze pokonywały takich jak oni...

Spędzili razem noc w hotelu Ritz, a rankiem następnego dnia Dolores ruszyła w drogę powrotną do Izraela.

## 6 grudnia

Frederick Van Vert pociągnął łyk stuletniej whisky.

– To były interesujące dwa tygodnie – podsumował. – Opatrzność zabrała do siebie pana Oswalda, a pan Ruby też pewnie tam kiedyś trafi. Najwyższy czas zamknąć tę sprawę w sposób przekonujący dla obywateli naszego państwa.

– Jaki jest pomysł? – zapytał Victor. – Musi to być rozwiązanie, którego nie podważy byle pismak czy amator teorii spiskowych.

– Lyndon, nasz nowy prezydent, przeprowadził już serię konsultacji i wychodzi na to, że najlepiej będzie powołać specjalną komisję do zbadania zamachu na prezydenta Kennedy’ego – odparł Frederick. – Na jej czele stanie szef Sądu Najwyższego, sędzia Earl Warren, a w jej skład wejdą różne wybitne osobistości. Powinna to być komisja niezależna od władzy ustawodawczej, a przede wszystkim wykonawczej. Dzięki temu jej raport będzie wiarygodny dla wszystkich sił politycznych...

– A co ten raport stwierdzi? – zapytał Martin, który w ciągu ostatnich dwóch tygodni nabrał wielkiego podziwu dla sprawności działania stryja i kierowanych przez niego struktur.

– Nie wiem, drogi Martinie, to przecież będzie niezależna komisja – odpowiedział Frederick z kamienną twarzą. – Ale wyobrażam sobie, że przede wszystkim odnotuje brak jakiegokolwiek spisku w tej smutnej sprawie. Zarówno zagranicznego, jak i krajowego, by nie dzielić narodu.

– To słuszna teza, Fredericku. Wypijmy za to – włączył się do rozmowy Victor, a gdy wszyscy spełnili toast, zaproponował: – Zostawmy teraz historię historykom, a zajmijmy się przyszłością i sprawą najważniejszą, czyli wojną w Wietnamie. Co ty na to, Fredericku?

– Nikt nie ma wątpliwości, że jeżeli chcemy powstrzymać



komunistów w Wietnamie, musimy to zrobić przy pomocy naszych żołnierzy – zreferował Frederick. – Dlatego Lyndon zamierza pozostawić na stanowisku sekretarza obrony Roberta McNamarę. Wszyscy uważamy, że tylko on jest w stanie poprowadzić nas do zwycięstwa. Ale to nie wystarczy...

– A co jeszcze jest potrzebne do szczęścia? – zapytał nieco zdziwiony Vick Van Vert.

– Naród, synu, naród! – odparł Frederick. – Musimy wokół tej wojny skupić naród i mocniej skonsolidować Kongres.

– Jak zamierzasz to zrobić? – dążył Vick, któremu koncentracja na aktywach finansowych rodu nie zawsze pozwalała na śledzenie niuansów bieżącej polityki.

– Wróg nam pomoże, jak zawsze – odparł Frederick. – Naród dojrzał do zaangażowania Ameryki w pierwszą wojnę światową, gdy Niemcy zatopili „Lusitanię”. Dojrzał do drugiej wojny, kiedy Japończycy zaatakowali Pearl Harbor. A do wojny w Wietnamie dojrzeje, jak komuniści z Wietnamu Północnego napadną gdzieś nasze siły.

Martin i Vick słuchali stryja z napiętą uwagą.

To jest gra w zupełnie innej lidze niż zabawa w narkotyki w CIA! Martina mimowolnie przeszedł dreszcz podniecenia.

Z tych rozmyślań wyrwał go głos ojca.

– Ty się tym zajmiesz, Martinie – zdecydował nestor rodu. – Oczywiście pod kuratelą Fredericka jako pomocnika i doradcy. Przygotujecie przedsięwzięcie, które sprawi, że naród amerykański dojrzeje do wojny w Wietnamie. Coś zręcznego i przekonującego, co pozwoli prezydentowi dobrze wypaść w roli naczelnego wodza dającego odpór wrogowi.

– Oczywiście, ojcze – zapewnił Martin. – Poświęcę się takiej operacji z największą uwagą i przyjemnością.

Vick Van Vert, który na moment opuścił bibliotekę, powrócił, niosąc cienki skórzany skoroszyt.

– Pozwólcie, że na chwilę zajmę głos – powiedział, wertując dokumenty. – To są najnowsze dane z giełdy dotyczące firm zbrojeniowych, które kontrolujemy przez większościowe pakiety akcji albo w których mamy udziały mniejszościowe, ale znaczące.

Od tygodnia kursy akcji tych firm pną się do góry. Bez fajerwerków, ale w sposób zauważalny. Nie wiem, jak naród, ale biznes dojrzał już do wojny i czuje zapach prochu.

– Świetnie, Vick – skomentował Victor. – Mam więc prostą radę: inwestuj wszystko, co możemy zainwestować, w spółki zbrojeniowe. Nasze i zagraniczne, bo idą tłuste lata dla producentów broni...

Więc tak wygląda prawdziwa władza! Ciekawe – pomyślał Martin Van Vert. Bardzo ciekawe.

Zastanowił się, ilu ludzi zginie w tej wojnie i czy dałby się w niej zabić tak, jak gotów był poświęcić życie w operacjach OSS na Sycylii. Nie potrafił sobie odpowiedzieć na to pytanie.

## 8 grudnia

Nabrzeżem portowym w Hajfie, przy którym nie cumował ani jeden statek, przechadzali się w zimowym słońcu Dolores i Dominik. W końcu siedli na ławeczce i oficer wywiadu izraelskiego wyciągnęła z kieszeni płaszcza półlitrową butelkę swojego ulubionego bimbrowa.

– Nie wzięłam kieliszków, więc pozwolisz, że walnę z gwinta.

Pociągnęła solidny łyk, a następnie podała butelkę Dominikowi, który ledwie mógł się otrząsnąć po tym, co przed chwilą usłyszał.

– Aż trudno uwierzyć, że to się dzieje naprawdę – ocenił. – Jak powstrzymać tych ludzi, dokąd pójść z tą wiedzą? Trudna sprawa!

– My nie jesteśmy od łatwych spraw – zauważyła Dolores. – Albo zrobimy z tym coś sami, albo w ogóle. Spójrzmy na plusy. Liga nie jest monolitem. Lord Grey był autentycznie wstrząśnięty, gdy usłyszał o zamachu na Johna Kennedy’ego. Nigdy nie zaakceptuje takiego działania, bo nie mieści się ono w kanonach jego świata. Możemy skorzystać z potencjału trzech wywiadów – Mosadu, MI6 i być może KGB. Że nie wspomnę o twoich esesmanach. To nieźle jak na partyzantów z Polski. Nie uważasz?

Dominik spojrział na Dolores i uśmiechnął się.

Skąd w niej tyle siły? – pomyślał.

Sięgnął po butelkę, którą wcześniej postawił przy ławce i zasłonił nogą, żeby nie drażnić oczu przypadkowych przechodniów. Oboje wypili po łyku.

– A Abraham Lanker? – zapytał po chwili. – Pomoże nam w razie potrzeby w naszych rozgrywkach?

– Z tym może być problem. Mafia to wielki biznes, więc Abe nie będzie chciał się narażać Van Vertom, bo wie, że to potężny ród i może zaszkodzić jego interesom – oceniła Dolores.

Dominik się zamyślił.

– Przyszedł mi do głowy pewien pomysł – oznajmił. – Czy jest

szansa na wciągnięcie Cewiego do naszych działań tak na poważnie? Wciąż mu nie powiedziałaś, że madame colonel to jego Jana. A jeżeli zamelduje szefowi Mosadu? To nie byłoby w naszym interesie.

– Nie zamelduje – odparła bez wahania.

– Skąd ta pewność?

– Bo namówię go na randkę – wypaliła Dolores. – Gdy raz się z nią spotka, wtedy sam zdecyduje, co ma robić, inaczej nigdy nie zazna spokoju. Ale kobieca intuicja mówi mi, że nie będzie chciał jej znowu stracić...

– Przebiegłe – rzekł z uznaniem Dominik.

– Nawiasem mówiąc, chyba nie muszę ci przypominać, że jutro się z nim widzimy?

Opróżnili butelkę bimbrowa i każde udało się do swojego hotelu.

## 9 grudnia

Z raportem Dolores z czerwcowego spotkania z madame colonel Cewi zapoznał się dopiero niedawno, gdyż przez ostatnie pół roku był w ciągłych misjach operacyjnych. Siedzieli we dwoje przy stole w kuchni w zakonspirowanym domu Mosadu na wzgórzach nad Hajfą i pili świeżo zaparzoną kawę.

– Nasi szefowie bardzo cię chwalą za nawiązanie kontaktu z pułkownik Jekatieriną Iwanową – podsumował Cewi – ale wiesz, że mnie osobiście bardziej interesują niesłużbowe skutki tego spotkania.

– Tak, Cewi, wiem – odparła Dolores, rozpoczynając grę. – Musisz sam się z nią spotkać i przekonać się, kim jest naprawdę. Ja nie podejmuję się tego ocenić, to zbyt wielka odpowiedzialność.

Nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

Co te baby uknuły? – pomyślał, bo nie miał najmniejszej wątpliwości, że jego podwładna coś kombinuje.

Niemniej opcja spotkania z madame colonel była niezwykle kusząca...

– Może masz rację. Pomyślę o tym. W każdym razie dziękuję ci, Dolores – rzekł pojednawczo. – Kiedy zjawi się Dominik?

Wstała od stołu i wyjrzała przez okno z widokiem na port.

– Właśnie nadchodzi. Narysowałam mu dokładną mapkę, jak ma tu trafić, a to przecież stary partyzant.

Dominik wszedł do domu i przywitał się z gospodarzami. Z kieszeni płaszcza wyjął litrową butelkę bimbru ze śliwek i suszonych rodzynek i postawił na kuchennym stole.

– Och! – ucieszyła się Dolores. – Skąd to masz?

– Znalazłem twoją metę – odrzekł, po czym zwrócił się do Cewiego: – Dawno się nie widzieliśmy. Jest chyba o czym pogadać.

– Nawet na pewno. Ale najpierw usiądźmy i wypijmy po kieliszku – zaproponował zastępca szefa Mosadu. Rozlał alkohol. – *Lechaim!*

Pierwszy odezwał się Dominik.

– Co sądzisz o zabójstwie prezydenta Kennedy’ego?

– To wielka zbrodnia i nieszczęście. Utoruje drogę do wojny w Azji, gdzie Stany Zjednoczone ugrzęzną na wiele lat. A to odciągnie ich uwagę od spraw Bliskiego Wschodu. Środki, które nasz najbliższy sojusznik mógłby przeznaczyć na politykę w tym regionie i pomoc dla naszego państwa, zostaną wpakowane w tamten konflikt. Taka jest opinia mądrych i bogatych Żydów w Europie i niektórych mądrych i równie bogatych Żydów w Ameryce. Taka jest też opinia naszego rządu. Bardzo złą robotę prowadzi tu pewien ród gojów z Nowego Jorku, a konkretnie z Long Island...

Dominik i Dolores spojrzeli na siebie i w tej samej chwili z ich ust wyrwało się jedno nazwisko:

– Van Vertowie!

– Czemu wcale mnie nie dziwi, że zgadliście, o kogo chodzi? – zapytał retorycznie Cewi. – Jak sądzicie, da się tę wojnę jeszcze powstrzymać?

Dominik pospieszył z odpowiedzią.

– Moim zdaniem już nie. Przede wszystkim ze względów finansowych. Prezydent Kennedy nie chciał tej wojny, ale on już nie żyje. Ktoś zatem bardzo jej pragnie. Nie tylko Van Vertowie. Zarobi na niej znacznie więcej bogatych rodzin. Karty zostały rozdane, dochody policzone. Jedyne, co nam pozostaje, to dążyć do jej maksymalnego skrócenia.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś zabił prezydenta Stanów Zjednoczonych po to, aby Ameryka mogła iść na wojnę w Azji? – zapytał Cewi bez ogródek. – Masz na to dowody?

– Wyłącznie poszlakowe, ale na tyle mocne, że niejeden sąd skazałby winnych na wieczne potępienie – odparł Dominik.

– Wskażesz mi te dowody?

– To zależy, Cewi, w czym imieniu prosisz. Jeżeli w imieniu rządu, nieważne jakiego, to odpowiedź brzmi – nie. W tej sprawie żaden rząd nie da rady dochować tajemnicy, a dla nas wszystkich będzie to oznaczać samobójstwo. – Dominik starał się uważnie dobierać słowa. – Jeżeli natomiast prosisz w imieniu mądrych i bogatych Żydów, których niepokoi to, co robią inni bogaci ludzie,

zwłaszcza w Ameryce, może jest to jakiś temat do rozmowy. Ale w takim wypadku musiałbyś się podporządkować warunkom, które ja bym ustalał...

– Odpowiem ci tak, przyjacielu. Wtedy w Auschwitz Jana nie była jedyną osobą, jaką wyzwolił mój batalion. Była tam też młodzietka dziewczyna, która nazywała się Edyta Amschel. Wywodziła się z rodu zamożnych bankierów żydowskich ze Starego Kontynentu i była ulubienicą nestora rodziny...

– Zamożnych? – weszła mu w słowo Dolores. – Chyba chciałeś powiedzieć: najbogatszego rodu bankierskiego Europy wszech czasów. I to nie tylko żydowskiego.

– Otóż Edyta Amschel przeżyła dzięki mnie i zajęła należne jej miejsce w rodzinnym biznesie – mówił Cewi, ignorując wtręty swojej podwładnej. – Jej krewni pomogli mi kiedyś wyjechać do Palestyny i od tamtego czasu utrzymujemy ze sobą kontakt. Nieraz proszą mnie o jakąś radę lub przysługę. Podobnie jak ja ich. Ta sprawa z Kennedym niezwykle ich zbulwersowała i właśnie poprosili mnie o kolejną przysługę. Możecie mi pomóc w jej wyświadczeniu...

Dominik w napięciu czekał na ciąg dalszy, czując, że może to być klucz do pozyskania Cewiego dla ich sprawy.

– Wielkie pieniądze Amschelów mnożą się zarówno w czasie pokoju, jak i w czasie wojny. Ale żeby podjąć właściwe decyzje, potrzebna jest wiedza wyprzedzająca, chyba że samemu tworzy się fakty. Nikt nie lubi być zaskakiwany, a zabójstwo prezydenta Kennedy'ego i długofalowe konsekwencje tego czynu to właśnie taka zaskakująca sytuacja. Trudno jest stosownie reagować, kiedy brak pełnej informacji – wyjaśniał Cewi. – Krótko mówiąc, diagnoza moich znajomych jest następująca: Van Vertowie i być może skupieni wokół nich inni krezusi realizują jakiś długofalowy plan. Zamach na Kennedy'ego to pierwszy krok. Drugim będzie wojna w Indochinach. A co po wojnie? Amschelowie uważają, że Victor Van Vert nie rozpocząłby tego procesu, gdyby nie miał wszystkiego przemyślanego do końca. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że cała ta operacja zakończy się globalną awanturą. Można będzie na niej stracić, ale też zarobić. Jak zwykle wszystko zależy od tego, co się wie, czyli od dostępu do wiarygodnych informacji. W tysiąc

dziewięćset siedemnastym roku Amschelowie mocno się zaangażowali w działania, które zaowocowały deklaracją Balfoura i decyzją ówczesnego rządu brytyjskiego, która umożliwiła Żydom osiedlanie się w Palestynie, wtedy protektoracie brytyjskim. Na bazie tego osadnictwa powstało Państwo Izrael. Moi znajomi nie chcieliby, aby ten wysiłek poszedł na marne i nieprzemyślane działania amerykańskie w Azji zagroziły żywotnym interesom Izraela. Ani ich żywotnym interesom, rzecz jasna. Dlatego woleliby wiedzieć, co knują Van Vertowie, i poznać ich plan. Objąć ich, jak to mówimy w naszym żargonie, kontrolą operacyjną. Zrządzeniem losu wy oboje staliście się ekspertami od Van Vertów. Jeśli obiecacie mi pomoc, to wyświadczenie przysługi, o którą mnie proszono, stanie się możliwe i podejmę to wyzwanie. No... to jak będzie? – Spojrzał na nich pytająco.

Dominik postanowił rozegrać tę partię jak przemytnik – zacząć od pieniędzy.

– Ile taka pomoc byłaby warta, przyjacielu?

Zastępca szefa Mosadu roześmiał się serdecznie i klepnął rozmówcę mocno w plecy.

– Gdybyś zadał, Dominiku, inne pytanie, miałbym wątpliwości, czy podchodzisz do sprawy poważnie. Jeżeli zaś przymierzasz się do negocjacji cenowych, to znaczy, że masz co sprzedać. No cóż, dziś nikt jeszcze nie wie, ile taka pomoc będzie warta. Ale na pewno znacznie więcej niż wszystkie biznesy, w których do tej pory maczałeś palce. Ja w każdym razie w to wchodzę, a jeden z twoich warunków już spełniłem: nie będzie to operacja rządowa.

– Ty, Cewi, jesteś w czepku urodzony, że masz takich przyjaciół jak my – uśmiechnął się Dominik. – Ale to będzie gra o bardzo wysokie stawki i z bardzo niebezpiecznymi ludźmi, o czym już zdążyłeś się przekonać. W jakim stopniu ufasz Amschelom?

– Nigdy się na nich nie zawiodłem ani oni na mnie, co nie znaczy, że nie powinniśmy zachować w kontaktach z nimi zasady *need to know* – odpowiedział Cewi. – Dopóki nie postanowimy inaczej, ja będę pełnił rolę łącznika. Dlatego chciałbym poznać twoje warunki. Zamieniam się w słuch.

Czyżby to był interes życia, o którym marzy każdy, kto gra na



pieniądze? – pomyślał przemysłowiec. Mam postawić warunki współpracy najbogatszym ludziom świata? Nietrudno o zawrót głowy i przesadę.

– Zaczynijmy od ciebie, Cewi – odezwał się. – Spotkamy się z pułkowniczką Janą, bo ona w tej sprawie dużo wie i będzie grała z nami. Warunek jest taki: kimkolwiek ona się okaże lub nie okaże, nikomu ze swoich o tym nie zameldujesz i będziesz działał w naszej grupie poza wszelkimi strukturami rządowymi.

Cewi spojrzął bacznie na Dominika, a następnie na Dolores, która przełknęła ślinę, gdyż przeszło jej przez myśl, że szef może sądzić, iż ktoś próbuje nim manipulować, posługując się Janą...

– Twój warunek jest logiczny. Akceptuję – odpowiedział po chwili Cewi.

Powinienem być ci wdzięczny, Dominiku – dodał w myślach. Podjąłeś za mnie trudną decyzję. Sam nigdy bym się na to nie zdecydował.

Rozlał alkohol do kieliszków i zaproponował toast.

– Za wywiad i zawodowców.

Wypili do dna, a Dolores odetchnęła z ulgą. Od razu też poprawił jej się humor.

– Jeżeli chodzi o Amschelów – kontynuował Dominik – to musimy im przekazać pewną wiedzę i wziąć za to pieniądze, tak działa biznes. Zrobimy to podczas spotkania twarzą w twarz, bo tylko wtedy się przekonamy, czy to, co im mówimy, jest dla nich czymś nowym, czy nie. Zażądamy za to pięć milionów dolarów. Po milionie dla każdego z nas, bo musimy też doliczyć Janę i Malcolma. Po szczęśliwym zamknięciu tego pierwszego etapu przystąpimy do rozpracowania Van Vertów i ich planu. Amschelowie będą musieli pokryć koszty naszych działań operacyjnych, płacąc każdemu z nas po pół miliona dolarów rocznie. A jeśli wejdziemy w posiadanie informacji, która pozwoli im realnie zarobić... albo zaoszczędzić... wielkie pieniądze, to każdorazowo będziemy negocjować osobną prowizję lub *success fee*.

Cewi, który nigdy praktycznie nie zajmował się interesami, słuchał z zaciekawieniem.

– To według ciebie realne kwoty? – zapytał przezornie.

– Oczywiście – odparł Dominik. – Jeżeli Van Vertowie mają długofalowy plan, którego pierwszym krokiem była eliminacja przeciwnika wojny, to musi tu chodzić o gigantyczne pieniądze. Biliony dolarów!

Cewi nieoczekiwanie zmienił temat.

– Nie sądziłem, że Malcolm też się udziela w tej sprawie – powiedział. – Zawsze uważałem go raczej za historyka sztuki.

Dla Dominika i Dolores stało się oczywiste, że Amschelowie nie powiedzieli Cewiemu nic o Lidze. W przeciwnym razie musieliby wspomnieć, kto jest szefem struktury brytyjskiej, drugiej pod względem ważności. To jasne: zanim przystąpią do jakiegokolwiek poważnej rozmowy, chcą sprawdzić źródła Cewiego.

– Czy określenie „Liga Rodów” coś ci mówi? – zapytał ostrożnie Dominik.

– Nie – odpowiedział Cewi. – Może więc po prostu mnie oświecicie i przestanę robić za głupka w tym towarzystwie...

– W takim razie posłuchaj...

I Dolores rozpoczęła długą opowieść.

Cewi przez cały czas siedział jak skamieniały i nie odzywał się słowem. Prawie nie oddychał. A gdy jego podwładna zamilkła, pogrążył się w zadumie.

– Na wojnie – powiedział wreszcie – obowiązywały jasne zasady: albo ty zabijesz wroga, albo on ciebie. Jak jest w wywiadzie, sami wiecie. Nie nie jest całkiem białe ani całkiem czarne. Ale też wszyscy działamy według określonych reguł i pewnych barier nie przekraczamy. Natomiast to, o czym opowiedziałas, z trudem mieści mi się w głowie. Tu nie ma żadnych zasad. Grupa łajdaków eliminuje prezydenta, aby wywołać wojnę i zarobić na niej kupę kasy. Ja wiem, co to jest wojna. Zginie na niej mnóstwo ludzi, kobiet, dzieci... Nie akceptuję tego!

– Dlatego tu siedzimy i zastanawiamy się, jak dobrać się Van Vertom do dupy – podsumowała Dolores.

Napełniła kieliszki bimbrem i wzniosła swój do góry.

– Na pohybel wrogom, kimkolwiek są.

– Na pohybel! – odpowiedzieli mężczyźni i wychylili trunek.

Dominik zaczął zbierać się do wyjścia. Przytulił i pocałował

Dolores i podał rękę zastępcy szefa Mosadu.

– A tak przy okazji, Cewi, ilu jeszcze ciekawych ludzi uratowałeś wtedy w Auschwitz? – zapytał.

– Zdziwisz się, gdy kiedyś ci powiem – zapewnił izraelski szpieg.

**1964**

**18 stycznia**

W westybulu hotelu George V, jednego z najlepszych w Paryżu, siedział Dominik i czytał „Le Monde”. Kilka lat wcześniej postanowił nauczyć się języka francuskiego. Swobodnie czytał już prasę i książki i czynił coraz większe postępy w mówieniu. Zdawał sobie jednak sprawę, że rodowici Francuzi raczej nie tolerują obcokrajowców kaleczących ich piękny język, więc rzadko mógł z czystym sumieniem ćwiczyć konwersację w naturalnym otoczeniu.

Punkt trzynasta trzydzieści w westybulu pojawił się Cewi. Nawiązali kontakt wzrokowy, po czym Dominik odłożył gazetę i ruszył za przyjacielem w stronę wind. Nie witali się, nie podawali sobie rąk – nie było potrzeby, aby ktoś niepożądany kojarzył ich jako znajomych. Takie były zasady fachu, którym się trudnili.

Weszli do windy i Cewi nacisnął guzik z numerem piętra, na które jechali, a kiedy już się na nim znaleźli, skierował się długim korytarzem w prawo, Dominik zaś podążał za nim w odległości kilku metrów. Wreszcie Cewi stanął przed drzwiami jednego z apartamentów, poczekał, aż Dominik się z nim zrówna, po czym bez pukania wszedł do środka, a gdy Dominik zrobił to samo – zamknął za nim drzwi i przekręcił klucz w zamku. Dopiero w salonie podali sobie ręce i przywitali się serdecznie.

Salon, z umeblowaniem włącznie, stanowił niemal doskonałą replikę pokoju Vieux-Laque w pałacu Schönbrunn. Dominik był pod wielkim wrażeniem. Ktokolwiek urządził to wnętrze czy teraz w nim urzędował, był prawdziwym koneserem.

Drzwi przylegającego do salonu pokoju otworzyły się i pojawiła się w nich kobieta w wieku około czterdziestu lat. Wciąż piękne oblicze o klasycznym profilu toczyło bój z coraz głębszymi zmarszczkami. Ubrana była w granatową garsonkę. Jej szyć zdobił naszyjnik z prawdziwych pereł. Z całej sylwetki bił głęboki spokój.

Cewi podszedł, przywitał się i szepnął kobiecie coś na ucho. Uśmiechnęła się, podeszła do Dominika i wyciągnęła rękę. Miała mocny, niemal żelazny uścisk dłoni.

– Nazywam się Edyta Amschel – powiedziała prawie doskonałą polszczyzną. – Proszę wybaczyć ciekawość, ale czy pan jest Polakiem?

– Tak, madame, jestem Polakiem – odparł nieco zaskoczony Dominik. – Pięknie pani mówi po polsku.

– Siądźmy. – Pani Amschel wskazała swoim gościom stylowe fotele. – Nauczyłam się polskiego w Auschwitz w czasie wojny. A raczej nauczyli mnie dobrzy ludzie, Polacy, którzy zaopiekowali się mną w tym piekle, abym nie poszła do gazu. Zawsze miałam talent do nauki języków, więc i z waszym poszło mi szybko. Poza tym strach to wielka motywacja. Nie mam typowo semickiej urody i przez trzy lata udawałam Polkę. Nigdy nie zapomnę tego języka, bo dzięki niemu przeżyłam.

– Nie wszyscy Polacy byli tacy dobrzy – zauważył Dominik, przypominając sobie zawistnego sąsiada gajowego, który wydał Niemcom Inez i jej siostrę, a którego Ratz na jego polecenie zakopał żywcem.

– Jeden kapo, który nas okładał w obozie, był Żydem – odrzekła kobieta. – Taki niemiecki eksperyment. Bydlaków nie brakuje w żadnym narodzie.

Cewi chrząknął znacząco i wskazał na zegarek.

– Nie chcę wam przerywać, moi drodzy, tej konwersacji, ale mamy bardzo dużo spraw do omówienia – zauważył najtaktowniej, jak potrafił.

– W rzeczy samej – przytaknęła pani Amschel i ponownie zwróciła się do Dominika. – Cewi mówił, że z racji swojej profesji potrafi pan rozwiązywać sprawy trudne. Wspomniał też, że sporo pan wie o rodzie Van Vertów. Moi znajomi i ja interesujemy się nimi, bo uważamy, że pewne ich działania są szkodliwe, a w dalszej perspektywie mogą źle wpłynąć na nasze interesy. Nie możemy dać się zaskoczyć.

– Słyszała pani o Lidze, stowarzyszeniu najbogatszych rodów? – zapytał Dominik wprost, aby nie tracić czasu i z miejsca

uwiarygodnić się znajomością tematu.

– Tak – odpowiedziała po krótkim namyśle Edyta Amschel. – A skoro pan też wie o jej istnieniu, to znaczy, że jest pan odpowiednio przygotowany i może nam pomóc. Chętnie poznam pańskie warunki finansowe.

Dominik przedstawił w kilku zdaniach swoją ofertę cenową. Nie uzasadniał wysokości podawanych kwot i nie tłumaczył stopnia trudności zadania. Dawał interlokutorce prosty wybór – mogła jego propozycję zaakceptować lub odrzucić. Madame Amschel słuchała uważnie. Nie przerywała, nie zadawała pytań i nic nie zapisywała.

– Akceptuję te warunki – rzuciła krótko, gdy Dominik zakończył. – Zakładam z góry, że pana pomoc będzie warta tej ceny. Zaczniemy zatem od sprawy dla mnie podstawowej. Dlaczego Van Vertowie wzbudzili pańskie zainteresowanie?

– Sześć lat temu zabito moją kobietę. Miała na imię Inez, a jej ród wywodził się z hiszpańskich *conversos*. Za tę śmierć odpowiada Martin Van Vert i grupka jego kolegów, z których paru już nie żyje – odpowiedział.

– A więc pana kobieta była Żydówką z Polski? – zapytała cicho pani Amschel.

– Tak.

– Śmierć tak bliskiej osoby to wielka motywacja do zemsty. Współczuję panu, ale też nie wątpię, że zrobi pan wszystko, aby skutecznie nam pomóc.

– Motywacja jest podwójna, droga pani, ponieważ wtedy razem z Inez zginął mój przyjaciel – dodał Dominik i zaczął opowiadać, czego dowiedział się o Van Vertach. Nie wspomniał przy tym ani słowem o swoich źródłach ani współpracownikach.

– To bardzo odkrywcze, co pan mówi – oceniła madame Amschel. – Potwierdza pan wiele rzeczy, które jedynie zakładaliśmy, ale nie mogliśmy być pewni, czy nie błądzimy. Dla mnie sprawą kluczową jest zamach na Johna Kennedy’ego. Anonim, który przedstawiono prezydentowi i jego bratu, skutecznie przekreślił w ich oczach ród Van Vertów. Prezydent Stanów Zjednoczonych to wielka władza i źle mieć w nim wroga. Victor Van Vert zawsze parł do wojny, takiej czy innej, bo uważał, że to najlepszy, najszybszy i

najprostszy sposób robienia pieniędzy. Jeżeli Kennedy podjął decyzję, że wojny w Wietnamie nie będzie, to potencjalnie sprzątnął Van Vertom sprzed nosa olbrzymie dochody. Tak, to zupełnie wystarczająca motywacja, aby wyeliminować takiego decydenta.

– Cewi przedstawił mi waszą hipotezę, że zamach na prezydenta Kennedy’ego i wojna w Wietnamie mogą być wstępem do dalszych działań – powiedział Dominik. – Co macie na myśli?

– Wojna zawsze stwarza różne możliwości zarabiania pieniędzy – odparła bez ogródek pani Amschel. – Mój ród zbudował swoją potęgę, udzielając pożyczek tym, którzy wzniesli konflikty zbrojne. Niekiedy obu stronom. Nie jesteśmy święci pod tym względem. Ale wydawało mi się, że te czasy już minęły. Myliłam się, jak widać. Zamach na Kennedy’ego to przekroczenie pewnej bariery, takiej czerwonej linii. A wracając do pańskiego pytania... Gdyby wojna w Wietnamie szybko zakończyła się zwycięstwem, to ci, co mają na niej zarobić, zarobiliby niezłe sumki i zajęli się czym innym. Rozmawiałam jednak na ten temat z prezydentem de Gaulle’em i polegam na jego zdaniu. To będzie wojna długa i kosztowna, o trudnych do przewidzenia konsekwencjach gospodarczych. Victor Van Vert musi zakładać i taki scenariusz i jeżeli dobrze się do niego przygotowuje, to zyska, a ci, co nie będą przygotowani – stracą. Na przykład my. Chciałabym zatem wiedzieć, co sobie zaplanował Van Vert. Dlatego rozmawiam dzisiaj z panem. Musi pan zdobyć takie informacje. Wtedy nie dość, że zarobimy krocie, to jeszcze być może pokrzyżujemy jakieś jego plany.

– Proszę jednak nie oczekiwać szybkich rezultatów – uprzedził Dominik. – Van Vertowie wiedzą, że niebezpiecznie grają, i będą bardzo ostrożnie się poruszać i bronić dostępu do siebie. Zrobienie jakiegoś wyłomu w ich systemie ochrony zajmie rok lub dwa, chyba że dopisze nam szczęście, co w mojej profesji bywa niezwykle istotne.

– Mamy trochę czasu – odparła Edyta Amschel. – Miną co najmniej dwa lata, zanim ta wojna się rozkręci, i kolejne dwa, nim będzie wiadomo, w jakim zmierza kierunku i jakie mogą być jej rzeczywiste koszty. Znamy koszty i straty poniesione przez Francuzów w Indochinach i na tej bazie robimy już pewne wyliczenia.

– Ale należy je pomnożyć przez trzy lub cztery, bo Amerykanie zawsze działają z właściwym sobie rozmachem – zauważył przysłuchujący się dotąd rozmowie zastępca szefa Mosadu.

– To słuszna uwaga, Cewi – przyznała. – Każda nowa wojna jest zawsze droższa niż poprzednia. Nie mam natomiast wątpliwości, że koszty tej wojny odczuje gospodarka nie tylko Stanów Zjednoczonych, ale i całego świata. Rezerwa Federalna dodrukuje bowiem stosowną ilość dolarów i w ten prosty sposób przerzuci wydatki na wszystkich. To w końcu dolar jest walutą globalną. Van Vertowie muszą to brać pod uwagę i może to jest jakimś elementem ich planu. No, ale dość tych spekulacji! – Zwróciła się do Dominika: – Gdzie dostarczyć panu pierwszą płatność?

– Najchętniej odebrałbym ją w Wiedniu i najlepiej w gotówce, aby zachować dyskrecję i nie zostawiać śladów po przelewach bankowych.

– Nie ma problemu. W Wiedniu jesteśmy od zawsze – odparła pani Amschel, a ponieważ w sprawach finansowych była osobą skrupulatną, zapytała: – Jaki to pakunek objętościowo?

– Około pięćdziesięciu kilogramów – odpowiedział Dominik, który wiele transakcji przeprowadzał wyłącznie w gotówce. – Dwie duże walizki.

– Wymieńmy się telefonami – zaproponowała. – Powinniśmy mieć bezpośredni kontakt. Nie masz, Cewi, nic przeciwko temu?

– Wręcz przeciwnie – zapewnił izraelski szpieg. – To znacznie ułatwi nasze operacje.

Pani Amschel spojrzała na Dominika.

– Jak mam się do pana zwracać?

– Mam na imię Dominik, ale byłoby rozsądniej, gdybym kontaktował się z panią i pani ludźmi jako Roland – zasugerował.

– Doskonale, Rolandzie. Proszę mówić do mnie Edyta, tak będzie najprościej. Było mi niezmiernie miło pana poznać, Rolandzie. Bardzo na pana liczę...



Prawie dwustumetrowy apartament na ostatnim piętrze jednego z budynków w środkowej części rue Caulaincourt, ze wspaniałym widokiem na Montmartre i bazylikę Sacré-Coeur, był oczkiem w głowie Malcolma Greya i jego powodem do dumy. Został pieczołowicie urządzony w stylu art déco przez najlepszych paryskich projektantów, którzy pod czujnym okiem właściciela wyszukiwali odpowiednich mebli i dzieł sztuki. Trzy sypialnie i olbrzymi salon z przylegającą kuchnią tworzyły, mimo rozmiarów apartamentu, wygodną i funkcjonalną całość. Przytulność angielskiej cottage została tu zastąpiona pragmatyczną elegancją stylu.

– Bardzo się cieszę, że pani Amschel i jej rodzina są po naszej stronie – podsumował Malcolm, wysłuchawszy relacji Dominika. – To jednak inna mentalność niż u Van Vertów. Nie są gotowi podpalić dla forsy kawałka świata.

Dolores spojrzała na zegarek, stwierdziła, że dochodzi dwudziesta, i po cichu wymknęła się z mieszkania, odprowadzana wzrokiem przez Cewiego, który czekał w napięciu na to, co miało za chwilę nastąpić. Starając się sprawić wrażenie całkowicie spokojnego, rzucił lekkim tonem:

– Nasz przyjaciel wręcz oczarował madame Amschel.

Dominik już miał na końcu języka ciętą ripostę, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

I tak biedaczek siedzi jak na szpilkach – pomyślał. Tym razem go oszczędzę.

– To czasem pomaga w interesach – odpowiedział po prostu. – A zakładam, że nasze relacje potrwać kilka lat i...

Nie zdążył dokończyć zdania, gdyż otworzyły się drzwi i do apartamentu weszła Dolores, a tuż za nią pułkownik Jekatierina Iwanowa.

Cewi powoli wstał z sofy i podszedł do oficer KGB.

Pozostali zamarli w bezruchu, obserwując tę scenę z zapiętym tchem.

– To ty... Jano – wyszeptał Cewi. Nie miał żadnej wątpliwości, że stojąca przed nim kobieta jest tą samą, którą dwadzieścia lat wcześniej ocalił z Auschwitz i w której się zakochał.

– Tak, Cewi, to ja – odpowiedziała.

Podeszła do niego i przytuliła się jak kiedyś. Stali tak przez chwilę, aż Cewi odchrząknął głośno i poprowadził madame colonel w głąb salonu. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie słowa.

Z pomocą pospieszyła mu Dolores.

– Pozwól, Jano – powiedziała – że przedstawię ci Malcolma, bo jeszcze tylko jego nie znasz w tym towarzystwie. To człowiek, którego Jan wyprowadził z okupowanej Polski. Później stali się jak bracia.

– To zaszczyt panią poznać – rzekł Malcolm najbardziej poprawną polszczyzną, na jaką było go stać, i uściśnął dłoń kobiety. – Mam wobec Jana dług, który zamierzam spłacić. Dlatego tu jestem.

– Myślę, że pan i pana ojciec bardzo dużo zrobili dla niego po wojnie – odpowiedziała Jana również po polsku. – Od jakiegoś czasu miałam okazję śledzić koleje jego życia i wiem, że w Londynie był szczęśliwy. W znacznej mierze za sprawą pańskiej rodziny. Dziękuję panu za to.

Cewi, który na chwilę zniknął w przedpokoju, wrócił z kilkoma butelkami szampana Veuve Cliquot w rękach.

– Pozwoliłem sobie uczcić tę okazję – rzekł z uśmiechem, nie mogąc oderwać oczu od pułkownik Jany.

– Przyniosę kieliszki – ochoczo zaoferował Malcolm i zniknął w kuchni.

Minutę później cała piątka stanęła w kręgu pośrodku salonu.

– Ty, Cewi, wnieś toast – zaproponował Dominik, wychodząc z założenia, że ten wieczór jest najważniejszy właśnie dla niego.

– Za spotkanie! – oznajmił Cewi i nikt nie miał wątpliwości, że w tej sytuacji żaden inny toast nie zabrzmiałby lepiej.

– Mamy nowego sojusznika, Jano – pochwalił się Dominik, gdy już usiedli, i opowiedział krótko madame colonel o spotkaniu z panią Amschel.

– To znaczy, że jest coraz więcej osób, którym działania Van Vertów mogą zagrozić, kiedy osiągną wymiar globalny – podsumowała pułkownik Jana. – Wstrząsem i momentem przełomowym było zabójstwo prezydenta Kennedy’ego. Nawet nasi politycy się zdziwili, że mogło do tego dojść...

– Czyli nie wasz człowiek zabił amerykańskiego przywódcę? – zapytała ironicznie Dolores.

– Oswald? – zachnęła się madame colonel. – Trzy lata mieszkał w Związku Radzieckim i znamy go jak własną kieszeń. To nieudacznik, który nie trafiłby prezydenta z armaty. Wiemy, że nie potrafił strzelać. Gdyby mógł mówić, to pewnie coś by wyjaśnił. Ale już nie żyje. Johna Kennedy’ego nie zabiło KGB ani Castro, ani mafia. Zginął, bo komuś przeszkadzał w wielkich planach. Może Van Vertom? Jeżeli ród pani Amschel też snuje takie rozważania, to znaczy, że jesteśmy na dobrym tropie.

– Niełatwo będzie infiltrować Van Vertów, bo na pewno mają się na baczności – odezwał się Dominik. – Zaczniemy od Martina. Mamy wobec niego pewien plan...

– Ten, o którym napomknąłeś w Mediolanie? – zapytała pułkownik KGB.

Kiwnął głową i zwrócił się do Malcolma:

– Ty jeden z naszej grupy znasz Martina osobiście.

– Tak, spotykaliśmy się towarzysko, razem z naszymi ojcami – potwierdził Malcolm.

– Ma jakieś słabe punkty?

– Z tego, co wiem, nigdy nie był psem na kobiety. Z żoną od niedawna jest w separacji, ale nie słyszałem, aby sływał z romansów. Jego rzeczywistym słabym punktem, o ile można tak powiedzieć, jest sztuka. Dlatego on i ja zawsze mieliśmy o czym rozmawiać, bo, jak wiecie, historia sztuki to nie tylko mój zawód, ale przede wszystkim pasja...

– Potwierdzam – weszła mu w słowo pułkownik KGB.

– Nasze rozpoznanie mówi, że ma kompletnego hysia na punkcie sztuki nowoczesnej i każdą wolną chwilę spędza w Muzeum Solomona Guggenheima w Nowym Jorku. Szczególnie często zjawia się na kursie nowoczesnego malarstwa, który nawet wspiera finansowo. O Vicku Van Vercie możemy zapomnieć, bo jego jedynym słabym punktem jest rodzinne imperium biznesowe i praktycznie nie wychodzi on z biura. Nie ma żony, nie ma dzieci, ale czasami potrafi całą noc grać w pokera...

– Pani pułkownik z ust mi to wyjęła! – rzekł Malcolm, nie

kryjąc uznania. – To bardzo trafne rozpoznanie. Zarówno Martina, jak i Vicka.

– No to wiemy, co mamy robić – wtrącił się do rozmowy Cewi, który nie mógł nasycić wzroku widokiem Jany.

– Ja mogłabym się tym zająć, gdyby pan Lanker zechciał nam troszeczkę pomóc, logistycznie i towarzysko – zasugerowała Dolores, patrząc pytająco na swojego szefa.

– Pomoże – zapewnił Cewi i po chwili namysłu dorzucił: – Niewykluczone, że pani Amschel też będzie mogła dołożyć swoją cegiełkę.

– Teraz kolej na ciebie, Malcolm – oznajmił Dominik. – Musisz odnowić swoją znajomość z Martinem i bardziej się do niego zbliżyć.

– Myślałem już o tym – odpowiedział Malcolm. – Podczas spotkania z Van Vertami w Szwajcarii mój ojciec stwierdził, że kierowane przez niego brytyjskie struktury Ligi poprą wojnę w Wietnamie, jeżeli dojdzie do niej w wyniku decyzji amerykańskiego prezydenta i Kongresu. W najśmielszych snach nie przyszło mu wtedy do głowy, że stanie się to możliwe w wyniku śmierci Kennedy’ego. Obecnie, pod rządami nowego prezydenta, wszystko wydaje się zmierzać w tym właśnie kierunku. Namówię ojca, aby wysłał mnie do Van Vertów jako swojego przedstawiciela, bo coraz trudniej jest mu podróżować, celem przedyskutowania rozwoju sytuacji. Po odejściu z CIA Martin pełni ważną rolę w strukturach amerykańskich, będzie więc właściwym rozmówcą. Kto wie, czego się dowiem...

Stuknęły kieliszki i wszyscy wypili zdrowie Malcolma.

Jana i Cewi przeprosili zebranych i przeszli do kuchni, zabierając butelkę szampana. Zanim usiedli przy stole, pocałowali się mocno. Nie mówili sobie, że dobrze wyglądają po tylu latach – każde doskonale wiedziało, jak wygląda. Nie dopytywali się nawzajem, co robili przez te wszystkie lata – w ich fachu trąciłoby to fałszem. Nie pytali też o mężów i żony, gdyż oboje wiedzieli, że nie ma o czym mówić... Ale każde było ciekawe, czy to drugie nie żałuje tamtej decyzji o rozstaniu. Cewi zaczął mówić pierwszy, bo uważał, że wtedy łatwiej będzie wypowiedzieć się Janie.

– Zawsze żałowałam, że nie pojechałaś wtedy ze mną do Palestyny i nie byłaś częścią mojego życia, że nie mieliśmy dzieci...  
– Z trudem powstrzymałam wzruszenie. – Ale nigdy nie żałowałam, że znalazłam się w Palestynie i stałam się częścią Izraela.

– Dobra odpowiedź, Cewi – odrzekła po chwili. – Ja też zawsze żałowałam, że życie nas rozdzieliło. Ale po Auschwitz było we mnie za dużo nienawiści... Musiałam robić to, co robiłam, bo inaczej ona by mnie zżarła i zatrula nasz związek.

– A jak jest teraz? – zapytał troskliwie.

– Zostało jeszcze parę rzeczy do zrobienia, ale tych, których miałam zabić, to już chyba w większości zabiłam – powiedziała Jana.  
– Zdałam sobie z tego sprawę w Kairze, gdy trzymałam na muszce Skorzenego i jego ludzi. Przestałam czuć nienawiść. Rok lub dwa lata temu rozwaliłabym jego i wszystkich esesmanów, którzy stali obok, bez względu na konsekwencje. Chyba się wypaliłam i chłodniej rozumiuję. I dobrze, przyda się w operacji, która nas czeka.

– Spędzimy tę noc razem, Jano? – zapytał Cewi po prostu.

– Tak – odpowiedziała. Też po prostu.

Wrócili do pozostałych, którzy omawiali szczegóły planowanych działań, i włączyli się do dyskusji. Na koniec ustalono system łączności i uzgodniono, że koordynatorem całej akcji będzie Dominik.

– A co zrobimy, jak już wszystkiego się dowiemy i ustalimy, co knują Van Vertowie? – zapytała Jana.

Zaległo milczenie, które po chwili przerwał głos Dominika.

– Jak to co zrobimy? Zabierzemy im majątek.

**12 czerwca**

Martin Van Vert zajął miejsce na tylnym siedzeniu olbrzymiej czarnej limuzyny marki Cadillac i kazał szoferowi zawieźć się na Park Avenue, gdzie w jednym z apartamentowców nieopodal hotelu Waldorf-Astoria mieściła się siedziba Instytutu Erudycji, stanowiącego przykrycie dla amerykańskich struktur Ligi.

Instytut, który zajmował całe piętro i w którym nie pracowali żadni przypadkowi ludzie, szybko stał się dla Martina drugim domem. Kilkanaście osób zajmujących się prowadzeniem oficjalnej, statutowej działalności Instytutu, czyli propagowaniem przesłania i twórczości francuskich encyklopedystów, oraz pozostali członkowie personelu, którzy koordynowali zadania wynikające z potrzeb struktur, szybko docenili profesjonalizm nowego koordynatora i jego naturalny styl bycia. Martin nadzorował oba piony i był coraz bardziej zadowolony z tego, co robi. Coraz bardziej też zdawał sobie sprawę, że struktury, które koordynuje, dają wielką władzę i zapewniają ogromne możliwości czynienia dobra... i zła.

W samo południe miał spotkanie z admirałem US Navy. Zamierzał z nim omówić to, co pół roku wcześniej zlecił mu ojciec – przedsięwzięcie, które miało sprawić, że naród amerykański dojrzeje do wojny w Wietnamie. Przez ostatnie miesiące poświęcił temu projektowi wiele myśli i czasu, analizując różne koncepcje i scenariusze. Doświadczenie i wiedza zdobyte w wywiadzie okazały się niezwykle przydatne, niemalże bezcenne. W końcu wybrał rozwiązanie, które wydawało mu się optymalne. Gdy wszedł do biura Instytutu Erudycji, jego gość już czekał. Admirał należał do struktur od wielu lat, a jego rodzina od pokoleń była związana z Ligą...

- Witam serdecznie, drogi admirale – powiedział Martin.
- Zapraszam do swojego gabinetu. Czego się pan napije?
- Espresso. U pana zawsze espresso – odrzekł admirał, który wiele lat służył w bazie US Navy we Włoszech i potrafił docenić

jakość kawy podawanej u szefa Instytutu Erudycji.

Martin poprosił o dwa espresso i wprowadził gościa do gabinetu, który musiał mieć około sześćdziesięciu metrów kwadratowych powierzchni. Ściany, półki na książki oraz kominek wyłożone były dębową boazerią wykończoną drewnem orzecha włoskiego. W jednym z narożników stało wielkie biurko bukowe w stylu izabelińskim, z blatem wyłożonym bordową skórą. Taką samą skórą obite były stojące wokół niego fotele, a także dwie olbrzymie pikowane kanapy w stylu Chesterfield, które – zwrócone do siebie i przedzielone niskim stolikiem kawowym z czarnego marmuru

– zajmowały miejsce pośrodku gabinetu. Podłoga wyłożona była jasnobieżową wykładziną dywanową. W rogu przeciwległym do tego, w którym stało biurko, umieszczono ogromny globus na drewnianej podstawie. Jedynym dziełem sztuki w gabinecie była doskonała kopia obrazu Wassilego Kandinskiego *Kompozycja VII* z 1913 roku.

Martin i admirał usiedli na bordowych kanapach, a gdy podano aromatyczną kawę, gospodarz przystąpił do prezentacji swojej koncepcji.

– Chodziło mi o rozwiązanie, które byłoby spektakularne, pozostawało pod naszą całkowitą kontrolą i nie powodowało strat w ludziach, bo to zawsze pociąga za sobą trudne do przewidzenia reakcje bliskich. Mogą na przykład żądać szczegółowego dochodzenia, dlaczego doszło do śmierci żołnierzy, z czyjej winy i czy można było tego uniknąć. Takie szukanie ewentualnej winy naszej strony niepotrzebnie odciąga uwagę od winy wroga. Pomyślałem zatem o incydencie na morzu, na wodach międzynarodowych. Nasze okręty zostałyby zagrożone atakiem lub wręcz zaatakowane przez jednostki pływające wroga. Oczywiście na takie prowokacje lub atak odpowiedziałyby ogniem. Na morzu dzieją się różne dziwne rzeczy. Czasami urządzenia radarowe płatają figle... Zresztą pan, admirał, zna się na tym lepiej ode mnie.

– Bardzo ciekawa idea! – przyznał admirał. – Tak, tak, znam przypadki otwierania we mgle ognia do gór lodowych czy innych zjawisk naturalnych, których nie brak na morzu. Trzeba by w to wciągnąć nasz wywiad elektroniczny, Agencję Bezpieczeństwa Narodowego, i pana byłą firmę, bo z okrętów, które otworzą ogień,

popłynie masa informacji o ataku. Ktoś musi to odpowiednio koordynować i przedstawić stosowny raport o incydencie politykom, w tym prezydentowi, aby mógł odpowiednio zareagować... Ale pomyśl znakomity! Chętnie dopracuję niezbędne szczegóły operacyjno-taktyczne takiego zajścia. W odróżnieniu od działań na lądzie to może być bardzo czysta i całkowicie kontrolowana operacja.

– Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby pan admirał mógł zająć się właśnie takimi szczegółami, bo, jak wiadomo, w nich tkwi diabeł – odrzekł szef Instytutu Erudycji. – Ja zaś skupię uwagę na koordynacji wywiadowczego raportowania całego incydentu. Musi ono wywrzeć głębokie wrażenie na naszych politycznych decydentach. Ile czasu pan potrzebuje?

– Około miesiąca – odrzekł admirał.

– Świetnie! Ja wtedy także będę gotowy do działania – ucieszył się Martin Van Vert.

Odprowadził swojego gościa do drzwi wejściowych Instytutu Erudycji, po czym wrócił do gabinetu.

Życie jest wspaniałe! – przeszło mu przez myśl. I co tu dalej robić z tak pięknie rozpoczętym dniem?

Spojrzał na kopię Kandinskiego i postanowił się wybrać do swojego ukochanego muzeum. Tym bardziej że już co najmniej od tygodnia wszyscy mówili o jakiejś niezwykle utalentowanej kopistce, Brazylijce żydowskiego pochodzenia, którą w pracowni malarstwa nowoczesnego wypatrzyła sama Peggy Guggenheim.

Peggy była bratanicą założyciela muzeum, Solomona Guggenheima. Na stałe mieszkała w Wenecji w Palazzo Venier dei Leoni, którego część frontowa wychodziła na Canal Grande. Była znaną, cenioną kolekcjonerką i mecenasem sztuki. Kiedy na początku czerwca zawitała do Nowego Jorku i w długiej złocistej sukni do samej ziemi oraz okularach stylizowanych na nietoperza zjawiała się w pracowni, jej wzrok przykuła młoda kobieta o niecodziennej urodzie. Wykańczała jedną ze swoich kopii i doskonałość tej pracy zadziwiła koneserkę. „Jesteś, moje dziecko, równie piękna jak utalentowana” – powiedziała Peggy, po czym zaproponowała dziewczynie, że kupi jej dzieło. Zaprosiła ją na kawę i ostatecznie kupiła dwie kopie. Tego dnia młoda Brazylijka wyszła z



muzeum bogatsza o tysiąc dolarów i bezcenną aurę osoby, której talent doceniła legenda światowej bohemy. No bo jeśli sama Peggy Guggenheim mówiła, że coś jest świetne, to rzeczywiście musiało takie być. Krótko mówiąc, wieść się rozeszła.

Kiedy Martin Van Vert wszedł do pracowni, wśród adeptów nowoczesnego malarstwa od razu dostrzegł wyróżniającą się urodą dziewczynę. Nie wątpił, że to właśnie jest ta utalentowana Brazylijka. Miał ochotę do niej podejść i porozmawiać, ale nie pozwalał mu na to napięty plan dnia. Uświadomił sobie jednak, że od dawna nie widział tak pięknej i pociągającej kobiety.

Sam był na tyle przystojny i bogaty, że kobiety wręcz do niego lgnęły, mimo to nie wdawał się w romanse, szkoda mu było na to czasu. Stąd miał opinię bardzo powściągliwego w sprawach seksu. Poza tym dopóki był żonaty, nie chciał sprawiać przykrości Lisie, wiedział bowiem z doświadczenia innych, że romanse w jego sferze z reguły kończyły się skandalami. Tym najbardziej atrakcyjnym wielbicielkom na ogół stawiał sprawę jasno: gotów jestem iść z tobą do łóżka i na tym koniec. Ale i tak nie narzekał na brak chętnych. Musiał jednak przyznać, że żadna z tamtych dam nie dorównywała urodą Brazylijce z kursu w Muzeum Guggenheima...

## 19 czerwca

Zafascynowanie talentem młodej Brazylijki już nieco zbladło, oszczędzając jej natrętnych spojrzeń bywalców muzeum i pozwalając się skupić na pracy. Tego dnia dziewczyna została w pracowni po zajęciach, żeby wykończyć kopię *Czerwonego aktu* Modiglianiego. Była bardzo zadowolona, a nawet dumna z tego, co udało jej się osiągnąć. Czuliła, że to bardzo dobra kopia, i długo się w nią wpatrywała, jak gdyby chciała przywrócić do życia uwiecznioną na obrazie kobietę.

Dopiero po dłuższej chwili się zorientowała, że pół kroku za nią ktoś stoi. Zerknęła przez prawe ramię. Dostrzegła przystojnego mężczyznę w typie Gary’ego Coopera. W granatowym garniturze, około czterdziestki, wpatrywał się w jej dzieło.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się ciepło.

– Jest pani rzeczywiście bardzo zdolna, gratuluję. To genialna kopia tego pięknego obrazu.

– Dziękuję panu, tak sobie dłubię – odpowiedziała najniewinniej, jak potrafiła, i odwzajemniła jego uśmiech.

Martin zauważył, że dziewczyna uśmiecha się jakby całą twarzą, co bardzo mu się spodobało.

Jak dziecko – pomyślał. Szczerze.

– Gdyby pani tak tylko sobie dłużyła, to na twarzy tej kobiety nie uchwyciłaby pani wyrazu odprężenia, a zarazem zmysłowości. Bezwstydu i niewinności. Harmonijnej mieszanki zadowolenia i zaspokożenia.

– Nie wygląda pan na malarza, ale pięknie pan mówi o malarstwie – odpowiedziała, mile zaskoczona jego słowami.

– Nazywam się Martin Van Vert – przedstawił się, wyciągając rękę.

– Maria da Gama. – Uścisnęła jego dłoń i dodała: – Przyjechałam z Brazylii.

– Mam dla pani dwie propozycje. Pierwsza to taka, że kupię od pani tę kopię, a druga, że zje pani ze mną lunch, podczas którego omówimy tę transakcję. – Głos Martina był pewny siebie, lecz pozbawiony zarozumiałości.

– Ale ja pana nie znam, przykro mi. – Odruchowo cofnęła się o pół kroku. – Nie mogę iść z panem na lunch...

Odpowiedź kobiety początkowo wprawiła Martina w osłupienie. Był przyzwyczajony do tego, że znają go wszyscy. Baczenie jej się przyjrzał, aby zorientować się, czy nie gra, ale doszedł do wniosku, że jest szczerą. Bo niby dlaczego miałyby iść na lunch z nieznanym gojmem?

Czyżby jakaś normalna dziewczyna w Nowym Jorku? – pomyślał. Nie do wiary.

Kątem oka zauważył, że do pracowni dyskretnie zagląda dyrektor Muzeum Guggenheima. Ukłonił mu się, dając zarazem przyjacielski znak ręką, by do nich podszedł.

– Idzie do nas dyrektor Jameson – zwrócił się teatralnym szeptem do Marii. – Zapytam go, jak ocenia pani dzieło.

I zanim dziewczyna mogła cokolwiek odpowiedzieć, dyrektor już przy niej stał. Oczywiście wiedziała, kim jest, gdyż uczęszczając od dwóch miesięcy na kurs nowoczesnego malarstwa, miała okazję go poznać.

– Kochany dyrektorze, miło pana widzieć – przemówił jowialnym tonem Martin Van Vert. – Właśnie podziwiam twórczość tej młodej damy. Proszę spojrzeć i ocenić.

– Witam serdecznie, panie Van Vert. Bardzo się cieszę, że nie przestaje pan nas odwiedzać. – Jameson zaczął od wymiany uprzejmości. – Witam panią, pani da Gama. Co my tu mamy? *Czerwony akt* Modiglianiego! Jak oryginał! No, wprost genialna kopia...

– To samo powiedziałem... genialna! – powtórzył jak echo Martin. – Ta młoda artystka ma wielki talent.

– Pan Van Vert to wybitny znawca sztuki współczesnej i dobroczyńca naszego muzeum. Nie zwykł prawić czczych komplementów. – Dyrektor z szacunkiem pochylił głowę przed Marią. – A to już druga pochwała, jaką słyszę pod pani adresem z ust

wybitnego znawcy. Brawo! Proszę trzymać poziom. Wybaczcie, moi drodzy, biegnę dalej. *Adieu!*

– Teraz już pani mnie zna i wie, że to nie panią zjem na lunch – zażartował Martin, co zdarzało mu się bardzo rzadko, mimo że miał poczucie humoru.

Maria spojrzała na swojego rozmówcę i wybuchnęła śmiechem. Szczerym i pogodnym, bez nutki fałszu.

– Dziś naprawdę nie mogę, bo zaraz muszę wracać do pensjonatu YWHA, w którym mieszkam, i brać się do sprzątanía. Tego popołudnia wypada mój dyżur. Ale mógłby mnie pan kawalek odprowadzić, jeśli ma ochotę – zaproponowała. – To niedaleko stąd, przy Dziewięćdziesiątej Drugiej Ulicy.

– Dobry pomysł – szybko podchwycił Martin, jakby się obawiał, że dziewczyna może się rozmyślić. – Chodźmy.

Maria zdjęła fartuch malarski, zakryła białym płótnem kopię, nad którą pracowała, i ruszyli do wyjścia.

Dopiero teraz Martin mógł w pełni docenić kształty idącej przed nim kobiety. Była niewiele niższa od niego. Mocno zaokrąglone, pełne pośladki, duże piersi i bardzo zgrabne nogi nadawały całej sylwetce niemal dziką zmysłowość.

Pantera z brazylijskiej dżungli – pomyślał, czując przyływ podniecenia.

Wyszli przed muzeum i skierowali się w stronę Dziewięćdziesiątej Drugiej Ulicy. Kierowca, który dotąd stał oparty o wielką czarną limuzynę, wsiadł i powoli ruszył za nimi.

– Jak pani trafiła do Nowego Jorku i naszego wspaniałego muzeum? – zapytał Martin.

– Właściwie prosto z sierocińca. Na początku kwietnia doszło w Brazylii do przewrotu wojskowego. Prezydent Goulart został obalony, a władzę objęła junta. Obawiano się, że dojdzie do antysemitycznych prześladowań, bo wśród doradców nowego rządu jest wielu byłych esesmanów. Dużo dzieci i młodzieży wysłano za granicę. Ja przyjechałam do Nowego Jorku, bo miałam zapewnione miejsce w pensjonacie YWHA, a że przejawiałam talent plastyczny, zapisano mnie na ten kurs.

– Jest pani Żydówką?

– Wychowałam się w żydowskim sierocińcu koło Rio. Nie wiem, kim byli moi rodzice.

– Tak czy owak musieli być bardzo utalentowani.

– A kim pan jest? – zapytała Maria, zmieniając temat. – Dlaczego dyrektor nazwał pana dobroczyńcą muzeum?

– Jestem miłośnikiem sztuki, zwłaszcza nowoczesnej, a Muzeum Guggenheima to dla mnie prawie drugi dom – odpowiedział gładko Martin. Nie miał zamiaru opowiadać pięknej Brazylijce historii swojego życia, ale dodał jeszcze: – Jeśli mogę, wspieram muzeum finansowo. Wiele osób tak robi. A skoro o tym mowa... Za ile pani sprzeda kopię aktu Modiglianiego, którą „tak sobie dłubie”?

– Jakiś duży czarny samochód jedzie powoli za nami... – zauważyła Maria, oglądając się przez ramię.

– Rzeczywiście trudno go nie zauważyć – przyznał Martin. – To mój środek lokomocji. Proszę się nie obawiać. A wracając do mojego pytania...

– Ja nie maluję dla pieniędzy. Nie mam pojęcia, co mam panu odpowiedzieć – rzekła z zakłopotaniem Maria.

Kobiety, które Martin znał do tej pory, na ogół doskonale wiedziały, ile co jest warte, i nie miały najmniejszych problemów ze sprecyzowaniem, co chciałyby dostać i za jaką cenę. Zakłopotanie Brazylijki było dla Martina jak powiew świeżego powietrza na zalanej słońcem nowojorskiej ulicy. Zatrzymał się i patrząc Marii w oczy, powiedział:

– Wiele zdolnych osób tworzy nie dla pieniędzy, przynajmniej na początku, ale dlatego, że czuje taką potrzebę. Nazywa ją natchnieniem. Nie znaczy to jednak, że ich dzieła nie mają wartości i nie dadzą się oszacować w pieniądzu. Wręcz przeciwnie. Mają dokładnie taką wartość, ile gotowi są za nie dać kupujący. Tak jest zresztą we wszystkich dziedzinach życia, bo światem rządzi pieniądz. Ja za twoją kopię *Czerwonego aktu* Modiglianiego gotów jestem dać dwa tysiące dolarów, bo uważam, że dzisiaj tyle jest warta. Może za rok, jak namalujesz więcej dzieł i staniesz się bardziej znana, ta kopia będzie warta dwa razy tyle...

– To dlaczego mam ją sprzedawać dzisiaj? – weszła mu w

słowo Maria z naiwnym, ale z jej punktu widzenia logicznym pytaniem. – Nie umieram z głodu.

– Świat sztuki i początkujących artystów rządzi się innymi prawami – tłumaczył Martin. – Żeby utrwalić swój wizerunek i zdobyć sławę artystyczną, musisz sprzedawać. Sprzedając, stajesz się znana, a ludzie zaczynają być przekonani, że to, co tworzysz, ma wartość. Nowy Jork to jeden z największych rynków sztuki na świecie i działa zgodnie ze wszystkimi mechanizmami handlowymi. Zabłysłaś niczym iskra na wietrze, gdy Peggy Guggenheim kupiła dwie twoje kopie. Rozniosło to się po całym muzeum i zaintrygowany przyszedłem zobaczyć, jak malujesz. Gdy sprzedasz mi tę kopię, z iskielki sławy buchnie malutki płomień, który już nie zgaśnie, bo mu nie pozwolimy. Ja wiem, jak to działa. Wierz mi. Będziesz żyła ze swojej twórczości i talentu. To piękne życie...

Martin tak dał się ponieść własnym słowom, że dopiero po pewnym czasie się zorientował, że niechcący przeszedł z nią na ty.

– Przepraszam panią, rozpedziłem się. Nie chcę, aby pani pomyślała, że to brak szacunku... – zaczął się usprawiedliwiać.

– Przez myśl mi to nie przeszło. Nie przeszkadza mi, jak pan tak mówi – odpowiedziała z uśmiechem Brazylijka. – To takie naturalne, a poza tym my, artyści, nie musimy przestrzegać konwenansów.

– Dziękuję. Masz rację, my, artyści, nie musimy. Proszę zatem mówić do mnie Martin – zasugerował ostrożnie.

– Dobrze, Martinie. Nie ma sprawy – zgodziła się Maria. – A co do twojej propozycji kupna, to zgoda, ale pod jednym warunkiem.

– O, to brzmi interesująco! – Martin wydawał się zaskoczony. – Bardzo jestem ciekaw, jaki to warunek.

– Ja stawiam lunch! – odrzekła, znowu śmiejąc się całą twarzą.

Martin Van Vert wybuchnął śmiechem. Nie pamiętał, by kiedykolwiek jakaś kobieta chciała mu zafundować lunch, dinner czy, prawdę mówiąc, cokolwiek.

Nie dość, że piękna, to jeszcze ma poczucie honoru – pomyślał.

– Zgadzam się. Może zatem w poniedziałek? – zaproponował. – Ty wybierzesz restaurację czy ja?

– Poniedziałek jest świetny, a w porze lunchu często chodzę do Central Parku na kanapkę czy hot doga. Może być? – zapytała.

– Bardzo dobry pomysł! Dawno nie byłem na hot dogu w Central Parku. To wpadnę do muzeum około trzynastej.

Akurat dotarli do pensjonatu YWHA. Podali sobie ręce i Martin nie mógł się powstrzymać od odprowadzenia wzrokiem pięknej kobiety znikającej w drzwiach budynku. To, co widział, bardzo mu się podobało i czuł, że ta Brazylijka zaczyna mocno na niego oddziaływać. Było to ekscytujące wrażenie...

\*

Harry Adams czekał niecierpliwie na rogu Czterdziestej Drugiej Ulicy i Lexington Avenue. Przed umówionym spotkaniem z Martinem Van Vertem zżerały go ciekawość i zarazem niepokój.

Ostatnio widzieli się pierwszego września 1962 roku podczas pamiętnej narady w Langley z udziałem zastępcy szefa CIA, generała Cartera. Harry’emu powierzono wówczas tajne zadanie: miał się dowiedzieć, z jaką organizacją przemytniczą byli powiązani kobieta i mężczyzna zabici przed hotelem Algonquin, a o swoich odkryciach meldować Martinowi Van Vertowi.

Z ustaleń tych wynikało, że para działała w Nowym Jorku najprawdopodobniej na rzecz syndykatu byłych oficerów armii francuskiej i żołnierzy Legii Cudzoziemskiej, którzy zajmowali się obrotem narkotykami na wielką skalę jeszcze podczas wojny w Indochinach. Po porażce Francuzów pod Dien Bien Phu i wycofaniu się armii francuskiej z Wietnamu i Indochin sytuacja operacyjna stała się dla syndykatu skomplikowana. Współpracownicy wietnamscy, do tej pory potulni i posłuszni, zdali sobie sprawę, że za plecami ich francuskich partnerów nie stoi już potęga armii, i zaczęli podnosić głowy. W końcu doszli do wniosku, że we własnym kraju poradzą sobie sami, a dotychczasowym kolegom zostawią wyłącznie dystrybucję narkotyków w Europie. Ale odtąd to oni, lokalni wytwórcy i handlarze, będą dyktować ceny w hurcie. Poza tym znajdują sobie inne rynki zbytu w Azji, na przykład przez Hongkong

do Chin, Malezji, Indonezji czy na Tajwan. Zauważyli ponadto, że Francuzów zaczynają powolutku zastępować inni biali, Amerykanie, a z nowym partnerem zawsze można wytargować korzystniejsze warunki współpracy...

W tej sytuacji syndykat byłych oficerów francuskich doszedł do wniosku, że należy rozejrzeć się za nowymi rynkami zakupu i dostaw narkotyków albo zająć się czymś innym. Niewiele interesów zapewniało jednak tak wysoką marżę jak handel narkotykami. Rozsądnym kierunkiem poszukiwania nowych rynków wydawała się Ameryka Południowa. Pozostawało pytanie: dlaczego Francuzi zlecili działania w tym zakresie Polakowi z brytyjskim obywatelstwem? Harry'emu udało się ustalić z dużym prawdopodobieństwem, że kilku francuskich oficerów syndykatu znało Ratza z czasów wojny, gdy realizował on zadania dywersyjne dla brytyjskiego SOE na terenie Francji, oni zaś jako członkowie Ruchu Oporu wspomagali te operacje. Wybrali Ratza, gdyż jako brytyjski bohater wojenny nie wzbudzał, ich zdaniem, podejrzeń w Ameryce. Zabita kobieta po prostu towarzyszyła Polakowi i – krótko mówiąc – miała pecha.

Legendę tę wymyślił oczywiście Dominik i przez ponad rok wspólnie z Harrym dopracowywali różne szczegóły, aż obaj byli przekonani, że jest wiarygodna i można ją bezpiecznie sprzedać. Najwyraźniej mieli rację, bo przełożeni Harry'ego uznali, że to najbardziej prawdopodobny przebieg zdarzeń. Wszelkie wątpliwości zostały rozwiane, gdy w kwietniu 1963 roku na sajońskiej ulicy zamordowano Ricka Sanmartina. Każdy upatrywał w tym akcie zemsty ze strony francuskiego syndykatu dysponującego resztkami wpływów w starej kolonii.

Odejście Martina Van Verta z CIA nieco zaskoczyło Harry'ego. Niezłe mu się z nim współpracowało, a poza tym taki układ idealnie zapewniał dopływ pieniędzy obiecanych przez Dominika. Kiedy więc po ponad roku milczenia Martin zaproponował spotkanie, Harry bardzo się ucieszył, ale i zaniepokoił. Czyżby odkryto jakieś słabe strony legendy z syndykatem francuskich oficerów w wiodącej roli? Jako człowiek przezorny i jednocześnie karny żołnierz poprosił o rozmowę z generałem Carterem i zameldował mu, że były pracownik Agencji, Martin Van



Vert, stara się nawiązać kontakt. Generał nie okazał zdziwienia, podziękował za informację i zasugerował, aby udał się na umówione spotkanie. „Może pan Van Vert – rzucił tajemniczo na odchodnym – chce osobiście podziękować za dobrą robotę”.

Rozważania Harry’ego na rogu Czterdziestej Drugiej Ulicy przerwało przybycie wielkiej czarnej limuzyny. Auto zatrzymało się i kierowca przez uchyloną szybę zaprosił go do środka. Harry otworzył drzwi i zajął miejsce na tylnym siedzeniu obok Martina Van Verta.

– Witaj, Harry – odezwał się właściciel limuzyny. – Dawno się nie widzieliśmy.

– Myślałem, że po odejściu z Agencji zapomniał pan o mnie – odpowiedział oficer kontrwywiadu CIA.

– Mów mi Martin – zaproponował Van Vert. – Nie zapomniałem. Nieźle sobie poradziłeś, a ostatnio twoje ustalenia jeszcze bardziej się potwierdziły. Pewnie słyszałeś o OAS, tajnej organizacji zbuntowanych francuskich oficerów, która chce kropnąć de Gaulle’a. Ponoć OAS stara się reaktywować kanały narkotykowe z Indochin, żeby mieć kasę na swoje operacje.

– Bardzo możliwe – ostrożnie przyznał Harry, choć nie bardzo wiedział, skąd Martin Van Vert ma takie informacje ani czy są prawdziwe. Grunt jednak, że współgrają z legendą wymyśloną przez Dominika...

Intrygowało go, dlaczego Martin odszedł z CIA, ale ponieważ nie nakazano mu tego zbadać, cierpliwie czekał, zakładając, że być może tamten sam o tym wspomni. I w zasadzie się nie pomylił.

– Odszedłem z CIA, aby móc poświęcić się działaniom na rzecz naszego państwa w szerszym wymiarze i na wyższym poziomie – mówił Martin Van Vert. – Idą nowe czasy i czekają nas wielkie wyzwania. Lyndon Johnson to doświadczony polityk i stary wyjadacz parlamentarny, ale może potrzebować pomocy w sferze polityki zagranicznej. A ta stanie się istotna, bo zanoszą się na wojnę w Wietnamie. Pomyślałem więc, że taki doświadczony oficer wywiadu jak ty, Harry, bardziej przydałby się w Białym Domu niż w CIA. Co ty na to?

Harry’ego zamurowało. W najśmielszych snach nie spodziewał

się takiej propozycji. On w Białym Domu? Ale ponieważ był człowiekiem zapobiegliwym, szybko sobie uświadomił, że to życiowa szansa i że nie może jej zmarnować, okazując brak zdecydowania.

– Jestem gotów na każde wyzwanie – rzekł śmiało. – Jeżeli uważasz, że przydam się do czegoś w Białym Domu, to możesz mną dysponować.

– I to właśnie chciałem usłyszeć – odpowiedział Martin. – Twoje doświadczenie i umiejętności można by wykorzystać w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Gdy rozpocznie się prawdziwa wojna w Wietnamie, Rada stanie się ważnym koordynatorem wysiłku zbrojnego naszego państwa. Obaj wiemy, jak jest na wojnie. Armia, lotnictwo, marynarka wojenna, wywiad wojskowy, wywiad cywilny, dyplomaci – wszyscy będą zasypywać Biały Dom informacjami o swoich sukcesach. Prawdziwych i domniemanych. Z tego chaosu informacyjnego ktoś musi wyłowić prawdę i przekazać ją prezydentowi, aby ten mógł wyciągnąć prawidłowe wnioski i podjąć właściwe decyzje. To jest zadanie Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Dlatego potrzebni są tam zaufani ludzie, którzy będą wszystkim patrzeć na ręce. Wiesz, Harry, że wojna to zbyt poważna sprawa, aby zostawić ją generałom i większości cywilów. Tylko niektórzy naprawdę wiedzą, na czym polega interes Stanów Zjednoczonych. Rozumiemy się, prawda?

– Bez komentarza – odrzekł Harry.

Po kilku latach pracy w CIA miał niejasne przeczucie, że losami świata nie zawsze rządzą widoczne gołym okiem struktury wyłonione głosami obywateli. Po tym, co właśnie usłyszał z ust Martina Van Verta, to przeczucie zmieniło się niemal w pewność.

– Nasz wspólny znajomy, generał Carter – ciągnął Martin – złoży ci niebawem stosowną propozycję przejścia do pracy ku chwale ojczyzny u boku nowego prezydenta. Gdy zainstalujesz się w Białym Domu, będziemy spotykali się częściej. I o tych spotkaniach nie będziesz już musiał nikomu meldować. Miło było znowu cię widzieć, Harry. Dbaj o siebie i do zobaczenia.

Harry pożegnał się i wysiadł z limuzyny. Znajdował się na Park Avenue przed hotelem Waldorf-Astoria. Mimo wczesnej popołudniowej godziny postanowił wpaść do baru na drinka, gdyż

doszedł do wniosku, że obiecane przeniesienie do Białego Domu i w konsekwencji gwarantowany kontakt z Martinem Van Vertem uczynią go bogatym człowiekiem.

A co tam! Stać mnie na drinka tutaj – pomyślał i ruszył zdecydowanym krokiem w stronę wejścia do hotelu.

Popijając, wertował kalendarzyk i zastanawiał się, kiedy najlepiej udać się do Europy na spotkanie z Dominikiem, żeby przekazać mu dobre nowiny. Doszedł jednak do wniosku, że powinien poczekać, aż zainstaluje się w Białym Domu i nieco lepiej pozna administrację pracującą bezpośrednio na rzecz prezydenta Stanów Zjednoczonych.

**22 czerwca**

W poniedziałek czarny Cadillac zajechał pod muzeum punktualnie o trzynastej. Martin Van Vert wysiadł z samochodu i zwolnił kierowcę na resztę dnia. Idąc na spotkania z kobietami, myślał na ogół o seksie, który go czeka. Tym razem było inaczej. Cieszyła go sama perspektywa spotkania z Brazylijką. Nie czuł się tak od czasu studenckich randek.

Gdy wszedł do pracowni, w której odbywał się kurs malarstwa nowoczesnego, Maria właśnie ukończyła swoją kopię obrazu Modiglianiego. Na widok Martina uśmiechnęła się szeroko.

– *Voilà!* Dzieło gotowe – oznajmiła z uzasadnionym poczuciem dumy.

– Doskonale! – Martin wyjął z kieszeni marynarki białą kopertę, w której było dwa tysiące dolarów, i wręczył ją kobiecie. – Gratuluję udanej transakcji. Teraz możesz zaprosić mnie na lunch.

Maria ze śmiechem przyjęła kopertę i schowała do kieszeni luźnej kwiecistej sukienki.

– Dostaniesz hot doga z podwójnymi dodatkami – rzekła filuternie, śmiejąc się swoim zwyczajem całą twarzą, i ruszyła w stronę wyjścia z budynku.

Martin podążył za nią, zastanawiając się, co najbardziej go pociąga w tej kobiecie – ciało, charakter czy pogoda ducha i świeżość.

Pewnie wszystko naraz – doszedł do logicznej konstatacji.

Wyszli z Muzeum Guggenheima i skierowali się w stronę Central Parku. Spacer zajął im kilkanaście minut. Kupili hot dogi, za które zapłaciła Maria, usiedli na ławce i zaczęli jeść z apetytem.

– Co zamierzasz teraz namalować? – zapytał Martin. – Coś swojego czy chcesz dalej kopiować?

– Chyba zrobię jeszcze kilka kopii. Nie czuję się na siłach stworzyć czegoś oryginalnego, a nie chciałabym, żeby mój debiut był

nieudany i śmieszny, zamiast budzić podziw – odrzekła po namyśle Brazylijka.

– Masz rację. Wbrew pozorom dobre malarstwo nowoczesne nie jest łatwe. To nie parę kresek czy plam na płótnie ani postacie przywodzące na myśl twórczość dziecka. Znaczący natychmiast zauważają, czy początkujący malarz ma choćby namiastkę talentu i wyczucie barw. Jakie dzieło zamierzasz teraz skopiować?

– Myślałam o kolejnym akcie, *Olimpii* Maneta – powiedziała Maria szeptem, jakby zdradzała swój największy sekret.

– Skandalisty Maneta! – podchwycił z zainteresowaniem Martin. – Do tego obrazu pozowała mu prostytutka Victorine Meurent. Zaszokował nim Paryż w tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym roku. Tak, to bardzo znane dzieło mistrza...

– Ale nie wyczuwam w twoim głosie zachwyty co do wyboru dzieła, które chcę skopiować. Dlaczego?

– Jak powiedziałem, to znany obraz i wszyscy go kopią – wyjaśnił Martin. – Zastanów się raczej nad innym portretem tej samej Victorine, mniej znanym, ale chyba ciekawszym. Mam na myśli *Kobietę z papugą*. Emil Zola był jego wielkim admiratorem.

– Nie znam tego płótna, ale zajrzę do encyklopedii współczesnego malarstwa – odpowiedziała Maria. – Jednak *Olimpia* bardzo mnie pociąga. Może namaluję oba akty Maneta?

– Świetny pomysł, naprawdę! – rzekł z uznaniem Martin. – Tyle że *Kobieta z papugą* nie jest aktem. Te dwa obrazy tworzą znakomity kontrast. Ta sama modelka, a jakże różne przesłanie! Sama się przekonasz. Ale skoro masz takie ambitne plany, to będziesz musiała pomyśleć o pracowni malarskiej z prawdziwego zdarzenia, bo kurs zaraz się skończy, a wątpię, czy w YWHA pozwolą ci kopiować akt mistrza Maneta...

– Na pewno nie pozwolą – stropiła się Brazylijka. – Ale nie wiem, czy mnie stać na wynajęcie prawdziwej pracowni malarskiej...

Martin, który już poczuł się mecenasem początkującej malarki, ale zarazem nie wykluczał, że prędzej czy później zostaną kochankami, uznał, że pracownia artystyczna jest jednak niezbędna... Ale wolał postępować ostrożnie, nie narzucać się.

– Po sukcesie dwóch twoich pierwszych kopii nie wątpię, że

uda ci się sprzedać także kolejne – rzekł tonem znawcy, którym rzeczywiście był. – I to po wyższych cenach niż poprzednio, bo sprzedaż kopii dwóch obrazów Maneta powinna odbyć się na aukcji. Ten kupi, kto da więcej. Oceniam, że będzie dobrze. Do odważnych świat należy!

– Zgoda. Zaryzykuję. Ale gdzie najlepiej wynająć taką pracownię? – Maria przeszła do konkretów.

– Sądzę, że na Manhattanie, na wysokości Osiemdziesiątej czy Dziewięćdziesiątej Ulicy – odparł Martin. – Pogadam z Jamesonem. On na bieżąco zna świat artystów i ich potrzeby, także mieszkaniowe.

– Kochany jesteś! – ucieszyła się Maria i spontanicznie pocałowała go w policzek.

Pocałunek był tak autentyczny i naturalny, że Martin ponownie poczuł się jak na studenckiej randce. Przyjrzał się uważnie Brazylijce. Widział przed sobą uradowaną i wdzięczną osobę. Nie wyczuwał w jej zachowaniu najmniejszej nuty fałszu.

Chyba odzwyczailem się od normalnych ludzi, których cieszą codzienne drobiazgi – pomyślał.

## 7 sierpnia

W głównej bibliotece rezydencji na Long Island, jak zwykle w istotnych dla rodu Van Vertów chwilach, zgromadzili się jego czterej najważniejsi przedstawiciele. Byli w doskonałych humorach. Palili cygara i popijali najlepsze francuskie koniaki oraz szkocką i irlandzką whisky, serwowane przez kamerdynera, który wypełniał swoje obowiązki dyskretnie i z najwyższym profesjonalizmem.

Od kilku dni Van Vertowie żyli dramatyczną wiadomością o wyjątkowo zuchwałym postępku, jakiego dopuściła się – jak to określił Vick Van Vert – „pieprzona namiastka państwa na końcu świata”. Otóż na wodach międzynarodowych Zatoki Tonkińskiej, około dwudziestu mil od wybrzeży Wietnamu Północnego, amerykański niszczyciel USS „Maddox” został zaatakowany przez trzy kutry torpedowe. Rzecz jasna, odpowiedział na to ogniem i uszkodził jedną z wietnamskich jednostek.

Na szczęście w pobliżu był lotniskowiec USS „Ticonderoga”. Cztery jego samoloty zdołały ostrzelać i przepędzić napastników. Podjęto też decyzję, żeby znajdujący się w Hongkongu superlotniskowiec USS „Constellation” jak najszybciej skierował się na wody wzdłuż wybrzeża Wietnamu Północnego, na których był już drugi niszczyciel, USS „Turner Joy”.

Powtarzano – i Van Vertowie popierali to w całej rozciągłości – że Stany Zjednoczone nie mogą pozostać w tej sprawie bierne, gdyż zapewne grożą im kolejne takie incydenty, w związku z czym należałoby od razu wykazać siłę i zdecydowanie. Frederick uważał, że możliwie szybko głos powinien zabrać prezydent, a byłoby najlepiej, gdyby jego przemówienie zostało wsparte rezolucją Kongresu.

Nie musiał na to długo czekać. Czwartego sierpnia o dwudziestej trzeciej Lyndon Johnson poinformował naród, że tego dnia zgrupowanie okrętów amerykańskich – niszczyciele „Maddox” i „Turner Joy” oraz lotniskowiec „Ticonderoga” – ponownie zostało

zaatakowane przez kutry północnowietnamskie nie tylko ogniem dział i rakiet, lecz także torpedami.

I chociaż następnego dnia Wietnam Północny wydał oświadczenie, że drugiego sierpnia jedynie zmusił USS „Maddox” do opuszczenia swoich wód terytorialnych, a dwa dni później nie było żadnych działań wojennych – co potwierdził w telegramie kapitan wspomnianego niszczyciela – szóstego sierpnia Izba Reprezentantów zgodnie przyjęła rezolucję upoważniającą prezydenta do podjęcia stosownych działań w celu odparcia agresji i jakichkolwiek ataków na siły zbrojne Stanów Zjednoczonych. Senat zaakceptował dokument zdecydowaną większością głosów.

– Gratuluję znakomitej rezolucji Kongresu, że nie wspomnę o przemówieniu prezydenta – zagaił Victor Van Vert.

– Rezolucja jest rzeczywiście niezła – zgodził się Frederick. – Ładnie określił ją sam prezydent. Jest jak koszula nocna babci, obejmuje wszystko. I w rzeczy samej zgodnie z nią prezydent może zrobić w Wietnamie, co mu się żywnie podoba. Ale najważniejsze jest to, że Kongres poparł go pięciuset czteremastoma głosami przy jedynie dwóch przeciwnych.

– Dobra robota, Martin – rzekł z uznaniem Vick. – Ale skąd wiedziałeś, że ci dranie nas zaatakują? Czyżby nasz wywiad miał aż tak dobre rozpoznanie?

Martin zaśmiał się i spojrzał rozbawiony na pozostałych członków rodu, którzy z zaciekawieniem oczekiwali odpowiedzi.

– Nie było żadnego ataku... – wyjaśnił po chwili. – I to jest właśnie najlepsze. Trochę manipulacji radarowej i działań w eterze oraz dużo dobrej woli na różnych szczeblach dowodzenia, zarówno wojskowego, jak i politycznego. Zero strat w ludziach, zero strat materiałowych. Takie cuda możliwe są tylko na morzu...

– Chcesz powiedzieć, że cały ten incydent to science fiction? – dopytywał się Vick. – Idziemy na wojnę z powodu zakłóceń radarowych?

– No, nie całkiem. USS „Maddox” i wietnamskie kutry przepłynęły obok siebie, ale bitwy o Midway nie było... – zaśmiał się znowu Martin.

– Najważniejsze, że mamy piękną wojenkę do rozegrania w



dalekiej Azji – odezwał się Frederick Van Vert.

– To nie my mamy wojenkę, bracie – sprostował nie spodziewanie Victor Van Vert – tylko Lyndon Johnson. My mamy biznes do zrobienia. Duży biznes. Ta wojna jest jedynie wstępem. Ale o tym pogadamy przy innej okazji...

Martin spojrzął z podziwem na ojca.

Nigdy nie zapomina o skali makro i kolejnych krokach do zrobienia – pomyślał. Co on jeszcze knuje? Jaką wielką grę biznesową?

– A jeżeli to nie będzie wojenka, ale wojna z prawdziwego zdarzenia? – zaryzykował małą prowokację. – Ludzie, którzy świetnie znają Indochiny, twierdzą, że aby wygrać z komunistami w Wietnamie, potrzeba miliona amerykańskich żołnierzy, a pół miliona, żeby prowadzić właśnie wojenkę.

– To jakaś bzdura i fantasmagoria – zaperzył się Frederick. – Milion Amerykanów rozdeptałoby ten kraj!

– A jakie to ma znaczenie, synu? – zapytał Victor. – Milion żołnierzy, pół miliona? Ta wojna jest nieodzowna, bo świat oczekuje, że na nią pójdziemy. Może wygramy, a może będzie remis. Natomiast Wietnam długo się po niej nie podniesie i nikomu nie będzie zagrażał. Kto więc wyjdzie na swoje?

– Van Vertowie? – znów zaryzykował Martin, ale na wszelki wypadek dodał: – Ameryka?

– To już lepiej, synu. Van Vertowie to Ameryka i vice versa – odpowiedział Victor Van Vert. – Nigdy o tym nie zapominaj!

– Staram się. Mam dobrych nauczycieli. – Martin popatrzył na ojca i Fredericka.

Pomyślał o Marii i zaczął się żegnać.

Wyszedł przed rezydencję i zaczerpnął świeżego, nadmorskiego powietrza. Oparł się o sportowego mustanga, którego niedawno kupił, i zapalił papierosa. „Milion żołnierzy, pół miliona? Jakie to ma znaczenie?” – przypominał sobie wypowiedź ojca. Dla tych, co zdechną w dżungli, pewnie ma.

Dokończył papierosa i pstryknął niedopałkiem na dziedziniec, czego nigdy wcześniej nie robił. Przyjdzie służba i posprząta – pomyślał. W końcu jakie to ma znaczenie w porównaniu z setkami

tysięcy żołnierzy?

Spojrzał na zegarek i stwierdził, że do mieszkania Marii, które znalazł dla niej przy pomocy dyrektora Muzeum Guggenheima na początku lipca, zdąży dojechać około dwudziestej trzeciej.

Pracownia, wyposażona w podstawowe meble, zajmowała ostatnie piętro bliźniaka typowego dla zabudowy West Endu, z osobnym, niekrępującym wejściem schodami na górę. Maria miała duży pokój, w którym mogła malować, niewielki salonik, mikroskopijną kuchnię oraz rozległy taras z dalekim widokiem na Central Park. Na koniec kursu malarstwa nowoczesnego otrzymała nagrodę od dyrektora Jamesona – sztalugi i inny sprzęt malarski niezbędny do kontynuacji prac nad kopiami dzieł mistrzów. Martin znalazł trochę wolnego czasu, aby pomóc jej przenieść ten sprzęt do nowo powstałej pracowni. Bardzo go to zrelaksowało...

Maria narzuciła sobie reżim pracy od wczesnych godzin rannych do pory lunchu, czyli około trzynastej trzydzieści. Następnie szła na krótki spacer do Central Parku i kupowała jakiś posiłek. Po południu albo kontynuowała pracę, albo udawała się do biblioteki muzeum. Wieczorami coraz częściej wpadał Martin, na ogół taksówką lub pieszo, żeby nie wzbudzać sensacji wielką czarną limuzyną. Wskakiwali wtedy zjeść coś na mieście albo on przynosił wino, a ona przyrządzała jakieś danie w pracowni, ale jakkolwiek było, niezmiennie dyskutowali o sztuce. Martin okazał się kopalnią wiedzy i ich dyskusje stawały się coraz dłuższe i bardziej interesujące.

Pod koniec lipca jedna z tych rozmów przeciągnęła się do wczesnych godzin rannych i Martin po raz pierwszy został w pracowni na noc.

Kiedy tego wieczoru otworzył drzwi własnym kluczem, piękna Brazylijka pracowała nad kopią *Olimpii*. Na sztaludze obok stał zarys *Kobiety z papugą*, gdyż Maria postanowiła tworzyć obie kopie równolegle. Martin nie był do końca przekonany, czy jest to dobry pomysł, ale postanowił się nie wtrącać.

– Witaj, kochanie. – Pocałował czule Marię, zanim zdążyła się do niego odwrócić.

– *Ciao, amore* – odpowiedziała. Właśnie zaczęła uczyć się języka włoskiego, gdyż doszła do wniosku, że jest jej potrzebny do

czytania fachowej literatury na temat historii sztuki renesansowej. – Jak minął dzień?

– Na tyle dobrze, że wypijemy szampana. – Postawił na stole butelkę, którą kupił, jadąc przez miasto. Na etykiecie można było przeczytać, że to produkcja jednej z winnic stanu Nowy Jork.

– Z przyjemnością. A co to za okazja? – zapytała się Brazylijka.

– Wczoraj i dzisiaj Kongres amerykański podjął pewną historyczną decyzję, która będzie miała brzemiennie konsekwencje dla całego świata – odpowiedział Martin. – Ja wiem, że nie interesujesz się polityką, ale, wierz mi, to ciekawy moment w dziejach Ameryki...

– Nie interesuję się polityką, bo nie miałam do tej pory takiej potrzeby, ale czytam gazety, wiem, kto jest prezydentem Stanów Zjednoczonych i dlaczego nim został po śmierci poprzedniego – zaczęła mówić Maria lekko urażonym głosem, ale z pełnym spokojem. – Nie jestem tylko głupiutką malareczką. Nie rozmawialiśmy nigdy o polityce, bo nie poruszałeś tego tematu, ale ja potrafię się przygotować i do takiej rozmowy i być dla ciebie partnerem. Nie myśl sobie, mój drogi Martinie...

Jej wypowiedź zaskoczyła szefa Instytutu Erudycji. Rzeczywiście nie rozmawiali dotąd o polityce, a on nie tłumaczył jej, czym się zajmuje ani co robi, gdyż nigdy o to nie pytała. Założył zatem, że polityka nie jest tematem, który może ją ciekawić. Nie wątpił jednak, że inteligencja Marii czyniłaby z niej potencjalnie interesującego partnera w takiej debacie.

– Ależ nie chciałem cię, broń Boże, urazić – zapewnił. – Napijmy się szampana i podyskutujmy o polityce. – Otworzył schłodzoną już w sklepowej lodówce butelkę, napełnił kieliszki i wznosił toast. – Wypijmy za mądrość Kongresu Stanów Zjednoczonych – zaproponował.

Gdy to zrobili, zadała pytanie, które samo się nasuwało.

– To powiedz mi teraz, na czym polega ta mądrość Kongresu i co ważnego stało się wczoraj i dzisiaj.

Martin opisał Marii incydent w Zatoce Tonkińskiej, tak jak relacjonowała go prasa. Nie ujawnił, rzecz jasna, swojej roli, a tym

bardziej roli kierowanych przez niego struktur. Potem omówił działania Kongresu będące konsekwencją incydentu i wyjaśnił znaczenie uchwalonej rezolucji.

– Dlaczego myślisz, że decyzja Kongresu upoważniająca prezydenta do prowadzenia wojny w Azji jest mądra? – zapytała, gdy skończył swój wywód. – Jaka jest pewność, że ta wojna będzie wygrana?

– Jest mądra, bo taki kraj jak nasz musi reagować na agresję i zaczepki takiego państewka jak Wietnam Północny – odparł. – Poza tym Ameryka nigdy nie przegrała żadnej wojny. Dlaczego więc miałyby przegrać wojnę w Wietnamie Południowym?

– Może dlatego, że kiedyś przegrali ją Francuzi, a pewnie też bardzo chcieli wygrać – odpowiedziała Maria. – I znali Wietnam lepiej niż wy, Amerykanie. To dosyć logiczne, nawet dla malarki.

– A ty jesteś ekspertem od wojen partyzanckich w pierdolonej Azji? – zapytał agresywnym tonem Martin, wyładowując stres ostatnich miesięcy.

Zanim zamknął usta, już pożałował, że nie zdążył ugryźć się w język.

Westchnął głęboko. Chciał powiedzieć coś zgrabnego i mądrego, aby przeprosić ją za swoje chamstwo, ale Maria uprzedziła go w sposób, jakiego się nie spodziewał.

– Nie nie mówisz o postępach moich prac – zagaiła, patrząc mu prosto w oczy, tak jakby wypowiedzi Martina po prostu nie było albo jakby jej nie usłyszała. – Co myślisz o tych dwóch kopiach Victorine Meurent?

Na jej twarzy nie było widać ironii, potępienia czy bólu, jedynie wyczekiwanie na jego opinię.

Martin zbliżył się do Marii i nic nie mówiąc, pocałował ją w rękę. Następnie podszedł do sztalug z kopiami, które po jego przyjściu Maria zdążyła zasłonić białym płótnem. Odślonił jeden obraz po drugim i cofnął się o kilka kroków. Obie kopie były na tyle zaawansowane, że stanowiły niemal pewny zwiastun efektu końcowego.

Są dobre. Nawet bardzo dobre – przyznał w duchu.

Mimo że były malowane równolegle, każda zachowała

odrębny charakter i niepowtarzalną atmosferę. Nie cechowały się identycznymi czy nawet podobnymi elementami malarskimi, które inny kopista mógłby zastosować w obu przypadkach, idąc na skróty i ułatwiając sobie pracę.

– Mają klasę, to już widać – ocenił obiektywnie. I po namyśle dodał: – Tak jak ty, Mario.

Bardzo nie chciał zostawiać jej tej nocy, ale czuł się tak niezręcznie, że zaczął zbierać się do wyjścia.

Niech to szlag! – pomyślał. Jak człowiek się rozpędzi, to potrafi wszystko spierdolić.

Ale zanim zdążył ruszyć w stronę drzwi, Maria podeszła do niego i delikatnie pocałowała go w usta.

– Zostań, proszę. To ważny dzień dla ciebie, jak sądzę, więc wypijemy tego szampana. Przecież nie będziesz jeździł po Manhattanie na rauszu, prawda? – Uśmiechnęła się do niego całą twarzą, tak jak uwielbiał.

Napełniła kieliszki, jeden podała Martinowi i wzniosła toast.

– Wypijmy za sztukę i powodzenie naszych planów, jakiegokolwiek by były.

– Dziękuję – odparł Martin.

Dawno nie był nikomu tak wdzięczny jak tej kobiecie w tym momencie – za styl, w jakim go potraktowała mimo jego nieopatrznie wypowiedzianych słów. Uprzytomnił sobie nagle, że nie pamięta, kiedy ostatnio był komukolwiek za cokolwiek wdzięczny...

Mam u ciebie mały dług, kochanie – pomyślał były oficer CIA.

Tej nocy Maria wyraźnie czuła, że Martin nie uprawia z nią seksu, jak dotychczas, tylko się z nią kocha.

## 8 sierpnia

Konrad Priebe siedział przy stole przykrytym białym obrusem w swojej ulubionej restauracji Porto w Rio de Janeiro i pił poranną kawę. Od niechcenia przerzucał strony gazety. Po przewrocie wojskowym na przełomie marca i kwietnia i zmianie rządu pozycja jego organizacji byłych esesmanów zdecydowanie się wzmocniła i ugruntowała. Przekładało się to bezpośrednio na prowadzone interesy. Kanał narkotykowy, który nadzorował w Brazylii we współpracy z organizacją Dominika, dwukrotnie zwiększył obroty. Wyeliminowanie konkurencji CIA miało w tym znaczący udział.

Tego ranka Konrad umówiony był z jednym ze swoich ludzi, od którego dostał sygnał, że ich koledzy z byłego wywiadu SS żyjący w Stanach Zjednoczonych proszą o pomoc w jakiejś sprawie. Tego typu wzajemne świadczenie usług przez rozproszonych po świecie esesmanów miało rutynowy charakter. Konrad zamówił kolejną kawę, gdy w drzwiach restauracji stanął Johann, jego prawa ręka.

– Witam, panie Standartenführer – zameldował się Johann, bardziej z nawyku niż potrzeby, i usiadł przy stole naprzeciwko Konrada.

– Kawy? – zapytał SS-Standartenführer i nie czekając na odpowiedź, skinął na kelnera. – Piękny dzień. Chyba pójdę na Copacabanę trochę popływać. Czego chcą nasi towarzysze z Ameryki?

Johann wyjął z kieszeni marynarki kopertę, a z niej pismo oraz mniejszą kopertę, jeszcze zamkniętą.

– Koledzy proszą o dokonanie ustaleń i potwierdzenie danych i życiorysu pewnej osoby wywodzącej się z Brazylii – relacjonował były esesman. – Wszystkie zamiary na tę osobę są w małej kopercie. Nie otwierałem jej, bo nie było takiego polecenia, szefie. – I czekając na ewentualne instrukcje, zaczął pić kawę.

Konrad otworzył kopertę. Wewnątrz znajdował się napisany na

maszynie życiorys niejkiej Marii da Gama, wypisy z jej brazylijskich i amerykańskich dokumentów legalizacyjnych oraz zdjęcie pięknej młodej kobiety, wykonane z ukrytego aparatu fotograficznego na jednej z ulic Nowego Jorku.

– Mamy potwierdzić życiorys damulki z żydowskiego sierocińca? – zapytał Konrad, nie zdradzając jakichkolwiek emocji.

– Otóż to! – przytaknął Johann. – Towarzysze z Ameryki podkreślają, że robota jest na wczoraj, i błagają o pośpiech.

– Wiemy, kto im to nadał? – zapytał SS-Standartenführer. – Chodzi mi o to, czy są wypłacalni i ile możemy im policzyć.

– Pozwoliłem sobie na zakodowany telefon do Ameryki, aby właśnie o to zapytać – odpowiedział natychmiast Johann, który nie na darmo był prawą ręką szefa organizacji byłych esesmanów w Brazylii. – To jakaś obrzydliwie bogata rodzina jankesów z Nowego Jorku. Nazwisko przysłał mi szyfrem.

– Dobra robota, przyjacielu – pochwalił Konrad. – Skoro obrzydliwie bogata, to zaśpiewaj im pięciokrotną stawkę. Sto tysięcy dolarów.

– Tak jest, szefie. Komu mam powierzyć realizację? – zapytał Johann, gotowy do działania.

– Sam się tym zajmę – odpowiedział Konrad i żeby rozwiać ewentualne zdziwienie czy wątpliwości podwładnego, wyjaśnił: – Po tym błogosławionym puczu naszych brazylijskich przyjaciół moje możliwości, jak wiesz, wydatnie wzrosły. Myślę, że ustalenia w tej sprawie uda się zrobić prawie bezpłatnie. No, może trzeba będzie sprezentować skrzyneczkę lub dwie dobrej rioja z Hiszpanii...

– To mi się podoba, szefie! Jak będzie pan gotowy, to przekażę informacje kolegom w Ameryce. – Johann dopił kawę i się pożegnał.

Właściwie to ja już jestem gotowy – pomyślał leniwie SS-Standartenführer, przeciągając się na krześle. Maria da Gama jest czysta jak łąza, a życiorysik ma najprawdziwszy z prawdziwych. W końcu sam go układałem.

Maria wyszła z domu przy Osiemdziesiątej Piątej Ulicy na West Endzie, gdzie mieściła się jej pracownia, i spacerkiem przez Central Park udała się do synagogi. Nie zauważyła, że inwigiluje ją średniego wzrostu, mocno zbudowany i krótko ostrzyżony mężczyzna o postawie wojskowego, w wieku około czterdziestu lat. Nazywał się Morgan i był człowiekiem Instytutu Erudycji do rozwiązywania trudnych problemów. Gdy Maria zniknęła w drzwiach synagogi, minął ją i poszedł w stronę Park Avenue, zapisując po drodze w malutkim notesiku: „Synagoga, jak zwykle”. Wchodząc do apartamentowca, w którym mieściła się siedziba Instytutu, nawet się nie domyślał, że jest obiektem rutynowej kontroli obserwacji.

Dolores rozumiała, że nie powinna była w pojedynkę tak długo inwigilować figuranta, gdyż w ten sposób niebezpiecznie zbliżała się do ewentualnej dekonspiracji. Musiała jednak ustalić jego przynależność organizacyjną, co jej się udało. Dopiero wtedy wróciła w okolice synagogi i upewniwszy się, że nie jest obserwowana, skorzystała z tylnego wejścia, o którego istnieniu wiedziała zaledwie garstka osób. Rodzina rabina pochodziła z dawnych terenów imperium rosyjskiego, a kolejne pogromy nauczyły tamtejszych Żydów, że dobrze jest mieć zapasowe wejście i wyjście...

Maria, która miała swój własny klucz do apartamentu przy synagodze, już tam czekała. Przywitały się uściskiem dłoni i szybkim pocałunkiem.

– Udało się. Sprowokowałam go i pokazałam klasę. Dokładnie tak, jak zaplanowałyśmy – wypaliła od razu Maria.

– To *chapeau bas* i gratulacje – ucieszyła się oficer wywiadu izraelskiego.

Maria szczegółowo zrelacjonowała scenę w pracowni, nie pomijając osobistych odczuć z nocy spędzonej z Martinem. Dolores nie szczędziła swojej agentce pochwał.

– Mężczyzna to zwykle bardzo prosty mechanizm – komentowała cierpliwie, bez ironii. – Wystarczy nacisnąć odpowiedni guziczek. Nie spodziewał się, że dysponujesz jakąkolwiek wiedzą z zakresu polityki, a do tego możesz mieć nieco inne zdanie niż twój pan i władca. To prawie zawsze działa. Wtedy facet musi zademonstrować swoją siłę. W dawniejszych czasach po prostu by ci



przywalił, dziś frustracja przyjmuje zwykle postać niekontrolowanej wulgarności. Ty jednak pokazałaś klasę, a facet na poziomie Martina Van Verta potrafi to docenić. Był ci wdzięczny za to, że nie opierdoliłaś go jak burego psa, nie wyrzuciłaś z chaty i jeszcze dałaś się bzyknąć, że się tak wyrażę.

– Co robimy dalej? Jak rozgrywamy? – niecierpliwiła się piękna Brazylijka.

Dolores była szczerze zaskoczona jej zapałem.

– Chyba naprawdę połknęłaś bakcyła tej roboty, Mario. Mam pewien pomysł... – odrzekła z ostrożnym optymizmem. – Musisz jednak o czymś wiedzieć. Już kilka razy sprawdzałam, czy po twoim wyjściu z pracowni ktoś za tobą nie łązi. Zawsze było czysto. Do dziś. Śledził cię człowiek o wyglądzie wojskowego, odnotował, że weszłaś do synagogi, i poszedł dalej, a ja za nim, choć...

– Rozumiem – weszła jej w słowo Brazylijka. – Postąpiłaś wbrew zasadom i podjęłaś ryzyko, aby osiągnąć sukces. Ale powiedz mi, dokąd zaprowadził cię ten człowiek.

– Do budynku, w którym mieści się Instytut Erudycji.

– Martin kazał mnie śledzić? – Maria wydawała się lekko zdumiona. – Troszczy się o mnie czy o siebie, usiłując sprawdzić, kim jestem? A może jest zazdrosny...

– Przede wszystkim nie wiemy, czy to on zlecił tę obserwację – analizowała oficer wywiadu. – Martin pracuje w Instytucie mniej więcej od półtora roku i wciąż jeszcze poznaje jego tajniki. Prawdziwą władzę nadal sprawuje tam Frederick Van Vert. Równie dobrze to on mógł zlecić inwigilację. Martin to przecież nie tylko jego bratanek, lecz także podwładny, dlatego warto się przekonać, czy kobieta, z którą się zadaje, nie stanowi zagrożenia dla interesów ich rodu.

Dolores nie ujawniła Marii, że Instytut Erudycji jest przykryciem dla amerykańskich struktur Ligi. Dziewczyna nie musiała tego wiedzieć.

Porozmawiały jeszcze trochę i opuściły synagogę, każda innym wyjściem. Maria udała się najpierw do Muzeum Guggenheima, żeby poplotkować ze znajomymi artystami, a następnie do swojej pracowni – kontynuować prace nad kopiami obrazów Maneta.

Dolores zaś udała się do najbliższej budki telefonicznej i zadzwoniła do Abrahama Lankera, umawiając się z nim na następny dzień.

## 9 sierpnia

Nie spotkali się jak zwykle w hotelu Waldorf-Astoria na Park Avenue, Dolores bowiem uznała, że ze względu na bliskie sąsiedztwo Instytutu Erudycji byłoby to operacyjnie nieroztropne. Abraham Lanker nie był w Nowym Jorku osobą anonimową i ktoś związany z Van Vertami mógł zauważyć go z piękną kobietą, zainteresować się, kim ona jest, a nawet uwiecznić ich na fotografii, ot tak, na wszelki wypadek.

Dlatego oficer izraelskiego wywiadu zaproponowała spotkanie na Lower East Side, w starej żydowskiej dzielnicy, gdzie wyrosły wielkie fortuny finansistów. Był to teren Lankera i on wybrał restaurację, w której mieli się spotkać. Będąc jednak dżentelmenem starej daty, wysłał po Dolores limuzynę, żeby zabrała ją sprzed Grand Central Station.

Szef mafii żydowskiej w Nowym Jorku przywitał kobietę na progu restauracji i wprowadził ją do środka, a jeden z jego ludzi zamknął drzwi i wywiesił na nich kartkę: „Nieczynne”.

– Witaj, piękna pani – rzekł Lanker, całując Dolores w rękę. – Nikt nam nie będzie przeszkadzał. To stara koszerna knajpa żydowska, więc nie ma tu homarów, są za to inne przysmaki.

– Witaj, Abe. – Dolores pocałowała go w policzek. – Wyłoszyliśmy wszystkich klientów. Właściciel będzie stratny.

– Ja jestem właścicielem, to moja knajpa – uśmiechnął się stary mafioso. – Twoje towarzystwo zaś wynagrodzi mi wszelkie straty materialne.

Usiedli pośrodku sali, przy stole nakrytym białym obrusem. Panowała w niej atmosfera jak w szynku z Kresów Wschodnich przedwojennej Polski, o których Dolores czasami słyszała od swoich starszych kolegów z Mosadu. Natychmiast pojawił się kelner – ortodoksyjny Żyd z długimi pejsami i czarną brodą, ubrany w czarne spodnie i białą koszulę, przepasany długim białym fartuchem do połowy łydki. Postawił na stole dwa duże kieliszki napełnione bimbrem śliwkowym i oddalił się.

– Pomyślałem, Dolores, że w żydowskiej knajpie, zamiast

szampana, napijemy się twojego ulubionego trunku, który lepiej pasuje do tej atmosfery – wyjaśnił Lanker, wznosząc toast. – Za życie! *Lechaim!*

– Świetny wybór, piękny toast. Za nasze życie, bo życia innych nie byłabym taka pewna – uzupełniła oficer wywiadu. – *Lechaim!*

Wypili do dna, a ortodoksyjny kelner natychmiast ponownie napełnił puste kieliszki i oddalił się poza zasięg słuchu.

– Nie miałam okazji podziękować ci za rozwiązanie sprawy Wuja Tomasa – zagaiła Dolores. – Sprawna akcja.

– Niech mu ziemia lekką będzie – odpowiedział Abraham Lanker, który otrzymaną swego czasu od Dolores brazylijską truciznę kazał przemycić swoim ludziom do więzienia, gdzie przebywał włoski mafioso. Zaaplikował mu ją lekarz więzienny, którego Tomaso często nachodził, skarżąc się na depresję i wynikające z niej dolegliwości fizyczne. Najczęściej domniemane.

– Mam kolejną prośbę, przyjacielu, choć obawiam się, że nadużywam twojej cierpliwości i wielkich pokładów dobrej woli. – Dolores wypowiedziała tradycyjną formułkę, wiedząc, że rozmówca natychmiast zdezawuuje swoje zasługi.

– Radują mnie wszystkie twoje prośby, bo spełnianie ich jest moim powołaniem – odpowiedział szarmancko szef mafii żydowskiej. – Czym może cię uszczęśliwić twój unizony sługa?

– Wczoraj zrobiłam kontroobserwację naszej pięknej Brazylijce, którą pomogłeś nam sprowadzić do Nowego Jorku i powierzyłeś opiece zaprzyjaźnionego rabina – zaczęła wyluszczać sprawę Dolores. – Poszczyściło mi się i namierzyłam figuranta, który śledził ją do znanej ci synagogi, a potem skierował się do Instytutu Erudycji Van Vertów. Chcę ustalić, co to za facet, ale sama nie dam rady, bo szybko się zdekonspiruję. Człowiek wygląda na byłego żołnierza i niezłego zakapiora. Gdy ustalimy, kto to jest, łatwiej znajdzie odpowiedź na pytanie, czy obserwację zleca mu Martin, czy też jego stryj Frederick, który być może chce wiedzieć, co jego bratanek robi w wolnych chwilach i kogo bzyka. Jeżeli obserwują Marię, to nie wiadomo, co jeszcze może im przyjść do głowy. Niedługo muszę spadać do Ziemi Świętej, bo obowiązki wzywają. Byłabym ci niezmiernie wdzięczna, gdybyś od czasu do czasu dyskretnie zerknął, czy z Marią wszystko jest okej i czy nic jej nie grozi.

– Tylko tyle, *cara mia*? – zapytał Lanker, nieco rozczarowany, że nie będzie mógł się wykazać czymś bardziej skomplikowanym. – Masz załatwione, oczywiście. Ustalenie faceta może zająć kilka dni lub kilka tygodni, bo, jak sama wiesz najlepiej, to kwestia szczęścia, kiedy znów się pojawi, łącząc za nią. Ale spróbujemy namierzyć go w Instytucie. Co do Marii, to wymyślę coś nierzucającego się w oczy. Normalnie posłałbym paru ludzi z dużymi samochodami i niewiele mniejszymi gnatami, żeby przejechali się z nią parę razy tam, gdzie mieszka i najczęściej bywa, aby wszyscy zrozumieli, że dziewczyna ma kumpli z miasta i jest nietykalna, ale w tym przypadku to chyba nie jest dobry pomysł...

– Nie, Abe, teraz nie – potwierdziła oficer wywiadu. – Ale trochę później... kto wie? W końcu Maria jedzie na legendzie żydowskiej sieroty, a nowojorska mafia ma duże serce dla swoich, czyż nie?

– Jak dzwon, *cara mia*, jak dzwon – odparł Abraham Lanker. – Jak ustalę coś pilnego, to zajdę do rabina, a on da ci cynk. A teraz ad rem. Od czego zaczynamy – gefilte fisz, śledzie marynowane, siekane, w majonezie czy pasztety, szyjki gęsie faszerowane, pasta z bakłażanów, wątróbki z rusztu, kreploch, czulent w paru rodzajach, gołąbki, gęś nadziewana pieczona? Czy wszystkiego po trochu?

– Kusiciel z ciebie, jak zawsze – zaśmiała się Dolores.

Lanker przywołał kelnera z długimi pejsami i brodą i polecił mu podawać bardzo powoli wszystkiego po trochu. A do tego białe i czerwone wino z Izraela. Lecz najpierw kazał nalać jeszcze po kieliszku bimbru.

– A teraz ja mam prośbę o radę, *cara mia*, bo to ty jesteś światowa dama, a ja prosty żydowski mafioso z Lower East Side – zaczął mówić. – Mam współnika w interesach. Rzetelnego, a to rzadkość. I bardzo mi potrzebnego. On ma młodą znajomą, że tak powiem oględnie, której niedawno udało się wyemigrować ze Związku Sowieckiego. Nielegalnie. Niestety, został tam jej młodszy brat pod opieką dobrych ludzi, bo rodzice nie żyją. Gdybym tego młodziaka jakoś wyciągnął na Zachód, to znajoma mojego współnika byłaby mu wdzięczna po wsze czasy, a on mnie. Jego wdzięczność, nie wchodząc w szczegóły, piękna pani, warta jest dla mnie fortunę. Co byś mi poradziła w tej nieprostej sprawie?

Oficer wywiadu izraelskiego, której Lanker nigdy jeszcze o nic nie poprosił, spojrzała na niego prawie z czułością, gdyż wiedziała, że człowiekowi starej daty prośba ta nie przyszła łatwo.

– Poradziłabym ci, Abe, abyś zwrócił się do kelnera o papier i długopis. A jak już będę miała zapisane namiary tego braciszka, to zacznę działać i zobaczymy, co da się zrobić – odrzekła. Chciała dodać, że nie będzie to robota na odpierdol się, ale ugryzła się w język.

Madame colonel – pomyślała – jest sprawa do załatwienia!

– Dostarczają mi dane, zanim zjemy – rzekł Lanker i przywołał jednego ze swoich ludzi czuwających dyskretnie przy barze, coś mu powiedział na ucho i odesłał gestem ręki. – Dziękuję ci, Dolores, choć wiem, że nic nie możesz obiecać, bo Rosja to Rosja...

– Odpowiem ci tak, Abe: twoja prośba to dla mnie radość i zaszczyt, a jej spełnienie będzie moim powołaniem.

Szef mafii żydowskiej w Nowym Jorku nie odezwał się słowem. Wzniósł tylko kieliszek z bimbrem i wypili do dna.

Gdy skończyli posiłek, pożegnali się i limuzyna odwiozła Dolores pod Grand Central Station, Lanker kazał wezwać do siebie jedną z nielicznych kobiet, które w jego organizacji były żołnierzami mafii.

Marika, węgierska Żydówka, do 1956 roku pracowała w Budapeszcie jako milicjantka. Kiedy wybuchło powstanie, przeszła na stronę buntowników i walczyła w ich szeregach. Potem uciekła do Austrii, a dzięki organizacji B'nai B'rith rok później wyjechała do Nowego Jorku. Szybko trafiła do organizacji Lankera i znalazła w niej swoje miejsce, jako że była młoda, silna i potrafiła zabijać.

– Mam dla ciebie robótkę, Mariko. Otoczysz dyskretną ochroną tę młodą damę – rzekł Abraham Lanker, gdy kobieta stanęła przed nim, i podał jej kartkę z danymi, którą przed wyjściem zostawiła Dolores. – Ustalisz też, kto za nią łązi, co to za typy i jakie mają zamiary. Nie chcemy, aby cały świat wiedział, że dziewczynę chroni mafia żydowska, rób to więc inteligentnie i interweniuwaj w ostateczności. Jasne?

Marika skinęła głową, gdyż była osobą małomówną.

## 6 września

Jak w każdą pierwszą niedzielę miesiąca, James Risen, główny kamerdyner rodu Van Vertów, udawał się swoim ffordem do szpitala w Brentwood. Jeszcze do niedawna jeździł tam w przeświadczeniu, że będzie to robił aż do śmierci. Tego dnia wiedział, że nie będzie to konieczne.

Założony w 1929 roku Pilgrim State Hospital, później przemianowany na Pilgrim Psychiatric Center, specjalizował się w leczeniu żołnierzy przechodzących traumę wojenną. W latach pięćdziesiątych do wielkiej rzeszy uczestników drugiej wojny światowej doszli psychicznie okaleczeni weterani konfliktu koreańskiego, a obecnie odnotowano już pierwsze przypadki ofiar zarzewia cichej wojny w Wietnamie Południowym.

James Risen urodził się w 1900 roku na Środkowym Zachodzie i mając siedemnaście lat, zgłosił się na ochotnika do armii, żeby wziąć udział w wielkiej przygodzie, jaką z perspektywy małego amerykańskiego miasteczka wydawała się pierwsza wojna światowa. Ale rzeczywistość okopów skąpanej w zawierusze wojennej Europy szybko stała się codzienną brutalną walką o przetrwanie. Mimo odniesionych na polu walki ran James Risen przetrwał, okrywając się chwałą bohatera, o czym świadczyły najwyższe odznaczenia za męstwo, jakimi go uhonorowano. Docenił to dowódca batalionu piechoty, w którym James służył, i w trakcie demobilizacji zaproponował mu pracę w swojej posiadłości. Dowódcą tym był Victor Van Vert, a James został jego szoferem. Obydwaj mieli to szczęście, że trauma wojenna ich nie dotknęła, gdyż byli ludźmi twardymi i odpornymi psychicznie.

W wieku trzydziestu lat James ożenił się z jedną z pokojówek zatrudnionych w rezydencji Van Vertów. Przez parę lat pracowicie starali się o potomstwo i gdy już byli niemal pewni, że posiadanie dzieci nie jest im pisane, w 1933 roku urodził im się piękny chłopiec, który dla Jamesa i jego żony stał się całym światem.

Gdy po ataku na Pearl Harbor Stany Zjednoczone przystąpiły do drugiej wojny światowej, James doszedł już w rezydencji byłego dowódcy do stanowiska kamerdynera. Jako patriota i były żołnierz zameldował chlebodawcy gotowość ponownego służenia ojczyźnie na polu walki. Victor Van Vert obawiał się, że może Jamesa na tej wojnie stracić, ale jako patriota i były żołnierz nie mógł takiej prośbie odmówić. Los jednak uśmiechnął się do Jamesa Risena, który wrócił z walk na Pacyfiku w jednej z pierwszych grup rannych żołnierzy piechoty morskiej. Wtedy sprawy wziął w swoje kompetentne ręce Victor Van Vert i dopilnował, aby Wuj Sam zapomniał na resztę wojny o jego kamerdynerze.

Wydawało się, że powojenna Ameryka spełnia wszystkie marzenia Jamesa. Miał kochającą żonę i wspaniałego syna. Do tego wyjątkową pracę w wyjątkowej rezydencji wyjątkowego rodu. Podobnie jak żona, która awansowała na przełożoną pokojówek. Mieli nawet przywilej mieszkania w domku dla służby na terenie posiadłości. Ale tej idylli nie było dane trwać wiecznie. W tym, co miało nastąpić, antyczni Grecy z pewnością dojrzeliby zawiść bogów z Olimpu o ludzkie szczęście.

W 1948 roku nagle zmarła na raka żona Jamesa, zostawiając go samego z synem. W połowie 1950 roku na Półwyspie Koreańskim wybuchła wojna, której nikt nie przewidział. James był za stary, aby iść na front w pierwszym rzucie wojsk amerykańskich, ale jego syn Mark zgłosił się na ochotnika jak ojciec przed laty, bo tak został wychowany. James, aż nadto dobrze wiedząc, czym jest pole walki, nie był zadowolony z decyzji jedynaka, ale cóż mógł zrobić? Jednocześnie rozpiełała go duma, że wychował patriotę.

Podobnie jak CIA nie przewidziała tej wojny, tak też nie przewidziała, że szybko włączy się do niej trzysta tysięcy ochotników chińskich, których gwałtowne natarcie zepchnie korpus ekspedycyjny generała Mac Arthura prawie do morza. Mark zaginął w tych działaniach na samym początku wojny i został uznany za MIA – *missing in action*. Wtedy po raz pierwszy James zwątpił w sens życia. W ciągu dwóch lat stracił wszystko, co kochał najbardziej. Aby nie zwariować, przeprowadził się z domku, który do tej pory zajmował, do samej rezydencji – zresztą za namową i zgodą Victora Van Verta – i pracował od rana do wieczora.



W lipcu 1953 roku, po śmierci Stalina i wyborze Eisenhowera na prezydenta Stanów Zjednoczonych, strony konfliktu doszły do wniosku, że mają go dosyć, i podpisały rozejm. A piątego sierpnia w Panmundzomie na linii rozejmowej ruszyła „wielka wymiana”, jak ją określono, jeńców wszystkich stron konfliktu.

Wtedy James dowiedział się, że jego syn nie podzielił losu prawie czterdziestu procent amerykańskich jeńców zmarłych w chińskiej czy koreańskiej niewoli. Mark wrócił do domu, ale z trudem rozpoznał ojca. Już pierwszej nocy obudził się z krzykiem i gdy ojciec wpadł do jego pokoju i zapalił światło, zastał go skulonego w kącie, łkającego i zasłaniającego się przed wymagowanymi ciosami. Dopiero wówczas James zauważył, że całe plecy i ramiona syna pokryte są bliznami. Następnego dnia Mark trafił do Pilgrim Psychiatric Center i z niewielkimi przerwami pozostał w nim przez następne jedenaście lat. Lekarze zdiagnozowali ciężki przypadek traumy wojennej spotęgowanej kilkuletnim bestialskim traktowaniem w niewoli i zalecili elektrowstrząsy, najnowszy wynalazek w leczeniu psychiatrycznym. Mark miał okresy lepsze, ale także fatalne. James zrozumiał, że wojna de facto zabrała mu jedyne dziecko, lecz nigdy nie dał za wygraną. Regularnie odwiedzał syna i starał się być dobrym ojcem.

Od czterech lat Mark znajdował się pod opieką nowej przełożonej pielęgniarek. To ona przekonała Jamesa, aby wycofał zgodę na leczenie syna metodą elektrowstrząsów. Zrobił to pomimo oporu lekarzy i wnet nastąpiła radykalna poprawa zdrowia młodego pacjenta. Mark przestał mieć lęki, krzyczeć w nocy i częściowo wróciło jego pogodne usposobienie sprzed wyjazdu na wojnę. Podczas którejś z wizyt spojrzął na ojca i po raz pierwszy od wielu lat powiedział „tato”, wziął go za rękę, a po prawym policzku potoczyła mu się łza. James rozplakał się dopiero, gdy pożegnał syna, i długo nie mógł się uspokoić.

– Skąd wiedziałaś, że należy zaprzestać terapii elektrowstrząsowej? – zapytał potem przełożoną pielęgniarek.

– Bo to żadna terapia. Nie można leczyć człowieka, który był torturowany, kolejnymi torturami – odpowiedziała.

Od tamtego czasu Gladys Stone stała się dla Jamesa wyrocznią. Była zgrabną czterdziestopięciolatką, bezdzietną wdową, która cały

swój czas poświęcała pracy. Czytała książki z zakresu psychiatrii i wertowała literaturę fachową. Czasami James miał wrażenie, że ta kobieta wie więcej od lekarzy, którym podlega, a już z pewnością ma więcej niż oni zdrowego rozsądku. Gdy zatem podczas kolejnej wizyty poprosiła Jamesa o rozmowę i powiedziała mu, że w szpitalu wojskowym Walter Reed w Waszyngtonie grupa młodych lekarzy stosuje w leczeniu pacjentów z traumą wojenną środki farmakologiczne nowej generacji, James Risen uruchomił wszystkie swoje możliwości, żeby te leki pozyskać. Nie zwrócił się o pomoc bezpośrednio do Victora Van Verta. Jako jego długoletni kamerdyner poznał wystarczająco dużo ważnych osób, aby poradzić sobie inaczej, ale równie skutecznie.

Od dwóch lat Gladys podawała Markowi nowe leki, nie konsultując tego ze swoimi przełożonymi, którzy w dalszym ciągu byli przywiązani do terapii elektrowstrząsowej. Po pół roku tej farmakologicznej kuracji Mark zaczął prowadzić z ojcem i otoczeniem pierwsze w miarę normalne rozmowy. Potrafił już nawet nawiązać do swoich przeżyć wojennych bez przerażenia i strachu. Od czasu do czasu pozwalano mu też spędzać z ojcem weekendy poza szpitalem, na co nalegała przełożona pielęgniarek, tłumacząc opornym lekarzom, że powrót do normalności to najlepsza rekonwalescencja.

Właśnie wtedy James zapytał Gladys, czy nie zjadłaby z nim kolacji.

Pozbawiona pruderii kobieta nie widziała najmniejszego powodu, aby nie przyjąć zaproszenia, tym bardziej że James mimo swoich sześćdziesięciu kilku lat mógł spodobać się większości pań. Nie widziała też powodu, aby parę tygodni później nie spędzić z nim nocy w swoim mieszkanku w Brentwood.

Kilka tygodni później, tuż przed świtem, gdy rozmawiali przy winie, powiedziała mu, dlaczego została zdeklarowaną pacyfistką. Służąc w wojskowych szpitalach psychiatrycznych od końca drugiej wojny światowej, była świadkiem ogromu cierpienia bardzo młodych ludzi, takich jak Mark, którym los ten zgotowali znacznie potężniejsi współobywatele. Dzieci tych bogaczy na ogół nie trafiały do takich szpitali, natomiast do kontrolowanych przez nich spółek trafiały pieniądze, które wydawało państwo, żeby nieść zagładę ko-

lejnym pokoleniom swoich obywateli.

Z początku James próbował spierać się z Gladys, ale w skrytości ducha wiedział, że to ona ma rację. Lata służby dla rodu Van Vertów i poznane mimowolnie tajemnice uzmysłowiły mu, że również jego chlebobdawcy wysyłają na śmierć takich jak on i Mark – nawet jeżeli czasem osobiście im towarzyszą – i zbijają na tym fortunę. Ale dopóki nie zobaczył, co wojna zrobiła z jego synem, specjalnie o tym nie myślał. Dopiero bezradność Marka i świat potwornych koszmarów, na które ktoś go skazał, zaczęły budzić w Jamesie coraz większy gniew, ale także poczucie bezsilności, wyzwajające wściekłość i determinację. Może dlatego pacyfistyczne przekonania, które Gladys wypowiadała zdecydowanie i bez żadnych wątpliwości, dokonały u Jamesa przełomu w myśleniu.

Pewnej listopadowej nocy 1963 roku, gdy skończyli się kochać i pili dobrze schłodzonego szampana, zdradził jej coś, o czym tylko on wiedział. Poczul bowiem, że dysponując tą wiedzą, nie jest całkowicie bezsilny.

– Idzie kolejna wojna.

– Jaka wojna? Gdzie? – zapytała Gladys.

– W Wietnamie Południowym – odparł James.

– Skąd wiesz?

– Wiem, bo Victor Van Vert tak postanowił dla dobra Ameryki. On i jego ród zarobią na tym masę forsy. Podobnie jak ich przyjaciele. A takim jak my pozostanie opieka nad kolejnymi tysiącami nieszczęśników, których wypluje z siebie nowa wojna...

– Wydaje mi się, że ani prezydent Kennedy, ani jego brat nie dążą do wojny w Indochinach – powiedziała Gladys powątpiewającym tonem. – To chyba rozsądni ludzie...

– Jak Victor Van Vert coś postanowi, to idzie do celu po trupach. – James chciał dodać: „Nawet po trupie prezydenta”, powstrzymał się jednak, gdyż nie był pewien, że to, co posłyszał z pewnej odległości w rezydencji Van Vertów, nie było tworem jego wyobraźni.

– To trzeba coś robić. Znam organizacje pacyfistyczne. Musimy podnieść alarm i spróbować powstrzymać tę wojnę! – W głosie Gladys brzmiała determinacja.

James Risen nic wtedy nie odpowiedział. Ale gdy spotkali się już po tragicznej śmierci Johna Kennedy'ego, nie chciał dłużej milczeć.

– To Van Vertowie stoją za zamachem na prezydenta – oznajmił pewnym siebie głosem. – On nie chciał tej wojny, a Victor wiąże z nią jakieś wielkie plany, o których jeszcze nie wiem. Dlatego Kennedy musiał zginąć. To takie proste. Obawiam się, że nic na to nie poradzimy, dopóki w Wietnamie nie poleje się morze krwi...

Gladys cierpliwie wysłuchiwała wszystkiego, co James musiał z siebie wyrzucić, i starała się go pocieszyć najlepiej, jak potrafiła. Gdy wyszedł od niej nad ranem, wzięła długą kąpiel, ubrała się ciepło i pojechała transportem publicznym do Nowego Jorku, do Greenwich Village, dzielnicy artystów i antykwariatów w zachodniej części dolnego Manhattanu. Gdy tylko wysiadła z autobusu, wykonała telefon z najbliższej budki telefonicznej.

W Greenwich Village weszła do jednego z antykwariatów, do którego rzadko ktoś zaglądał, i przywitała się z właścicielem, starszym już, niepozornym mężczyzną, jak ze starym znajomym. Jej widok go nie zdziwił, gdyż to do niego dzwoniła, zapowiadając swoją wizytę. Następnie przeszła na zaplecze i usiadła przy stole, na którym stała maszyna do pisania. Zaczęła szczegółowo opisywać wszystko, co tej nocy powiedział jej kamerdyner rodu Van Vertów, a także to, co mówił pamiętnej listopadowej nocy o nadchodzącej wojnie w Wietnamie. Wypowiedzi Riseną uzupełniała własnymi przemyśleniami i wnioskami, jak na doświadczonego nielegala przystało.

Adresatem informacji była pułkownik KGB Jekatierina Iwanowa.

Kiedy w pierwszą niedzielę września 1964 roku James Risen jechał do Pilgrim Psychiatric Center, by zabrać Marka do domu, z wielką wdzięcznością i czułością myślał o Gladys Stone.

Chyba sam Bóg mi ją zesłał...

## 15 września

Już po ósmej Marika dostała krótkofalówką sygnał od swoich pomocników. Zarzuciła na ramię niewielki plecak i w parę sekund znalazła się na pierwszym piętrze, skąd był dobry widok na ulicę.

Od prawie miesiąca wynajmowała pokój w suterynie budynku, w którym mieściła się pracownia Marii. Czasami spotykały się przy wejściu i przyjaźnie pozdrowiały. Dzięki temu Węgierka stała się po prostu elementem otoczenia. Miała do pomocy czterech ludzi w dwóch samochodach, którzy o różnych porach dnia i nocy przeczesywali okolicę Osiemdziesiątej Piątej Ulicy. Dziesięciokrotnie ustalili wrogą obserwację. Dwa razy prowadził ją mężczyzna o wojskowej postawie, który kończył trasę, gdy Maria wchodziła do synagogi, a w pozostałych przypadkach dwóch mężczyzn działających osobno i porozumiewających się krótkofalówkami inwigilowało ją do Muzeum Guggenheima. Brazylijka poruszała się między trzema punktami: swoim domem, synagogą i muzeum, i zawsze szła spacerem przez Central Park.

Marika i jej ekipa nigdy nie odnotowały obserwacji, gdy „Belli” towarzyszył odwiedzający ją regularnie mężczyzna. Sprawiało to wrażenie, jakby obserwacja albo nie chciała, aby ten człowiek ją namierzył, albo działała na jego zlecenie.

Tego ranka, wyrzawszy przez okno na klatce schodowej, Marika szybko namierzyła znaną jej dwójkę, która zajęła swoje stałe pozycje u wylotu ulicy, żeby podjąć obserwację Brazylijki.

Flejtuchy – oceniła. Olewają zasady konspiracji.

Ale nieco dalej stał samochód, w którym siedziało kolejnych dwóch facetów.

Mamy nowość. Coś jest grane – przeszło Marice przez myśl.

Szybko zbiegła po schodach i znalazła się na ulicy. Odwróciwszy się plecami do wrogiej obserwacji, bez pośpiechu doszła do zaułka, gdzie parkował samochód pomocników. Jeden z jej ludzi

siedział za kierownicą, a drugi stał u wylotu uliczki, ukryty za murem budynku, i obserwował, co się dzieje przed domem „Belli”. Marika kiwnęła mu głową na powitanie i wsiadła do samochodu.

– Co jest? – zapytała kierowcę, podając mu dłoń.

Był jej prawą ręką w tej operacji i bezpośrednio zarządzał ekipami na ulicy.

– Zjazd jest – odrzekł. – U wylotu ulicy nasza ulubiona dwójka i kolejnych dwóch w samochodzie nieco dalej. Ale to nie wszystko. Za rogiem znany nam wojskowy typ siedzi w ciężarówce z dużą budą do przewożenia mebli, takiej z obniżonym podwoziem. Pewnie w środku są ściany wyściełane materacami, aby meble się nie poobijały. Nie ustaliliśmy jeszcze, czy ktoś dodatkowy z ich ekipy jest wewnątrz. Zakładam, że ani ty, ani „Bella” nie zamawiałyście przeprowadzki, więc już wezwałem dwa nasze samochody z ludźmi, bo chuj wie, co knują.

– Dobrze – pochwaliła Marika. – Mogą się przydać. Podaj przez radio, aby jeden stanął gdzieś za wozem meblowym, a drugi ze sto metrów przed nami.

– Jaką akcję obstawiasz z ich strony? – Kierowca wiedział, że Marika ma niezwykle wyczucie do pracy na ulicy.

– Zwiną ją do budy meblowej i albo gdzieś wywiozą, albo nie – odpowiedziała była milicjantka bez chwili wahania. – Zero interwencji bez mojej zgody, choćby nie wiem co się działo, jasne? Jeszcze jedno: nie macie prawa jej zgubić! Przekaż dalej.

Wysiadła z samochodu, odeszła kilka metrów i zaczęła szybko mówić do krótkofalówki. Wiedziała, że czasu jest niewiele, gdyż Brazylijka w każdej chwili może ruszyć do Muzeum Guggenheima lub synagogi, ale w obu przypadkach spacerem przez Central Park. Mózg Mariki pracował na zwiększonych obrotach, ale z pełnym opanowaniem. W sytuacjach kryzysowych nigdy nie traciła kontroli, przeciwnie – mobilizowała się do większej precyzji. Skończyła rozmawiać, wyłączyła krótkofalówkę i wsiadła do samochodu.

– Zrobimy tak... – powiedziała do kierowcy i pospiesznie przedstawiła plan działania, po czym wysiadła, wróciła do budynku i zbiegła do swojej suteryny. Mały plecak z krótkofalówką założyła porządnie na plecy i zaczęła wyciągać swój rower na parter.

Jednak się do czegoś przyda – pomyślała z satysfakcją.

Ubrana była w wojskowe zielone spodnie, biały podkoszulek i gotowa do akcji. Z namaszczeniem dokręcając śrubki przy rowerze, czekała na „Bellę”.

Tego dnia Maria planowała spędzić przedpołudnie w bibliotece Muzeum Guggenheima, kontynuując studia nad impresjonistami francuskimi. Zauważyła, że im więcej wie o nich i atmosferze tamtych czasów, tym lepiej i wnikliwiej rozumie to, co kopiuje. Odkryła, że wiedza podbudowuje talent. Zbiegła po schodach ze swojej pracowni na ostatnim piętrze i niemal wpadła na dziewczynę z suteryny majstrującą przy rowerze. Czują do niej sympatię, bo ilekroć się spotykały, nowa lokatorka zawsze witała ją miłym uśmiechem. Tak było i tym razem.

– Piękny poranek. Biegniesz do miasta?

– Do Muzeum Guggenheima, poczytać o sztuce – odrzekła Maria i dodała: – Trochę maluję...

– Super. Chętnie kiedyś obejrzę – zasugerowała dziewczyna z rowerem. – Jedziesz czy idziesz piechotą przez park?

– W taki dzień jak dziś szkoda byłoby się nie przejść.

– To odprowadzę cię kawaleczek. Mam na imię Marika – przedstawiła się Węgierka i powoli ruszyły w stronę Central Parku.

Gdyby ktoś obserwował idące kobiety z lotu ptaka, natchmiast odnotowałby ruchy pojazdów i ludzi, jakie ich spacer zainicjował. Zaczęło się od dwóch pieszych z ekipy obserwacji czekających od rana na wyjście Marii z budynku. Za nimi powolutku ruszył samochód z kolejnymi dwoma mężczyznami, a na samym końcu ciężarówka meblowa. Siedzący obok kierowcy człowiek o postawie i wyglądzie wojskowego od razu odebrał przez krótkofalówkę pierwszą informację od jednego z pieszych.

– Cel nie jest sam, szefie. Wlecze się z jakąś rowerzystką, sąsiadką. Idą w stronę Central Parku. Podążamy za nimi.

– Tak trzymać i meldować, co się dzieje! – odpowiedział Morgan, człowiek do spraw trudnych Instytutu Erudycji.

Nie denerwował się ani nie przeklinał, że akurat w ten dzień dziewczyna ma niespodziewane towarzystwo. Był doświadczonym operatorem i zawsze zakładał, że jeżeli coś może pójść źle, to

pójdzie. Wolał być przygotowany na takie ewentualności niż bezproduktywnie nad nimi ubolewać. Od trzech miesięcy zbierał o Brazylijce wszelkie możliwe informacje i wynikało z nich jedynie to, że jest sierotą z żydowskiego sierocińca nieopodal Rio de Janeiro. Jej krótki życiorys nie zawierał nic, co mogłoby wzbudzać najmniejsze nawet zaniepokojenie. Opuściła Brazylię po puczu wojskowym, tak jak tysiące innych jej obywateli, którzy schronili się w różnych zakątkach obu Ameryk. Martin Van Vert, który zlecił te ustalenia, wydawał się całkowicie nimi usatysfakcjonowany. Ale Frederick, któremu Morgan równolegle meldował o wszystkim, co miało jakikolwiek związek z Instytutem i mogło mu choćby teoretycznie zagrażać, bynajmniej nie wyzbył się wątpliwości i nakazał finalne sprawdzenie Brazylijki. Dlatego Morgan siedział na przednim siedzeniu ciężarówki meblowej i analizował sytuację operacyjną w miarę jej rozwoju.

Marika szła obok „Belli”, prowadząc rower. Była milicjantka domyślała się, że w którymś momencie dziewczyna zostanie wciągnięta do ciężarówki meblowej, i chciała maksymalnie zapanować nad sytuacją. Niemal podyktować czas i miejsce uprowadzenia. Nie chciała, aby doszło do niego w gmatwaninie przylegających do Central Parku uliczek, tylko na jego terenie, gdzie otwarta przestrzeń ułatwiała kontrolę działań przeciwnika. Wiedziała też, że dopóki ona towarzyszy Brazylijce, nikt nie wykona żadnego ruchu.

Weszły do parku z Osiemdziesiątej Piątej Ulicy i dotarły do skrzyżowania z West Drive.

– Miło się z tobą gawędziło, Mario. To fajnie znać artystkę. – Marika się zatrzymała. – Muszę popedałować w dół Manhattanu.

– Dzięki. Chętnie ci pokażę swoje prace. Do zobaczenia.

Maria ruszyła w kierunku muzeum.

– Cel jest sam i porusza się West Drive, ale lada chwila może wejść na trawnik i ruszyć na przełaj do Piątej Alei – meldował jeden z pieszych obserwatorów z ekipy Morgana. – Dajcie gazu albo będziemy musieli zapakować ją do osobowego!

– Spokojnie, kolego. Jestem sto metrów za tobą. – Morgan bez emocji dyrygował swoimi ludźmi. – Zaraz zrównam się z celem, a wy, chłopcy, wiecie, co macie robić.



Maria szła przed siebie, rozkoszując się pogodnym dniem i zielenią pustego o tej porze Central Parku. Powoli, jak gdyby z silnika uszła cała moc, zaczęła ją mijać ciężarówka do przewożenia mebli. Siedzący obok kierowcy krótko ostrzyżony mężczyzna trzymał w ręku plan miasta i przez otwartą szybę, na w pół wychylony z szoferki, coś do Marii mówił, lecz warczenie ciężarówki skutecznie zagłuszało jego słowa. Krzyknął w końcu do kierowcy i pojazd zatrzymał się kilka metrów od idącej przez park kobiety. Facet wyskoczył z szoferki i przyjaźnie się uśmiechając, z planem w ręku, zaczął iść w kierunku Brazylijki. Miał posturę i wygląd wojskowego...

– Zgubiliśmy się. Czy mogłaby nam pani pomóc? – zapytał grzecznie, zerkając na boki i ponad głowę Marii, czy jego ludzie zajmują uzgodnione pozycje tuż obok tylnych drzwi ciężarówki.

Marii wydawało się, że w wyglądzie tego mężczyzny jest coś znajomego, i nagle uświadomiła sobie, że odpowiada on rysopisowi, jaki przekazała jej Dolores.

To on mnie obserwował, a potem wszedł do budynku, w którym mieści się Instytut Erudycji...

Lewa połowa drzwi ciężarówki otworzyła się nagle, połączona od wewnątrz, i Maria już wiedziała, że musi jak najszybciej opuścić to miejsce. Odwróciła się na pięcie i stanęła na wprost trzech mężczyzn, którzy bezszelestnie podeszli od tyłu. Z wnętrza ciężarówki wyskoczył czwarty.

Jestem w pułapce – przemknęło jej przez myśl.

– Sama wskoczysz czy mamy cię wnieść? – zapytał uprzejmie człowiek o wyglądzie wojskowego.

Maria nic nie odpowiedziała i posłusznie ruszyła w stronę otwartych drzwi. Była jednak nie tylko piękna, ale też silna i bardzo zwinna, więc w ostatniej chwili próbowała przebić się przez otaczający ją pierścień. Natychmiast pochwyciło ją kilka par rąk i prawie wniosło do wnętrza pojazdu. Widocznie jednak Maria miała za długie nogi albo ekipie Morgana brakowało wprawy przy tego typu akcjach, bo zawadziła prawą stopą o próg pojazdu i przewróciła się, uderzając lewym policzkiem o drewnianą podłogę. Uderzenie było na tyle silne, że na chwilę straciła przytomność.

– Kurwa mać! – zaklął Morgan. – Mamy z nią rozmawiać, a nie ją zabić.

Gdy się ocknęła, siedziała na solidnym drewnianym krześle przy równie solidnym stole. Opuchnięta twarz piekła ją niemiłosiernie, ale Maria czuła, że nie krwawi. Wewnętrzne ściany budy wystlane były grubymi materacami, a u sufitu paliła się pojedyncza naga żarówka. Naprzeciw Marii, za stołem, na takim samym drewnianym krześle siedział mężczyzna o wojskowym wyglądzie, a za nim stało dwóch ludzi z jego ekipy.

– Jak się będziesz szarpać, panienko, to zrobisz sobie jeszcze większą krzywdę – rzekł spokojnie Morgan. – Chcę z tobą porozmawiać. Rozumiesz? Jeżeli tak, to skiń głową dwa razy.

Przytaknęła zgodnie z poleceniem.

– Chcę wiedzieć, kim jesteś – kontynuował, nie okazując żadnych emocji. – Opowiesz swój życiorys minuta po minucie, nawet sto razy, abym był pewny, że wszystkie wersje się zgadzają. Powiesz także, kto cię tu przysłał, jakie masz zadania i kto ci daje kasę za to, abyś pałętała się po Nowym Jorku i zawracała ludziom głowę, a zwłaszcza jednemu człowiekowi. Im szybciej się tego dowiem, tym szybciej się rozstaniemy i zapomnimy o sobie. A teraz mów! Najlepiej głośno, bo przez te wyściełane ściany nikt niepożądany cię nie usłyszy.

W jego prawym ręku pojawiła się nie wiadomo skąd brzytwa, rzucając złowrogi błysk na twarz kobiety.

Maria analizowała słowa porywacza, choć nadal szumiało jej pod czaszką i miała wrażenie, że słyszy w oddali syrenę strażacką. Nie mieściło jej się w głowie, że Martin mógł zlecić to, co ją spotkało... Z najwyższym wysiłkiem zmobilizowała się, aby coś powiedzieć, gdyż przyszło jej na myśl, że tego spodziewałaby się po niej Dolores.

– Mogę ci opowiedzieć swój życiorys tysiąc razy, bo mam tylko jeden. Nikt mnie tu nie przysłał, nikt nie stawiał mi żadnych zadań ani nie płacił – mówiła powoli i dobitnie, patrząc na przesłuchującego. – Przyjechałam do Nowego

Jorku, aby uciec przed takimi bydlakami jak ty, którzy przejęli władzę w moim kraju...

Powiedziawszy to, co zamierzała, Maria nagle poczuła się niedobrze i... zwymiotowała na dębowy stół dzielący ją od krótko ostrzyżonego mężczyzny, który nie zdążył odskoczyć i również został obryzgany.

– Czy one, kurwa, zawsze muszą rzygać? – zapytał retorycznie Morgan, patrząc na swoich ludzi i strzepując wymiociny ze spodni.

W promieniu kilkuset metrów od ciężarówki, w której rozgrywały się te sceny, stały trzy strategicznie rozlokowane samochody z ludźmi Mariki. Ona sama była w zasadzie gotowa do realizacji kolejnej fazy swojego planu, ale chciała dać porywaczom trochę czasu, aby powiedzieli Brazylijce, o co im chodzi.

Zawsze lepiej wiedzieć niż nie wiedzieć – pomyślała. Dobrze, że wszystko dzieje się w jednym miejscu i że nie jeżdżą po całym mieście, choć tak byłoby bardziej profesjonalnie. Widać są pewni siebie. Cóż, łatwiej będzie fiutów zaskoczyć...

Spojrzała na zegarek. Upłynęło już dziesięć minut, odkąd „Bella” znalazła się we wnętrzu ciężarówki z grupą porywaczy.

Chyba wystarczy tej gry wstępnej – stwierdziła Marika i wyjęła z plecaka krótkofalówkę.

– Możesz ruszać, Sean. Baw się dobrze!

Wzięła do ręki lornetkę i zaczęła obserwować ciężarówkę do przewozu mebli i stojący za nią samochód osobowy.

Sierżant Sean Flannigan, Irlandczyk, służył w policji nowojorskiej od piętnastu lat. Był doświadczonym funkcjonariuszem i okolice Upper West Side nie miały dla niego tajemnic. Ten potężnie zbudowany rudzielec około czterdziestki słynął z umiejętności działania na ulicy. Lubił swoją pracę i wiedział, jak w niej przetrwać. Od dziesięciu lat współpracował z mafią żydowską Abrahama Lankera, a z Mariką od pięciu, i nie miał powodu narzekać na swoich partnerów. Powoli stawał się zamożnym człowiekiem, choć stan ten pieczołowicie ukrywał przed światem, bo doskonale wiedział, że skorumpowani policjanci zawsze wpadają, gdy ich żony lub oni sami zaczynają szastać lewą kasą. A Sean nie miał zamiaru tak skończyć. Planował odsłużyć wymagane dwadzieścia lat, przejść na emeryturę, przeprowadzić się na Florydę, nauczyć się grać w golfa i łowić merliny.

Sean uzgodnił z Murphym, siedzącym obok partnerem, ostatnie detale tego, co za chwilę miało nastąpić. Powolotku podjechał swoim nieoznakowanym pojazdem na tył samochodu ubezpieczającego ciężarówkę i zatrzymał się. Zakładał, że siedzący w nim mężczyźni będą drzemać, i wcale się nie pomylił. Najciszej, jak potrafił, otworzył drzwi i wysiadł, nadal niezauważony. Wyprostował się, poprawił mundur i odznakę policyjną, a następnie wyjął służbowego kolta kalibru 45. Gdy zrównał się z kierowcą samochodu ubezpieczającego, dał głową sygnał partnerowi. Siedzący w nieoznakowanym radiowozie policjant założył na dach migoczące czerwone światło i uruchomił je razem z syreną. Nadjeżdżające z wolna wozy patrolowe przyspieszyły z piskiem opon i wnet zablokowały ciężarówkę, jeden z przodu, a drugi z boku. W parę sekund zaroilo się wokół niej od policjantów z długą bronią gładkolufową. Samochody z wyjącymi syrenami i równomiernie błyskającymi światłami alarmowymi sprawiały imponujące wrażenie.

Tak przynajmniej uważała Marika i ludzie z jej ekipy podziwiający sprawność nowojorskiej policji.

Mężczyźni w samochodzie ubezpieczającym zdążyli już się ocknąć i ujrzeli wymierzony w nich rewolwer sierżanta i długą broń jego partnera.

– Wyłączyć i rączki na dach samochodu. Stanąć w rozkroku. Jak nie znacie procedury, to słuchać uważnie! – komenderował Sean i rzucił do swojego partnera i policjanta z oznakowanego radiowozu: – Zabrać broń, skuć i pilnować.

Podszedł do tylnych drzwi ciężarówki do przewożenia mebli. Towarzyszyło mu dwóch policjantów z długą bronią, a trzeci pilnował kierowcy.

– Mówi policja! Otwierać drzwi i wyłączyć! – ryknął na cały głos sierżant, a stojący obok niego policjant kolbą długiej broni zaczął łomotać w drzwi.

Gdy Morgan po raz pierwszy usłyszał wycie policyjnych syren, przeszedł nad tym do porządku, sądząc, że gdzieś daleko radiowozy ścigają przestępców. Podobnie Maria, której się wydawało, że słyszy syreny wozów strażackich. Iluzje Morgana przysły bardzo szybko. Gdy nadaremnie próbował wywołać przez krótkofalówkę ludzi z

samochodu ubezpieczającego, tłumaczył to początkowo usterką techniczną. Kiedy jednak dotarły do jego uszu nakazy policji i łomotanie do tylnych drzwi, zrozumiał, że może mieć kłopoty.

Sierżant Flannigan już zamierzał sięgnąć po łom, gdy zauważył, że drzwi powoli się uchylają, a ze szpary wysuwa się dłoń z białą chusteczką. Z rozbawieniem popatrzył na osłaniających go kolegów.

– Mamy własne chusteczki, dupki! – krzyknął, ledwo powstrzymując śmiech, i już poważnym tonem nakazał: – Wyłazić z łapami w górze. Broń ma zostać na podłodze tego złomu, którym się poruszacie. Wykonać natychmiast!

Drzwi ciężarówki otworzyły się na całą szerokość i z budy wyskoczyło po kolei trzech mężczyzn. Policjanci z długą bronią błyskawicznie ustawili ich wzdłuż ciężarówki od strony trawnika, dołączając do nich jej kierowcę i dwóch facetów z samochodu ubezpieczającego. Stanęli naprzeciw nich z bronią gotową do strzału. Morgan patrzył na policjantów i szybko analizował sytuację. Coś, co miało być prostą operacją z jedną kobietą jako przeciwnikiem, przybrało rozmiary kłęski, której nie był w stanie przewidzieć w najczarniejszych snach. Wolał nie myśleć o konsekwencjach...

Sierżant Flannigan, upewniwszy się, że jego ludzie całkowicie panują nad sytuacją, z koltem gotowym do strzału wszedł do ciężarówki. Za drewnianym zarzyganym stołem, na drewnianym krześle, siedziała nieruchomo młoda kobieta z posiniaczoną twarzą. Sierżant natychmiast zauważył, że jest bardzo wystraszona, bardzo młoda i... bardzo ładna.

– Policja! Sierżant Flannigan. Jest pani bezpieczna. Zaraz panią stąd wyprowadzę. Proszę powoli wstać i podejść do mnie. – Sean wydawał wielokrotnie ćwiczone komendy, jedną po drugiej, jak w transie. – Nie pani nie jest?

Maria wstała od stołu i ruszyła w stronę człowieka w mundurze policji nowojorskiej. Poczula jednak nagły ból w nodze, którą w chwili wprowadzenia zawadziła o próg ciężarówki. Zapewne znowu by się przewróciła, gdyby mocarne ręce sierżanta nie zatrzymały jej ciała w powietrzu. Ich twarze zbliżyły się na odległość oddechu i wtedy sierżant zauważył, jak mocno jest posiniaczony jej lewy policzek.

Grymas wściekłości przemknął przez jego twarz. Flannigan odkaslnął mocno i postawił Brazylijkę na nogi.

– Bez pośpiechu, dziecino. Mamy czas. Jestem sierżant Flannigan i przy mnie nikt cię nie dotknie. Rozumiesz?

– Tak, panie sierżancie. Cieszę się, że pan tu jest – powiedziała ledwo słyszalnym głosem Maria i oparła się o swojego wybawcę. – Muszę chwilę ochłonąć. Strasznie chce mi się pić... Chyba umrę z pragnienia...

– Nie ma obawy, dziecino. Nie po to cię ratowałem. – Po czym wydarł się jak najgłośniej: – Murphy, wody dla kobiety!

Murphy zjawił się z butelką wody, zanim sierżant zdążył się poważnie zniecierpliwzić. Przystawiając ją do ust uratowanej, natychmiast zwrócił uwagę na jej posiniaczoną twarz.

– Paskudne siniaki, szefie – zauważył troskliwie.

Wiedział, że widok pobitych kobiet działa na Seana jak płachta na byka.

– Fakt – przyznał sierżant. – No dobra, wyprowadźmy poszkodowaną. Uważajmy na próg. Ty ją trzymaj, a ja będę eskortował z zewnątrz.

Co powiedziawszy, zeskoczył na ziemię i wyciągnął rękę.

Opierając się na ramieniu olbrzymiego irlandzkiego policjanta, Maria opuściła ciężarówkę. Powoli dochodziła do siebie po przejściach ostatnich kilkunastu minut, a świeże powietrze podziało na nią ożywiająco. Sierżant zbliżył się do Brazylijki i w dziennym świetle ponownie fachowym okiem obejrzał jej opuchniętą twarz.

– Jeszcze trochę urośnie, ale za dwa tygodnie nie będzie śladu – zawyrokował. – Proszę podejść za mną i rzucić okiem na to towarzystwo. Nie musi się pani bać, to czysta formalność.

Ruszył przodem, prowadząc Marię przed szereg ustawionych wzdłuż ciężarówki niedawnych napastników. Stanął naprzeciw nich w rozkroku. Uratowanej dziewczyny strzegło trzech policjantów z długą bronią wymierzoną w porywaczy. Murphy spisywał personalia zatrzymanych z dokumentów, jakie znalazł w ich kieszeniach.

– Czy zna pani kogoś z tych osobników? Czy widziała pani kogoś wcześniej, przed dzisiejszym incydentem? – zapytał

sierżant.

– Nie, sierżancie, nie znam i nie widziałam wcześniej – odpowiedziała Maria w zasadzie zgodnie z prawdą, bo nawet mężczyznę o wyglądzie wojskowego знаła jedynie ze słyszenia.

– Czy chce i zamierza pani wnieść przeciwko któremukolwiek z nich formalne oskarżenie o porwanie, bezprawne pozbawienie wolności i pobicie? – kontynuował sierżant Flannigan.

– Nie zamierzam. To jakaś pomyłka. Ci panowie na pewno pomylili mnie z kimś innym – odparła po namyśle, patrząc prosto w oczy krótko ostrzyżonemu mężczyźnie.

Na jego twarzy zarysowało się najpierw zdumienie, a następnie widoczna ulga.

Nie uszło to uwagi doświadczonego irlandzkiego policjanta nawykłego do takich konfrontacji ofiary z prześladowcą. Sierżant spojrział więc badawczo na Marię i pouczył ją niepocieszonym, ale pełnym zrozumienia głosem:

– To ostatnia okazja, młoda damo, aby ich oskarżyć. Jutro może być za późno. Powie pani „oskarżam”, a zawiozę ich prosto na dołek i jutro staną przed sędzią, który na sto procent aresztuje ich na parę miesięcy do rozprawy, chyba że ktoś wpłaci za tych nieudaczników kaucję. Wtedy zobaczymy kto, a jak to będzie jakiś papuga... chciałem powiedzieć: prawnik... to też ustalimy, dla kogo pracuje. No to jak, panienko? Siedzimy towarzystwo?

– Nie ma takiej potrzeby, sierżancie – potwierdziła swoją wcześniejszą decyzję. – Jak powiedziałam, to musiała być pomyłka.

– Okej, pani tu rządzi – rzekł Flannigan, który nie miał instrukcji, aby za wszelką cenę wieźć napastników do komisariatu. – W takim razie proszę za mną. Muszę spisać pani personalia i adres.

Podprowadził Brazylijkę do oznakowanego radiowozu, spisał dane, po czym wręczył jej wizytówkę z numerami telefonów komisariatu i swoim nazwiskiem.

– Mieszka pani w mojej dzielnicy. To dobrze. Jakby coś panią niepokoiło w najbliższym czasie i w ogóle, nawet zbyt wypasiony szczur, to proszę dać znać. Rozumiemy się? – zapytał.

– Tak jest, sierżancie! Wszystko jasne! Bardzo dziękuję za pomoc i wsparcie – odpowiedziała Brazylijka, odzyskując dobre

samopoczucie, i pocałowała Seana delikatnie w policzek.

Policjant chrząknął zadowolony, uśmiechnął się do Marii i skinął głową na jednego ze swoich ludzi.

– Kolega panią odwiezie. Dokąd?

– Do domu, muszę trochę doprowadzić się do porządku. Jeszcze raz dziękuję za wszystko – odparła Maria i po chwili wahania zapytała: – Ale skąd pan wiedział, że wciągnęli mnie do ciężarówki i potrzebuję pomocy?

– Bo jestem gliną z krwi i kości, panienko – zaśmiał się sierżant Flannigan. – Poza tym po ulicach chodzą dobrzy ludzie i reagują na zło.

– Pomodłę się za pana. Dobrze, że pana poznałam.

– Cała przyjemność po mojej stronie – rzekł sierżant i dodał na odchodnym: – Pani pamięta. Większy szczur w okolicy i pani dzwoni! – Zwrócił się do kierowcy: – Po drodze wpadnij z panią do O'Malleya. Obmyje i opatrzy jej twarz.

Maria wsiadła do radiowozu, a sierżant zamknął za nią przednie drzwi. Chwilę patrzył, jak pojazd się oddala, i uśmiechnął się do siebie.

Kolejna porządnie wykonana robota – pomyślał.

Odwrócił się i podszedł do grupy zatrzymanych.

– Który tu jest damski bokser i przyłożył dziewczynie?

Nie czekając na odpowiedź, której się zresztą nie spodziewał, wymierzył najbliżej stojącemu potężnego kopniaka w krocze i patrzył spokojnie, jak facet z grymasem potwornego bólu na twarzy osuwa się na ziemię. Palcem wskazującym przywołał do siebie Morgana, przysunął twarz bardzo blisko do jego twarzy i zaczął mówić cichym głosem, pełnym nieskrywanej satysfakcji.

– Daleś dupy, żołnierzyku, i ktoś cię za to opierdoli, więc ja już to sobie daruję. Masz szczęście, że młoda dama nie wniosła skargi, bo wtedy twoi szefowie wyciągaliby wasze dupska z aresztu i opierdoliliby cię podwójnie. Ale dam ci darmową radę. Nie pokazuj się już w mojej dzielnicy, bo możesz nie przeżyć. Czy to, co mówię, jest zrozumiałe?

Morgan skinął głową i cofnął się o dwa kroki.

– Zabrać ich broń, środki łączności i spadamy, chłopcy –



zarządził sierżant Flannigan.

Ekipa błyskawicznie załadowała się do pozostałych wozów policyjnych i odjechała z piskiem opon.

Na placu boju pozostał Morgan, jego ludzie, ciężarówka meblowa i ubezpieczający ją samochód osobowy. Były żołnierz patrzył za odjeżdżającymi radiowozami i zastanawiał się, skąd się wzięli policjanci i jak namierzyli uprowadzenie Brazylijki. Ale żadne wyjaśnienie nie przychodziło mu do głowy, bo przez wszystkie tygodnie jej inwigilacji ani on, ani nikt z jego ekipy nie wykrył śladu kontrobservacji czy czegoś podejrzanego.

Pierdolony pech – pomyślał.

Wolał natomiast nie myśleć o czekającej go rozmowie z Frederickiem Van Vertem i jego bratankiem.

Schowana za drzewem Marika włożyła lornetkę do plecaka, wyjęła z niego krótkofalówkę i nadała do sierżanta Flannigana:

– Dobra robota. Dzięki. Wieczorem tam gdzie zawsze.

W odróżnieniu od Morgana była więcej niż zadowolona z przebiegu zaplanowanej z marszu operacji. Wykonała co do joty polecenia, jakie otrzymała w tej sprawie od Abrahama Lankera. Ochroniła Brazylijkę, uwalniając ją z rąk porywaczy, wykorzystując policję i nie zdradzając zaangażowania mafii żydowskiej. Natomiast jak ocenią realizację porwania ci, którzy je zlecili... to już nie jej sprawa.

Z Seanem, jak zwykle po takiej akcji, była umówiona wieczorem o stałej porze w tym samym co zawsze miejscu. Miała mu przekazać dziesięć tysięcy dolarów w podziękowaniu za współpracę i odebrać od niego spisane dane napastników. Nie wnikała, w jaki sposób sierżant podzielił się kasą ze swoimi ludźmi...

Doktor O'Malley z wprawą opatrzył twarz Marii, a chwilę później dziewczyna znalazła się przed budynkiem, w którym miała pracownię.

– Proszę uważać na siebie i w razie czego wezwać nas na pomoc. Kawaleria nadciągnie! – powiedział na pożegnanie kierowca radiowozu i odjechał.

Stała na chodniku przed domem i czuła, że opuszczają ją siły. Muszę się chyba położyć – pomyślała, ale nie była pewna, czy da

radę wejść po schodach na ostatnie piętro.

– Wszystko okej? – usłyszała za sobą głos Mariki, która właśnie zsiadała z roweru. – Jezu... co się stało? Wypadek w muzeum? Chyba regał się na ciebie przewrócił... Nie wyglądasz dobrze, Mario. Oprzyj się o mnie. Pomogę ci wejść na górę.

Maria oparła się o Węgierkę i poczuła, że ta kobieta ma ciało ze stali. Marika prawie wniosła „Bellę” po schodach do pracowni i ułożyła na łóżku. Z kuchni przyniosła dużą butelkę wody i postawiła na stoliku obok.

– Powoli masz wypić całą butelkę, bo możesz być odwodniona. Teraz się prześpij, sen dobrze ci zrobi, to najlepsze lekarstwo – komenderowała fachowo była milicjantka. – Później mi powiesz, co się stało. Posiedzę przy tobie, póki nie zaśniesz. Wszystko będzie dobrze. Jesteś bezpieczna.

Maria spojrzała się z wdzięcznością na sąsiadkę i zaczęła odpływać w krainę snu. Zbliżało się południe.

\*

Obudziło ją pukanie do drzwi. Usiadła wyprostowana na łóżku i zauważyła butelkę z wodą. Zaczęła łapczywie pić. Bardzo jej smakowało. Przypomniała sobie, że wodę zostawiła dziewczyna z suteryny, i uśmiechnęła się do siebie.

Pamiętała, że ma powoli wypić całą butelkę. Na razie wypila pół. Pukanie się nasilało. Wstała i na palcach zaczęła skradać się do drzwi. Po porannej przygodzie nawet nie miała odwagi zapytać, kto tam. Nasłuchiwała.

– To ja, Martin. Zapomniałem klucza – usłyszała znajomy męski głos.

– Nie wal tak, koleś, bo ją obudzisz! – odezwał się w tej samej chwili silny i agresywny głos Mariki.

Martin odwrócił się i zobaczył stojącą na półpiętrze kobietę o zylastej budowie. Z jej postawy biła pewność siebie i gotowość do działania. Znał ten typ ludzi. Ludzi ulicy. Bezczelnych, zادیornych i

czujnych. Tak jak wielu jego byłych podwładnych.

– Kim pani jest? – zapytał, przypominając sobie, że już widział tę kobietę. Od niedawna mieszkała w suterynie.

– Znajomą twojej znajomej – odpowiedziała Marika, rozpoznając Martina. Pistolet wojskowy, który trzymała w prawej ręce schowanej za plecami, wsunęła za pasek spodni. Wiedziała, kim jest Martin, ponieważ kazała go ustalić swoim ludziom, jak tylko się okazało, że to kochanek Brazylijki.

W tym momencie Maria otworzyła drzwi swojej pracowni i stanęła w nich, patrząc na Marikę i Martina. W czasie ośmiogodzinnego snu przymocowany plastrami opatrunek całkowicie się odkleił. Zgodnie z zapowiedzią sierżanta Seana opuchlizna wydatnie urosła i dziewczyna wyglądała, jakby uządlił ją cały rój wyposzczonych pszczoł. Martin aż cofnął się o krok, zamierając ze zgrozy.

– Co się stało? – wydusił z siebie w końcu, patrząc to na Marię, to na Marikę.

– Mnie przy tym nie było – powiedziała Węgierka. – Pogadajcie sobie. Wpadnę jutro, Mario. – I zbiegając schodami w dół, zawołała: – Nie jesteś saaama...!

Martin wszedł do pracowni i zamknął drzwi. Włączył światło, wziął Marię za rękę, zaprowadził pod żyrandol i zaczął się przyglądać lewej stronie jej twarzy. Delikatnie dotknął opuchlizny, sprawdzając, czy nie zbiera się pod nią ropa.

– Uderzenie czy upadek? – zapytał, gdy skończył oględziny, i zaraz ponowił pierwotne pytanie: – Co się stało?

Maria wzięła butelkę z wodą i usiadła z nią przy stole kuchennym. Gdy Martin zajął miejsce naprzeciw niej, zaczęła opowiadać swoje poranne przeżycia. Słuchając jej, były oficer OSS i CIA miał wrażenie, jakby to jakiś jego podwładny składał mu relację z operacji specjalnej, w której wszystko poszło inaczej, niż powinno. Gdy skończyła, zaczął zadawać pytania.

– Możesz mi jeszcze raz opisać człowieka o wyglądzie wojskowego? Tak szczegółowo, jak tylko potrafisz.

Gdy to zrobiła, poprosił, by słowo w słowo zrelacjonowała, o co pytał ją ten mężczyzna i co chciał wiedzieć.

– Jesteś pewna, że żaden z nich nie bił cię w czasie tego napadu ani nie... – nie dokończył pytania, gdyż czuł, że zaraz zacznie się dusić z wściekłości.

– Co się dzieje, Martinie? – zapytała Maria. – Dlaczego mnie to spotkało? Czy to ma jakiś związek z tobą? Ten mężczyzna mówił, że komuś w Nowym Jorku zawracam w głowie. Czy chodzi o ciebie?

Pomyślała, że zrzęcenie losu zesłało jej niepowtarzalną szansę zapanowania nad tym mężczyzną, zbliżenia się do niego i związania go poczuciem winy. Obserwując jego reakcję i narastający w nim gniew, była już przekonana, że to nie on zlecił poranną akcję. Zatem zrobił to ktoś z jego rodziny lub otoczenia...

Martin nie wiedział, jak ma odpowiedzieć na pytania Marii. Nie miał wątpliwości, że mężczyzna, którego mu opisała, to Morgan. Nie podjąłby takiego działania sam, a zatem stał za tym Frederick.

Muszę jak najszybciej się z nim rozmówić. Nie ma prawa kontrolować mojego życia...

– Myślę, Mario, że ktoś fatalnie się pomylił – odpowiedział w końcu. – Szybko to wyjaśnię. Obiecuję ci. Ale teraz zajmę się tobą. Ta opuchlizna nie wygląda najlepiej. Pojedziemy do szpitala.

Zawiózł Marię do centrum Manhattanu. Niewielki szpital mieścił się na kilku piętrach jednego z biurowców, funkcjonował dwadzieścia cztery godziny na dobę i korzystali z niego jedynie najbogatsi. Pacjentce przemyto opuchliznę, zaaplikowano specjalną maść na bazie antybiotyku i założono nowy opatrunek. Dostała zastrzyk na wzmocnienie i poczuła się znacznie lepiej. Lekarz zalecił dalszy odpoczynek i dał jej tabletki nasenne. Martin odwiózł dziewczynę do pracowni, dopilnował, aby wzięła tabletki i położyła się do łóżka. Gdy usnęła, wyszedł, cicho zamykając drzwi wejściowe.

Przed budynkiem natknął się na dziewczynę z suteryny. Siedziała na schodkach prowadzących na chodnik i piła piwo.

– Wszystko gra, koleś? – zapytała Marika.

– Nie mów tak do mnie. Mam na imię Martin – odpowiedział były oficer CIA i wyciągnął do niej rękę. – Chciałem ci podziękować za pomoc.

– Nie ma sprawy, Martin. Trzeba sobie pomagać – odparła

Marika, ściskając jego rękę.

Może jednak nie jesteś wyłącznie bogatym dupkiem – pomyślała.

Martin wszedł do samochodu i zastanowił się, gdzie może dopaść Fredericka. Zbliżała się jednak dwudziesta trzecia, więc szansa, że uda mu się to tej nocy, była nikła. Postanowił zatem jechać do swojego apartamentu nad hotelem Pierre, wypaść się i przygotować taktykę rozmowy ze stryjem.

## 18 września

Zarówno Frederick, jak i Morgan byli nieuchwytni w Waszyngtonie, więc Martin opowiedział o wtorkowych wydarzeniach ojcu, prosząc go o radę i pomoc. Victor Van Vert nie był zadowolony z tego, co usłyszał, i wymógł na bracie spotkanie w piątkowy wieczór.

Ojciec i syn siedzieli w bibliotece rezydencji, popijając porto, gdy zjawił się Frederick. Za nim wszedł kamerdyner James i zapytał, co może podać do picia. Kongresmen poprosił o szklaneczkę ulubionej whiskey Jack Daniels i przywitał się z bratem i bratankiem. Sytuacja była niezręczna.

– Załatwmy to szybko i kulturalnie – zagaił Victor. – Bezpieczeństwo naszego rodu i struktur amerykańskich Ligi wymaga od nas wszystkich pewnych poświęceń i gotowości poddania się różnym procedurom sprawdzającym. Dotyczy to także osób, które poznajemy i z którymi utrzymujemy kontakty. Martin to rozumie i dlatego sam zlecił naszym ludziom sprawdzenie życiorysu młodej damy, którą poznał. O ile wiem, nie wykazało ono niczego podejrzanego. Szczerze mówiąc... z całym szacunkiem dla naszych wojskowych przyjaciół władających obecnie Brazylią... gdybym był młodym Żydem w tym pięknym kraju, to też wolałbym dziś mieszkać w Nowym Jorku. Jaki zatem, Fredericku, był cel tego, co wydarzyło się we wtorek? A może była to jakaś samowolka Morgana i nie ty jesteś adresatem tego pytania...

– Prawda jak zwykle leży pośrodku – odpowiedział Frederick, który wciąż nie mógł pojąć, jak jego zaufany i doświadczony pomocnik mógł tak spieprzyć dosyć w sumie prostą operację. – Życiorys Brazylijki wydał mi się zbyt oczywisty. Dlatego zleciłem Morganowi potwierdzenie go w rozmowie z samą zainteresowaną w sposób, nazwijmy to, zachęcający do szczerości. Wszystko wskazuje jednak na to, że dziewczyna nic nie ukrywa. W sytuacji, w jakiej się znalazła, mało kto szedłby w zaparte. Przepraszam cię, Martinie, że wyszło tak, jak wyszło, ale nie było to moją intencją. Morgana trochę

poniosło i na pewno cię za to przeprosi, a jeżeli będzie trzeba, to także twoją znajomą. Należy jej się to, bo mogła nam nieco skomplikować życie, składając na policji formalną skargę, a nie zrobiła tego. Może pomyślała, że to twoja robota, i mimo wszystko chciała cię chronić, co dobrze by o niej świadczyło. Więc jak, Martinie, *no hard feelings*?

Martin nie spodziewał się takiej wypowiedzi, a zwłaszcza przeprosin. Nastawiony był raczej na konfrontację. Ale wobec takiego obrotu sprawy postanowił pójść na ugodę. Pomyślał, że tego życzy sobie ojciec i taka wielkoduszna postawa zjedna mu w jego oczach szacunek. A to było ważne. Wstał więc z fotela, podszedł do Fredericka i wyciągnął do niego rękę.

– Zapomnijmy o tym przykrym incydencie – rzekł, ściskając dłoń stryja.

– Dziękuję ci, chłopcze. Dojrzałość godna koordynatora amerykańskich struktur Ligi. Twoje zachowanie potwierdza, że był to słuszny wybór – odpowiedział Frederick, a Martin odnotował z satysfakcją, że jego postawa już zaczyna procentować.

– No, cieszę się niezmiernie, że załatwiliście to nieporozumienie jak mężczyźni, a nie chłopcy w krótkich spodenkach. Brawo, Martinie – odezwał się Victor Van Vert. – A tak na marginesie... Ta młoda dama... Maria, jak pamiętam... rzeczywiście mogła nabroić na policji. Uszło to mojej uwagi. Rzecz jasna, jakoś byśmy sobie poradzili, ale byłoby to kłopotliwe i potencjalnie kosztowne. I nie mam tu na myśli pieniędzy. Ludzie związani z Instytutem Erudycji raczej nie powinni kojarzyć się z porywaniem młodych kobiet z ulic Nowego Jorku. To w końcu nie Moskwa za czasów tego zboczeńca Berii. Zmierzam do wniosku, że chyba należy jej się od nas jakaś rekompensata. Może biżuteria... Oczywiście z twojej kieszeni, Fredericku. Nie masz nic przeciwko temu?

Mężczyźni spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Ostatnie złe emocje związane z wtorkowym incydem przysły nieodwracalnie.

– Mam lepszy pomysł, ojczy – zasugerował Martin. – Maria jest bardzo zdolną kopistką i niedługo wystawi na aukcji dwa obrazy. Kupując je do naszej rodowej kolekcji, możemy spowodować

wylicytowanie całkiem niezłych cen. Dla niej to byłby prezent stokrotnie cenniejszy od każdej biżuterii...

– To zręczne i inteligentne rozwiązanie – ocenił nestor rodu. – Podoba mi się. Masz załatwione, Martinie. Ty też popierasz, Fredericku?

– Absolutnie! – odrzekł gromko kongresmen. Na myśl, że w wyniku skargi ktoś mógłby zacząć węszyć wokół

Instytutu Erudycji, przeszły go ciarki. – Będziemy licytować do upadłego i jeszcze dłużej.

– Skoro zgrabnie się uporaliśmy z tak trudną sprawą – podsumował Victor, którego postawa Martina wprawiła w znakomity humor – to może przejdziemy do kwestii łatwiejszych. Co słychać w Waszyngtonie, naszej pięknej stolicy, Fredericku?

– Za dziesięć dni Komisja Warrena przekaże do Białego Domu swój raport – zaczął Frederick. – Stwierdzi w nim, że niejaki Lee Harvey Oswald był jedynym zabójcą odpowiedzialnym za śmierć naszego wielce nieodżałowanego prezydenta Johna Kennedy’ego...

– Ten Earl Warren jednak wart jest stanowiska przewodniczącego Sądu Najwyższego. Zdolna z niego bestia – zauważył Victor i ponownie wszyscy się roześmiali.

– I wiarygodna dla naszych obywateli. Możemy zatem sprawę śmierci Kennedy’ego uznać za zamkniętą – kontynuował Frederick. – A trzeciego listopada nasz przyjaciel Lyndon Johnson zostanie wybrany na prezydenta Stanów Zjednoczonych i w Kongresie wszyscy poprą jego decyzje w sprawie wojny w Wietnamie. W Senacie jest tylko jeden malkontent, Wayne Morse ze stanu Oregon, ale to bez znaczenia. Nawet dobrze świadczy o demokracji, że ktoś jest przeciw...

– Świetnie – ocenił Victor. – Lord Grey przekazał mi poparcie dla wojny w Azji brytyjskich struktur Ligi. Za parę tygodni przyjedzie tu w jego imieniu Malcolm. Chciałbym, Martinie, abyś był gospodarzem jego wizyty w Ameryce. Jesteście w podobnym wieku i już się znacie, a dobry kontakt między wami może zaowocować w przyszłości. Możesz go tu przyprowadzić na drinka, ale to będzie twój gość. Okej?

– Oczywiście, ojczy, z przyjemnością zajmę się Malcolmem.



To dużej klasy znawca historii sztuki, więc tematów do rozmowy nie zabraknie – odpowiedział Martin i dyskretnie spojrzął na zegarek, co nie uszło uwagi Victora.

– Wszystko dziś idzie jak z płatka – rzekł z zadowoleniem nestor rodu. – Biegnij, Martinie, do swojej sympatii. Chyba zasłużyła na twoje towarzystwo.

– Rozkaz, ojczy – odparł z wdzięcznością Martin, pożegnał się i już go nie było.

Wychodząc, natknął się w holu na kamerdynera Jamesa.

– Znalazłbyś dla mnie butelkę jakiegoś szampana? – zapytał.

– Dom pérignon, veuve cliquot...?

– Może być nawet wino musujące.

– Proszę iść do samochodu i otworzyć bagażnik.

Zanim Martin opuścił rezydencję, doszedł do swojego mustanga i zdążył otworzyć bagażnik, w oddali pojawił się James Risen, taszcząc w rękach karton bollingera. Postawił go w otwartym bagażniku.

– À votre santé! – dodał, kłaniając się lekko.

– Wiesz, James, że jesteś nieoceniony? – rzekł w odpowiedzi Martin.

– Skoro panicz tak uważa, to czuję się w obowiązku przychylić do tej opinii...

Obaj wybuchnęli śmiechem.

James Risen patrzył za odjeżdżającym samochodem młodego Van Verta i notował w pamięci to, co udało mu się dzisiaj usłyszeć w różnych miejscach sąsiadujących z biblioteką.

A więc zaakceptowali tę biedną dziewczynę, której o mało nie zabiły ich zbiry – analizował po cichu. Ciekawe, co Gladys na to powie...

Gdy bracia zostali sami, Victor spojrzął badawczo na Fredericka i zapytał:

– Ładnie się zachowałeś, bracie. Morgan uznał, że dziewczyna jest czysta, czy też jest coś, o czym nie wiem?

– Przenikliwy jak zawsze – pochwalił Frederick. – Morgan uważa, że gdyby Brazylijka miała coś na sumieniu i dla kogoś pracowała, to na widok brzytwy by pękła. Podstawia się na ogół

najemne dziewczyny, a takie nie dadzą się pokroić, bo kto by je wziął do następnej roboty... Ale ostatecznie przekonało mnie coś innego.

– Bardzo jestem ciekaw – rzekł zaintrygowany Victor.

– Nie zgadniesz, bracie, więc powiem ci od razu – odpowiedział z uśmiechem Frederick. – Uruchomiłem starych znajomych w CIA, którzy wyluskiwali po wojnie i sprowadzali do Ameryki byłych esesmanów jako nowych sojuszników w walce z sowieckim komunizmem. W Ameryce nadal mieszka kilka osób z ich dawnego wywiadu. Pomogli mi dotrzeć do ludzi SS w Brazylii, a ci ustalili, że Maria da Gama, bo tak nazywa się znajoma Martina, jest czysta jak łąza. Wierzę im, bo przecież ci chłopcy nie kryliby panienki z żydowskiego sierocińca. Informację tę dostałem przedwczoraj. Dziewczyna jest okej. Ponoć bardzo ładna, ale też inteligentna. Sprawia wrażenie normalnej i chodzi do kościoła... to znaczy do synagogi.

– Morgana trochę poniosło w Central Parku, ale czujności nigdy za dużo! Ważne, że mamy pewność – podsumował Victor. – Cieszę się ze względu na Martina. Po tej suce Lisie musi mieć jakąś niezmanierowaną kobietę. Kupimy jej obrazy, wylansujemy na artystkę, a może nawet raz czy dwa zaprosimy tu na kolację.

Kiedy bracia Van Vertowie snuli te plany, Martin zajechał pod dom Marii. Tak, tego wieczoru rzeczywiście wszystko poszło jak z płatka. Idąc na to spotkanie, nie spodziewał się, że Maria zostanie na nim de facto zaakceptowana przez jego rodzinę. Bo czym innym była zgoda ojca na wykupienie jej obrazów na aukcji i pełne wsparcie dla tego pomysłu ze strony Fredericka?

Starał się zachowywać na schodach jak najciszej i nie zapalać światła. Gdy stał już na półpiętrze przed pracownią Marii i zastanawiał się, czy spędzi z nią tę noc, na klatce schodowej rozbłysło nagle światło. Przy drzwiach stała w szerokim rozkroku Marika, trzymając w obu rękach potężny pistolet wojskowy kalibru 45. Były oficer OSS i CIA znał ten typ broni i jej skuteczność. Odruchowo zaczął podnosić ręce.

– Ty, Martin, pierdolony samobójca jesteś – oznajmiła Węgierka. – Jak się będziesz tak skradał, to ktoś cię kiedyś rąbnie w środek czoła... Nie śpi jeszcze. Chyba czeka na ciebie. – Co rzekłszy, ominęła Martina i zaczęła zbiegać po schodach, zanim zdążył jej

podziękować.

Jadąc z Long Island do pracowni, doszedł do wniosku, że najlepszym wyjściem będzie przedstawić Marii jedynie zarys prawdy o wtorkowym incydencie, z jak najmniejszą liczbą szczegółów.

„Zarys prawdy”, piękny eufemizm – przeszło mu przez myśl.

Przypuszczał, że Maria nie zacznie tej rozmowy pierwsza i o nic nie będzie pytać. Inicjatywa zatem należała do niego i nie zamierzał udawać, że jest inaczej.

– Witaj, kochanie! – zawołał, wchodząc do pracowni.

Odruchowo spojrzął na lewy policzek dziewczyny. Opuchlizna wyraźnie ustępowała, mieniając się różnymi odcieniami ciemnoszarego, żółtego i bordowego. Ale poprawa była znaczna.

– Martinie, jak miło cię widzieć! – W głosie Marii słychać było radość. – Natknąłeś się na Marikę? W tej sekundzie wyszła...

– Najpierw natknąłem się na jej pistolet wielkości małej armaty – odparł Martin. – Co ona robi? Rabuje banki?

– Jeżeli tak, to nic o tym nie wiem. – Roześmiała się. – Rozwozi pizzę na rowerze i mówi, że połowa tego miasta to świry i samotnie pracująca kobieta musi mieć wsparcie. A jej wsparcie to jej wojskowy kolt.

– Tu akurat ma rację – przyznał. – Rzeczywiście połowa tego miasta to wariaci, jeśli nie gorzej... Jak się czujesz?

– Już całkiem dobrze. – Stała przy sztalugach z kopiami obrazów Maneta. – Wiesz, coraz bardziej mi się podobają – powiedziała, wskazując pędzlem na płótna. – Może ktoś je jednak kupi na aukcji za parę groszy. A co u ciebie?

– Musimy porozmawiać, Mario. Może usiądziemy w saloniku albo w kuchni? – zaproponował Martin. – Przyniosłem szampana, jeszcze schłodzonego. Lepiej chodźmy na taras, noc jest jeszcze ciepła...

Otworzył butelkę, napełnił kieliszki i usiedli w wiklinowych fotelach na tarasie, patrząc na światła miasta, które huczało życiem.

– Za twoje zdrowie, kochanie – powiedział i kiedy się napili, zaczął tę trudniejszą część rozmowy. – Chciałbym cię jak najmocniej przeprosić za to, co się stało w Central Parku. Była to nadgorliwość ludzi pracujących dla mojego rodu, którzy źle zrozumieli swoje

obowiązki. Gdy tylko dojdiesz do siebie, przeproszą cię osobiście i podziękują, że nie złożyłaś skargi na policji, bo inaczej wylądowałiby w więzieniu. Tymczasem pozwól, że przeproszę cię w ich imieniu...

– Dziękuję, Martinie. Będzie najlepiej, jak zapomnimy o tej sprawie. Ludzie popełniają błędy. Wasi także – odparła, ważąc każde słowo. Wiedziała, że ponownie musi zachować się z klasą, pogłębić w Martinie poczucie winy za to, co się stało, i jeszcze mocniej związać go ze sobą szybkim i wspaniałomyślnym zlekceważeniem tego przykrego, ale jakże przydatnego incydentu. – Zmieńmy temat i pomówmy o sztuce.

Martin spojrział na nią i zastanowił się, ile kobiet z wyższych sfer, w których się obracał, byłoby stać na zachowanie się z taką... godnością.

Ona zasługuje na znacznie więcej, niż życie dawało jej do tej pory – pomyślał i skonstatował, że chyba gotów jest to zapewnić.

– Masz rację, twoje kopie zaczynają nabierać cech małych arcydzieł – ocenił, dopasowując się do jej sugestii. – Sądzę, że do końca roku powinnaś sobie z nimi poradzić, a potem mógłbym zorganizować aukcję w Muzeum Guggenheima. Co ty na to, kochanie?

– A jak licytacja skończy się klapą i nikt ich nie kupi? – zatrwożyła się malarka. – Spaliłabym się ze wstydu. Nie lepiej wystawić je po cichu w jakiejś galerii?

– Nie ma opcji klapy, jak to ujęłaś – odpowiedział Martin, przypominając sobie rozmowę z ojcem i Frederickiem. – Zresztą podzielmy role w tej sprawie. Ty malujesz i robisz to najlepiej, jak potrafisz. Ja wcielam się w twojego marszanda i też staram się ze wszystkich sił. Prowizję odbiorę w całusach. Umowa stoi?

– Dobrze, zgadzam się – odrzekła i uściśliła jego wyciągniętą rękę.

– W najbliższy wtorek na Broadwayu jest premiera musicalu *Skrzypek na dachu*. Będzie cała socjeta nowojorska. Mam dwa bilety i byłoby mi miło, gdybyś poszła ze mną na to przedstawienie – zaproponował Martin. – To może być hit. Nie przyjmuję odpowiedzi odmownej!

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł pokazywać się ze mną aż tak publicznie? – zapytała Maria bardziej dla podtrzymania pozorów niż dlatego, że targały nią jakieś wątpliwości. Pokazanie się z Martinem w najlepszym towarzystwie Nowego Jorku było znaczącym krokiem w cementowaniu ich związku.

– Jestem pewien, że to bardzo dobry pomysł – odpowiedział.

## 15 października

Dolores i Dominik siedzieli w jednej z kawiarni wychodzących na plac Świętego Marka w Wenecji i raczyli się cappuccino. Przedpołudnie było wyjątkowo pogodne, a blask słońca dodawał temu niezwykłemu miejscu szczególnego uroku.

– A co u ciebie? – zapytał Dominik, gdy omówili sprawy bieżące. – Kiedy zostaniesz mianowana zastępcą szefa Mosadu? Trochę cię to unieruchomi i już nie będziesz mogła tak dużo podróżować. Musimy o tym zawczasu pomyśleć. Na przykład znaleźć nowego prowadzącego dla Marii.

– Spodziewam się tego w każdej chwili. – Dolores wzruszyła ramionami. – Nowy szef, generał Meir Amit, stara się przekształcić Mosad z heroicznego wywiadu okresu „burzy i naporu” w wywiad dwudziestego wieku, oparty na najnowszych technologiach szpiegowskich. Tym przemeblowaniem zajmie się już moje pokolenie. Znam Amita i nie mogę wykluczyć, że sięgnie po mnie szybciej, niżbym sobie tego życzyła. Tym bardziej że idą chyba ciężkie czasy dla Izraela.

Dominik wyraźnie się zdziwił.

– Tak? Siedzę wydarzenia na świecie, ale nie zauważyłem, aby ktoś wam groził. Coś przeoczyłem?

– W czerwcu tego roku zaczęto wdrażać Narodowy Program Wodny – zaczęła tłumaczyć. – Systemem kanałów i rur pompuje się wodę z Jeziora Tyberiadzkiego na pustynię Negew, milion metrów sześciennych dziennie. Arabom to się nie podoba, bo woda jest na Bliskim Wschodzie towarem strategicznym. To początek bitwy, która może się przerodzić w kolejną wojnę. Mosad musi tę wojnę przewidzieć i ustalić strategię państw arabskich. To będzie, jak sądzę, moje zadanie na najbliższe lata.

– Chętnie ci pomogę, jeżeli tylko będę miał takie możliwości – zapewnił Dominik. – Czego będziecie potrzebować najbardziej? Oprócz wyprzedzających informacji o zamiarach wroga, rzecz jasna.

– Ludzi. Dobrych ludzi – odrzekła bez wahania. – Na wojnie zawsze giną ci najodważniejsi i najlepsi, ponieważ pierwsi rwą się do walki albo zgłaszają do różnych szaleńczych operacji. Izraelczyków jest mało. Nasz jeden zabity żołnierz czy oficer służb specjalnych to jak tysiąc zabitych Arabów, bo takie są proporcje w liczbie ludności. W tym roku do Izraela przyjechało wprawdzie około pięćdziesięciu tysięcy żydowskich imigrantów, ale my potrzebujemy doświadczonych, gotowych do działania żołnierzy i oficerów służb specjalnych, a o takich trudno. Zwłaszcza że muszą być pochodzenia żydowskiego. Masz jakieś pomysły?

Dominik zamyślił się na chwilę, po czym na jego twarzy pojawił się przebiegły uśmiech.

– Jest kraj, w którym są tysiące takich doświadczonych oficerów pochodzenia żydowskiego. Świetnie wyszkolonych, zaprawionych w walkach frontowych czy operacjach wywiadowczych...

– O czym ty mówisz? – weszła mu w słowo oficer wywiadu izraelskiego. – Czy teraz ja coś przeoczyłam? Co to za kraj?

– Nasz kraj, kochanie. Polska. – Dominik się roześmiał. Po dziesiątkach spotkań ze swoim przyrodnim bratem Adamem Szulcem, pułkownikiem polskiego wywiadu, był doskonale zorientowany w rzeczywistości kadrowo-etnicznej zarówno polskiej armii, jak i służb specjalnych.

W pierwszej chwili Dolores zaniemówiła, gdyż uświadomiła sobie, że jest to dla niej zupełnie obcy temat. Od lat nie miała ani czasu, ani możliwości interesować się na bieżąco tym, co się dzieje w Polsce...

– Wiem tylko – powiedziała całkiem zbita z tropu – że w pięćdziesiątym szóstym roku przyjechało do Izraela z Polski trochę oficerów pochodzenia żydowskiego...

– To wierzchołek góry lodowej, moja droga. Znakomita większość nadal funkcjonuje w wojsku polskim i służbach specjalnych. Po wojnie generalissimus Józef Stalin z właściwą sobie przebiegłością i bezwzględnością wysłał Żydów do Polski, aby za ich pośrednictwem kontrolować Polaków, którym nigdy nie ufał. Takie typowe dla niego nastawienie jednej nacji przeciwko drugiej – tłumaczył Dominik. – Przez jakiś czas po wojnie zdawało to

egzamin, ale jak było do przewidzenia, nawarzyło dużo złej krwi. Na dzień dzisiejszy mamy taką oto sytuację, że oficerowie i urzędnicy pochodzenia żydowskiego zajmują kluczowe pozycje w Ministerstwie Obrony, Spraw Wewnętrznych, Spraw Zagranicznych i innych. Awansowali od czasów wojny, porobili kariery i trzęsą wieloma instytucjami. Budzi to wściekłą zawiść skupionych wokół niejakiego Mieczysława Moczara, ministra spraw wewnętrznych, byłych partyzantów, którzy uważają się za prawdziwych patriotów. Nie mogą sobie darować, że podczas gdy oni walczyli z Niemcami w Polsce, Żydzi przeczekali wojnę w Związku Radzieckim, by przyjechać na gotowe po czterdziestym piątym roku jako desant Stalina. Konfrontacja wisi w powietrzu, a do jej wybuchu wystarczy iskra...

– To bardzo ciekawe, co mówisz. Skąd ty to wszystko wiesz? – Dolores wydawała się poruszona. – Ale przede wszystkim do czego zmierzasz? Co sugerujesz?

– Skąd wiem? Z najlepszych i najbardziej wiarygodnych źródeł, ale o nich nie mamy zwyczaju dyskutować, prawda? – zapytał retorycznie Dominik. – A prawda jest taka, że bez względu na zasługi ci oficerowie pochodzenia żydowskiego są w Polsce niechciani. Zajmują wysokie stanowiska, pobierają niemałe pensje i mają przydzielone komfortowe mieszkania, do których dowożą ich służbowe samochody. Słowem, blokują zasłużone awanse wspomnianym partyzantom i prawdziwym patriotom. Jeżeli Izrael potrzebuje doświadczonych i gotowych do działania oficerów pochodzenia żydowskiego, to w Polsce jest ich zatrzęsienie. Wystarczy podrzucić ową iskrę i zmusić ich do emigracji... Znaczna część z pewnością przyjedzie do Izraela i zasili szeregi armii i służb specjalnych. Na dodatek przywiozą ze sobą swoje dzieci, które staną się następnym pokoleniem waszych wojowników. Same korzyści...

Dolores słuchała zamyślona. Rozmach i konsekwencje sugerowanych działań żywo przemawiały do jej wyobraźni, mimo że cynizm słów Dominika mógł mrozić krew w żyłach zwykłych zjadaczy chleba.

– Gdybym nie znała cię prawie od kołyski, pomyślałabym, że jesteś antysemitą – odrzekła w końcu. – To, co proponujesz, może być okrutne dla samych zainteresowanych, jednak nie przeczę, że dla



Państwa Izrael może mieć wymierną wartość. Ale diabeł tkwi w szczegółach. Jak konkretnie byś się zabrał do takiej operacji?

– Moje słowa nie mają nic wspólnego z antysemityzmem. Są jedynie odbiciem aktualnej polskiej rzeczywistości. A przetrwanie Państwa Izrael wymaga, jak widać, okrutnych poświęceń. Choć jeśli poszukać jakichś pozytywnych stron, to izraelski klimat jest znacznie przyjemniejszy od polskiej jesieni czy zimy i będzie stanowił dla tych ludzi rodzaj rekompensaty – odparł Dominik z nutą sarkazmu. – Jak bym się do tego zabrał? Tak jak w przeszłości zabierali się wszyscy, którzy chcieli wywołać exodus Żydów z jakiegoś państwa. Gdy przepędzano twoich przodków z Hiszpanii, to najpierw kazano im się nawrócić na katolicyzm i powołano Świętą Inkwizycję, by sprawdzała czystość religijną tych *conversos*. Gdzie indziej urządzano pogromy, by nakłonić Żydów do emigracji. Każda epoka ma swoje recepty. W Polsce dwudziestego wieku może to być sprawdzian z czystości ideologicznej lub patriotycznej. Nie wątpię, że Mosad ma w PRL swoje aktywa, które stać na przygotowanie stosownego rozwiązania. O ile, rzecz jasna, mój pomysł kogokolwiek u was zainteresuje...

– Do mojej wyobraźni przemawia mocno. Przedstawię go i zobaczymy. Na pewno wywoła dyskusję – odparła Dolores. – Zawsze wiedziałam, że potrafisz myśleć strategicznie.

– Tyle że od strategicznego myślenia człowiek głodnieje – zamknął temat Dominik. – Poza tym napiłbym się dobrego włoskiego amarone. Idę o zakład, że ty też.

– Wygrałeś. *Andiamo*.

Dolores wzięła go pod rękę i ruszyli powoli w stronę uliczek przylegających do placu Świętego Marka, żeby poszukać restauracji, która przypadłaby im do gustu.

## 24 listopada

Jak zwykle stary mafioso nalegał, aby jego limuzyna przywiozła oficer wywiadu izraelskiego na miejsce spotkania. Na powitanie – w tej samej co poprzednio restauracji na Lower East Side – czekał na nią gospodarz z kieliszkiem bimbru w ręce. Wypili na stojąco, po czym usiedli przy stole pośrodku pustej sali. Natychmiast pojawił się znany już Dolores kelner, ortodoksyjny Żyd, uzupełnił kieliszki i dyskretnie się oddalił.

– Co sprowadza piękną panią w moje niskie progi? – zapytał Abraham Lanker, radując oczy widokiem przyjaciółki.

– Wdzięczność, drogi Abe, wdzięczność! – odparła Dolores z uśmiechem. – Twoi ludzie spisali się na medal. Wyobraź sobie, że nawet Maria się nie zorientowała, że mundurowi nie zjawili się przypadkiem. Ze słów sierżanta wywnioskowała, że to jakiś przechodzień zauważył porwanie i zawiadomił policję. A co dopiero mówić o tych dupkach, co ją chciały przesłuchać!

Lanker zachichotał, bo lubił takie mistyfikacje.

– Ale ja też tym razem nie przyjechałam do ciebie z pustymi rękoma... – dodała.

– A cóż to za prezenty wieziesz staremu człowiekowi? – Szef mafii żydowskiej był w wyśmienitym humorze. – Mam tu wszystko, czego mi potrzeba!

– Z wyjątkiem brata młodej kochanki swojego współnika. – Teraz z kolei roześmiała się Dolores, spoglądając filuternie na starca. – Chyba że od naszej ostatniej rozmowy już ci na nim przestało zależeć?

Abraham Lanker przestał się śmiać i na chwilę zaniemówił, niemal pewny, że Dolores chce mu jeszcze coś powiedzieć.

– To stwierdzenie faktu czy informacja, *cara mia*? – zapytał ostrożnie.

– Ktoś, kto może spowodować, że młody człowiek wy– jedzie

z Rosji, obiecał załatwić sprawę. To poważna osoba, więc uznaj rzecz za klepniętą.

– Droga Dolores, ty nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy! – prawie wykrzyknął Lanker. – Gdy przyjedzie ten młody Rosjanin, jego siostra przypuszczalnie zostanie żoną mojego współnika, on zaś zdecyduje się wtedy na wyłączną współpracę z moją organizacją, odpuszczając sobie innych kontrahentów. Przełoży się to na miliony dolarów dodatkowego przychodu. Dzięki tobie. Dla ciebie to przysługa, dla mnie – czysty, wymierny biznes. Ja też mam swój kodeks honorowy i za rok będę ci winien milion dolarów amerykańskich. Mogę go przynieść w walizce albo wpłacić na wskazane przez ciebie konto w Szwajcarii lub w innym solidnym kraju.

Dolores zamierzała obrócić te słowa w żart, ale gdy spojrzała na niego i przeanalizowała to, co usłyszała przed chwilą, jednak się rozmyśliła. Abraham Lanker nie proponował jej pożyczki ani nie pytał, czy łaskawie przyjmie od niego jakieś pieniądze. Stwierdził tylko, że za rok będzie jej winien milion dolarów. Jako oficer wywiadu wiedziała, co to znaczy mieć zobowiązanie wobec ludzi, z którymi się współpracuje, gdyż jej fachem również rządził kodeks honorowego postępowania. Zrozumiała, że nie może nie przyjąć od Lankera wspomnianego miliona. Odmowa byłaby obraźliwa i nie służyłaby dobrze ich przyjaźni i dalszej współpracy.

– Za przyjaźń i współpracę, drogi Abe, oraz twoją wspa-  
niałomyślność i poczucie honoru! – Dolores uniosła powoli kieliszek bimbrowy.

– Dziękuję ci, *cara mia*, za wyrozumiałość dla starego człowieka. Oboje wiemy, że zobowiązań trzeba dotrzymywać. Wypijmy! – Spełnili toast i odstawili puste kieliszki. – Ja rozumiem, że w twoim wywiadzie mogą być jakieś wytyczne co do posiadania prywatnych kont w Szwajcarii. To nie musi być przecież twoje konto, tylko na przykład Dominika. On na pewno cię nie oszuka...

– Wnikliwy z ciebie człowiek – zauważyła Dolores. – Dlaczego zakładasz, że w Mosadzie mogą być wytyczne co do posiadania przez oficerów kont za granicą?

– Skoro takie wytyczne obowiązują w mojej organizacji, to tym bardziej muszą obowiązywać w twojej – odparł z żelazną logiką

Lanker i uśmiechnął się jak człowiek, który wie znacznie więcej, niż jest gotów powiedzieć. – Może coś zjemy? Wszystkiego po trochu, jak poprzednio?

– To dobry pomysł, Abe – zgodziła się Dolores i pomyślała, że w tej restauracji czuje się swobodniej i bezpieczniej niż w hotelu na Park Avenue, gdzie wcześniej się spotykali.

Szef mafii nowojorskiej dał znak ręką i kelner o wyglądzie ortodoksyjnego Żyda błyskawicznie napełnił puste kieliszki bimbrem, a następnie sukcesywnie, bez nadmiernego pośpiechu zaczął podawać smakołyki kuchni żydowskiej z polskich Kresów Wschodnich.

**17 grudnia**

Malcolm Grey nie wziął przykładu ze swojego ojca i nie odbył podróży do Ameryki statkiem pasażerskim jak arystokrata starej daty. Poleciał do Nowego Jorku lotem rejsowym Pan American z Londynu.

Udawał się do Stanów Zjednoczonych jako oficjalny przedstawiciel brytyjskich struktur krajowych Ligi, aby wyrazić poparcie dla działań struktur amerykańskich w Azji. Wiedział, że jego gospodarzem będzie Martin Van Vert, ale przewidziano też spotkanie z całym rodem. Nie wynikało to bynajmniej z kurtuazji wobec rodziny lorda Greya, lecz ze znaczenia brytyjskich struktur.

Wieloletnie powiązania najbogatszych rodzin brytyjskich z najbogatszymi rodzinami państw, które tworzyły odchodzące w przeszłość Imperium Brytyjskie, powoli przeistaczające się w tak samo globalną Wspólnotę Brytyjską, były nie do przecenienia. Punktem honoru najbogatszych mieszkańców postkolonialnych krajów Imperium było posiadanie rezydencji miejskich i wiejskich na terenie Wielkiej Brytanii oraz kształcenie dzieci w najlepszych szkołach i uczelniach starej metropolii. Jej magia i siła przyciągania nadal formowały elity postkolonialne.

Victor i Frederick Van Vertowie mieli tego pełną świadomość i podziwiali Anglię. Współczesna Ameryka zmierzała dokładnie w tym samym kierunku co ona. Oprócz paru wyjątków nie miała kolonii sensu stricto, ale miała grono państw klientów. Świadectwem prestiżu dla najbogatszych ludzi i rodzin z tych krajów również było posiadanie miejskich i wiejskich rezydencji w Stanach Zjednoczonych oraz kształcenie dzieci w najlepszych amerykańskich szkołach i uczelniach. Dlatego wizyta przedstawiciela brytyjskich struktur Ligi była dla Van Vertów szczególnie ważna.

Na lotnisku czekała na Malcolma czarna limuzyna Cadillac. Susan, rudowłosa szefowa bezpieczeństwa Instytutu Erudycji, bez trudu wyłuskała Brytyjczyka z tłumu pasażerów opuszczających

samolot Pan American. Przedstawiła się i błyskawicznie przeprowadziła gościa ścieżką dla VIP-ów przez niezbędne formalności, jakby tylko tym zajmowała się całe życie.

– Dziękuję bardzo. Jest pani doskonale zorganizowana – skomplementował ją Malcolm, gdy siedzieli już na tylnej kanapie limuzyny mknącej do centrum miasta. – Podziwiam perfekcję w każdej dziedzinie.

Obrzuciła go spojrzeniem, zastanawiając się, czy to kolejny dupek, który próbuje jej się wcisnąć pomiędzy nogi. Była do tego przyzwyczajona, gdyż jej rude włosy, piegowata karnacja i idealna figura przyciągały rodzaj męski jak magnes. Miała w związku z tym przygotowane najróżniejsze riposty, zależnie od namolności takich podrywaczy i stopnia braku kultury.

Ale siedzący obok przystojny Brytyjczyk mówił szczerze, a w jego wypowiedzi nie było żadnego niewłaściwego podtekstu. Susan wyczuwała to na miłą. Zrobiło jej się przyjemnie i postanowiła odwzajemnić się grzecznością za grzeczność.

– Bardzo to sympatyczne z pana strony, lordzie Grey – odrzekła była policjantka z Teksasu. – A już sądziłam, że dżentelmeni to prawie wymarły gatunek, jeżeli mogą sobie pozwolić na śmiałość.

– Ależ nie, droga pani – zapewnił Malcolm. Zawsze pamiętał, że uprzejme zjednywanie sobie ludzi, którzy obsługują bogatych tego świata, może przynieść nieoczekiwane korzyści. – W starej Anglii trochę nas jeszcze pozostało. Mamy też sygnały, że na innych kontynentach ten gatunek ma się dobrze.

– To interesujące, co pan mówi. Zanim uwierzę, musi mi pan jeszcze wskazać te kontynenty... – zripostowała Susan i oboje się roześmiali.

Czarny Cadillac zatrzymał się przed fasadą hotelu Pierre. Susan i Malcolm wysiedli, a obsługa zajęła się bagażami nowego gościa.

– Pan Martin czeka na pana w westybulu. Ja już się pożegnam – oznajmiła szefowa bezpieczeństwa Instytutu Erudycji i po sekundzie wahania wręczyła Malcolmowi swoją wizytówkę. – Gdyby potrzebował pan jakiegokolwiek pomocy, lordzie Grey, to

jestem osiągalna pod tymi telefonami. Miło się z panem gawędziło...

– Dziękuję serdecznie. Nie śmiałybym nadużywać pani dobroci, ale jeżeli gdzieś się zawieruszę w tym mieście, to zawołam o pomoc.

– Malcolm pocałował Susan w rękę, uklonił się i ruszył w stronę wysokich drzwi wejściowych.

Ciekawy typ – pomyślała była policjantka. Definitywnie nie dupek.

Próbowała sobie przypomnieć, kiedy ktoś pocałował ją w rękę. Bez powodzenia. Wsiadła do czarnej limuzyny i kazała się zawieźć do Muzeum Guggenheima.

Malcolm przekroczył próg hotelu Pierre i znalazł się w eleganckim westybulu. Przy jednym ze stolików siedział Martin Van Vert. Dostrzegłszy Anglika, wstał i ruszył ku niemu z wyciągniętą ręką.

– Witam w Nowym Jorku, lordzie Grey – powiedział z uśmiechem, ściskając dłoń swojego gościa. – Jak lot, Malcolmie?

– Udany, jak widać po mojej obecności tutaj, Martinie – oznajmił z humorem młody lord Grey.

W tym momencie podszedł do nich dystyngowany mężczyzna i Martin przedstawił go rozmówcy.

– To jest, Malcolmie, mój przyjaciel, pan Stewart, dyrektor generalny tego wspaniałego miejsca.

– Pragnę pana powitać w progach hotelu Pierre, lordzie Grey – rzeki dyrektor Stewart. – Przygotowaliśmy dla pana apartament Escoffier, nazwany tak na cześć ojca kuchni francuskiej, Auguste’a Escoffiera. Mam nadzieję, że się panu spodoba. Gdyby pan czegoś potrzebował, jestem do usług. *Concierge*, proszę do mnie!

Obsługa hotelowa błyskawicznie zaniósła bagaże Malcolma do apartamentu.

– Może po kieliszku szampana, Malcolmie... – zaproponował były oficer CIA, gdy zostali sami. – Jesteś zmęczony podróżą, więc tylko kilka słów o programie pobytu, a potem najlepiej będzie, jeśli odpoczniesz.

– Jestem za – zgodził się Malcolm, który wcale nie był zmęczony, ale pomyślał, że ewentualny wypad do miasta może być ciekawszy niż kolejny drink lub kolacja z Van Vertem.

Kiedy kelner podał szampana, Martin przystąpił do omawiania zajęć czekających ich w następnych dniach.

– Jutro około południa proponuję spotkanie w Instytucie Erudycji. Zobaczysz, jak urzędujemy, i zjemy drobny lunch. Następnie wpadniemy na chwilę do Muzeum Guggenheima, a później pomkniemy na Long Island do naszej rodowej rezydencji na spotkanie z ojcem i Frederickiem. Tam spokojnie porozmawiamy o interesach. Na weekend zaplanowałem niespodziankę lub dwie, więc musisz cierpliwie na nie poczekać. Wylatujesz w poniedziałek?

– Taki mam plan – odrzekł Malcolm.

Powoli dopili szampana i pożegnali się. Malcolm udał się do swojego apartamentu, a Martin do pracowni Marii.



## 18 grudnia

Okolo południa czarny Cadillac Instytutu Erudycji, z Martinem na tylnym siedzeniu, podjechał pod hotel Pierre. Malcolm, który czekał już na chodniku, wsiadł i przywitał się z Martinem.

– Mam nadzieję, że wypocząłeś? – zapytał Van Vert.

– Trudno nie wypocząć w takim miejscu jak apartament Escoffier w hotelu Pierre – odpowiedział Malcolm. – Umeblowany z wielkim gustem.

Limuzyna wjechała w Park Avenue i po kilku minutach zatrzymała się przed budynkiem, w którym mieścił się Instytut Erudycji.

Drzwi otworzyła im Susan.

– Miło mi panów powitać, a zwłaszcza pana, lordzie Grey – rzekła rudowłosa piękność, patrząc z sympatią na Brytyjczyka.

– Cieszę się, że znów panią widzę – odrzekł Malcolm, przyglądając się jej przez dłuższą chwilę, ale nie na tyle długi, by wzbudzić zainteresowanie innych osób.

Martin oprowadził gościa, wyjaśniając mu pokrótce, jak funkcjonuje instytucja przykrycia amerykańskich struktur Ligi. Pokazał mu również pokój za tajnymi drzwiami z weneckim lustrem.

– Bardzo interesujący pomysł z popularyzacją francuskich encyklopedystów i ich przesłania – zauważył młody lord Grey. – Wbrew pozorom wielu ludzi na świecie interesuje się ich twórczością i filozofią.

– Masz absolutną rację – odpowiedział Martin. – Sam byłem zaskoczony jak wielu. To był pomysł Fredericka. Encyklopedyści to jego hobby od lat. Chodźmy coś przekąsić i ruszamy na Long Island.

Przy drzwiach czekała Susan, która zwiozła ich do samego foyer apartamentowca. Martin podszedł na chwilę do recepcji, a Malcolm spojrzął na rudowłosą byłą policjantkę i rzekł z uśmiechem:

– Czy gdybym zgubił się w mieście w sobotę wieczorem, to

mógłbym liczyć na pani pomoc?

– Najlepiej około dziewiętnastej, milordzie – odparła Susan, dyskretnie puszczając do niego oko.

Z Park Avenue udali się pieszo w stronę hotelu Waldorf-Astoria. Planowali posilić się słynną sałatką. Malcolm doszedł bowiem do wniosku, że nie wypada być w Nowym Jorku i nie skosztować tego specjału tam, gdzie przyrządzają go najlepiej. Czarny Cadillac zajął strategiczną pozycję przed samym wejściem do hotelu. Po lunchu podróż do rezydencji Van Vertów na Long Island trwała niespełna godzinę. Mimo zimowej aury śniegu nie było, świeciło słońce, a temperatura utrzymywała się powyżej zera.

Malcolm pamiętał tę posiadłość jak przez mgłę. Był w niej z ojcem raz czy dwa jako mały chłopiec. Kiedy ujrzał ją ponownie po wielu latach, wydała mu się o wiele bardziej imponująca niż wtedy.

– Piękna replika Belwederu z Wiednia i fontann z Caserty – zauważył tonem znawcy, gdy limuzyna zatrzymała się przed rezydencją. – Gratuluję smaku.

– Mamy słabość do baroku – odrzekł Martin, tłumacząc wybór stylu.

Przed drzwiami wejściowymi, w popołudniowym słońcu, czekał kamerdyner. Gdy nowo przybyli wysiedli z cadillaca, uprzejmie się z nimi przywitał i zaprowadził ich do głównej biblioteki. Zgromadzili się tam już wszyscy najważniejsi przedstawiciele rodu Van Vertów – Victor, Frederick i Vick.

– Malcolm, drogi chłopcze, jak miło znowu cię zobaczyć! – Victor Van Vert podszedł do gościa i uściśnął mu rękę. – Jak się miewa mój stary przyjaciel, lord Grey?

– Dziękuję, sir. Ojciec czuje się w sumie dobrze, ale długie podróże już mu nie służą, więc przysłał mnie. – Malcolm przywitał się z pozostałymi członkami rodu. – Pozwolę sobie pogratulować pięknej rezydencji i tej wspaniałej biblioteki. Replika z dawnego klasztoru benedyktynów w Ulm-Wiblingen i freski Kuena.

– Brawo, Malcolmie. Nie darmo doradzasz w sprawach sztuki w pałacu Buckingham – zauważył z uznaniem Martin.

– Wszyscy jesteśmy po lunchu, zapraszam zatem na popołudniowe drinki – zaproponował Victor. – James, obsłuż nas, a

potem przystąpimy do rzeczy.

Gdy kamerdyner podał drinki i opuścił bibliotekę, mężczyźni usiedli w fotelach i głos zabrał Malcolm.

– Przede wszystkim pragnę w imieniu lorda Greya przekazać pozdrowienia od rodzin brytyjskich, członków naszych struktur krajowych. Jako szef struktur brytyjskich Ligi mój ojciec uzyskał poparcie rodów dla wojny w Wietnamie, co oznacza, że będą ją wspierać także nasz rząd i monarchia. Za pośrednictwem kontrolowanych przez nasze rody środków masowego przekazu zapewnimy sobie życzliwość społeczeństwa w tej materii. Musimy jednak mieć na uwadze, że w miarę ewentualnych niepowodzeń na froncie i strat w ludziach początkowy entuzjazm tłumów i dziennikarzy zwykle zaczyna ustępować zniechęceniu i frustracji. Nasze rody byłyby zatem wdzięczne za możliwą ocenę przebiegu tej wojny oraz, co nie jest bez znaczenia, wskazanie korzyści, jakie z niej wnieśliemy. To w końcu gra w pieniądze, że użyję kolokwializmu.

– Dziękuję za wsparcie ze strony waszych struktur i skupionych w nich rodów. Podziękuj też ojcu za wysiłek, jaki włożył w jego pozyskanie. Cieszę się, że nasze uzgodnienia ze Szwajcarii wydały takie owoce – odpowiedział Victor Van Vert. – Masz rację, Malcolmie, że początkom wszystkich wojen towarzyszą wiwaty tłumów i motłochu, a potem jest już na ogół tylko gorzej. Ale taka jest odwieczna natura historii konfliktów, tego nie zmienimy i nawet nie mamy co marnować czasu na próby. Piękno tej wojny polega na tym, że rozgrywa się ona daleko od twojego i mojego kraju i nie decyduje o naszym być albo nie być. Paradoksalnie – im dłużej potrwa, tym więcej wszyscy na niej zarobimy. Ale pozwól, że bardziej szczegółowo wyjaśnią ci to Frederick i Vick.

– Twoje pytanie o przebieg wojny to innymi słowy pytanie o to, jak długo będzie trwała – rzekł wywołany do tablicy Frederick. – Szczerze mówiąc, to zależy wyłącznie od nas. Dzięki Bogu, wybory prezydenckie wygrał Lyndon Johnson, który ani trochę nie wątpi w konieczność prowadzenia tej wojny. Zwłaszcza po ataku północnych Wietnamczyków na nasze okręty w Zatoce Tonkińskiej. Przebieg i długość konfliktu zależy wyłącznie od sił i środków, jakie Stany Zjednoczone na niego przeznaczą. Na szczęście wojną tą będzie zarządzał wyjątkowo zdolny człowiek, obecny sekretarz obrony

Robert McNamara. Jedna z nielicznych dobrych nominacji poprzedniego prezydenta. Celowo używam słowa „zarządzał”, gdyż McNamara to praktycznie jeden z nas, człowiek biznesu. Im więcej dostanie pieniędzy, tym sprawniej ze wszystkim sobie poradzi. O pieniądzach zaś decydują prezydent i Kongres, czyli, używając skrótu myślowego, my. Tak więc z punktu widzenia naszych interesów ta wojna to istny samograj do zarabiania nielicznych pieniędzy. Vick ci powie, jaka to może być skala.

– Musimy wysłać do Wietnamu kilkaset tysięcy naszych żołnierzy i stosowne ilości sprzętu. Praktycznie utrzymujemy już armię Wietnamu Południowego i ich skorumpowanych polityków – referował Vick Van Vert. – W przeszłości Wietnamczycy z Północy wykazywali wielką determinację w walce zarówno z Japończykami, jak i Francuzami. Prezydent Johnson musi za cztery lata pochwalić się sukcesem w tej wojnie, jeżeli chce wygrać kolejne wybory. Trzeba więc szybko wpompować w konflikt wielką kasę. Wyliczyłem, że powinno to być jakieś kilkaset miliardów dolarów. Jeżeli konflikt potrwa dłużej, to cyfry te będą odpowiednio rosły. Z mojego zwięzłego studium dowiesz się, w jakie spółki giełdowe i surowce należy inwestować oraz które obszary gospodarki mogą się szybko rozwijać napędzane tymi wydatkami. Boom inwestycyjny będzie trwał wiele lat.

– Jak znam życie, to bezpieczniej będzie założyć, że wydatki, o których mówi Vick, będą raczej większe niż mniejsze – zauważył Martin. – Taka jest prawidłowość każdej wojny. Dziś za wcześnie prognozować, czy kilkaset tysięcy naszych żołnierzy poradzi sobie z wrogiem, czy nie.

– Dodrukowanie kilkaset miliardów dolarów, i to w stosunkowo krótkim czasie, wpłynie na całą gospodarkę światową – spekulował Malcolm.

– Owszem, globalna inflacja może wzrosnąć o procent lub dwa, bo dolar to waluta globalna – odpowiedział Vick i dodał ze śmiechem: – To będzie taki mały podatek, który zapłaci za nas człowiek z ulicy. Sprytne, nie?

– Człowiek z ulicy zawsze płaci na koniec dnia – zgodził się Malcolm i podjął próbę uzyskania kolejnych informacji. – A czy na tej globalnej inflacji dałoby się jakoś zarobić? Może to naiwne

pytanie, ale nie jestem ekonomistą czy znawcą biznesu.

– Nie nam jeszcze nie przyszło do głowy – odpowiedział Victor Van Vert, uprzedzając ewentualne uwagi pozostałych członków rodu i dając czytelny sygnał, że merytoryczna część spotkania winna zmierzać ku końcowi. – Sądzę, że wszyscy będziemy mieli dosyć roboty, zarabiając na tej wojnie, aby nie martwić się odległą perspektywą. Ale cieszę się, Malcolmie, że gra w pieniądze zaczyna cię wciągać...

– To zajęcie godne dżentelmena, jak sądzą, drodzy wspólnicy – odpowiedział Brytyjczyk, co zostało przyjęte pełnym uznania śmiechem.

Wszedł kamerdyner James i zaprosił zebranych na wczesną, lekką kolację. Wprowadził towarzystwo do jadalni, usadził przy stole, po czym kazał służbie podać kieliszek bardzo wytrawnego szampana na wzmocnienie apetytu. Następnie wrócił na moment do głównej biblioteki, żeby wymienić baterie w urządzeniu podsłuchowym ukrytym w jednej z lamp stojących.

Rozwiązanie to podpowiedziała mu w pewnym momencie Gladys, tłumacząc, że podsłuch jest nagminnie stosowany w Pilgrim Psychiatric Center. „Wiedząc, o czym pacjenci mówią między sobą – wyjaśniła – możemy lepiej dobrać metodę leczenia”. James szybko się przekonał, że podsłuch jest wygodny, skuteczny i bezpieczny. Nie trzeba było się kryć w różnych pomieszczeniach i nadstawiać ucha. Wymiana baterii zajęła mu niespełna półtorej minuty i już był z powrotem w jadalni, żeby nadzorować podawanie pierwszych przystawek.

– Czym zamierzasz nas uraczyć, James? – zapytał Frederick Van Vert, który uchodził za smakosza i żarłoka niedbającego o linię i wygląd zewnętrzny.

– Sałatką z homara na zimno, panie Fredericku. Następnie przegrzebkami z patelni, z czosnkiem i w sosie z białego wina. Jako danie główne zaś proponuję cannelloni z kaszy gryczanej z dwoma rodzajami nadzienia – z czarnego kawioru i z trufli. Wino według upodobania szanownych panów albo dobiórę osobiście stosownie do każdego dania – wyrecytował prawie jednym tchem kamerdyner.

– Jak znajdujesz menu, Malcolmie? – Victor Van Vert z uwagą przyglądał się gościowi. Szukał w jego zachowaniu jakichkolwiek

oznak niechęci lub wrogości, które byłyby konsekwencją tragedii przed hotelem Algonquin. Ale nie znalazł.

– Wyborna klasyka, sir. Chylę czoło przed Jamesem – odparł z uśmiechem młody lord Grey. – Mogę jedynie żałować, że nie ma tu z nami mojego ojca, a pana starego przyjaciela.

Czuł na sobie badawcze spojrzenie nestora rodu Van Vertów. Kojarzyło mu się z reflektorem obrony przeciwlotniczej, który w bombardowanym Londynie z czasów drugiej wojny światowej szukał na nocnym niebie samolotów wroga. Malcolm rozumiał, czego szuka wzrok Victora, i nie zamierzał ujawniać, co czuje. Dzięki wielogodzinnym rozmowom z Dolores był dobrze przygotowany i wiedział, jak powinien się zachowywać w jaskini lwa. Nie dopuszczał do siebie myśli, że za chwilę zje kolację z ludźmi, którzy byli odpowiedzialni za śmierć Jana Racza i Inez.

Kamerdyner zarządził podawanie przystawek i rozlewanie win. Część gości wyraziła własne preferencje co do marek, a resztę dobrał James.

Victor wznosił toast.

– Wypijmy za zdrowie mojego przyjaciela lorda Greya, a następnie za powodzenie naszych planów.

– Jeżeli pozwolisz, ojcze, to chciałbym poprosić Malcolma, aby opowiedział nam trochę ciekawostek o skarbach sztuki pałacu Buckingham – zaproponował Martin, zmieniając wątek zgodnie z wcześniejszym zaleceniem seniora rodu.

Frederick, który już nie mógł się doczekać chwili, gdy rozmowa zejdzie na temat kultury i sztuki, zagaił:

– Czy wiedziałeś, drogi Malcolmie, że hrabia Talleyrand, który kiedyś musiał się schronić w waszej pięknej, starej Anglii, był zagorzałym encyklopedystą?

– O tak, Fredericku. Pozwolisz więc, że naszą podróż po pałacu Buckingham rozpoczniemy od twoich ukochanych encyklopedystów...

Przez następną godzinę Malcolm opowiadał bez chwili wytchnienia o zbiorach muzeum historii brytyjskiej monarchii. A robił to z taką pasją i znajomością tematu, że nikt z zebranych nie przerywał, nie zadawał pytań, nie jadł ani prawie nie pił. James,

który był świadkiem niezliczonych monologów wygłaszanych w tej jadalni przez gości pracodawcy, upojonych często zarówno własnym głosem, jak i elokwencją, słuchał, stojąc w bezruchu. Obok niego stało jeszcze dwóch kelnerów. Mogli wyjść do kuchni i odpocząć na stojącej tam kanapie, dopić resztę szampana czy serwowanych win, zjeść coś z tego, co pozostało na półmiskach... Ale podobnie jak James stali, słuchając. Nie uszło to jego uwagi. Może w innej sytuacji surowym spojrzeniem pogoniłby ich do roboty, lecz wydawało mu się, że opowieść brytyjskiego gościa budzi w człowieku to co dobre i szlachetne. Popatrzył na swoich zasłuchanych podwładnych i doszedł do wniosku, że zasługują na premię.

Malcolm skończył mówić i zaległa cisza. Przerwał ją dźwięk odsuwanej krzesła. Victor Van Vert wstał od stołu, wyprostował się i zaczął klaskać. W kilka sekund dołączyli do niego wszyscy zebrani w sali jadalnej. James Risen oraz para jego podwładnych również.

– Wielkie uznanie, Malcolmie. Dawno już nie słyszałem tak ciekawego wystąpienia na temat sztuki – rzekł Victor, a Frederick i Martin przytaknęli mu gorliwie.

Kolacja potrwała jeszcze dwie godziny. Następnie czarny Cadillac odwiózł Malcolma i Martina do miasta, Vick udał się do swojego pokoju, żeby przeanalizować najnowsze notowania giełdowe spółek Van Vertów, Victor i Frederick zaś wrócili do biblioteki, by zakończyć wieczór lampką koniaku.

– Muszę przyznać, że mi ulżyło – zwierzył się bratu Frederick. – Młody Grey mówił rozsądnie i do rzeczy. Jeżeli dalej będzie się tak rozwijał, to ma szansę zastąpić ojca jako szef struktur brytyjskich. Mam wrażenie, że ten godny pożalowania incydent sprzed hotelu Algonquin odchodzi w niepamięć.

– I ja mam takie wrażenie – zgodził się Victor. – Ale to jeszcze nie powód, aby ujawniać naszym brytyjskim przyjaciółom czy komukolwiek innemu nasze dalekosiężne plany. Choć pytanie Malcolma, jak zarobić na inflacji spowodowanej wydatkami wojennymi, dobrze o nim świadczy.

– Ale, dzięki Bogu, i tak nie odgadnie, co chodzi nam po głowie – zaśmiał się szef Instytutu Erudycji.

Bracia dopili koniak i udali się na spoczynek.

Kamerdyner James posprzątał puste kieliszki, uporządkował fotele w bibliotece, a następnie usunął urządzenie podsłuchowe z lampy stojącej. Nagrane rozmowy co wieczór zabierał do domu Gladys, gdzie wspólnie ich słuchali. Przekonała go, że archiwum z nagraniami powinien trzymać w jej mieszkaniu, na wypadek gdyby komuś przyszło do głowy przeszukać jego pomieszczenia w rezydencji Van Vertów. James uznał to za logiczne i uzasadnione rozwiązanie. Mniej więcej raz na dziesięć dni Gladys odwiedzała antykwariat w Greenwich Village i przygotowywała raport z nagranych rozmów, który niezmiennie łądował na biurku pułkownik Jekatieriny Iwanowej.

Końcówka najnowszego raportu – o dalekosiężnych planach rodu Van Vertów związanych z wojną w Azji Południowo-Wschodniej i konieczności utrzymania ich w tajemnicy nawet przed najbliższymi sojusznikami – wzbudziła zrozumiałe zainteresowanie pułkownik KGB i jej przełożonych oraz potwierdziła słuszność operacji pozyskania kamerdynera Jamesa jako źródła, aczkolwiek działającego nieświadomie pod obcą flagą pacyfizmu. Szef KGB zatwierdził operację jako absolutnie priorytetową aż do odwołania. Gwarantowało to nieodzowne siły i środki oraz uzależniało ich zwiększanie od osobistej decyzji oficera prowadzącego – pułkownik Jekatieriny Iwanowej. Polki z Kresów Wschodnich.



## 19 grudnia

Martin zjawił się w foyer hotelu Pierre około jedenastej. Malcolm już na niego czekał, popijając przy jednym ze stolików włoskie espresso.

– Nie powiedziałem ci jeszcze, Malcolmie, jak bardzo cieszę się z wczorajszego spotkania na Long Island. To była bardzo dobra merytoryczna rozmowa, że nie wspomnę o twoim wykładzie. Absolutnie perfekcyjnym – rzekł były oficer CIA na powitanie. – Zasłużyłeś więc na serię niespodzianek.

– Brzmi interesująco. Coś takiego nie spotkało mnie od czasu, kiedy byłem dzieckiem – odpowiedział Anglik.

Wyszli z hotelu i wsiedli do taksówki, którą osobiście przywołał główny *concierge*, co robił wyłącznie dla wybranych gości hotelu Pierre. Martin podał adres pracowni Marii po drugiej stronie Central Parku. Przejazd przez zielone płuca Nowego Jorku na zachodnią część Manhattanu zajął kilka minut. U celu podróży Martin zapłacił kierowcy i wprowadził Malcolma do budynku. Zaczęli wspinać się po schodach na samą górę. Tam były oficer CIA otworzył drzwi pracowni, zapraszając gościa do środka.

Malcolm wszedł i stanął naprzeciw jednej z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć. Nie miał najmniejszej wątpliwości, kim ona jest...

Idealna uroda – pomyślał.

Dotąd znał Marię tylko z opowieści Dolores.

– Przedstawiam ci Marię da Gama, Malcolmie – zaczął Martin, czyniąc prezentację. – Mario, to jest Malcolm Grey. Lord Malcolm Grey. Ale mówcie sobie po imieniu.

– Miło mi... – powiedzieli jednocześnie Brazylijka i Anglik i cała trójka spontanicznie wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Maria jest moją przyjaciółką i bardzo zdolną malarką. – Martin podszedł do zasłoniętych białym płótnem kopii, które spoczywały na sztalugach. – Musisz ocenić jej najnowsze dzieła.

Malcolm, kochanie, jest wybitnym znawcą sztuki i prawie kustoszem pałacu Buckingham.

– Martin jak zwykle przesadza. Jestem skromną kopistką... – próbowała stonować jego słowa Maria, ale zanim zdążyła dokończyć zdanie, były oficer CIA odsunął białe płótno, ukazując kopie w całej krasie.

Malcolm podszedł do stojących na sztalugach obrazów i... odetchnął z ulgą. Nie musiał się silić na nieszczerą pochwałę. Były to znakomicie wykonane kopie. Oglądał je, ustawiając się pod różnymi kątami, aby uchwycić właściwe światło. Wydawał się w najmniejszym stopniu nie przejmować obecnością Marii i Martina. W końcu spojrzął na czekających w niemalym napięciu gospodarzy.

– Doskonałe. Obie kopie są doskonałe – rzekł krótko. – Nie ma nawet potrzeby uzasadniać dlaczego. Po prostu same się bronią. Gratuluję, Mario.

Jej twarz rozjaśniła się uśmiechem. Martin podszedł do Malcolma i uściśnął mu rękę, a następnie objął i pocałował Marię. Był w siódmym niebie.

– To najlepsza recenzja, jaką w życiu słyszałem – powiedział. – Koniecznie musimy to uczcić szampanem.

Udał się do kuchni po trunek i kieliszki, zostawiając Marię i Malcolma samych.

– Dziękuję za tę opinię. Jestem ci ogromnie wdzięczna... – zaczęła mówić młoda malarka.

– Posłuchaj uważnie starego znawcy sztuki, Mario – przerwał jej Malcolm. – W sztuce kopiowania i malowania liczy się wyłącznie talent. A ty go masz. Możesz najwyżej wspomóc go ciężką pracą. Zapamiętaj to i nie daj sobie wmówić, że jest inaczej.

Wrócił Martin i zaczął otwierać butelkę dom pérignona. Widząc, że rozmawiają, zapytał z ciekawością:

– Co knujecie?

– Powiedziałem Marii, że ma prawdziwy talent – odpowiedział lord Grey i pomyślał sobie, że przekonywanie Amerykanina, że Brazylijka to kobieta dla niego, tak jak kazała Dolores, nie będzie zbyt skomplikowanym zadaniem.

Martin uporał się z butelką, rozlał trunek do kieliszków i

wręczył je pozostałej dwójce.

– Coraz bardziej cię lubię, Malcolmie – powiedział, gdy pociągnęli po kilka łyków – i zgadzam się ze wszystkim, co mówisz. Wypijmy więc za powodzenie, bo zaraz ujawnię kolejną niespodziankę. – Wypili i wtedy oznajmił: – Jutro po południu w Muzeum Guggenheima odbędzie się aukcja tych kopii. Czy zechciałbyś poprowadzić licytację?

– To byłby zaszczyt połączony z przyjemnością. A pomysł jest świetny – odparł Brytyjczyk.

– No to załatwione – ucieszył się Martin Van Vert. – Możemy iść na lunch. Proponuję odwiedzić dzisiaj konkurencję Pierre, czyli hotel Plaza po przekątnej od niego. Jest tam znakomity Oyster Bar z owocami morza wyławianymi z wód wokół Long Island.

Lunch przeciągnął się do szesnastej. Maria była kompletnie oczarowana erudycją obu towarzyszących jej znawców sztuki, którzy prześcigali się w popisach wiedzy o malarstwie, architekturze i rzeźbie w najróżniejszych stylach i epokach. Na krótką chwilę zapomniała, dlaczego znalazła się w tym mieście.

Malcolm przez cały czas obserwował, jak Martin Van Vert patrzy na Brazylijkę, jak z nią rozmawia i się do niej uśmiecha. Gdyby był łowcą merlinów, musiałby skonstatować, że dobór przynęty okazał się mistrzowski i że została ona połknięta wraz z haczykiem. Sieć świata równoległego oplatała ród Van Vertów coraz ciaśniej.

Pożegnawszy się po lunchu z zauroczoną sobą parą, Malcolm przeszedł na drugą stronę Piątej Alei i znalazł się przed hotelem Pierre. Postanowił udać się na basen i poćwiczyć w siłowni, poświęcając na to prawie dwie godziny. Około dziewiętnastej zadzwonił do rudowłosej Susan, szefowej bezpieczeństwa Instytutu Erudycji. Przyznał jej się przez telefon, że zagubił się w wielkim mieście, i zapytał, czy nie poświęciłaby trochę czasu, żeby pomóc mu się odnaleźć. W ciągu pół godziny Susan odnalazła go spacerującego przed hotelem Plaza i porwała swoim sportowym czerwonym triumphem w czeluści miasta, które nigdy nie śpi.

Wyszedł z jej niewielkiego studia w kompleksie mieszkalnym Tudor Towers przy Czterdziestej Drugiej Wschodniej, po przekątnej od budynku ONZ, około piątej nad ranem. Było to bardzo udane

spotkanie. Susan odkryła, że Anglik potrafi zaspokoić wszystkie jej najskrytsze zachcianki w zakresie seksu oralnego, od którego była w sposób oczywisty uzależniona, Malcolm zaś zauważył, że rudowłosa piękność wie o merytorycznych sprawach Instytutu Erudycji znacznie więcej, niż wymagałaby tego funkcja szefowej bezpieczeństwa.

Wróciwszy taksówką do hotelu Pierre, Malcolm wziął długą gorącą kąpiel. Myślał o Dolores i kontemlował filozoficznie, że zawód szpiega wymaga niekiedy niecodziennych poświęceń i że to ostatnie zostanie mu wybaczone. Zasnął w tej samej minucie, w której przyłożył głowę do poduszki.

## 20 grudnia

Malcolm obudził się o dziesiątej. Te kilka godzin mocnego snu pomogło mu się zregenerować po upojnej i pracowitej nocy z byłą policjantką z Teksasu. Poczul wilczy głód. Wstał, wziął prysznic, włożył dzinsy i czarny golf, po czym udał się zaspokoić głód do restauracji, gdzie wprawdzie skończono podawać ranny posiłek, ale specjalny gość Martina Van Verta miał w Pierre przywilej specjalnego traktowania.

Zamówił tradycyjne angielskie śniadanie. Do tego poprosił o półlitrową szklankę jasnego piwa oraz butelkę ketchupu marki Heinz, nie uznawał bowiem jajek sadzonych na bekonie niepolanych obficie ketchupem. Kielbaski z kolei potraktował dużą ilością francuskiej musztardy z Dijon. Jadł bez pośpiechu, przeglądając jednocześnie „New York Timesa”, „Financial Timesa” i „Wall Street Journal”, ale nie doszukał się niczego ciekawego. Był to czas, kiedy polityka amerykańska zamierała na okres świąteczny.

Wzmocniony i uzbrojony na trudy czekającego go dnia, udał się do apartamentu Escoffier i przebrał w garnitur, żeby godnie piastować funkcję licytującego na aukcji w Muzeum Guggenheima.

Gdy punktualnie o czternastej wszedł do olbrzymiego holu otoczonego rzędami falistych pięt, Martin już na niego czekał. Tuż obok trwały właśnie przygotowania do mającej się rozpocząć za półtorej godziny aukcji. Pracownicy muzeum ustawiali ostatnie krzesła i podium licytacyjne, a firma cateringowa szykowała stoły z drobnymi przekąskami i bar z napojami. W gotowości stały już drewniane sztalugi oczekujące na kopie obrazów Maneta, które tego popołudnia miały znaleźć nowych właścicieli. Na stoliku obok rozłożono wydrukowane na potrzeby aukcji materiały informacyjne.

– Jak samopoczucie naszej malarki? – zapytał Malcolm, który doskonale wiedział, jak początkujący artyści przeżywają pierwsze aukcje będące najbardziej praktycznym, ale niekiedy także najbardziej brutalnym sprawdzianem ich umiejętności i talentu.

Dlatego tak wiele zależało od organizatorów, a na szczęście wydawało się, że Maria jest w bardzo kompetentnych i życzliwych rękach.

– Poradziłem jej, aby zjawiła się w muzeum w ostatniej chwili wraz z obrazami, gdy większość gości już będzie. Nie chciałem, żeby zawnocowała się denerwowała. Tłumaczyłem jej wprawdzie, że nie zawsze autorzy muszą być obecni na aukcjach swoich dzieł, ale ona jest zdania, że nieobecność byłaby tchórzostwem. To takie latynoamerykańskie poczucie honoru, zresztą godne szacunku – odpowiedział Martin Van Vert. – Pojadę po nią do pracowni.

– Słusznie postąpiłeś, ona też. Wielki talent wymaga odwagi – uznał młody lord Grey. – Przedstaw mnie organizatorom i razem dopilnujemy, by wszystko grało, a ty jedź do Marii. Tam bardziej się przydasz.

– Dziękuję ci, Malcolmie, to wielka pomoc z twojej strony.

Martin poprowadził Brytyjczyka do biura dyrektora Jamesona. Zapoznał ze sobą obu dżentelmenów i pobiegł do czarnego cadillaca, który stał przy chodniku naprzeciw wejścia.

Tymczasem Malcolm po wymianie wstępnych uprzejmości przeszedł do rzeczy:

– Jakie progi licytacyjne pan proponuje, dyrektorze?

– Zaczęłbym aukcję od ceny wywoławczej po dwa tysiące dolarów z minimalnym postąpieniem w wysokości dziesięciu procent, czyli dwustu dolarów.

– To brzmi rozsądnie w przypadku dzieł początkującej malarki. Jakie są pańskie prognozy?

– Przyjdzie dużo ludzi. Raz, bo wieść o talencie Marii trochę się rozniosła, a dwa, bo towarzystwo już wie, że to przyjaciółka Martina... – odpowiedział dyrektor. – To może być interesująca impreza!

– To ad rem, *mon ami* – rzekł lord Grey i obaj ruszyli w stronę miejsca, gdzie miała się odbyć aukcja.

O piętnastej zaczęli przybywać pierwsi goście, a pół godziny później zebrało się prawie sto osób. Popijając białe i czerwone wino, zgromadzeni podziwiali odślonięte już kopie. Maria, Malcolm i Martin, wmieszani w tłum, udzielali wyjaśnień i odpowiadali na

pytania. Dokładnie o piętnastej trzydzieści głos zabrał dyrektor Jameson.

– Pragnę powitać wszystkich państwa na aukcji kopii dzieł wielkiego Édouarda Maneta, *Olimpia* i *Kobieta z papugą*, pędzla panny Marii da Gama, utalentowanej malarki z Brazylii, niedawnej uczestniczki kursów malarstwa nowoczesnego organizowanych przez nasze muzeum. – Podszedł do siedzącej w pierwszym rzędzie krzeseł Marii i zaprezentował ją zebranym. – Brawa dla artystki!

Posypały się gromkie oklaski, gdyż doskonałość kopii wzbudziła zainteresowanie i uznanie obecnych. Z niecierpliwością oczekiwano na pierwsze propozycje licytacyjne.

– Mam także honor przedstawić lorda Malcolma Greya, doradcę dworu Jej Królewskiej Wysokości Elżbiety II i światowej klasy eksperta w dziedzinie historii sztuki, który zgodził się poprowadzić dzisiejszą aukcję – kontynuował dyrektor. – Lordzie Grey, proszę zająć miejsce na podium i przystępujemy do licytacji.

Malcolm podszedł swobodnym krokiem do swojego stanowiska i uklonił się publiczności. Uczestniczył w wielu aukcjach, a w niektórych pełnił taką rolę jak dzisiaj. Wiedział, że ważne jest narzucenie odpowiedniego tempa licytacji, gdyż właśnie ono, oprócz wystawionych dzieł, budzi ekscytację ewentualnych kupujących i podbija cenę.

Rozpoczął od *Olimpii*. W ciągu kilku minut cena kopii osiągnęła trzy tysiące dolarów, a po dziesięciu minutach już pięć tysięcy. Malcolm wiedział, że dla każdej kopii, nawet najlepszej, to bariera trudna do pokonania, ale raz przekroczona... Wzmógł zatem swoje wysiłki.

– Drodzy państwo, osiągnęliśmy znakomitą cenę tego pięknego obrazu i nie mam wątpliwości, że idziemy dalej! Pięć tysięcy dolarów po raz pierwszy. Pięć tysięcy dolarów po raz drugi i pięć tysięcy... – nie zdążył dokończyć.

– Sześć tysięcy – zaliczyła kobieta w pomarańczowym płaszczu.

Peggy Guggenheim przybyła kilka dni wcześniej z Wenecji i gdy dowiedziała się o aukcji, postanowiła wziąć w niej udział. Była autentycznie zaskoczona jakością kopii wykonanych przez

Brazylijkę.

Robisz postępy, mała – pomyślała.

– Siedem tysięcy – rzuciła rudowłosa, elegancko ubrana i bardzo zgrabna kobieta.

Malcolm natychmiast rozpoznał Susan i dyskretnie skinął głową. Był już spokojny o przebieg aukcji.

Dla Martina udział Susan był zaskoczeniem, gdyż nie znalazła się w Muzeum Guggenheima z jego polecenia. Siedział obok Marii w pierwszym rzędzie i powoli obejrzał się za siebie, lustrując gości. Ale nie zauważył osoby, której szukał.

– Osiem tysięcy – podbiła cenę Peggy Guggenheim, kątem oka oceniając możliwości licytacyjne nieznannej jej rudowłosej piękności.

Maria siedziała jak na szpilkach, nie mogąc uwierzyć, że wartość którejkolwiek jej kopii może choćby zbliżyć się do ceny, jaka przed chwilą padła. A nic nie zapowiadało końca aukcji.

– Osiem i pół tysiąca – odezwał się młody człowiek o wyraźnie semickich rysach, ubrany w czarny garnitur i śnieżnobiałą koszulę. Był to jeden z ludzi Abrahama Lankera, wypełniający dyspozycje szefa.

Dzień wcześniej mafioso dowiedział się od współnika, że młodszy brat jego kochanki i żony in spe przekazał wiadomość z Moskwy. Na ulicy, przed wejściem do budynku, w którym mieszkał, podszedł do niego jakiś mężczyzna, okazał legitymację KGB i uprzejmie zaprosił do stojącej obok czarnej wołgi. Gdy usiedli na tylnym siedzeniu i młodszy brat niemal umierał ze strachu, nieznajomy poinformował go, że powinien przyspieszyć załatwianie formalności wyjazdowych. Podał mu numer telefonu i nazwisko osoby, do której miałyby się zwrócić, gdyby natrafił na jakieś problemy, a potem otworzył od wewnątrz drzwi i życzył dobrego dnia. Całe zajście trwało pięć minut.

Abraham Lanker doszedł więc do wniosku, że udział w aukcji będzie właściwym gestem wdzięczności wobec Dolores. Nie chciał uczestniczyć w wydarzeniu osobiście, gdyż w różnych kręgach był osobą dobrze znaną i jego obecność mogłaby wywołać niepotrzebną sensację.

– Dziewięć – licytowała dalej Susan, świetnie się przy tym



bawiać.

– Dziesięć tysięcy – zaproponował przedstawiciel szefa żydowskiej mafii w Nowym Jorku i rozejrział się po zebranych.

Zaległa cisza. Osiągnięto kolejny pułap, którego przekroczenie mogło przynieść dalsze niespodzianki. Wokół siedzących gości zaproszonych na aukcję zaczęli się gromadzić zwiedzający i przysłuchiwać licytacji. Roczny zarobek większości z nich był niewiele wyższy niż wymieniona przed chwilą suma.

– Gratuluję znakomitego gustu panu w czarnym garniturze – komentował na bieżąco Malcolm. – Dziesięć tysięcy po raz pierwszy, proszę państwa.

– Jedenaście tysięcy – odezwał się znany nowojorski kolekcjoner dzieł sztuki, zaintrygowany spektaklem, na który został zaproszony. Jako bywalec niezliczonych aukcji malarstwa był bardzo ciekaw, kto ustawił mechanizm tej aukcji. Miał przecucie, że stanie się ona wydarzeniem sezonu gwiazdkowego. Nie wyobrażał sobie, by mógł nie zostać odnotowany jako jej uczestnik.

– Dwanaście tysięcy – przebiła Susan, kłaniając się kolekcjonerowi, który uprzejmie odkłonił jej się z uśmiechem.

– Trzyście tysięcy – odezwał się jak echo wysłannik Abrahama Lankera, patrząc na rudowłosą piękność.

– Czternaście tysięcy – licytowała Peggy Guggenheim, czując, że zaraz zostanie przebita, ale o to też jej chodziło. Każde podbicie ceny wspomagało Brazylijkę, podnosząc też rentowność inwestycji, jaką był zakup pierwszej wykonanej przez nią kopii.

Pochłonięta emocjonującym przebiegiem aukcji publiczność w ogóle nie zwróciła uwagi na kobietę w czarnym kapeluszu, czarnym płaszczu i ciemnych okularach, która przejściem pomiędzy rzędami krzeseł szła wolno w stronę podium. Malcolm zarejestrował ją kątem oka, gdy była mniej więcej na wysokości środkowych rzędów. Wtedy raptownie przyspieszyła, zaczęła niemal biec, i już wiedział, że nieznamoma nie przyszła tu licytować. Opuścił swoje stanowisko i rzucił się w stronę sztalug z kopiami. Stojąc przodem do audytorium, był praktycznie jedynym, który ją zauważył. Co więcej, w jej prawej dłoni dostrzegł szklany flakon, który błyskawicznie odkorkowała. Był już kiedyś świadkiem podobnego incydentu w pałacu

Buckingham, lecz zdał sobie sprawę, że nie zdąży jej powstrzymać. Wychylił się w jej kierunku, upadając na kolana.

Kobieta w czerni zręcznie go wyminęła i ostatnim wysiłkiem skierowała rękę z otwartym flakonem w stronę *Olimpii*. Dopiero teraz Maria, Martin i siedzący w pierwszych rzędach uczestnicy aukcji zauważyli poruszenie i zamarli ze zgrozy, przeczuwając, co się za chwilę wydarzy. Malcolm klęczał na podłodze, patrząc z rezygnacją na plecy kobiety sunącej prosto ku sztalugom.

Nagle na przegubie jej wyciągniętej ręki zacisnął się stalowy uchwyt mężczyzny o charakterystycznej postawie wojskowego. Morgan, który jak spod ziemi wyrósł obok tajemniczej kobiety, szarpnął nią gwałtownie, zamierzając najpierw odciągnąć ją od ustawionych na sztalugach kopii, a następnie odebrać jej flakon. Syknął z bólu, gdyż kwas z otwartego flakonu zaczął mu się wylewać na rękę. Widząc to, kobieta zrozumiała, że ma szansę uwolnić rękę z żelaznego uścisku... Ale w tej samej chwili otrzymała potężny, bardzo szybki cios w grdykę kośćmi zgiętych wpoł i zaciśniętych palców czyjejś ręki i dusząc się, straciła przytomność. Morgan, wciąż sycząc z bólu, zabezpieczył flakon z kwasem, którym nieznamoma zamierzała oblać obrazy, i spojrzął na kobietę w białej koszuli i bojówkach, która przyszła mu z pomocą.

– Dziękuję... – wykrztusił, siadając na podłodze.

– Spoko, koleś – odpowiedziała Marika. – Dobry uścisk i refleksik. Ta kurew jeszcze dycha?

Do leżącej na podłodze kobiety doskoczyło trzech członków ochrony muzeum i natychmiast ją skuło. Czwarty zabezpieczył flakon z kwasem, a piąty zaczął przemywać i opatrywać oparzenie Morgana. Goście krzyczeli, głośno mówili i czynili trudny do opisanego harmider. Zachowując zimną krew, Martin uklęknął przy wciąż nieprzytomnej i rzucającej napastniczo, zdjął jej czarny kapelusz i ciemne okulary... i odruchowo się cofnął. To była Lisa, jego ekszona. Wyprostował się i odszedł na bok, przecierając czoło.

Zdezorientowana Maria, nie wierząc własnym oczom, patrzyła na Morgana, w którym natychmiast rozpoznała mężczyznę z brzytwą z ciężarówki meblowej. Zdała sobie sprawę, że gdyby nie jego udana interwencja, jej kopie zostałyby nieodwracalnie zniszczone. Pytając spoglądała to na Martina, to na znokautowaną przez jej sąsiadkę z

suteryny kobietę. Natłok zdarzeń mógł przyprawić o zawrót głowy...

Zjawiała się policja i pogotowie wezwane przez dyrektora Jamesona. Wyniesiono nieprzytomną Lisę. Morgan wziął policjantów na bok i zaczął im opowiadać, co zaszło. Rozglądał się za kobietą, która mu pomogła obezwładnić napastniczkę, ale Marika zniknęła bez śladu. Nie miała zamiaru figurować w notatce policyjnej z tego zajścia.

Na swoje stanowisko wrócił Malcolm Grey. Wziął młotek licytacyjny i kilkakrotnie uderzył nim mocno w drewniany blat, żeby zwrócić na siebie uwagę rozgadanych gości i całej chmary gapiów. Rozmowy i wymiana opinii ucichły na tyle, że prowadzący mógł przystąpić do rzeczy.

– Ta aukcja, drodzy państwo, dopiero się rozkręca. Nie wiem jak wy, ale ja nie mam zamiaru dopuścić do tego, aby jacyś frustraci dyktowali mi, kiedy i w jaki sposób mam zakończyć to miłe niedzielne popołudnie. Szanowna pani w pomarańczowym płaszczu łaskawa była licytować czternaście tysięcy dolarów za kopię pięknej *Olimpii*? Czy są na sali jacyś mężczyźni gotowi przebić tę sumę, czy też tego pokolenia Victorine Meurent już nie pociąga? Nie będę tu czekał wiecznie...

– Dwadzieścia tysięcy dolarów – odezwał się pewny siebie głos z ostatniego rzędu.

Spojrzenia wszystkich osób będących w jego zasięgu skierowały się na licytującego. Frederick Van Vert patrzył obojętnie przed siebie, jakby to nie on rzucił sumę, która wywołała osłupienie zgromadzonych.

– Nareszcie ktoś docenił tę wspaniałą kopię – przemówił Malcolm, połykając ślinę i sięgając po szklankę z wodą. – Dżentelmenowi z ostatniego rzędu gratuluję wycucia wartości rzeczy pięknych. Zatem dwadzieścia tysięcy po raz pierwszy. I po raz drugi... Drodzy goście, nie mówcie mi, że na tym zakończymy tak świetnie zapowiadającą się imprezę...

– Dwadzieścia jeden tysięcy – oznajmił przedstawiciel Abrahama Lankera, upoważniony do licytowania jeszcze wyższej sumy.

– Dwadzieścia dwa – odpowiedział mu kolekcjoner sztuki,

który powoli zaczynał rozumieć wydarzenia tego popołudnia. Wiedział też, że nie kupi żadnej z tych kopii, gdyż nie przelicytuje ludzi, którzy przyszedli tu z takim zamiarem.

– Trzydzieści tysięcy!

Z tłumu gapiów szczelnie otaczających miejsce, gdzie rozgrywała się aukcja, wyszedł starszy mężczyzna i ruszył przejściem, którym niedawno sunęła kobieta w czerni. Prowadziły go oczy wszystkich zebranych. Gdy doszedł do pierwszego rzędu, zatrzymał się przed Martinem. Ten natychmiast ustąpił mu miejsca obok Marii, a sam stanął w przejściu, jakby nie dowierając własnym oczom.

Starszy mężczyzna spojrział z uśmiechem na piękną Brazylijkę.

– Nazywam się Victor Van Vert. Jestem ojcem Martina i zamierzam kupić pani obrazy, gdyż są znakomite – oznajmił.

Maria patrzyła na jego twarz, dostrzegając pewne podobieństwo do Martina. To, co działo się tego popołudnia, początkowo wymykało się jej wyobraźni... ale nie możliwościom analitycznym. Cele, których osiągnięcie zaplanowała na miesiące, wydawały się znacznie przybliżyć.

– Bardzo miło mi pana poznać – odpowiedziała opanowanym głosem. – Nazywam się Maria da Gama i jestem początkującą malarką.

– Trzydzieści tysięcy dolarów po raz pierwszy. – Głos Malcolma przerwał absolutną ciszę, jaka zapanowała po wystąpieniu Victora Van Verta. Brytyjczyk nie spodziewał się, że nestor rodu tak rozegra sprawę, i był pod wrażeniem. – Trzydzieści tysięcy po raz drugi. I po raz trzeci. Gratuluję dżentelmenowi z pierwszego rzędu. Jest pan oficjalnie właścicielem tej wspaniałej kopii *Olimpii* Maneta pędzla panny Marii da Gama.

Wybuchnęły spontaniczne oklaski zebranych, które szybko zaczęły przybierać na sile. Victor wstał, odwrócił się w stronę audytorium i uklonił. Mimo to brawa trwały jeszcze dobrą chwilę.

– Przystępujemy zatem do licytacji kolejnej kopii pędzla panny da Gama. Tym razem to *Kobieta z papugą*, również Maneta – kontynuował aukcję lord Grey. – Mając na uwadze cenę, jaka została osiągnięta za kopię *Olimpii*, proponuję cenę wywoławczą na

poziomie piętnastu tysięcy dolarów. Czy ktoś jest innego zdania? Nie? To zaczynamy. Czy ktoś zaproponuje więcej, niż wynosi cena wywoławcza?

– Dwadzieścia tysięcy – odezwał się z tylnego rzędu Frederick Van Vert, powtarzając jak echo sumę z poprzedniej licytacji.

– Dwadzieścia jeden – zaryzykowała Peggy Guggenheim, w zasadzie pewna, że to jeszcze nie koniec.

– Dwadzieścia trzy. – W głosie mężczyzny w czarnym garniturze dało się wyczuć lekką irytację przedłużającą się imprezą.

– Dwadzieścia cztery – odważnie zaliczył nowojorski kolekcjoner, zdecydowany przejść do historii tej aukcji.

– Trzydzieści tysięcy dolarów – rzekł siedzący obok Marii nestor rodu Van Vertów, który w ten sposób postanowił zamknąć sprawę.

Tak jak poprzednio zaległa absolutna cisza, przerywana jedynie sporadycznymi szeptami podnieconych obserwatorów tego niezwykłego wydarzenia. Przerwał ją po dłuższej chwili donośny głos Malcolma Greya.

– Trzydzieści tysięcy po raz pierwszy. Po raz drugi. I po raz trzeci! – Prowadzący szybko sfinalizował aukcję, dopełniając formalności. – Ponownie gratuluję dżentelmenowi z pierwszego rzędu, który został szczęśliwym właścicielem również drugiego licytowanego dziś dzieła panny da Gama.

Rozległy się spontaniczne brawa. Goście wstawali z miejsc, nagradzając Marię zasłużoną owacją. Wstał także Victor Van Vert, odwrócił się i wyciągnął rękę do bohaterki dnia.

– To pani należą się prawdziwe gratulacje, młoda damo. Proszę nie myśleć, że nabyłem te obrazy, bo jest pani znajomą Martina. Jeśli nie byłyby naprawdę dobre, tobym ich nie kupił, nawet gdyby pani była jego córką...

– Możesz mu wierzyć, kochanie – wtrąciła się do rozmowy Peggy Guggenheim. – Victor ma takie zasady. Jeśli coś mu się nie podoba, to jakby nie istniało. Bardzo udana impreza, panno da Gama.

– Witaj, Peggy. – Victor uśmiechnął się do legendy światowej bohemy. – W tym przypadku jedynie popieram największych

znawców sztuki i odkrywców talentu tej młodej osoby. Wieść niesie, że to ty nabyłaś jej pierwszą kopię...

– Peggy ma po prostu szczęśliwą rękę do zdolnych ludzi – rzekł Martin, podchodząc do stojących. – Dziękuję za miłą niespodziankę, ojczu. Przypomniałeś mi dzisiaj, że masz doskonały gust.

– To chyba rodzinne, sądząc po talencie i urodzie panny da Gama – wszedł mu w słowo Frederick, wyciągając rękę do Marii. – Frederick Van Vert, brat właściciela pani znakomitych kopii.

– Jestem trochę oszołomiona tym wszystkim, co się zdarzyło dzisiejszego popołudnia – wydusiła z siebie Maria. – Bardzo mi miło panów poznać i nie wiem, jak dziękować za wyrazy uznania dla mojej pracy. Ale kim była ta kobieta?

– Ta suka, bo inne określenie nie przychodzi mi do głowy, to ekszona naszego Martina – pospieszył z odpowiedzią Frederick. – Trawi ją zawiść i gorączka narkotykowo-alkoholowa. Została ostatnio odcięta od pieniędzy byłego męża i widocznie źle to znosi.

– Ten mężczyzna, który ją powstrzymał... Powinnam mu podziękować za uratowanie moich kopii. – Maria postanowiła zrealizować małą grę, która przyszła jej do głowy. – Przepraszam państwa na chwilę.

Szybkim krokiem podeszła do Morgana, który parę metrów dalej referował dwóm policjantom przebieg zdarzenia, i stanęła przed nim z wyciągniętą ręką i uśmiechem na twarzy.

– Chciałam podziękować panu za ocalenie moich kopii – powiedziała na tyle głośno, żeby wszyscy Van Vertowie słyszeli jej słowa. – Gdyby nie pan, nic by z nich nie zostało.

Morgana prawie nic nie było w stanie zaskoczyć. Badawczo przyjrzał się kobiecie, której nie tak dawno groził brzytwą. Zdawał się oceniać, czy Brazylijka kpi z niego, czy też powoduje nią szczery odruch. Z całej postawy kobiety biła jednak taka otwartość, że na jego twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu i mocno uściśnął wyciągniętą dłoń.

– Niezmiernie się cieszę, że nic im się nie stało – odpowiedział i przełamując się w sobie, dodał: – Przy okazji chciałem panią przeprosić za...

– To było nieporozumienie – ucięła temat Maria. – Jeszcze raz dziękuję. Życzę szybkiego wyleczenia ręki.

Powiedziawszy to, wróciła do towarzystwa, które uważnie śledziło każdy jej ruch i słuchało każdego wypowiedzanego słowa. Van Vertowie doskonale wiedzieli, w jakich okolicznościach ta dwójka się poznała, i gest kobiety zrobił na nich duże wrażenie, czyli... dokładnie takie, jakie w założeniu miał zrobić. Nie uszedł on także uwagi lorda Greya, który jedynie uśmiechnął się pod nosem.

– Pani ma wrodzoną klasę – rzekł krótko Victor Van Vert, który jako dżentelmen starej daty dobrze wiedział, co się składa na to pojęcie. – Musi pani koniecznie wpaść do nas na kolację na Long Island. Uzgodnisz z panną da Gama jakiś termin, dobrze, Martinie?

– Z największą przyjemnością, ojcze – odrzekł Martin, na którym wydarzenia tego popołudnia pozostawiły wyraźny ślad. – Dopilnujemy też z Marią ekspedycji kopii do rezydencji.

Bracia Van Vertowie pożegnali się z towarzystwem i ruszyli w drogę powrotną na Long Island. Marię i Peggy Guggenheim otoczył wianuszek gości, winszując młodej malarce niezwykle udanego debiutu. Kiedy gratulacje wreszcie się wyczerpały i dwie kobiety zostały same, Peggy wzięła Marię pod rękę i zaczęła jej tłumaczyć coś, co uznała za ogromnie ważne.

– Dziś, moja droga, jest twój wielki dzień. Nie tylko dlatego, że Victor Van Vert kupił twoje obrazy. Dziś zostałam zaakceptowana przez klan Van Vertów, a przebieg tej aukcji był sygnałem dla całego towarzystwa Nowego Jorku, że tak właśnie jest. Victor nie robi takich manifestacji bez powodu. Jeżeli rozważnie pokierujesz swoim losem, możesz stać się częścią tego rodu. To wielka szansa i wielkie wyzwanie.

– Pani jest dla mnie bardzo dobra – odpowiedziała Maria.

Kilka metrów dalej rozmowę prowadzili Malcolm Grey i Martin Van Vert.

– Dziękuję ci, Malcolmie, za mistrzowskie przeprowadzenie tej aukcji. Nawet wybryk mojej byłej nie wyprowadził cię z równowagi.

– Obaj doskonale wiemy, Martinie, że to wszystko jest zasługą twojej pięknej i utalentowanej przyjaciółki z Brazylii – odpowiedział młody lord Grey. – Po dzisiejszej imprezie jestem pewien, że twój

ojciec i Frederick również ją zaakceptowali. To naprawdę wartościowa dziewczyna. Jeżeli mogę pozwolić sobie na radę... nie wypuszczaj jej z rąk.

– Nie zamierzam – zapewnił były oficer CIA. – Powiem więcej. Chyba się z nią ożenię!

– Jak wiesz, nie jestem wielkim entuzjastą zawierania małżeństw, ale w przypadku Marii da Gama zrobię wyjątek i poprę taką decyzję – rzekł flegmatycznie Anglik, czując, że jego misja w Nowym Jorku została właśnie wypełniona.

Na tylnym siedzeniu mknącego na Long Island rolls-royce'a Victor i Frederick wymieniali się uwagami na temat dopiero co zakończonej aukcji. Ze względu na nagłą niedyspozycję etatowego szofera samochód wyjątkowo prowadził kamerdyner James, który również był świadkiem całej aukcji. Nie cierpiał byłej żony Martina, odkąd bogactwo, alkohol i narkotyki odjęły jej rozum, i nie posiadał się z radości, widząc jej smętny koniec. Podobała mu się natomiast młoda malarka z Brazylii, choć nie był przekonany, czy Martin Van Vert w pełni zasługuje na taką kobietę.

– Nie wiem, Victorze, czy kopie, które nabyłeś, warte są zaoferowanej ceny, ale na pewno bezcenne były miny tych durniów z towarzystwa, gdy usłyszeli, jak zamykasz licytację. I to dwa razy – mówił Frederick, chichocząc złośliwie.

– Dobrze powiedziane, bracie. Znakomita większość tych dupków nie dorasta pannie da Gama do pięt – odpowiedział Victor i dorzucił: – Notabene bezcenna była też mina Morgana, gdy dziewczyna podziękowała mu za uratowanie kopii przed tą wariatką Lisą. Swoją drogą Morgan wykazał się niezłym refleksem i odpokutował wpadkę w Central Parku.

– Nie mogło być inaczej, skoro śledził tę sukę od tygodnia – zaśmiał się Frederick. – Odkąd kazałem odciąć ją od naszych pieniędzy, odgrażała się tym swoim kumplom narkomanom, że urządzi Martina i Brazylijkę na cacy. Polecilem więc Morganowi, aby objął Lisę kontrolą operacyjną, jak mówią szpiedzy.

– Zawsze przewidujący – skomentował z uznaniem Victor. – Co do Marii i Martina, to stanowią niezłą parę. To rzeczywiście piękna kobieta.



– Piękna i niezezsuta. Nie zdziwiłbym się, gdyby Martin zechciał zatrzymać ją na dłużej, Victorze – zauważył Frederick.

– Masz na myśli małżeństwo? Dlaczego nie? Niech Martin zdecyduje. My dzisiaj zrobiliśmy swoje, dając wyraźny sygnał, że ją akceptujemy. Nie przypominam sobie, aby Van Vertowie żenili się wyłącznie z księżniczkami – powiedział nestor rodu, myśląc o swojej dawno już zmarłej żonie. Gdy ją poznał, pracowała jako kelnerka w bistrze na dolnym Manhattanie. Nigdy nie dała mu powodu, aby żałował, że uczynił ją swoją żoną.

Kamerdyner James prowadził samochód w równym, niespiesznym tempie, uśmiechając się pod nosem.

**1965**

**1 marca**

Dominik i Harry nawiązali kontakt wzrokowy na szczycie Schodów Hiszpańskich w Rzymie. Obaj wykonali ustalony ruch prawą ręką, oznaczający, że każdy z nich jest czysty i dwugodzinna trasa sprawdzeniowa nie wykazała żadnej niechcianej obserwacji. Nie podchodzili do siebie, nie witali się. Harry udał się za Dominikiem, który zmierzał w kierunku uprzednio wybranej restauracji, żeby zająć miejsce przy stoliku. Kiedy kilka minut później dołączył do niego Harry, przemytnik z ciekawością zlustrował wzrokiem swojego agenta, który był inicjatorem tego spotkania, więc można się było domyślać, że chce przekazać i przedyskutować coś ważnego.

Wymienili uścisk dłoni i Harry uśmiechnął się serdecznie, co utwierdziło Dominika w przekonaniu, że spotkanie będzie równie interesujące jak to we wrześniu 1962 roku. Od tamtego czasu Dominik wywiązał się z obietnicy finansowej, którą wtedy złożył, i Harry był o ponad milion dolarów bogatszy i na najlepszej drodze do kolejnego miliona.

– Jak żyjesz, Harry?

– Żyję tak, przyjacielu, że nie mogłoby być lepiej – odpowiedział Amerykanin, popijając campari z wodą sodową i cytryną, które wcześniej zamówił dla niego Dominik. – Mam kilka ciekawostek i prośbę o radę.

– Widzę to po twoim uśmiechu – rzekł pogodnie przemytnik, któremu zaczął się udzielać dobry humor agenta.

To najmiłsza sytuacja w pracy operacyjnej – gdy źródło potwierdzi, że ma interesujące informacje, lecz jeszcze nie zacznie ich przekazywać. Dominik doskonale o tym wiedział i właśnie delektował się chwilą.

– W czerwcu ubiegłego roku Martin Van Vert poprosił mnie o spotkanie. – Harry był coraz bardziej podniecony tym, co zaraz miał

powiedzieć. – No i zaproponował mi pracę... Nigdy nie zgadniesz!

– Dawno nie widziałem cię tak podekscytowanego. – Dominik nie krył zaintrygowania. – Masz zostać senatorem?

– Znacznie lepiej, przyjacielu – oznajmił Harry z triumfującym uśmiechem. – Martin Van Vert zaproponował mi pracę w Białym Domu. Masz przed sobą cenionego urzędnika Rady Bezpieczeństwa Narodowego z gabinetem w Executive Office Building przy Pennsylvania Avenue, ale nie wątpię, że z czasem przeniosą mnie do samego Białego Domu. I co ty na to?

Dominik rzeczywiście był zaskoczony. Zaczął natychmiast analizować potencjalne korzyści i zagrożenia, jakie wynikały z tej nowej sytuacji. Zdał sobie również sprawę, że nowe uplasowanie źródła może istotnie wpłynąć na charakter ich wzajemnych relacji, znacznie umacniając pozycję Amerykanina.

– Masz rację, Harry, nigdy bym nie zgadł. Przede wszystkim pozwól, że ci serdecznie pogratuluję. To wielkie osiągnięcie. – W głosie Dominika można było wyczuć szczere uznanie. – Najwidoczniej Martin uważa, że dobrze się spisałeś w CIA, skoro chce cię u boku nowej władzy. Jak znam życie, to masz tam w jego imieniu czegoś pilnować.

– Właściwego przebiegu wojny w Wietnamie – odparł Harry. – Z rekomendacji Martina Van Verta zostałem przydzielony do specjalnego zespołu zajmującego się problematyką Wietnamu Południowego i w ogóle Azji Południowo-Wschodniej.

– Tego, którym kieruje McGeorge Bundy?!

– Tego samego. I powiem ci więcej. Na początku lutego byłem w grupie, która towarzyszyła „Macowi” w rekonesansowej podróży do Wietnamu Południowego!

Dominik z podziwem pokręcił głową.

– Właśnie wtedy – kontynuował rozemocjonowanym głosem Harry – partyzanci Wietkongu zaatakowali granatami i ogniem moździerzy baraki naszych doradców w Pleiku i bazę helikopterową cztery mile dalej. Straciliśmy dziewięciu ludzi, a ponad stu zostało rannych. Zniszczono spore zapasy wyposażenia wojskowego. Ten atak świadczył o rosnącym profesjonalizmie przeciwnika, a było tajemnicą poliszynela, że w walkach na Południu biorą już udział

oddziały regularnej armii Wietnamu Północnego.

– I co na to Bundy?

– Wiedział, że zanim trafiłem do CIA, byłem w wojsku, i zapytał, co o tym sądzę. No to mu odpowiedziałem: „Ja jestem starym kwatermistrzem, panie Bundy, i wiem, że żadne siły zbrojne, regularne czy nieregularne, nie mogą działać bez zaopatrzenia. A że naszą największą siłą jest lotnictwo, musimy zbombardować, co tylko się da – szlaki transportowe, magazyny, siłę żywą, pojazdy i broń ciężką. Także w Wietnamie Północnym. Tak jak w czasie drugiej wojny bombardowaliśmy Niemcy. Terror bombowy to świetna broń”.

– Bundy’emu pewnie spodobała się twoja rada...

– Żeby tylko! Jeszcze tego samego dnia odbył w Sajgonie naradę z generałem Westmorelandem...

– Głównodowodzącym sił amerykańskich w Wietnamie Południowym?

Harry kiwnął głową.

–...i z generałem Taylorem, naszym ambasadorem. Obaj przyklasnęli takiemu pomysłowi, więc Bundy wykonał telefon do Białego Domu i przekazał wiadomość Cyrusowi Vanceowi, zastępcy sekretarza obrony. Wieczorem prezydent zwołał posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego, która jednogłośnie wsparła program bombardowania.

– Chylę czoło, Harry. To superinformacje z pierwszej ręki.

Dominik był pod coraz większym wrażeniem możliwości, jakie dawała nowa posada jego agenta. Należało jednak postępować bardzo ostrożnie i poczekać na ewentualną inicjatywę źródła. Na szczęście chciwość rzadko bywa cierpliwa.

– Ja też tak myślę, przyjacielu. Dlatego chciałem prosić cię o pewną radę, a może również o pomoc – zaczął ostrożnie Harry, starannie dobierając słowa. – Od jakiegoś czasu mam wrażenie, że Ameryką i resztą świata w ogóle nie rządzą ci, których wybieramy czy powołujemy, tylko tacy faceci jak Van Vertowie i różni ich kumple. Moje wrażenie przerodziło się prawie w pewność, gdy Martin w pięć minut załatwił moje przeniesienie do Białego Domu i dopilnował, żebym trafił tam, gdzie moja wiedza o wojnie w Wietna-

mie będzie najpełniejsza. Ród Van Vertów od zawsze siedzi w przemyśle zbrojeniowym. Dla nich ta wojna... każda wojna... to kopalnia złota. Zapytam otwarcie, bo znamy się wiele lat i różne robiliśmy rzeczy. Czy widzisz jakiś powód, dla którego tacy ludzie jak ty i ja nie mieliby zarobić na tym konflikcie? Podobno wywiad to intratne rzemiosło. Masz jakiś pomysł, Dominiku?

Dominik doceniał przenikliwość, z jaką Harry przejrzał mechanizmy sterujące otaczającą go rzeczywistością. Oczywiście sam nie zamierzał dzielić się z nim swoją wiedzą na temat Van Vertów ani nawet sugerować, że ją posiada, gdyż nie było takiej potrzeby, a poza tym mogłoby to sprowokować niepotrzebne pytania. Doskonale natomiast wiedział, co Harry pragnie usłyszeć i jakiej powinien udzielić mu odpowiedzi.

– Czy dobrze rozumiem, że chciałbyś ewentualnie podzielić się swoją wiedzą za odpowiednią cenę? – zapytał otwarcie.

Jak zawsze w takich sytuacjach dążył do tego, by to druga strona sprecyzowała swoje cele i przedstawiła warunki. Obaj od lat wiedzieli, na czym w gruncie rzeczy polega ich relacja, ale niedopowiedzenia w tym fachu niejednokrotnie były na wagę złota albo czyjejs wolności lub życia. Dominik powiedział kiedyś Harry'emu, że nie żąda od niego zdrady tajemnic państwa amerykańskiego. I nic się od tamtego czasu nie zmieniło. Skoro jednak inicjatywa złamania tej zasady, nawet bardzo niejednoznaczna, wyszła od samego zainteresowanego, to sprawa zaczęła wyglądać zupełnie inaczej...

– Rozumiesz znakomicie. Nie bawmy się, proszę, w kotka i myszkę – rzeczowo odpowiedział Harry. – Nie mam najmniejszej wątpliwości, że znasz ludzi, którzy zapłaciliby za takie informacje bezpośrednio z Białego Domu całkiem niezłą kasę. Obaj możemy na tym zarobić. Nie interesuje mnie, co to za ludzie i skąd pochodzą, interesuje mnie tylko kasa. Tak jak Van Vertów. Pomożemy sobie?

– Nie widzę przeszkód, drogi Harry. Weź jednak pod uwagę, że to trochę tak, jak przesiąść się z kucyka na ogiera. – Dominik nie owijał w bawełnę, gdyż w tej rozmowie byłoby to złą taktyką. – Sprzedawanie informacji z Białego Domu to najwyższa szkoła jazdy. Nie wątpię, że potrafię znaleźć właściwych kupców, czyli zaufanych i dobrze płacących, bo inni nas nie interesują, i nie jestem w stanie

dzisiaj ci powiedzieć, nawet w przybliżeniu, o jakie sumy może chodzić. Ale z pewnością o niemałe. Zajmie to jednak parę miesięcy, bo obaj musimy przemyśleć i wdrożyć szczególne środki ostrożności.

– Co masz na myśli?

Do świadomości Harry'ego zaczynało coraz wyraźniej docierać, do jakiej gry się przymierza, ale nie miał zamiaru się wycofywać. Czuł taki sam przypływ adrenaliny jak w chwili, gdy umieszczał – a potem zdejmował – urządzenie podsłuchowe w sali konferencyjnej generała Cartera w centrali CIA.

– Przede wszystkim musisz pozostać całkowicie anonimowy. – Dominik, mówiąc, uważnie obserwował reakcję swojego agenta. – Krzesło elektryczne to nie jest komfortowy mebel, a może cię ono czekać, jeżeli popełnimy jakiś błąd.

– Właśnie to do mnie dotarło, ale w Ameryce jest dużo prądu – zażartował Harry, po czym już znacznie poważniejszym tonem wyjaśnił: – Zdaję sobie sprawę, że kupujący może mieć własne pytania czy też konkretny zakres zainteresowań. Zwracam się z taką propozycją do ciebie, bo wiem, że składam swój los w dobre ręce. Jestem pewny, że nie tylko będziesz umiał zadbać o nasze bezpieczeństwo, ale też wytargujesz możliwie najlepszą cenę.

– Proponuję, abyś zaczął pisać dziennik poświęcony twojej karierze i przeżyciom w Białym Domu. To dobra legenda – odparł najzupełniej szczerze Dominik. – Może zamówimy coś do jedzenia? Dzisiaj ja funduję.

Zamówili półmisek grillowanych ryb i skorupiaków oraz dwie butelki pinot grigio Santa Margherita. Nie rozmawiali już o pracy wywiadowczej. Harry opowiadał o swoich inwestycjach w diamenty oraz – ostatnio – w najwyższej klasy szmaragdy. Jednym z obowiązków prowadzącego jest słuchać uważnie, co ma do powiedzenia agent, zwłaszcza jeżeli mówi o sobie. A tego dnia Dominik słuchał Harry'ego z prawdziwym zainteresowaniem, gdyż stał się on z biegiem czasu wybitnym znawcą kamieni szlachetnych.

– Szlifowanie diamentów to oczywiście wielka sztuka i Żydzi amsterdamscy opanowali ją do perfekcji, bo robią to od pokoleń, przekazując tajniki fachu z ojca na syna. Ale kamienie kolorowe to zupełnie inna bajka. Prym wśród nich wiodą szmaragdy i rubiny, a

każdy jest inny. Nie wiem, czy słyszałeś, że jedne z najpiękniejszych szmaragdów, w głęboko zielonym kolorze, wydobywane są od wieków w północnym Afganistanie w Dolinie Pandzszeru? Chciałbym tam kiedyś pojechać...

– To chyba dopiero, gdy przejdiesz na emeryturę, bo urzędnicy Białego Domu raczej nie włączą się po takich miejscach – zauważył Dominik.

– Pewnie masz rację, ale wtedy chcę mieć tyle kasy, żeby móc przebierać w najlepszych okazach afgańskich szmaragdów – odpowiedział Harry. – Liczę więc, że będziesz ostrym negocjatorem...

– O to nie musisz się martwić, przyjacielu. Już układam w głowie plan działania. Pewnie za parę miesięcy umówimy się na kolejne spotkanie i pogadamy o konkretach.

– To do zobaczenia.

Amerikanin wstał od stolika i udał się do toalety. Po kilku minutach opuścił restaurację, nawet nie podchodząc do swojego prowadzącego.

Dominik uścił rachunek i ruszył w stronę Schodów Hiszpańskich. Dotarł nimi na rozległe tereny parkowe Villa Borghese, którymi zamierzał się przejść na Piazza del Popolo. Tam zajął miejsce przy stoliku w niewielkiej kawiarence na świeżym powietrzu, bo było już ciepło i słonecznie, i zamówił espresso i campari z wodą sodową. Mimo że do pełni sezonu turystycznego pozostało jeszcze kilka miesięcy, po placu kręciło się już trochę turystów.

Gdy tak ich mimochodem obserwował, przyszło mu na myśl, że mógłby siedzieć tu, przy stoliku, dzieląc tę chwilę z Inez i Maxem. Tak jak ci zwyczajni ludzie, którzy go otaczali. Przełknął ślinę, poczuł, że coś go ściska za gardło. Szybko sięgnął po szklanekę z campari i pociągnął spory łyk.

Zapłacił kelnerce i złapał taksówkę na lotnisko, żeby samolotem rejsowym udać się do Wiednia. W drodze pomyślał, że powinien poświęcać więcej uwagi swojemu synowi Maxowi i synowi Jana, Andy'emu, którego w szkole nazywano z francuska André.

Zaplanował też, że następny dzień rozpocznie od wywołania spotkania ze swoim oficerem prowadzącym z polskiego wywiadu.



**5 maja**

Dominik przechadzał się po jednym z peronów dworca w Innsbrucku, czekając na nocny pociąg z Wiednia, którym miał przybyć jego brat. Umówienie spotkania zajęło aż dwa miesiące, gdyż pułkownik Szulc był w ciągłych rozjazdach, a Dominik nie uznał sprawy za szczególnie pilną. Wiedział bowiem, że im dłużej Harry będzie się wgryzał w swoją nową pracę, tym więcej informacji przekaze mu podczas kolejnego spotkania.

Specjalnie na tę okazję Dominik wynajął niewielki *chalet* w górach otaczających miasto. Wynajął też samochód, którym w ciągu godziny mogli tam swobodnie dotrzeć. Słowem, zaplanował przy okazji dla brata i dla siebie krótki urlop. W leżącym niecałe sześćset metrów nad poziomem morza Innsbrucku było już ciepło, a następnych kilka dni zapowiadało się wyjątkowo pogodnie.

Pociąg z Wiednia wtoczył się na peron, przy którym oczekiwał Dominik, punktualnie o siódmej czterdzieści. Wysypało się z niego trochę podróżnych, ale bez porównania mniej niż u szczytu zimowego czy letniego sezonu.

– Witaj, nocny podróżniku – odezwał się Dominik, podchodząc do brata. – Wszystko w porządku? Bardzo zmęczony?

– Cześć, bracie. Gdyby nie było w porządku, to dałbym ci sygnał o niebezpieczeństwie i nie pozwolił do mnie podejść – odparł pułkownik Adam Szulc, szef pionu niemieckiego w polskim wywiadzie. – Wyspałem się w pociągu. Miarowy odgłos kół zawsze mnie usypia. Dlaczego ściągnąłeś mnie aż do Innsbrucku?

– Doszedłem do wniosku, że obaj zasługujemy na małe wakacje – odpowiedział Dominik. – Proponując Innsbruck na miejsce spotkania, trochę je wymusiłem, i na tobie, i na twoich przełożonych. Spędzimy razem ze dwa-trzy dni. Pogadamy, coś wypijemy, coś zjemy...

– Może to i niezły pomysł – zgodził się Szulc. – Odkąd przejąłem pion niemiecki, jestem naprawdę zaorany...

– To wskakuj do samochodu i jedziemy – zaproponował Dominik, gdy doprowadził brata do mercedesa 180 czekającego przed stacją.

Krętą trasę do *chalet* pokonali w niewiele ponad godzinę. Drewniany dom prezentował się okazale w majowym słońcu. Ale jego największym atutem był wielki taras z widokiem na dolinę, w której leżało miasto. Dominik zaparkował samochód i we dwóch szybko wnieśli do środka skromne bagaże. Rozlokowali się każdy w swoim pokoju. Pułkownik Szulc wziął szybki prysznic, a jego brat zaczął przyrządzać śniadanie. Obaj nic nie jedli od poprzedniego dnia i doskwierał im porządny głód.

Dominik wyjął z szafki kuchennej olbrzymią żeliwną patelnię i zaczął układać na niej doskonały szwajcarski szpek i tyrolską szynkę, a następnie postawił ją na rozgrzanej kuchni kaflowej opalanej drewnem. Dorzucił trochę masła i patrzył, jak wszystko to powoli się rozpuszcza i smaży.

Po chwili wrzucił na patelnię parę pokrojonych w plastry pomidorów i zaczął wbijać pierwsze z ośmiu jajek. Nie zamierzał robić jajecznicy, lecz jajka sadzone, po cztery dla każdego. Na żeliwnym blacie kuchni obok patelni rozłożył kilka kawałków chleba na grzanki. Wziął sól i posypał zawartość patelni.

Do kuchni wszedł odświeżony Adam Szulc i z ciekawością zaczął się przyglądać poczynaniom brata. W powietrzu unosił się zapach smażonego boczku, szynki oraz jajek i pułkownik poczuł prawdziwie wilczy głód. Postanowił zatem wykazać swoją przydatność, co mogło zaowocować szybszym podaniem posiłku.

– W czym mogę ci pomóc, bracie? – zapytał.

– Stół na tarasie jest już nakryty, więc wyjmij z lodówki kilka piw i weź szklanki, bo ja już jestem gotowy – odparł Dominik.

Ujął uchwyt wielkiej patelni, wyszedł z nią na taras i postawił pośrodku na drewnianej desce. Szybko wrócił po grzanki, wrzucił je do wiklinowego koszyczka, a potem ułożył po dwie na talerzu każdego z biesiadników. Następnie pieczołowicie umieścił na nich sadzone jajka ze szpekiem, szynką i pomidorami.

– *Voilà!* – rzekł, dokończywszy dzieła. – Serdecznie zapraszam na skromne, ale godne alpejskie śniadanko.

– Dawno nie widziałem cię przy takiej robocie. Masz talent kulinarny – zauważył pułkownik, nalewając do wysokich szklanek pełne jasne piwo.

Bracia usiedli do stołu i w milczeniu poczęli zaspokajać pierwszy głód. Jedli powoli, delektując się każdym kęsem i nie żałując sobie wybornego, lekko schłodzonego piwa. Poranne mgły całkiem już opadły i doskonała widoczność pozwalała im podziwiać niezrównaną alpejską scenerię.

– Życ nie umierać – rzekł Adam Szulc, odrywając się na chwilę od jedzenia. – Miałeś jednak znakomity pomysł z tym Innsbruckiem. Rzeczywiście czuję się jak na wakacjach. Prawie zapomniałem, jak to jest.

– Bo za dużo pracujesz, braciszku – zauważył Dominik i przeszedł do właściwego tematu spotkania. – Niestety, mam dla ciebie coś, co sprawi, że będziesz miał jeszcze więcej roboty. Prosiłeś mnie kiedyś o pomoc w uplasowaniu nielegała z twojej komórki w pionie niemieckim. Otóż mam coś znacznie ciekawszego, co może przy okazji będzie wymagało pracy nielegała.

Adam odstawił szklankę z piwem i spojrzał zaintrygowany na rozmówcę. Brat nigdy nie mówił na wyrost ani się nie przechwalał. Czym więc teraz zamierzał go zaskoczyć?

– To, co za chwilę usłyszysz, jest wyłącznie do twojej wiadomości – zastrzegł Dominik. – Dorobiłem się agenta w Białym Domu z dostępem do niezłych informacji, a potencjalnie do jeszcze lepszych... Jesteś zainteresowany?

Szef pionu niemieckiego patrzył na brata z niedowierzaniem, zastanawiając się, czy ten przypadkiem nie wkręca go dla kawału, ale natychmiast odrzucił taką myśl. Twarz Dominika wyrażała powagę adekwatną do tego, co przed chwilą ujawnił.

– Kto by nie był zainteresowany! Oczywiście, że jestem. Nie pytam się, jak do tego doszedłeś, bo i tak mi nie zdradzisz, ale powiedz choć parę słów o możliwościach tego człowieka – przemówił w końcu pułkownik Szulc.

– Kontakt z nim mam od wielu lat i niejedno wspólnie przeszliśmy. Na znajomości ze mną zarobił dużo pieniędzy i chce zarobić jeszcze więcej. Znacznie więcej. Nie jest to sprawa sprzed

miesiąca czy dwóch. Powinieneś to wiedzieć, aby wyrobić sobie pogląd co do wiarygodności tego źródła i informacji, które jest w stanie przekazać. – Dominik zawiesił na chwilę głos. – Dam ci zaraz próbkę jego możliwości wywiadowczych.

Powtórzył bratu relację Harry'ego z wyjazdu do Wietnamu i opowiedział o decyzjach, jakie w związku z wojną podjęła administracja prezydenta Johnsona. Nie ujawnił natomiast żadnego szczegółu, który w jakikolwiek sposób mógłby naprowadzać pułkownika Szulca na tożsamość źródła. Nawet łączące ich pokrewieństwo nie zwalniało z respektowania zasad obowiązujących w świecie równoległym. Naczelną zaś była bezwzględna konieczność ochrony tożsamości źródła, co wszyscy mieszkańcy tego świata, bez wyjątku, doskonale rozumieli i czego starannie przestrzegali.

– Tak, to informacje źródłowe, nie ma co do tego wątpliwości. Wzajemne relacje, układy personalne w Białym Domu... wszystko bardzo ciekawe. Zakładam również, że źródło będzie gotowe odpowiadać na pytajniki przygotowane przez nasz wywiad, bo pytań z pewnością będzie multum – oceniał na bieżąco pułkownik Szulc. – Piękna sprawa z ogromnym potencjałem... Jak to rozegramy?

– Obaj musimy nad tym pomyśleć – odpowiedział Dominik. – Dlatego przychodzę z tą sprawą do ciebie, a nie idę z nią do KGB, choć z pewnością więcej by zapłacili. Moja propozycja jest taka: tylko ty będziesz wiedział, że mój agent pracuje w Białym Domu. Swoim przełożonym powiesz, że mam dostęp do takich informacji, jakie ci przed chwilą zaprezentowałem, ale odmawiam wszelkiej rozmowy na temat źródła. Mogą moją propozycję przyjąć albo odrzucić. Innej nie będzie.

– Rozumiem twoją ostrożność. Nie sądzę, by zbyt wiele wywiadów miało źródła w Białym Domu, dlatego też uważam, że warto utajnić ten fakt, o tożsamości agenta nie wspominając – rzekł pułkownik Szulc. – Myślę, że kierownictwo naszego wywiadu zgodzi się na twoje warunki. Znają cię od lat, a informacje same będą się bronić.

Mówiąc to, bardzo liczył na dyrektora Departamentu I MSW. Pułkownik Henryk Sokolak, urodzony jako Henryk Mikołajczyk w 1921 roku, cieszył się w wywiadzie wielkim szacunkiem, między

innymi dlatego, że całą wojnę – od jesieni 1939 do wiosny 1945 roku – przesiedział w Buchenwaldzie. Działał w obozowym ruchu oporu i konspirację miał niejako we krwi, a wielu jego niemieckich współwięźniów, z którymi wówczas się zaprzyjaźnił, stanowiło obecnie elitę władzy Niemiec Wschodnich.

– Co do ceny – kontynuował Dominik – to źródło tkwi w takim obiekcie, że każda informacja ma swoją wagę, a zatem i cenę. Proponuję, abyśmy po prostu ustalili wynagrodzenie miesięczne na odpowiednim poziomie plus premie za informacje nadzwyczajnej wagi lub za bardziej skomplikowane zadania realizowane na wasze zamówienie. Powinno w sumie wyjść między dwustu a trzystu tysiącami dolarów miesięcznie...

Pułkownik Szulc nie zaniemówił z wrażenia, gdyż wiedział, ile mogą być warte informacje strategiczne i taktyczne z Białego Domu. Zdawał sobie też sprawę, że wywiad polski nie będzie jedynym ich odbiorcą...

– Rozumiem i nie protestuję – oświadczył rzeczowo. – W czasie kryzysu kubańskiego Chruszczow dałby każde pieniądze za choćby jednozdaniową informację zdradzającą tok myślenia prezydenta Kennedy'ego. Czy zaatakuje statki rosyjskie wiozące kolejne rakiety na Kubę, czy nie. Nie się nie zmieniło. Mówię o Rosjanach, bo nasz wywiad będzie chciał się z nimi podzielić tą wiedzą. Musisz mieć tego świadomość. Ma to zresztą pewne plusy...

– Gdyby nie było ciebie, poszedłbym do nich, więc KGB mnie nie przeraża – uspokoił go Dominik. – Ale mów dalej.

– Plusy są takie, że Rosjanie będą zainteresowani każdym skrawkiem informacji z tego źródła, a przede wszystkim za każdy skrawek zapłacą... – kontynuował Szulc.

– To ciekawe. Oni wam płacą za informacje? Nie przypuszczałem, że braterska pomoc ma swoją cenę w dolarach – zażartował przemysłownik.

– Wszystko ma swoją cenę, nawet w Układzie Warszawskim – odparł pułkownik. – Oni doskonale znają koszty pozyskiwania tego typu informacji. A tu będą mieli je podane na srebrnej tacy. Bez ryzyka, nerwówki i narażania własnej siatki na wpadkę w Ameryce. To wszystko jest wymierne. Ponadto nasze kierownictwo będzie wiedziało, że wywiad polski nie jest w stanie wykorzystać całości

informacji, które uzyska z twojego źródła, a dzieląc się nimi z KGB, dowiedzie swojej skuteczności. Masz jeszcze jakieś warunki?

– Tak. Współpracuję wyłącznie z tobą. Gdziekolwiek zostaniesz przeniesiony czy oddelegowany, zabierasz sprawę ze sobą. Z nikim innym nie będę rozmawiał – odpowiedział Dominik.

– Nie widzę problemu. Przerobiłem to już, przechodząc do pionu niemieckiego – przypomniał mu pułkownik Szulc.

– Zastanówmy się więc nad systemem łączności i związaną z tym logistyką. Mój człowiek w Białym Domu, nazwijmy go roboczo „Lokatorem”, codziennie będzie stykał się z czymś interesującym. Dlatego zaproponowałem mu, aby zaczął spisywać osobisty dziennik. Tak jak to robi wiele osób z myślą o potomności. Pozwoli mu to gromadzić informacje dla nas bez konieczności zbierania i chowania ich po różnych skrytkach czy też pisania szyfrem oraz umożliwi bieżący przegląd tego, co już nam posłał. Dziennik będzie pisany tak, aby mogło go przeczytać nawet FBI, nie nabierając podejrzeń, że „Lokator” to czyjś agent.

– Sprytnie to sobie wymyśliłeś, drogi bracie – ocenił Adam. – Skoro jednak przewidujesz, że informacji będzie wyjątkowo dużo, to i spotkania z „Lokatorem” powinny być częstsze, niż to się zwykło praktykować...

– Mam przemyślane pewne rozwiązanie. Od czasu do czasu będę odbywał z nim spotkania merytoryczne, najlepiej gdzieś w Europie albo tam, dokąd poniosą go sprawy służbowe. Mamy własny system łączności, którym posługujemy się od lat, więc będę na bieżąco wiedział, co się u niego dzieje i gdzie przebywa. Natomiast odbiór urobku informacyjnego powierzę kurierom podróżującym do Stanów. Będą to błyskawiczne przekazania materiałów na terenie Waszyngtonu i w jego okolicach. Zapewne co trzy lub cztery tygodnie. Dlatego kurierów musi być co najmniej dwóch. Już ich zresztą wytypowałem. – Dominik miał na myśli synów Gerarda. – To zaufani ludzie...

– Jak zaufani? W naszym fachu różnie bywa z zaufaniem i lojalnością...

– Zawdzięczają mi życie. Ich ojciec też – odparł Dominik i przed oczami stanęła mu nagle scena z gabinetu Gerarda w siedzibie SS w Jaworznie. Szybko otrząsnął się z tego wspomnienia. – Jeżeli

nie mógłbym ufać takim ludziom jak oni, życie byłoby smutne i nic niewarte. Ale wróćmy do rzeczy. Moi kurierzy przywiozą informacje do mnie, a ja opracuję je dla ciebie. Z kolei ty musisz wyznaczyć kuriera, który będzie je odbierał od jednego z moich ludzi, ponieważ, jak się domyślasz, nie chciałbym tego robić osobiście.

– Słusznie – przyznał pułkownik Szulc. – Ja też nie będę zakładał oddzielnej teczki osobowej „Lokatora”.

– Okej. – Dominik klepnął się po udach. – Dochodzi czternasta. Godzinę drogi na piechotę stąd jest stare schronisko, w którym podają niezrównane fondue z sera i bardzo dobre lokalne wino, białe i czerwone. Zróbmy sobie spacer na zaostrzenie apetytu.

– No to w drogę, bo już czuję głód – odpowiedział pułkownik, któremu tryb pracy przeplatany spacerami i posiłkami zaczynał przypadać do gustu.

## 20 listopada

Z rozbitego łuku brwiowego Maxa ciekła krew i chłopak zastanawiał się, czy dobrze zrobił, dając się zwabić do męskiej szatni przy sali gimnastycznej, gdzie osaczyło go czterech napastników, każdy większy i przypuszczalnie silniejszy od niego. Najpotężniejszy zaś był Werner, jego główny wróg, i to właśnie on przed chwilą uderzeniem pięści rozciął mu twarz.

Max był najlepszym uczniem nie tylko w swojej klasie, ale i w całym koedukacyjnym liceum Saint-Gilles nieopodal Genewy. Zachwyceni jego niezwykłą inteligencją nauczyciele wciąż stawiali go za wzór do naśladowania pozostałym uczniom. Był też najlepszym w szkole sprinterem na sto metrów, co oznaczało, że wyjątkową bystrość intelektualną uzupełniała u niego szybkość fizyczna.

Matka natura nie poskąpiła mu urody i widać było gołym okiem, że Max wyrośnie na bardzo przystojnego mężczyznę, choć nie najwyższego. Dostrzegała to też żeńska część liceum i chociaż panowały tam surowe zasady dotyczące kontaktów damsko-męskich, uchodził za ulubieńca koleżanek.

Wszystko to jednak powodowało, że wśród pewnej grupy rówieśników, którzy nie dorównywali mu zdolnościami czy urodą, syn Inez i Dominika zdecydowanie nie cieszył się sympatią. Zwłaszcza w ostatnim roku dokuczano mu na różne mniej lub bardziej wyrafinowane, ale zawsze jednakowo przykre i złośliwe sposoby. Na ogół jednak nie na tyle widoczne, żeby spowodować zdecydowaną interwencję nauczycieli czy innych życzliwych mu osób. W końcu Max postanowił stawić czoło najbardziej aktywnym prześladowcom, czyli czteroosobowej grupie, której przewodził Werner, pochodzący z niemieckojęzycznej części Szwajcarii. Nie był to szczególnie zły chłopak, ale pełen kompleksów i zawistny. Do Maxa zapałał nieodpartą niechęcią, odkąd zauważył, że pewna śliczna dziewczyna, w której się skrycie podkochiwał, a która całkowicie



ignorowała jego nieśmiało umizgi, patrzy na prymusa coraz bardziej maślanym wzrokiem. Mimo że Max w zasadzie nie zwracał na nią uwagi, siedząc po uszy w książkach.

Spotkanie w szatni było częścią planu wymyślonego przez Maxa, ale teraz, patrząc na czterech roślących napastników, prymus liceum Saint-Gilles zaczął nabierać wątpliwości, czy był to dobry pomysł, a dokonana przezeń kalkulacja ryzyka realna. Ale z szatni nie było odwrotu i mógł się jedynie modlić, żeby wszystkie elementy jego kombinacji zagrały prawidłowo...

Werner patrzył na niego z nieukrywaną pogardą i nienawiścią, szykując się do następnego ciosu. Obok stał kolejny napastnik, a dwóch pozostałych pilnowało drzwi, zamkniętych od środka na klucz i podpartych na wszelki wypadek długą ławą z szatni.

Nagle rozległo się delikatne pukanie i ktoś z zewnątrz nacisnął klamkę, jakby sprawdzając, czy drzwi są otwarte... Po czym zaległa cisza. Werner spojrzał pytająco na pozostałych i burknął pod nosem:

– Co za licho?

Nie zdążył jednak nic dodać ani nawet pomyśleć, bo drzwi, uderzone od strony korytarza jakąś potężną siłą, wyskoczyły z górnego zawiasu i zawisły na wpół rozwarłe. Ale już następne uderzenie, tym razem na poziomie dolnego zawiasu, spowodowało, że całkowicie oderwały się od framugi i runęły do szatni, uderzając z impetem w głowę jednego z pilnujących ich chłopaków, który natychmiast zalał się krwią, po czym upadły z hukiem na podłogę.

W tej samej chwili wskoczył na nie André, syn Jana Ratza. W prawym ręku dzierżył dziesięciokilogramowy młot na długim trzonku i co najmniej o głowę przerastał wszystkich pozostałych. Błyskawicznie ocenił sytuację, zatrzymując wzrok na krwawiącym łuku brwiowym Maxa.

– Miało cię nie być, miałeś być u rodziny... – wymamrotał osłupiały Werner i przeszło mu przez myśl, że tak musiał wyglądać mityczny Thor. Wysoki, muskularny blondyn o regularnych rysach podłużnej twarzy.

André nic nie odpowiedział, tylko ruszył do ataku. Stojącego najbliżej chłopaka, który dotąd pilnował drzwi, uderzył młotem w brzuch, posyłając go skulonego z bólu na podłogę. Równocześnie,

żeby zwiększyć swoją mobilność, puścił młot i nadal wykorzystując zaskoczenie przeciwników, prawą nogą kopnął trzeciego napastnika w krocze, a chwilę później wymierzył nią uderzenie kolaniem w twarz, łamiąc mu nos, z którego trysnęła krew.

Działał z taką szybkością i precyzją, że Werner nie zdążył nic zrobić, gdy André stanął przed nim wyprostowany. Szwajcar nie do końca rozumiał, dlaczego ten postrach całej szkoły znalazł się teraz w szatni, stając w obronie prymusa. Na pewno łatwiej by to pojął, gdyby wiedział, że Max jest dla Andrégo niemal bratem. Tego jednak nikt w szkole nawet się nie domyślał, gdyż Dominik, kierując się osobistym doświadczeniem, uznał, że lepiej będzie to zataić. Wiedzano, że André lubi Maxa, ponieważ ten od czasu do czasu odrabiał za niego lekcje, gdy olbrzym ćwiczył na siłowni lub trenował sporty walki, których uczono w szkole. Dlatego Werner, postanowiwszy przydybać sprintera, kiedy jak w każdą sobotę rano będzie się przebierał w szatni, upewnił się, że Andrégo nie będzie wtedy w szkole. Przecież głośno o tym mówiła dziewczyna o maślanych oczach, która wiedziała to od Maxa...

Werner zrozumiał, że ktoś wystawił go do wiatru. Miał przeświadczenie graniczące z pewnością, że to, co spotka go za chwilę, może być bardzo bolesne, gdyż wiedział, że nie ma szans w walce z André. Nie był tchórzem i pomyślał sobie, że przynajmniej spróbuje, ale gdy zobaczył, że postrach szkoły wyjmując z kieszeni spodni okazałych rozmiarów kastet i zakłada go na prawą rękę, zwątpił. Gdyby rzecz działa się na ulicy, uciekłby z pola walki, nie oglądając się na nic, ale z szatni nie było ucieczki – tak właśnie zaplanował to Max.

– Masz ohydny ryj, Werner, ale gdy z tobą skończę, to będzie on koszmary – oznajmił André i uderzył przeciwnika mocnym, krótkim ciosem w prawą pierś.

Pod wpływem przeszywającego bólu Szwajcar padł na kolana.

– To była próbka, dupku. Następny leci w pysek – obiecał olbrzym i zamachnął się.

Werner zamknął oczy i zasłonił twarz... I nic się nie stało. Rozległ się natomiast spokojny głos prymusa liceum Saint-Gilles.

– Wstawaj, Werner. Kiepsko wyglądasz w tej pozycji. Nie jestem twoim wrogiem i nie ma potrzeby, żebyś ty był moim. Kiedy

ta, do której wzdychasz, zobaczy, że się kumplujemy, to inaczej na ciebie spojrzy. To jak będzie? Zgoda?

Werner opuścił ręce, którymi się zasłaniał, podniósł głowę i zobaczył wyciągniętą prawicę Maxa. Wstał z kolan i uściskał ją. Nie tylko dlatego, że nie miał wielkiego wyboru, ale też pojął, że obiekt jego niechęci może wiedzieć coś, czego on jeszcze nie wie. André pomógł wstać pozostałym napastnikom i popędził wszystkich trzech do szkolnego ambulatorium, gdzie opatrzyła ich trzydziestoletnia pielęgniarka o obfitym biuście i krągłej, lecz zgrabnej figurze, obiecując, że zachowa sprawę w tajemnicy przed kadrą pedagogiczną. Od prawie roku wodziła za Andrém rozmarzonym wzrokiem, gotowa spełnić każdą jego prośbę i wyświadczyć każdą przysługę, jeśli tylko nadarzy się sposobność...

Okazało się, że Max miał rację. Gdy śliczna dziewczyna spostrzegła, że Max zaprzyjaźnił się z Wernerem, a André uczy go boksu, to natychmiast zwróciła na niego uwagę, wychodząc z założenia, że musi w nim być coś szczególnego. Odkryła też, że lepiej mieć przy sobie kogoś, kto się nią interesuje, niż gonić senne marzenia...

Wydarzenie to pomogło chłopcom docenić i lepiej zrozumieć motywację, jaką kierował się Dominik, zatajając fakt, że wychowywali się oni razem i są jak bracia. Gdyby Werner wiedział, kim dla Andrégo jest Max, nigdy by się nie odważył zaatakować go w szatni. Plan Maxa by nie wypalił, a wrogość Szwajcara trwałaby nadal, podsycana strachem przed Andrém i wynikającą z niego bezsilnością.

Max odkrył też, że może w każdej sytuacji liczyć na swojego przyszywanego brata, który w walce nie ma żadnych oporów i gotów jest na wszystko. André zaś się przekonał, że Max na ogół wie coś, czego inni ludzie nawet się nie domyślają.

## 25 listopada

Dla wielu Amerykanów Święto Dziękczynienia miało większą wagę niż Boże Narodzenie. Należeli do nich także Van Vertowie. Z reguły spędzali ten dzień w ścisłym gronie rodzinnym, tylko wyjątkowo zapraszając bliskich przyjaciół. W tym roku zaszczyt ten przypadł byłemu wiceprezydentowi Richardowi Nixonowi i jego żonie oraz Marii da Gama, młodej, niezwykle utalentowanej malarce. Podejmowali ich Victor Van Vert, jego brat Frederick oraz synowie Vick i Martin. Obecne też były nastoletnie dzieci Martina ze związku z Lisą, Frederick i Rose, które prowadziły ożywioną dyskusję z Brazylijką.

Nikt z trojga zaproszonych nie znalazł się w rezydencji na Long Island przypadkowo. Dlatego gdy goście i gospodarze, popijając przedobiednie drinki, zgromadzili się w salonie i gdy dokonano oficjalnej prezentacji Marii państwu Nixonom, głos zabrał nestor rodu Van Vertów.

– Czeka nas pewna miła niespodzianka – oznajmił i popatrzył na Martina. – Synu, twoja kolej.

– Dziękuję, ojciec. Powiem krótko i dobitnie, jako że większości z nas i tak nie zaskoczę – zagaił były oficer CIA. – Otóż poprosiłem niedawno Marię o rękę, a ona zgodziła się zostać moją żoną, o czym pragnę wszystkich poinformować. Tegoroczne Święto Dziękczynienia możemy zatem uznać za dzień naszych oficjalnych zaręczyn. Ślub planujemy w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy i proszę, aby wszyscy obecni czuli się zaproszeni.

Victor Van Vert zaczął delikatnie bić brawo, a reszta zgromadzonych natychmiast do niego dołączyła. Zaskoczenie pomieszane z ciekawością zarysowało się jedynie na twarzy byłego wiceprezydenta Richarda Nixona i jego żony.

Po sławetnej aukcji w Muzeum Guggenheima Martin utwierdził się w przekonaniu, że chce pojąć Marię za żonę, i uzyskawszy jej wstępną zgodę, poinformował o tym zamiarze ojca,

pozostałych członków rodu i swoje dzieci. Nieco zaskoczyła go łatwość, z jaką Victor i Frederick przyjęli jego decyzję. Jednakże przejścia, które w ostatnim czasie powiązały Brazylijkę z ich rodem, i sposób, w jaki sobie z nimi poradziła, ułatwiały i uzasadniały akceptację jej osoby.

Dzieci Martina, Frederick i Rose, odkąd ich matka straciła panowanie nad swoim życiem i poczucie rzeczywistości, znalazły wyłączne oparcie w ojcu i rodzice Van Vertów. Jako głowa rodu Victor wziął na siebie obowiązek wytłumaczenia wnukom, jakie лихо dopadło ich matkę. Zrobił to metodycznie, oszczędzając im jedynie najbardziej drastycznych szczegółów. Nastolatki, potraktowane jak dorosłe, zrozumiały, że matka nie jest w stanie dalej spełniać swojej roli, choć na zawsze pozostanie ich matką, i powoli się z tym pogodziły. Wtedy też w ich życiu pojawiła się Maria. Frederick i Rose nie odrzucili jej, gdyż poprosił ich o to Martin, a ponadto szybko się przekonali, że Brazylijki trudno nie lubić.

Victor Van Vert przestał bić brawo i zaprosił zebranych, by wzięli po kieliszku szampana z tacy, którą wniósł kamerdyner James.

– Najpierw wypijmy zdrowie zaręczonych – zaproponował, a gdy zebrani pociągnęli po łyku, kontynuował: – Kolejny toast, jaki pragnę wnieść, dotyczy nas wszystkich, a przede wszystkim naszego kraju. Wypijmy za zdrowie i pomyślność kolejnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Richarda Nixona!

Na chwilę zapadła cisza, którą przerwał mocny i pewny siebie głos szefa Instytutu Erudycji.

– *Hear, hear!* – zaintonował prastarym angielskim zwyczajem Frederick. – Dobrze powiedziane! Proponuję wypić do dna, bo to pewna sprawa.

– Ja ze swej strony na pewno zrobię wszystko, aby w wyborach w sześćdziesiątym ósmym roku was nie zawieść – zapewnił solennie Richard Nixon i wypił swojego szampana do dna, a jego śladem poszli pozostali goście i gospodarze.

Wszedł James i zapraszając towarzystwo do jadalni, oznajmił, że świąteczna kolacja została podana. Od razu przy wejściu na wchodzących czekała kolejna niespodzianka. W rogach sali ustawiono sztalugi z namalowanymi przez Marię kopiami obrazów

Maneta, zakupionymi przez Victora podczas pamiętnej aukcji. W stylowo urządzonej pomieszczeniu prezentowały się bardzo wytwornie.

– Pomyślałem, Pat i Richardzie, że milej spędzimy czas przy kolacji, mogąc podziwiać znakomite kopie wykonane przez moją synową in spe – rzekł Victor z wyczuwalną dumą w głosie.

Richard Nixon, który jako wiceprezydent w administracji Dwighta Eisenhowera zwiedził służbowo pół świata i większość liczących się muzeów i galerii, podszedł do sztalug i przez dłuższą chwilę przyglądał się obu kopiom, próbując uchwycić pod różnymi kątami padające na nie światło. Następnie odwrócił się do zebranych i z miną kaznodziei, który nie ma najmniejszej wątpliwości, że głosi jedyną i niepodważalną prawdę, oznajmił:

– Bardzo dobre. Profesjonalna robota!

– Gratuluję, moja droga – rzekła Pat Nixon do Marii. – Mój mąż prawie nigdy nie wygłasza takich pochwał, a na sztuce miał okazję się poznać.

Victor Van Vert zaprosił gości i członków rodu do świątecznego stołu. Zgodnie z protokołem sam zajął miejsce u szczytu, sadzając po swojej prawej ręce Richarda Nixona, a po lewej Marię. Menu tego wieczoru nie przewidywało żadnych przystawek. Gospodarz był zwolennikiem ścisłego przestrzegania tradycji i nie wyobrażał sobie, aby skromne możliwości kolonistów podczas pierwszego Dziękczynienia pozwalały im na jakieś ekstrawagancje.

Przystąpiono zatem od razu do dania głównego. Pod czujnym okiem kamerdynera służba wniosła ogromną srebrną tacę z upieczonym w całości dorodnym indykiem obłożonym ziemniakami i postawiła go na osobnym stole nieopodal głównego. Idealnie brązowa skóra ptaka lśniła w świetle kryształowego żyrandola wiszącego nad stołem, sprawiając wrażenie kulinarnego arcydzieła. Wśród biesiadników rozległy się oklaski.

Jak nakazywał zwyczaj, James zwrócił się do głowy rodu:

– Sir, proszę o dokonanie pierwszego cięcia.

Victor Van Vert podszedł do stołu, na którym stała główna potrawa wieczoru, i wielkim nożem podanym przez mistrza ceremonii ukroił pierwszy kawałek mięsa. Zgodnie z tradycją

przypadł on gościowi siedzącemu po prawicy pana domu.

Zgromadzeni przystąpili do posiłku.

Do mięsa podano sos z czerwonych borówek, a do pieczonych ziemniaków – pieczarkowy. Gotowane brokuły, glazurowana marchewka i groszek uzupełniały danie. Odstępstwem od tradycji kolonistów było doskonale czerwone wino Châteauneuf-du-Pape, a ściślej – uchodząca za najlepszą odmiana Grenache, którą pan domu nakazał podać w ilości wskazującej na jego zamiłowanie do tego szlachtetnego trunku. Na deser naszykowano pudding ryżowy i porto.

Po kolacji męska część biesiadników udała się do biblioteki na koniak i cygara, a panie wraz z dziećmi Martina poszły poleżakować na krytym basenie rezydencji. Gdy James rozlał francuski koniak i przyciął cygara, mężczyźni przystąpili do rozmowy.

– W wyborach prezydenckich sześćdziesiątego ósmego roku będziesz, Richardzie, jedynym liczącym się kandydatem republikanów – zagaił Victor Van Vert, zwracając się do byłego wiceprezydenta. – Demokraci zaś będą w rozsypce, jeżeli zarówno Johnson, jak i Robert Kennedy zdecydują się ubiegać o nominację. Moi przyjaciele i ja zapewnimy ci wystarczające środki finansowe, abyś wygrał te wybory. Będzie to w interesie nas wszystkich, że nie wspomnę o naszej ojczyźnie.

– Zdecydowanie popieram – podchwycił Frederick Van Vert, a ponieważ chciał zareklamować Nixonowi Martina, spróbował wciągnąć go do rozmowy. – Martinie, co myślisz były oficer CIA na temat przyszłych wyborów prezydenckich?

– Uważam, że wszystko będzie zależało od tego, jak potoczy się wojna w Wietnamie, w jakiej sytuacji będziemy się znajdować w roku wyborczym, a niewiadomych jest multum – odpowiedział wywołany do tablicy Martin. – Powtórzę to, co mówiłem w tym domu w lecie ubiegłego roku. Aby wygrać wojnę w Wietnamie, trzeba wysłać tam milion amerykańskich żołnierzy z całym sprzętem...

– A ty znowu te bzdury... – przerwał mu Frederick, który liczył na zdecydowanie lepszą promocję bratanka w obecności potencjalnego przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Jednak odpowiedź Richarda Nixona wprawiła go w nie lada

osłupienie.

– Martin ma całkowitą rację! – przyznał były wiceprezydent. – Wszystko będzie zależało od przebiegu wojny w Wietnamie przez następne dwa i pół roku. A możliwych rozwiązań jest kilka. Jeśli postanowimy szybko ją wygrać, wtedy rzeczywiście będziemy potrzebować około miliona żołnierzy. Jednak im więcej wojska na ziemi, tym więcej strat w ludziach. Amerykańska opinia publiczna nie zaakceptuje takiego rozwiązania. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Kolejne wyjście to jak najprędzej wycofać się z Wietnamu bez dalszych strat i niech komuniści robią tam, co chcą. Ale taka rejterada z podkulonym ogonem nie jest w amerykańskim stylu. Nasza opinia publiczna byłaby nią dogłębnie oburzona. Można też spróbować wykroić w Wietnamie enklawę amerykańską i okopać się w niej na wieki. Sugerują to niektórzy generałowie. Ale oceniam to jako beznadziejne rozwiązanie bez przyszłości.

– To co pozostaje? – zapytał lekko zniecierpliwiony Frederick, którego wprawdzie irytował opór Wietkongu i północnych Wietnamczyków, ale jednocześnie było dla niego jasne, że przedłużanie tej wojny przysporzy Van Vertom większych zysków.

– Paradoksalnie trzeba robić to, co nieudolnie stara się realizować obecny prezydent, tylko znacznie zręczniejsze i bardziej kompetentnie – znowu zaskoczył go Richard Nixon. – Posyłając do Wietnamu nie milion, tylko pół miliona żołnierzy, należy poprzez wielopunktowy nacisk zmusić wroga do zawarcia pokoju, który pozwoli nam wycofać się z Wietnamu z honorem, ponieważ tak naprawdę jedynie to będzie się liczyło w oczach opinii publicznej. Johnson wie o tych wszystkich możliwościach, z tą ostatnią włącznie...

– A jeżeli uda mu się zmusić wroga do zawarcia tego honorowego, z naszego punktu widzenia, pokoju? – kontynuował Frederick Van Vert.

– Nie zdąży przed wyborami i gdy nadejdą, znajdzie się w samym środku brudnej, rozbabranej wojny lądowej w Azji – wtrącił od niechcienia Martin i patrząc na Nixona, dodał: – Zaczynam rozumieć pańską strategię.

– Cieszę się, Martinie, że nadajemy na tych samych falach. Twój syn, Victorze, ma oczywiście rację – rzekł z uznaniem były



wiceprezydent. – Przez dwa lata Lyndon Johnson nie zrobi w Wietnamie nic, co by mu przysporzyło popularności w naszym społeczeństwie. Będzie za to musiał powołać do wojska masę młodzieży, bo same Zielone Berety nie pokonają Wietnamczyków. Odium poboru i strat w ludziach spadnie więc na niego. W sześćdziesiątym ósmym roku Johnson będzie zgorzkniałym, przegranym człowiekiem. Dlatego wróżę, że demokraci zechcą postawić w wyborach prezydenckich na kolejnego Kennedy’ego jako swojego kandydata.

– Robert Kennedy może się wystraszyć, mając na uwadze los brata. Wiele osób będzie mu odradzało start... – zasugerował Frederick.

– Zobaczmy. – Victor przerwał wywody brata, gdyż uważał takie dywagacje w obecności ewentualnego przyszłego prezydenta za niepotrzebne. – Jak oceniasz, Richardzie, ile czasu będziesz potrzebował na zakończenie tej wojny w sposób, o jakim wspominałeś? Na zmuszenie wroga do zawarcia pokoju z honorem na naszych warunkach?

– Trzeba to będzie rozłożyć na dwie kadencje. Tak, aby motyw honorowego wycofania się z Wietnamu, zainicjowany w pierwszej kadencji, posłużył jako temat przewodni, który umożliwi zwycięstwo wyborcze w siedemdziesiątym drugim roku i da nam drugą kadencję w Białym Domu – tłumaczył swoją strategię polityczną Richard Nixon. – Zakładam więc, że wyjście z Wietnamu zajmie nam co najmniej sześć lat. Nie będzie to proces ani łatwy, ani szybki. Ale mam kilka pomysłów, jak wymusić na północnych Wietnamczykach pewne rozwiązania.

– Nie wątpię, Richardzie. My ze swej strony wesprzemy twoje wysiłki naszymi możliwościami zbrojeniowymi – zapewnił Victor Van Vert.

Na basenie Pat Nixon i Maria, zajęte rozmową, starały się nadzorować dzieci Martina, choć Frederick był już na tyle dojrzały i wyrosnięty, że takiej opieki nie potrzebował, a wręcz był w stanie zapewnić ją siostrze. Na prośbę Pat Maria opowiedziała, jak poznała Martina. Przemilczała oczywiście te fragmenty, które nie najlepiej świadczyłyby o rodzice Van Vertów. Pani Nixon słuchała z żywym zainteresowaniem.

– Fascynują mnie takie historie – powiedziała w pewnej chwili.  
– Nie chcę, aby zabrzmiało to protekcjonalnie, Mario, ale to taki prawdziwy amerykański sen. Piękna i utalentowana sierota z Brazylii poślubi za kilka miesięcy syna jednego z najbogatszych ludzi w Ameryce. Wszystkie drzwi w tym kraju staną przed tobą otworem.

– Wystarczą mi te drzwi, które będziemy potrafili otworzyć wspólnie z Martinem, pani Nixon – odparła skromnie Maria.

– Pięknie powiedziane... Proszę mi mówić Pat. Mam wrażenie, że jeszcze nieraz się spotkamy.

Wieczór dobiegał końca. W bibliotece panowie dopili koniak i dopalili cygara, a panie z nastolatkami wróciły z basenu.

Pat i Richard zaczęli żegnać się z gospodarzami.

– Dziękujemy za gościnę, Victorze. To był bardzo interesujący wieczór – mówił były wiceprezydent, a zwracając się do Marii, uznał za stosowne zauważyć: – Pani pragnę pogratulować dwóch spraw. Wspaniałego przyszłego męża, jakim z pewnością okaże się Martin, oraz talentu, który bije z namalowanych przez panią kopii wielkiego Maneta. Mam nadzieję, że za parę lat wszyscy spotkamy się w Święto Dziękczynienia na kolacji w Białym Domu Richarda Nixona.

Gdy czarny rolls-royce Van Vertów powiózł Nixonów w stronę Nowego Jorku, Victor szepnął bratu do ucha:

– Oto, bracie, jedzie przyszłość. Nasza i kolejnych pokoleń Van Vertów!

## 24 grudnia

Przy wigilijnym stole w rezydencji Dominika w pobliżu pałacu Schönbrunn zasiadali Gerard, André i Max. Synowie Gerarda wzięli udział tylko w pierwszej części wieczoru, a po złożeniu życzeń i wymianie symbolicznych prezentów udali się do znajomych na kolejne świąteczne spotkania. Menu składało się głównie z dań rybnych, specjałów kuchni polskiej, żydowskiej i niemieckiej. Pito wino białe i czerwone, a Dominik i Gerard raczyli się ponadto dobrze zmrożoną polską wódką, która idealnie pasowała do śledzi przyrządzonych na wiele różnych sposobów.

W ożywionej dyskusji prym wiódł Max, parodiując nauczycieli z liceum Saint-Gilles i opowiadając o życiu szkolnym. Dominik obserwował syna, nie mogąc wyjść z podziwu, jak bardzo w swojej żywiołowości i inteligencji podobny jest do tragicznie zmarłej matki.

– To opowiedzcie teraz, chłopcy – zagaił nagle – co narozrabialiście w szkole, zanim dowiem się o tym od dyrektora. Tylko nie pomijajcie żadnych istotnych szczegółów...

André i Max spojrzeli po sobie zaskoczeni, zastanawiając się, kto mógł mu donieść o bójce w szatni.

Czyżby Werner okazał się taką fałszywą świnią i udając kumpla, nakablował na nas? – pomyślał z niepokojem Max.

– No, chłopcy, śmiało – zachęcał Gerard, uśmiechając się życzliwie. – Przecież wiecie, że liceum Saint-Gilles nie ma dla nas tajemnic. André, może ty pierwszy coś powiesz...

– Na jaki temat, Gerardzie? – odpowiedział pytaniem syn Jana Racza. Już od paru lat mówił do byłego esesmana po imieniu tak jak jego synowie i tak też był przezeń traktowany.

– Na temat rękoczynów, w których bierzecie udział – sprecyzował Dominik, przenosząc wzrok z jednego chłopca na drugiego.

– W Saint-Gilles bójki są zakazane, a Max i ja staramy się

przestrzegać regulaminu szkoły – spokojnie, niemal flegmatycznie odparł André.

– Może ty, Max, powiesz nam prawdę. – Dominik popatrzył na syna, a w jego głosie pojawiła się nutka zniecierpliwienia.

Nie uszła ona uwagi chłopca, Max nie potrafił jednak określić, czy jest szczerą, czy udawaną. Postanowił więc rozegrać sytuację na swój sposób. Aby wilk był syty i owca cała.

– Drodzy panowie, zakładam, że nic nie wiecie, a wasze dociekania są zwykłym blefem służącym wyciągnięciu od nas jakichś informacji. – Zawiesił głos, jakby dając swoim rozmówcom szansę na przyznanie się do fortelu. Nie doczekawszy się jednak spodziewanej reakcji, kontynuował: – Zważywszy jednak na to, że opłacacie naszą edukację i rozwój naszych osobowości, należy wam się pełna wiedza o naszych poczynaniach. A historia, którą opowiem, z pewnością pomoże wam lepiej nas zrozumieć.

Powiedziawszy to, szczegółowo opisał wydarzenie w szatni i sposób, w jaki je zaplanował. W jego głosie była wyczuwalna duma z tej kombinacji i zadowolenie z jej rezultatu. Dominik i Gerard słuchali z widocznym zainteresowaniem, uśmiechając się raz po raz. André sprawiał wrażenie, jakby całe zajście go nie dotyczyło. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Ciężki uśmiech pojawił się na niej jedynie w chwili, gdy Max barwnie opisywał go stojącego na wyważonych drzwiach z dziesięciokilogramowym młotem w ręce.

– Takim to sposobem Werner i jego koledzy zostali naszymi kumplami, a niepotrzebna wrogość przerodziła się w życzliwość. Dlatego nie wierzę, by któryś z nich na nas doniósł, i uważam, że wasza rzekoma wiedza na temat zajścia jest zwykłym blefem. Czyż nie mam racji? – Max zakończył pytaniem.

– Po pierwsze, synu, blefu nigdy nie należy ujawniać, zatem wybaczone, ale nie mogę zaspokoić twojej ciekawości. Po drugie, to niezwykle interesująca historia i cieszę się, że zdecydowałeś się nam ją opowiedzieć z własnej, nieprzymuszonej woli – rzekł Dominik. – Rzeczywiście dużo mówi o was Gerardowi i mnie. A tak na marginesie, bardzo sprytnie to rozegraliście.

Max aż poczerwieniał z radości, słysząc pochwałę ojca, a André uśmiechnął się pod nosem. Po kolacji chłopcy postanowili udać się na wieczorny spacer w mroźnym, zimowym powietrzu, a

panowie do biblioteki, która była zarazem gabinetem Dominika, na lampkę koniaku. Zanim się rozstali, Gerard podszedł do Andrégo, objął go ramieniem i powiedział:

– Chronisz Maxa i opiekujesz się nim tak, jak mi obiecałeś siedem lat temu. To dobrze. Dziękuję ci za to!

– A ty uczysz mnie, jak się bić na ulicy, tak jak obiecałeś – odparł lakonicznie syn Jana Ratzka.

Podczas każdego pobytu chłopców w rezydencji Dominika Gerard przekazywał Andrému swoją rozległą wiedzę zdobytą za młodu w walkach ulicznych. Mimo że chłopak uczęszczał w liceum Saint-Gilles na boks i wschodnie sztuki walki, to jednak umiejętności Gerarda wynikały z lat praktyki i nie sposób było o nich przeczytać w żadnym podręczniku. Bronią służącą do pokonania przeciwnika były nie tylko pięści, ale także kolana, łokcie, głowa, nogi, najlepiej uzbrojone w ciężkie buty, palce wbijane w oczy, uderzenia w uszy oraz każdy przedmiot czy sprzęt, jaki w danej chwili znajdował się pod ręką, a mógł wyrządzić komuś szkodę. Gerard wbijał też swojemu podopiecznemu właściwe nastawienie w walce ulicznej. Brak litości i jakichkolwiek oporów. Przeciwnik musi zaliczyć jak największą liczbę ciosów w jak najkrótszym czasie i paść bez czucia, aby można było zająć się następnym. Według szkoły Gerarda walka uliczna nie miała żadnych zasad ani reguł oprócz jednej – wygrać.

Osobnym kunsztem, jakiego były esesman nauczał Andrégo, było posługiwanie się nożem wobec przeciwnika, który takiej broni nie miał, i walka na noże z tymi, którzy również potrafili ich używać. Decydowały tu refleks, szybkość oraz odporność psychiczna i panowanie nad strachem przed zimną stalą wrogiego ostrza.

– Kiedy mi powiesz, kto zabił Inez i mojego ojca? – zapytał André na koniec tej krótkiej wymiany zdań.

– Jak będziesz gotowy do zemsty – odparł Gerard i wiedząc, że nie takich słów chłopak oczekiwał, dodał: – Ten czas nadejdzie, zanim skończysz szkołę. Wcześniej ta wiedza na nic ci się nie przyda. Ucz się cierpliwości.

André nic nie odpowiedział, skinął jedynie głową na znak, że rozumie i akceptuje to, co właśnie usłyszał.

Gdy chłopcy wyszli, mężczyźni rozgościli się w bibliotece,

popijając koniak.

– Wygląda na to, że chłopcy skończą liceum w tym samym czasie, mimo że dzielą ich dwa lata – rzekł Dominik. – Dyrektor szkoły poinformował mnie niedawno, że gotów jest dopuścić Maxa wcześniej do matury. Na tyle góruje inteligencją nad innymi, że w ocenie dyrektora poradzi sobie z egzaminem, nie ma więc sensu trzymać go w liceum.

– To się nazywa pragmatyzm – ocenił Gerard i żeby nieco podrażnić się z przyjacielem, dorzucił: – Facet musi mieć jakieś cechy niemieckie, mimo że to Szwajcar...

– Niewykluczone. Nie będę w Wigilię polemizował na temat wyjątkowych cech narodu niemieckiego – odparł dobrodusznie Dominik. – A wracając do chłopców, to musimy się zastanowić, dokąd ich pošlemy na studia, gdy skończą Saint-Gilles.

– Zastanowimy się, ale za chwilę. W nagrodę za twoje pokojowe nastawienie dzisiejszego wieczoru mam dla ciebie dodatkowy prezent gwiazdkowy – rzekł tajemniczo były esesman i spod biurka w gabinecie wyciągnął niewielki zielony plecak wojskowy, który najwidoczniej wcześniej tam ukrył.

Postawił plecak na podłodze przed sobą, rozsznurował u góry i wyjął z niego dwie niewielkie paczki zawinięte w natłuszczony brązowy papier, w jaki zwyczajowo owijano nową broń. Ułożył je obok siebie na podłodze i powoli odpakował.

Dominik wstał z fotela i zaniemówił. Potrwało dobrą chwilę, zanim się odezwał.

– Czy to jest to, co myślę...? – Z wrażenia nie mógł dokończyć.

– Nie inaczej, przyjacielu! – odpowiedział z triumfem Gerard, napawając się jego zdumieniem połączonym z zachwytem. – To jest właśnie to, o czym myślał i marzą całe chmary takich ludzi interesu jak my.

– Matryce do drukowania funtów brytyjskich i dolarów amerykańskich! – rzekł w końcu Dominik. – A niech mnie! Skąd je masz?

– To prezent od mojego byłego mentora, SS-Oberstgruppenführera Seppa Dietricha – wyjaśnił Gerard. – Gdy byłem u niego przed dwoma laty, zdradził, że ma te matryce i zamierza

mi je przekazać. Kilka tygodni temu dotrzymał słowa.

– Skąd pochodzą? Kto je zrobił? – dopytywał się przemytnik, któremu nadal trudno było uwierzyć w to, co widzi. W najśmielszych snach nie spodziewał się takiego prezentu gwiazdkowego.

– *Made in Germany*, a ściślej to produkt Trzeciej Rzeszy – tłumaczył dalej Gerard. – Jak się okazuje, na polecenie Führera uruchomiono cały program zmierzający do wytwarzania fałszywych funtów brytyjskich, a następnie dolarów amerykańskich, nadzorowany oczywiście przez SS. Miał kryptonim „Bernhard” od imienia SS-Sturmbanführera Bernharda Krügera, który bezpośrednio go wdrażał.

– Niesamowite! Jak to funkcjonowało? – dociekał Dominik, który już się zastanawiał, jak najlepiej wykorzystać matryce. – Mam nadzieję, że SS-Oberstgruppenführer Dietrich uchylił ci rąbka tajemnicy o szczegółach operacji i mechanizmach jej funkcjonowania. Może to się okazać bardzo istotne.

– Jakżeby inaczej! Koncepcja drukowania fałszywych funtów powstała tuż przed wybuchem wojny, gdy wiadomo było, że Wielka Brytania będzie jednym z głównych przeciwników Trzeciej Rzeszy. Fałszywe funty zostały pomyślane jako broń ekonomiczna, która miała zdestabilizować angielską gospodarkę – relacjonował były esesman. – Jak pamiętasz, w tamtych czasach to funt, a nie dolar, był walutą światową. Z rozkazu Hitlera nad tą sprawą osobiście pochylali się Reichsführer-SS Heinrich Himmler i jego ulubieniec Reinhard Heydrich. Okazało się, że podrabianie cudzych pieniędzy, a zwłaszcza nieźle zabezpieczonych funtów brytyjskich, wcale nie jest proste.

– Wyobrażam sobie. Przecież to nie tylko kwestia matryc, ale również właściwego papieru, farb drukarskich, rdzenia zabezpieczeniowego, znaków wodnych... – zaczął wyliczać Dominik, jakby całe życie zajmował się fałszowaniem banknotów.

– Brawo, panie przemytniku – potwierdził Gerard. – Na przykład papier do funtów wytwarzany był z określonego typu lnu według tej samej receptury od tysiąc siedemset dwudziestego piątego roku. Ale w czterdziestym pierwszym udało się wyprodukować pierwsze fałszywe egzemplarze funtów. Uważano, że są na tyle dobre, że odpowiednie instytucje niemieckie dostały polecenie

wysłania ich do Szwajcarskiego Banku Narodowego z oficjalnym zapytaniem, czy nie zachodzi podejrzenie, że mogą być fałszywe. Te sfalszowane wymieszano z prawdziwymi funtami szterlingami. Szwajcarzy odpowiedzieli, że wszystkie banknoty są autentyczne. Tę samą zagrywkę powtórzono w Bank of England. I wyobraź sobie, że Anglicy przysłali taką samą odpowiedź. Wtedy podjęto decyzję o produkcji fałszywych funtów na wielką skalę.

– Na jak wielką? – zapytał Dominik. – Lęgną mi się w głowie pewne pomysły...

– Nie byłbyś sobą, gdyby te matryce i moja opowieść nie podrażniały twojej wyobraźni – odpowiedział Gerard i wrócił do przerwanego wątku: – Mniej więcej w połowie czterdziestego drugiego roku w Sachsenhausen koło Berlina rozpoczęto właściwą operację „Bernhard”. Z całej okupowanej przez Rzeszę Europy pościągano do tego obozu najlepszych fałszerzy dokumentów i banknotów. Uzbierało się prawie sto pięćdziesiąt osób, wśród nich wielu Żydów. Ludziom tym zapewniono bardzo dobre warunki bytowania w specjalnie wydzielonej strefie obozu i kazano wziąć się do roboty.

– Długo to trwało? – Dominik zadał kolejne pytanie.

– Praktycznie do końca wojny, aż Rosjanie podeszli do obozu – odpowiedział Gerard. – Z opowieści Seppa wynika, że wartość tej produkcji szła w miliardy funtów szterlingów. Stworzono całą organizację, która zajmowała się rozprawdaniem tej forszy nie tylko po całej Europie, ale także w Turcji i Stanach Zjednoczonych. Uczestniczyli w tym niemieccy dyplomaci, biznesmeni i służby wywiadowcze. Niektórym naszym agentom płacono fałszywymi funtami. Pod sam koniec wojny zaczęto wytwarzać dolary amerykańskie.

– Czy pozostała jakaś dokumentacja związana z tajnikami produkcji? I co się stało z więźniami, którzy ją realizowali, z całą tą międzynarodową grupą fałszerzy? – dopytywał się Dominik.

Gerard roześmiał się, bo nie miał wątpliwości, w jakim kierunku bieżną myśli przyjaciela.

– Sepp Dietrich miał wprawdzie jedynie podstawowe wykształcenie, ale zaszedł tak wysoko, ponieważ był człowiekiem przewidującym i przebiegłym. W związku z powyższym



zabezpieczył nie tylko kopie matryc, które leżą przed nami, lecz również podstawową dokumentację produkcyjną. Co do więźniów, to był oczywiście plan ich ewakuacji i rozwałki. Pierwszy etap zrealizowano, drugiego... z różnych powodów... nie. Część wróciła do swoich dawnych miejsc zamieszkania w Europie i pewnie nadal tam żyje. Sepp zabezpieczył kopie ich teczek obozowych, wiadomo więc, kim są i skąd pochodzili. Nie muszę dodawać, że jestem w posiadaniu zarówno dokumentacji produkcyjnej, jak i personalnej. Żyje także SS-Sturmbannführer Bernhard Krüger. Na procesie denazyfikacyjnym byli więźniowie z tego fałszerskiego przedsięwzięcia świadczyli na jego korzyść. To był chyba dosyć zżyty kolektyw, z częścią esesmanów włącznie. Uważali się za zawodowców w swoim fachu.

– To ciekawe. Może dlatego na koniec wojny nie doszło do rozwałki. A co na to Anglicy? Przecież wywiad brytyjski musiał wiedzieć, co się dzieje w wydzielonej strefie Sachsenhausen? – pytał dalej Dominik.

– Oczywiście, że wiedział, ale Anglików zaskoczyła skala przedsięwzięcia. Gdy po wojnie zaczęli stopniowo docierać do więźniów i esesmanów z operacji „Bernhard”, zorientowali się, że mają poważny problem. Na pewien czas trzeba było wycofać banknoty pięcio- i dziesięciofuntowe. W pięćdziesiątym dziewiątym roku sprawę upubliczniono. Po kilku latach śledztwa magazyn „Stern” ustalił, że część banknotów zatopiono w specjalnych skrzyniach w jeziorze Toplitz w górnej Austrii. Wynajęli ekipę nurków i wydobyli siedemdziesiąt trzy miliony fałszywych funtów...

– Jakoś nie zwróciłem uwagi na te doniesienia. – Dominik się zamyślił. – Chyba śmierć Inez i Ratza tak mnie wtedy zaabsorbowała...

– Nikomu specjalnie nie zależało na nadmiernym lansowaniu tego tematu, bo był to niewątpliwie sukces SS, a porażka Brytyjczyków – rzekł były esesman.

– W jaki sposób Sepp Dietrich wszedł w posiadanie matryc i dokumentacji? Nie myślał o wznowieniu produkcji? – drążył temat przemysłownik.

– Przed Seppem nie ukryło się nic, co się działo w imperium SS. Był ulubieńcem Hitlera, toteż zabiegano o jego względy,

proszono o wsparcie i siłą rzeczy dzielono się z nim tysiącem informacji. Wiedział, że zrobiono kopie matryc oraz dokumentacji i gdzie je zdeponowano, i w stosownym momencie kazał swoim ludziom przejąć ten depozyt. Kto mu miał podskoczyć? Był dowódcą armii. Dysponował całym Waffen-SS. Matryce i dokumentacja miały w przyszłości zabezpieczać potrzeby weteranów tej formacji, bo przecież wszyscy wiedzieli, że po przegranej wojnie łatwo nie będzie. Taka kasa wzajemnej pomocy.

– Ale nie uruchomiono produkcji fałszywek. Dlaczego?

– Z bardzo prozaicznych powodów, przyjacielu. Wywiady brytyjski i amerykański oraz przypuszczalnie KGB miały informacje, że wykonano kopie matryc i dokumentacji. Nie wiedziały natomiast, czy uległy one zniszczeniu, czy też ktoś je przejął i schował. Po jakimś czasie znaleźli się jednak usłudźni miłośnicy nowej władzy, którzy zeznali, że depozyt z matrycami i dokumentacją zagarnęła jednostka Waffen-SS. I tu trop się urwał, bo Sepp potrafił skutecznie chować różne rzeczy. Ale przez wiele lat po wojnie śledzono każdy jego ruch, nie mógł więc bezpiecznie uruchomić takiej operacji – wyjaśniał Gerard. – Warunki ku temu dojrzały dopiero niedawno, jednak od paru lat Sepp ma poważne kłopoty zdrowotne i nie jest w stanie osobiście nadzorować produkcji. Czuje, że umiera, i dlatego zdecydował się powierzyć matryce i dokumentację mnie. Zawsze mi ufał. Oto i cała historia.

– Od dawna uważałem, że najlepszy biznes na świecie to produkcja pieniędzy, oczywiście nieodróżnialnych od prawdziwych – wyznał Dominik. – Twój prezent gwiazdkowy daje nam taką możliwość. Te matryce i dokumentacja już raz się sprawdziły w masowej produkcji. Czy widzisz jakiś powód, dla którego nie mielibyśmy zrobić powtórek z operacji „Bernhard” według własnego scenariusza?

– Nie widzę takiego powodu, a wręcz uważam, że byłoby karygodne, gdybyśmy nie spróbowali. Nie mówiąc o tym, że zawiódłbym zaufanie, jakim obdarzył mnie SS-Obersturmbannführer Dietrich, powierzając mi te cuda – odpowiedział Gerard, puszczając do przyjaciela oko. – Jak to widzisz?

– Gdy Brytyjczycy i Amerykanie ustalali po wojnie szczegóły operacji „Bernhard” – zaczął mówić Dominik – weszli w posiadanie

oryginalnych matryc, nie mówiąc o fałszywych banknotach. Musimy zatem precyzyjnie ustalić, czy nasze matryce są aktualne. Zakładam, że tak, ponieważ wprowadzanie zmian w walucie danego państwa jest kłopotliwe. Poza tym zwycięzcy są przekonani, że gruntownie rozprawili się z procederem fałszowania ich banknotów przez Trzecią Rzeszę.

– I ja tak myślę. Bernharda Krügera i innych ludzi SS zaangażowanych w sprawę mają pod kontrolą, a więźniowie sami zgłaszali się po wojnie do współpracy z aliantami – zauważył Gerard.

– Od zakończenia wojny w Europie wyrosło już całe nowe pokolenie fałszerzy wszelakich dokumentów. Przecież niekiedy kupujemy od nich lewe paszporty – kontynuował Dominik. – Możemy więc starannie i bez pośpiechu dobrać odpowiedni zespół ludzi. Przeprowadzimy to jak operację specjalną. Każdy będzie wiedział tyle, ile absolutnie musi wiedzieć. Dokumentacja produkcji, którą dostałeś od Sep– pa, powie nam dokładnie, jaki papier należy pozyskać, jakie farby, nitki zabezpieczające i inne niezbędne elementy i jak to później złożyć w jedną całość. Na początek musimy się zdecydować na jedną walutę. Którą wybierasz?

– Cóż za miłe uczucie móc dokonywać takiego wyboru! – westchnął Gerard. – Proponuję najpierw wziąć się za dolara, bo to jest dziś waluta światowa i łatwiej będzie ją wprowadzić do międzynarodowego obiegu.

– W pełni podzielam twoją opinię – odpowiedział Dominik. – Kluczowe będzie wyznaczenie miejsca naszej operacji. Produkcja na skalę przemysłową na Starym Kontynencie może okazać się zbyt niebezpieczna. Buszuje tu mnóstwo wywiadów i w Europie coraz trudniej jest się ukryć.

– Co zatem pozostaje? Trzeci Świat? Może w Brazylii, u naszego przyjaciela Konrada... Na pewno wskazałby jakąś dobrą metę w dżungli, gdzie pies z kulawą nogą by nas nie znalazł. A my moglibyśmy pomieszkiwać w znakomitym przybytku Kurta... – Gerard obliżał się na samą myśl.

– Przepuściłbyś tam całą naszą produkcję – zaśmiał się Dominik. – Ale Brazylia to niezły pomysł na lokalizację. O coś takiego właśnie mi chodzi. Miejsce, gdzie funkcjonuje

zaprzyjaźniony z nami mocny układ będący w przyjacielskich relacjach z miejscową władzą. No to po świętach trzeba brać się do roboty. To może być najlepszy interes naszego życia...

– Jestem przekonany, że wystarczy dla twojego syna, syna Jana, moich synów i ich dzieci – zauważył leniwie Gerard. – Teraz możemy wrócić do kwestii studiów. W tym nowym biznesie stać nas będzie na najlepsze uczelnie! Oksford, Cambridge, Sorbona... co ci pasuje?

– A może Ameryka? Ivy League? – zasugerował nieoczekiwanie Dominik. – Princeton, Harvard albo Yale?

– Ty znowu coś knujesz! – stwierdził były esesman, patrząc przenikliwie na swojego rozmówcę.

Dominik nic nie odpowiedział, lecz po twarzy przemknął mu tajemniczy uśmiech. Komuś nie wróżył on nic dobrego.

**1966**

**1 marca**

Amira i Dolores w swoim wcieleniu Rosalindy Gutiérrez piły poranną kawę w ogromnej kawiarni siedziby ONZ w Nowym Jorku. Było to już kolejne spotkanie przyjaciółek nad rzeką Hudson. Piękna Egipcjanka chętnie towarzyszyła mężowi, ministrowi spraw zagranicznych, w podróżach służbowych, gdyż była to znakomita okazja do zrobienia zakupów w największych miastach świata. Tym razem jednak rozmowa pań nie miała wyłącznie towarzyskiego charakteru.

Przeczuwając nadejście kolejnej wojny izraelsko-arabskiej, nowe kierownictwo Mosadu chciało spróbować podzielić państwa arabskie, które w takiej wojnie tworzyłyby koalicję, i nawiązać z jednym z nich dialog. Jako że Syria słynęła z nieprzejednania, najbardziej obiecujące wydawały się rozmowy z Egipcjanami, tym bardziej że dysponowali oni najliczniejszą armią. Aby wysondować, jakie są szanse na taki dialog, postanowiono uruchomić najróżniejsze kanały. Jednym z nich była znajomość Rosalindy Gutiérrez z Amirą.

Budując swoją legendę kobiety interesów specjalizującej się w obrocie perfumami i kosmetykami, pewnego dnia Rosalinda powiedziała od niechcenia Egipcjance, że eksportuje swoje produkty także do Izraela i że dwukrotnie odwiedziła ten kraj. Współpracowała z paroma hurtownikami, ale miała też kilka ciekawych klientek z izraelskiego establishmentu. Jedną z nich była żona wiceministra obrony, wielbicielka dobrych i drogich perfum.

– Co to za kobieta? – zaciekała się Amira. – Nigdy nie poznałam żadnej mieszkanki Izraela. Czy one też chcą wojny z nami, tak jak ich mężowie?

– Nie wiem, nigdy nie rozmawiałam z nią o polityce – odrzekła Rosalinda Gutiérrez. – Ale przy najbliższej okazji mogę ją o to zapytać jak kobieta kobietę.

Od tego czasu minęło kilka tygodni.

Marcowego ranka w siedzibie ONZ Rosalinda Gutiérrez zamierzała opowiedzieć egipskiej przyjaciółce o swojej rozmowie z żoną izraelskiego polityka. Wysłuchawszy więc najświeższych kairskich plotek, w których lubowała się Amira, piękna Argentynka przeszła do rzeczy.

– Parę dni temu widziałam się ze swoją klientką z Izraela, żoną wiceministra obrony. Ma jakąś rodzinę w Nowym Jorku i jest u niej z dłuższymi odwiedzinami – zaczęła mówić z namysłem. – Sprzedałam jej trochę perfum, a przy okazji powtórzyłam twoje pytanie.

– Niesamowite! – prawie wykrzyknęła Amira, która zdążyła już zapomnieć, że w ogóle sformułowała taką prośbę. – Jestem bardzo ciekawa, co odpowiedziała.

– Będziesz zaskoczona. Odpowiedziała, że kobiety izraelskie, tak jak większość kobiet na świecie, nie chcą wojny. Dodała, że chętnie spotkałaby się z tobą, aby o tym podyskutować – odparła Rosalinda Gutiérrez.

– Ależ to niemożliwe! – wykrzyknęła Amira i natychmiast ściszyła głos. – Nie mogę się spotkać z kobietą, która jest żoną wiceministra obrony Izraela!

– Amiro, kochanie. Znam się na perfumach, nie na polityce. Nie wiem, co ci wolno w sferze dyplomatycznej, a czego nie. – Pani Gutiérrez sprawiała wrażenie lekko znużonej tematem. – Nie wiem, czego tak naprawdę chcą ludzie, którzy rządzą u was i u nich. Ale prezydent Naser wydaje się racjonalnym człowiekiem. A ktoś taki na ogół woli pokój od wojny. Tak przynajmniej jest w biznesie, bo pokój z reguły daje zysk, a wojny niosą straty. Najlepiej zapytaj męża, czy możesz się z nią spotkać...

– Ale co mu powiem? Że żona wiceministra obrony Izraela to twoja klientka i sugeruje spotkanie w sprawie pokoju między Egiptem a Izraelem? – dopytywała się coraz bardziej podekscytowana Egipcjanka, która zdała sobie sprawę, że jej teoretyczne pytanie zaczyna funkcjonować na poziomie prawdziwego życia. Trochę ją to przerażało, ale też coraz bardziej fascynowało...

– Właśnie tak powinnaś mu powiedzieć. Postawiłaś pytanie, a ja uzyskałam odpowiedź. Nie widzę w tym niczego zdrożnego czy niestosownego. Jak chcesz, to wszystko potwierdzę. Nie mamy nic do ukrycia – oznajmiła señora Gutiérrez. – Gdybym była izraelskim szpiegiem, to może wzięłabym sprawy w swoje ręce, ale nie jestem i nie zajmuję się polityką. Natomiast ty, Amiro, jesteś żoną ministra spraw zagranicznych i masz obowiązek działać dla dobra swojego kraju. Nie wiem, czy rozmowa z żoną wiceministra obrony Izraela ma szansę stać się takim działaniem, ale dopóki nie spróbujesz, nikt nie będzie tego wiedział.

– Masz rację. To mogłaby być bardzo interesująca rozmowa. – Amira rozważała taką ewentualność głosem pełnym emocji. Nagle postawiła warunek: – Ale musiałabyś wziąć w niej udział razem ze mną! Znasz się na negocjacjach znacznie lepiej niż ja.

– Na negocjacjach handlowych, a nie politycznych. Poza tym wyobrażam to sobie raczej jako dialog dwóch kobiet o tym, jak zapobiec śmierci czy kalectwu mężów i synów innych kobiet. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że doskonale dasz sobie radę sama. Mnie do tego nie mieszaj – zastrzegła pani Gutiérrez.

– Zróbmy tak. Opowiem o wszystkim mężowi i zobaczymy, co on powie – rzekła Amira. – Jeżeli nie wyrzuci mnie z domu, to wrócimy do tematu. Osobiście uważam, że taka rozmowa to niezły pomysł.

Mąż nie wyrzucił jej z domu. Co więcej, uznał, że ta kobieca dyplomacja może się okazać interesująca. Żadnej ze stron do niczego nie zobowiązywała, za to stwarzała dogodną okazję do postawienia konkretnych pytań. Minister był człowiekiem inteligentnym i biegłym w sztuce dyplomacji, gdzie niemal nic nie działo się bez przyczyny. Dlatego jeszcze tego wieczoru zaprosił panią Gutiérrez na kolację. Jako zaś miłośnik kuchni chińskiej zabrał ją i żonę do niewielkiej rodzinnej restauracji specjalizującej się w kuchni sycuańskiej. Gdy podano pierwsze przystawki i biesiadnicy dokonali degustacji, zagaił:

– Sugestia pani klientki z Izraela, która chciałaby podyskutować z moją żoną o pokoju pomiędzy naszymi krajami, wydaje się bardzo ciekawa. Zwłaszcza że wyszła od żony wiceministra obrony. A co pani o tym myśli, pani Rosalindo?

– Ja nie znam się na polityce – powtórzyła Rosalinda Gutiérrez. – Ale znam się trochę na biznesie i wiem, że propozycja spotkania z przedstawicielem konkurencji nigdy nie pada bez przyczyny. Ta klientka, żona wiceministra, zna moje kairskie przygody sprzed paru lat, bo sama jej o nich opowiadałam, mogła więc być pewna, że wiernie przekażę jej sugestię. Mam wrażenie, że Izraelczycy nie chcą wojny, gdyż wolą rozwijać gospodarkę kraju. W swoim fachu sama nieraz szłam na kompromisy z konkurencją, byle uniknąć wojny handlowej. Wprawdzie takie rozwiązanie zawsze odbiera trochę zysku, ale konsekwencją głębokiego konfliktu jest z reguły strata. Może jestem trochę naiwna, lecz sądzę, że wyjaśnienie jest proste: Żydzi usiłują wybadać różnymi kanałami, czy mają szansę na uniknięcie wojny. Egipt to największy gracz w tym regionie i pokój z wami wydaje im się najistotniejszy.

– Nigdy bym pani nie posądził o naiwność, madame Gutiérrez – odrzekł z głębokim przekonaniem minister. – Sądzę, że pani inteligencja jest nie do przecenienia. Świadczy o tym diagnoza, którą pani przed chwilą postawiła. Może pani słyszała, że niedawno Izraelczycy rozpoczęli Narodowy Program Wodny. Woda na Bliskim Wschodzie to towar strategiczny. Egipt ma Nil i stały dopływ wody, ale inne kraje arabskie nie są tak uprzywilejowane. Pokój na pewno ułatwiłby Żydom szybszą realizację tego programu...

– To może Amira i moja izraelska klientka powinny zamienić parę słów w Nowym Jorku – rzuciła pani Gutiérrez, świadoma swojej podwójnej roli w tej rozmowie.

– Do tego właśnie zmierzam – odpowiedział mąż pięknej Egipcjanki. – Powinno dojść do takiego spotkania, ale z pani udziałem. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby zechciała pani towarzyszyć Amirze w tej rozmowie.

Amira, która do tej pory jedynie przysłuchiwała się wymianie zdań, ożywiła się, słysząc propozycję męża. Zaraz też zaczęła przekonywać swoją argentyńską przyjaciółkę, by podjęła właściwą decyzję.

– Tak, tak! Koniecznie! Musisz wziąć udział w mojej rozmowie z Izraelką. Będiesz moderatorką, jeśli za bardzo zapędzimy się w dyskusji. To może być fajna zabawa!

– No dobrze. Skoro oboje uważacie, że mogę się tam na coś



przydać, to czemu nie...? – odpowiedziała w końcu Rosalinda Gutiérrez, wychodząc z założenia, że stanowcza odmowa mogłaby się wydawać bardziej podejrzana niż zgoda na udział w spotkaniu.

**10 marca**

Natychmiast po wyjeździe Amiry i jej męża Dolores skontaktowała się z Marią, prosząc o spotkanie w synagodze. Nie widziały się ponad rok, więc uściśniły się czule na powitanie i Brazylijka zaczęła przyrządzać kawę po turecku, gdyż w takiej ostatnio gustowała, a poza tym była to też ulubiona odmiana jej mentorki. Dolores wyjęła z torebki ćwierćlitrową piersiówkę bimbru ze śliwek i suszonych rodzynek i postawiła na stoliku.

– Doszły mnie słuchy, że się zaręczyłaś – powiedziała, rozlewając bimber do kieliszków. – Zanim wszystko mi opowiesz, wypijmy za powodzenie. To trunek o magicznych właściwościach.

Wzniosła kieliszek, a następnie wychyliła go jednym haustem. Maria umoczyła w alkoholu usta i ostrożnie przejechała po nich językiem, po czym upiła pół kieliszka.

– Bardzo dobry i bardzo mocny. Na pewno pokona wszystkie złe moce – oceniła z uśmiechem.

– To kiedy zostaniesz panią Van Vert? – zapytała Dolores, coraz bardziej zafascynowana rozwojem sytuacji, tym razem bowiem rzeczywistość prześcignęła plany i wydawała się bardziej od nich pomyślna.

– Można powiedzieć, że w pewnym sensie już nią jestem. Martin poprosił, abym przeprowadziła się do jego apartamentu, więc od paru miesięcy mieszkam nad hotelem Pierre. Tam też urządziłam sobie pracownię.

Początkowo trudno było jej się przyzwyczaić do wyjątkowej uwagi, z jaką odnosił się do niej personel, ale Martin szybko jej wytłumaczył, że takie już będą konsekwencje bycia panią Van Vert. Postanowiła więc traktować swój nowy status z lekkim przymrużeniem oka i kłaniającym jej się bez końca odźwiernym i pokojówkom podsuwała czekoladki i inne słodczyce. Dzięki tej bezpośredniości i dobremu humorowi stała się ulubienicą personelu i służbowy szacunek przerodził się w autentyczną życzliwość. Nie

uszło to uwagi Martina, potwierdzając jego przeświadczenie o słusznym wyborze przyszłej żony.

– Z jego dziećmi jestem w bardzo dobrej komitywie – wyliczała dalej. – A co najważniejsze, świadkiem ogłoszenia naszych zaręczyn był, jak twierdzi Victor Van Vert, przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych z małżonką.

– Sądziś, że Van Vert ma rację? Nixon naprawdę może zostać następnym prezydentem? – Dolores skorzystała z okazji, by zmienić temat rozmowy.

– Wszyscy w rodzinie Van Vertów mówią o tym jako o sprawie przesądzonej – odpowiedziała bez wahania Maria. – Martin twierdzi, że jego ojciec wiąże z Richardem Nixonem jakieś dalekosiężne plany, których nikomu jeszcze nie ujawnił. Mam wrażenie, że w tym rodzie Victor i Frederick są od układania planów strategicznych, a Martin i jego brat Vick od ich realizacji.

– Uważają, że Lyndon Johnson nie będzie w stanie wygrać drugiej kadencji? – dopytywała się Dolores, gdyż wiedza o tym, kto może zostać kolejnym prezydentem Stanów

Zjednoczonych, zawsze miała kolosalne znaczenie dla interesów i bezpieczeństwa Izraela.

– Odnoszę takie wrażenie, że Johnson jako prezydent ma zostać „zużyty” w nadchodzącym etapie wojny wietnamskiej, a następnie zastąpiony przez kogoś świeżego, kto znajdzie rozwiązanie konfliktu – odpowiedziała z namysłem Brazylijka. – Tym kimś ma być właśnie Richard Nixon.

– A jeśli Johnsonowi się poszczęści i zacznie odnosić sukcesy w tej wojnie albo ją wygra? – prowokowała Dolores, podziwiając zarazem coraz większe wyrobienie swojej podopiecznej w kwestiach politycznych.

Obracając się w kręgach możliwych tego świata, moje źródło zyskuje na wartości – przeszło przez myśl oficer wywiadu izraelskiego.

– To niemożliwe! – odparła z głębokim przekonaniem Maria. – Martin twierdzi, że aby wygrać tę wojnę, potrzeba tam, na miejscu, miliona żołnierzy amerykańskich. Tak oceniają eksperci, którym on ufa. Żeby zaś nie przegrać tej wojny, lecz jedynie trwać, wystarczy

pół miliona. Kto pośle milion Amerykanów do Wietnamu?

– Milion żołnierzy amerykańskich w Azji? – powtórzyła całkowicie zaskoczona Dolores. – Ależ nikt nie pośle do Wietnamu tylu ludzi, a do tego ze sprzętem! Naród wyszedłby na ulice!

– Też tak myślę – przyznała Maria. – Ale najważniejsze jest to, że z opinią Martina zgodził się pan Nixon. Martin był z tego powodu tak dumny, że nie mógł się doczekać, aby mi się pochwalić, że przyszły prezydent podziela jego zdanie.

– Wszystko zatem wskazuje, że Lyndon Johnson jest w czarnej dupie, ale jeszcze o tym nie wie – podsumowała Dolores.

– Właśnie tak. Martin nazwał go już „żołnierzem historii” – uzupełniła Maria i kontynuowała: – Mam takie wrażenie, że ród Van Vertów, a zwłaszcza Victor, działa na zupełnie innej płaszczyźnie niż my wszyscy i reszta ludzkości. Czasami aż strach mnie ogarnia, gdy pomyślę, że mogliby wykryć naszą małą grę...

– W naszym fachu strach to bardzo zdrowe odczucie, gdyż zapobiega brawurze i jest pożywką ostrożnego działania. Van Vertowie nie wykryją naszej gry, bo jesteśmy zawodowcami. Już raz próbowali, w Central Parku, i sama wiesz najlepiej, jak to się skończyło – tłumaczyła Dolores swojej podopiecznej. – Niedługo wejdiesz do ich rodziny i rozpoczniemy wyższy poziom gry. Wtedy dopiero się przekonasz, jakie to ekscytujące. Zwłaszcza jeżeli Van Vertowie będą mieli swojego prezydenta w Białym Domu.

– Tak przyszło mi do głowy, że mogłabym zostać panią Van Vert podczas tegorocznego Święta Dziękczynienia – myślała na głos Brazylijka. – Nie mam wątpliwości, że państwo Nixonowie zostaną ponownie zaproszeni z tej okazji do rezydencji na Long Island, a byłoby dobrze, gdybym przyjmowała od nich gratulacje w takim dniu już jako żona Martina.

– To znakomity pomysł. Popieram w całej rozciągłości – przytaknęła Dolores, której tok rozumowania Marii coraz bardziej się podobał. Postanowiła więc pójść za ciosem. – Skoro cały ród Van Vertów inwestuje w Richarda Nixona, to ty nie możesz pozostawać w tyle. Kto wie, może przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych lub jego żona zostaną rodzicami chrzestnymi twoich dzieci... jeżeli się na nie zdecydujesz.

– Przeszło mi to przez myśl, ale to nie tylko moja decyzja. Martin ma już dzieci, więc nie wiem, czy pali się do kolejnych. Potrzebuję w tej sprawie twojej rady... – odpowiedziała Maria.

– Nie mogę udzielać w tej kwestii rad, bo sama nie mam dzieci – odparła Dolores. – Decydując się na małżeństwo z kobietą młodszą od niego o dwadzieścia lat, Martin musi brać pod uwagę, że naturalną konsekwencją takiego związku będzie potomstwo. Natomiast jest całkiem odrębną sprawą, czy w ramach naszej gry chcesz mieć z Martinem dziecko...

– A gdybym już nie chciała brać udziału w tej grze, tylko być szczęśliwą żoną Martina Van Verta i matką jego dzieci? – zapytała nagle Maria. – Co się wtedy stanie?

– Nie się nie stanie – odparła spokojnie Dolores. – Tak jak powiedziałaś, będziesz szczęśliwą żoną Martina i matką jego dzieci. Zakończymy naszą grę i mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi. Przecież nie będę cię zmuszać do współpracy wbrew twojej woli. To nie jest dobra podstawa do wzajemnych relacji i może zaprowadzić obie strony w niebezpieczne rejony.

– To właśnie chciałam od ciebie usłyszeć – rzekła Maria. – Jeżeli mam mieć z Martinem dzieci, które siłą rzeczy staną się częścią naszej gry, to muszę też mieć świadomość, że będę mogła bez obawy się wycofać, kiedy podejmę taką decyzję.

– Cieszę się, że to sobie wyjaśniłyśmy – odpowiedziała Dolores z uczuciem ulgi, że drażliwy temat został pomyślnie zamknięty. – Musisz tylko pamiętać, że gdy urodzisz Martinowi dziecko, zwłaszcza syna, twoja pozycja w jego rodzie znacznie się wzmocni. To już będzie prawdziwy Van Vert, krew z krwi.

– Nie myślałam jeszcze o tym w tych kategoriach... – przyznała Brazylijka. – Gdybym jednak zechciała kiedyś odejść od Martina, to na pewno z potomstwem. Mam nadzieję, że mi wtedy...

Dolores nie dała jej dokończyć.

– Wesprzemy cię jak wilki w stadzie. W razie potrzeby poradzimy sobie nawet z Van Vertami. Nie zapominaj też, że masz legendę żydowskiej sieroty, a Żydzi dbają o swoich.

Wzruszona Brazylijka, tłumiąc łzy, uścisnęła Dolores.

– Nawet nie wiesz, jak wiele to dla mnie znaczy...

– Wiem bardzo dobrze, Mario. Ja przecież też nie działałam w próżni. Polegam na ludziach – odpowiedziała Dolores, która nie wyobrażała sobie, by jej organizacja nie stanęła za nią murem. W jakiegokolwiek sytuacji, bezwarunkowo i bezkompromisowo. – Pomówmy jednak o sprawach przyjemniejszych... Przez te dwa lata odłożyliśmy dla ciebie pół miliona dolarów. – Gestem ręki nakazała zaskoczonej rozmówczyni milczenie. – Zapracowałam na każdego centa, wierz mi. Traktuj to również jako fundusz gwarancyjny, na wypadek gdyby z jakiegoś powodu trzeba było zakończyć naszą grę. Te pieniądze, zdeponowane na koncie w pewnym szacownym szwajcarskim banku, zapewnią ci kiedyś niezależność.

Dopiero po dłuższej chwili Brazylijka była w stanie się odezwać:

– Całkiem mnie zaskoczyłaś. Nie wiem, co powiedzieć.

– Wystarczy „dziękuję” – zaśmiała się Dolores. – Wywiad to także biznes. Takie są zasady.

– Ale to słowo nie jest w stanie odzwierciedlić tego, co czuję...

– A co czujesz, moja droga?

– Przed wszystkim czuję... dumę – odparła po chwili namysłu Maria.

Tego popołudnia, opuszczając synagogę, nie była już tą samą kobietą, która rano do niej weszła. Nie tylko stała się bogatsza o pół miliona dolarów, ale też rozpierała ją radość, że prawdziwi zawodowcy uznali jej osiągnięcia za godne takiego wynagrodzenia. Zatrzymała się przed pierwszą z brzegu, idealnie umytą szybą wystawową i rzuciła okiem na swoje odbicie.

Chyba jesteś coś warta! – pomyślała z łobuzerskim uśmiechem i ruszyła przed siebie, prowadzona spojrzeniami większości mężczyzn, których mijała.

\*

Wieczorem Dolores udała się taksówką na Lower East Side na spotkanie z Abrahamem Lankerem w jego ulubionej knajpie. Szef

mafii żydowskiej w Nowym Jorku przywitał ją swoim zwyczajem w progu pustej restauracji i zaprowadził do nakrytego białym obrusem stołu na środku sali. Natychmiast też pojawił się kelner o wyglądzie ortodoksyjnego Żyda i napełnił kieliszki bimbrem.

– Za twoje zdrowie, *cara mia!* – Abraham Lanker wznosił toast i mimochodem zapytał: – Czy nikt już nie niepokoi twojej pięknej znajomej z Brazylii?

– Kto by śmiał! Martin Van Vert poprosił ją o rękę, a ona nie odmówiła – odpowiedziała Dolores, puszczając do niego oko.

Stary mafioso aż cmoknął z nieudawanym zachwytem.

– Wielka sprawa! Ród Van Vertów to potęga. Gigantyczne stare pieniądze, które nawet nie szepczą, tylko milczą, i olbrzymie możliwości. Gratuluję, moja droga! Nie pytam o szczegóły, których nawet nie chcę znać, ale instynkt mi podpowiada, że napracowałaś się przy tej okazji. Wróćmy jednak do naszych spraw. Milion dolarów czeka na ciebie...

– Świetnie, Abe. Tak się szczęśliwie składa, że mam przy sobie notatkę z nazwą pewnego banku szwajcarskiego i numerem konta – powiedziała z uśmiechem Dolores, przekazując karteczkę rozmówcy.

– Jeszcze dziś każę dokonać przelewu – obiecał Abraham Lanker. – Dodam, że wkład mojego wspólnika w interesy, które prowadzę, przysporzył korzyści przekraczających moje oczekiwania, więc w pełni zasłużyłaś na ten milion. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

– Możesz trzymać za mnie kciuki, drogi Abe. Usiłuję zapobiec kolejnej wojnie Izraela z Arabami. Widzę oznaki dobrej woli obu stron i szansę na sukces.

Wróciła myślą do damskiego lunchu w Nowym Jorku. Najważniejsze zdanie padło wówczas z ust żony wiceministra Izraela i sprowadzało się do przekonania, że na początek oba państwa mogłyby wyznaczyć swoich przedstawicieli, którzy nawiązałyby nieoficjalne kontakty. Oczywiście musieliby to być ludzie o pewnej randze w hierarchii państwowej. Egipcjanie nie mieli wątpliwości, że żona wiceministra nigdy nie wygłosiłaby takiej propozycji, gdyby ktoś jej do tego nie zachęcił, i w miarę szybko wyznaczyli do tych nieoficjalnych rozmów pewnego generała, byłego szefa jednej ze

służb armii egipskiej.

Lanker rozumiał, że nie powinien pytać Dolores o szczegóły. Objął ją, tylko ciepłym spojrzeniem, kazał kelnerowi napelnić puste kieliszki i zaczął mówić.

– Nie znam się za dobrze na polityce międzynarodowej, ale dużo wiem o wojnie i pokoju. Czy stronami są państwa na Bliskim Wschodzie, czy gangi w Nowym Jorku, wojna i pokój zawsze stanowią bardzo skomplikowaną materię. To wypadkowa przeróżnych ambicji i interesów, często głęboko ukrytych. Zapamiętaj: ci, którzy najusilniej dążą do wojny, na ogół mają usta pełne frazesów o pokoju. A tacy są i po stronie izraelskiej, i po stronie arabskiej, może też w innych państwach, które mają interesy w regionie. Zanim pogubisz się w szczegółach rozmów czy negocjacji pokojowych, musisz spojrzeć na sytuację z lotu ptaka. Jedynie wtedy zobaczysz, dokąd kto naprawdę zmierza.

– Ale jak wzbic się na taką wysokość, żeby jednym spojrzeniem ogarnąć jak najszersze horyzonty? – zapytała Dolores, która zawsze słuchała rad Abrahama z wielką uwagą.

– Musisz rozmawiać z tymi, którzy mają możliwość patrzenia z góry na resztę świata. Mam przez to na myśli tych, co najwięcej wiedzą i chcą się tą wiedzą podzielić. Na pewno wiesz, gdzie szukać takich ludzi, skoro załatwiłaś sprawę młodszego brata kochanki mojego współlnika. Dzisiaj świat ma dwa pępki. Jeden znajduje się w Waszyngtonie, a drugi w Moskwie.

– To dobra rada, Abe. Zastosuję się do niej – odpowiedziała i pomyślała, że trzeba ustalić datę kolejnego spotkania z pułkownik Jekatieriną Iwanową.

– Czas na kolację, *cara mia* – rzekł stary mafioso i nie czekając na odpowiedź, skinął ręką na kelnera.



28 maja

Miasteczko portowe Chioggia stanowiło miniaturę Wenecji. Z urokliwymi kanałami i stylową architekturą, uchodziło za perleńkę regionu i było chętnie odwiedzane przez turystów. Sezon właśnie powoli się rozkręcał, więc nikt nie zwracał uwagi na dwie kobiety, które najpierw oglądały zabytki, a potem wstąpiły na kawę do jednej z licznych trattorii.

– Śliczne miasto – stwierdziła madame colonel i zapytała: – Dlaczego właśnie je wybrałaś na miejsce spotkania?

– Cewi prowadził tu kiedyś operację i Mosad dokładnie rozpracował Chioggię pod kątem bezpieczeństwa działań wywiadowczych – przyznała otwarcie Dolores. – Wnioski były zadowalające.

– Cieszę się, zawsze lepiej wiedzieć. Chciałaś, żebym się z tobą spotkała bez wiedzy moich przełożonych, więc zakładam, że pomówimy o naszej wspólnej akcji związanej z Van Vertami...

– Tak, ale najpierw muszę poruszyć z tobą inny ważny dla mnie temat. Chodzi o nieoficjalne rozmowy z Egipcjanami w sprawie uniknięcia kolejnej wojny na Bliskim Wschodzie. – Dolores opowiedziała o swoich dotychczasowych osiągnięciach w tej mierze, które wydawały się zresztą dość obiecujące. – Co myślisz o takiej inicjatywie i jak oceniasz sytuację?

Pułkownik Jana zamyśliła się, pocierając lewą dłońią podbródek, zupełnie jakby się zastanawiała, jaką część swojej wiedzy może ujawnić rozmówczyni. W tym przypadku postanowiła być wobec koleżanki po fachu szczerą do bólu.

– No cóż... jeśli chodzi o Bliski Wschód, to w naszym Biurze Politycznym... a ono decyduje o najistotniejszych sprawach... jest frakcja pokoju i frakcja wojny. Frakcja pokoju uważa, że sojuszników i strefę wpływów w tym rejonie zapewni nam jedynie oparty na modelu socjalistycznym rozwój gospodarczy takich państw arabskich jak Egipt, Syria czy Irak. Pozwoli też przyciągać do nas

Izrael i neutralizować nadmierne wpływy Stanów Zjednoczonych. W końcu idea kibucu to socjalizm w czystej postaci, a wasz rząd składa się w większości z polskich Żydów. Jest zatem wiele płaszczyzn porozumienia, ale tylko w warunkach trwałego pokoju. Ta frakcja popiera dogadanie się Egiptu i Izraela, gdyż jest to klucz do szerszego procesu pokojowego na całym Bliskim Wschodzie. Z tego punktu widzenia podróż szefa Mosadu do Kairu to krok we właściwym kierunku.

– Zakładam, Jano, że ty jesteś zwolennikiem tej frakcji... – upewniła się na wszelki wypadek Dolores.

– Naturalnie, bo jej koncepcja daje szerokie pole manewru sensownej działalności wywiadowczej, która może wzmacniać proces pokojowy. Poza tym uważam, że armie arabskie nie pokonają Izraela, więc z ich punktu widzenia wojna jest bezprzedmiotowa – odpowiedziała madame colonel. – Niestety, w Biurze Politycznym jest także bardzo silna frakcja wojenna. Jej członkowie uważają, że wojna z Izraelem najlepiej scementuje więzi krajów arabskich ze Związkiem Radzieckim, który bezkompromisowo stanie po ich stronie. Im jest obojętne, czy Arabowie wygrają, czy przegrają kolejną wojnę. Porażka jest nawet bardziej pożądana, ponieważ na wiele lat uzależni frontowe państwa arabskie, dyszące chęcią odwetu, od radzieckich dostaw broni. Uzależnienie militarne to uzależnienie polityczne. Zaletą tego rozwiązania jest prostota i brak niewiadomych. Sprawdziło się w innych częściach świata, więc dlaczego ma się nie sprawdzić na Bliskim Wschodzie...

– Przypomina mi to Van Vertów i ich knowania wokół wojny wietnamskiej – podsumowała Dolores. – Jak oceniasz, która frakcja przeforsuje swoje rozwiązanie?

– Finansowany przez nas w dużej mierze projekt asuański, jedna z największych tam na świecie, zaczyna przynosić wymierne korzyści dla gospodarki Egiptu. W kolejce są następne inwestycje do realizacji. To wzmacnia władzę Nasera w Egipcie i daje mu prestiż za granicą – odparła pułkownik Jana i dodała z irytacją: – Ale wariant pokojowy wymaga cierpliwości, konsekwencji i nie daje gwarancji przejścia większości świata arabskiego do radzieckiej strefy wpływów. Wariant wojenny zaś jest szybki i prosty. Zapewnia scalenie państw arabskich przeciwko wspólnemu wrogowi, jakim

jest Izrael, i toruje nam drogę na Bliski Wschód. Zwłaszcza w razie arabskiej przegranej. Muszę więc ze smutkiem przyznać, że frakcja wojenna przybiera na sile.

– A kiedy może nastąpić przesilenie? Kiedy może wybuchnąć wojna? – Dolores stawiała kolejne pytania, wiedząc, że odpowiedzi pułkownik KGB są na wagę złota.

– Do przesilenia w Biurze Politycznym powinno dojść do końca tego roku i jeżeli jastrzębie wezmą górę, to wojna może zawitać na Bliski Wschód już w kolejnym

– prorokowała Jana. – Ale jastrzębie są nie tylko u nas – dodała. – Czy jesteś przekonana, że podróż twojego szefa do Kairu ma poparcie wszystkich waszych środowisk decyzyjnych?

– No coś ty?! – zachnęła się oficer wywiadu izraelskiego. – Przecież wyłączenie Egiptu z grupy arabskich państw frontowych to czysta korzyść dla Izraela!

– Nie doceniasz chyba ludzkiej ambicji czy zawiści – skwitowała z tajemniczą miną madame colonel. – Ponadto jest całe pokolenie waszych polityków i wojskowych, które uważa, że dopóki armia izraelska ma nad Arabami przewagę wojskową, to należy ją bezwzględnie wykorzystać, żeby powiększyć państwo. A dokonać tego można tylko na drodze wojny. Jastrzębie z naszego Biura Politycznego to ideologiczni bracia jastrzębi z Izraela, choć przyświecają im różne cele.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś w Izraelu będzie torpedował kairską misję szefa Mosadu? – zapytała się z niedowierzaniem Dolores.

– Oczywiście, jeżeli rachunek strat i zysków wypadnie w waszych kręgach decyzyjnych na korzyść wojny. Ty, Dolores, chyba za długo zajmowałaś się pracą wywiadowczą i przywykłaś do określonych zasad, jakie w niej obowiązują. – Pułkownik KGB uśmiechnęła się z sarkazmem. – W polityce natomiast nie obowiązują żadne zasady, które nie służą osiągnięciu założonego celu. Wygrana wojna z Arabami to same zyski. Unieszkodliwienie wroga na lata, możliwość zajęcia nowych terytoriów, chwała i awanse dla wojskowych i polityków. Są i inne potencjalne korzyści. Gdy Związek Radziecki bezapelacyjnie opowie się w przyszłej wojnie po stronie Arabów, to zaczniesz rugować z armii i aparatu bez-

pieczeństwa państw Układu Warszawskiego oficerów pochodzenia żydowskiego jako element niepewny, zastępując ich oddanymi sobie ludźmi. To wiele tysięcy doświadczonych wojskowych, oficerów wywiadu i kontrwywiadu, ludzi z aparatu bezpieczeństwa. Wasi decydenci o tym wiedzą i z otwartymi ramionami przyjmą tych, którzy zdecydują się na emigrację do Izraela.

– To ciekawe. Dominik mówił mi o takiej ewentualności na przykładzie Polski. Dosyć dokładnie opisał mi tamtejsze napięcia pomiędzy oficerami pochodzenia żydowskiego a byłymi partyzantami – przypomniła sobie Dolores. – Mam zatem nie angażować się dalej w proces pokojowy?

– Ty już zrobiłaś swoje – odpowiedziała pułkownik Jana. – Wszystko, co teraz nastąpi na Bliskim Wschodzie, będzie miało wymiar strategiczny, który przerasta ciebie, mnie, a może nawet szefa Mosadu. My koncentrujemy się na sprawach, które dotyczą nas bezpośrednio...

– Trudno mi się pogodzić z tym, co mówisz, ale zapewne masz rację – przyznała oficer wywiadu izraelskiego i zmieniła temat: – Ja też mam dla ciebie coś ciekawego. Następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych będzie Richard Nixon.

– Widzę, że odnotowałaś jego udział w kolacji z okazji Święta Dziękczynienia u Van Vertów – zauważyła z uśmiechem pułkownik KGB. – Bardzo kategorycznie to ujmujesz, więc musisz mieć mocne podstawy.

– Jak pewnie wiesz, drugim gościem Van Vertów była Maria. To właśnie wtedy oficjalnie ogłoszono jej zaręczyny z Martinem.

– Szczerze gratuluje! Maria już jest świetnym źródłem, a gdy zostanie żoną Martina, to jej możliwości będą niemalże nieograniczone. Pozwolisz, że informację o Nixonie przekażę swoim przełożonym pod odpowiednią legendą? – zapytała pułkownik Jana, myśląc o własnym źródle w rezydencji na Long Island.

– Oczywiście. – Dolores doszła do wniosku, że powinna się podzielić z Janą jeszcze jedną myślą. – A jeżeli w wyborach w sześćdziesiątym ósmym roku demokraci wystawią przeciwko Nixonowi mocnego kontrkandydata? Na przykład Roberta Kennedy'ego, brata zamordowanego prezydenta?

Zamiast odpowiedzieć, pułkownik KGB zadała kolejne pytanie:

– A jeżeli spotka go ten sam los?

## 4 września

Harry Adams siedział w wygodnym fotelu w gabinecie Martina Van Verta w Instytucie Erudycji i mimo wczesnej pory popijał z kryształowej szklaneczki bardzo starą i bardzo dobrą szkocką whisky. Lubił te niedzielne spotkania w Nowym Jorku. Pewną niedogodnością pracy w administracji prezydenckiej była nieustanna dyspozycyjność. Oznaczało to, że w dzień powszedni Harry musiał opowiadać się przełożonym, gdzie jest i jak w razie pilnej potrzeby można się z nim skontaktować. Dzień wolny natomiast zapewniał spokój i dyskrecję.

– To brzmi groźnie – zauważył Martin, usłyszawszy, że odnotowano pierwsze infiltracje na teren Wietnamu Południowego regularnych oddziałów północnowietnamskich, które spieszą na pomoc Wietkongowi. – Gdy zawodowi żołnierze wspierają lokalną partyzantkę, często wychodzi z tego bardzo niebezpieczna mieszanka wybuchowa. Wiem coś na ten temat z własnych działań w OSS w czasie drugiej wojny w Europie.

– Najgorsza w tym przypadku jest przychylność miejscowej ludności, bo to opoka każdej partyzantki. Dlatego zostałem oddelegowany przez szefów, żeby przemyśleć z kolegami z CIA, jak temu przeciwdziałać. Doszliśmy do wniosku, że nieortodoksyjne metody wroga wymagają równie nieortodoksyjnej riposty z naszej strony – odpowiedział Harry z tajemniczym uśmiechem.

Po chwili namysłu były oficer OSS wyraził własną opinię:

– W takiej wojnie cieni najważniejsze są kadry, które stanowią wzór dla lokalnych społeczności, obiecując im lepsze życie. Uderzyłbym w kadry wroga.

– Brawo, Martin! W tym kierunku poszliśmy. Szefowie stacji CIA w Sajgonie bez przerwy alarmowali o coraz większej popularności Narodowego Frontu Wyzwolenia wśród mieszkańców wiosek, a ci stanowią większość populacji kraju – zaczął wyjaśniać Harry, powtarzając to, co kiedyś powiedział mu Dominik na temat

taktyki wojny partyzanckiej, jaką sam prowadził w okupowanej Polsce. – CIA opracowała projekt fizycznej likwidacji kadr Wietkongu i ich pomagierów. Od kilku miesięcy projekt jest realizowany w terenie przez specjalnie przeszkolone grupy złożone z południowych Wietnamczyków. Niektórzy ludzie Wietkongu są zabijani na miejscu, a tych ważniejszych próbuje się pojmać żywcem i wydusić z nich wszystko, co wiedzą. Azjaci są niebywale pomysłowi w torturowaniu ludzi...

– Nie wątpię. Wszystkie wojny partyzanckie są brutalne, a te w Azji wyjątkowo – zauważył Martin i nieco się zaniepokoił. – Ale rozumiem, że ludzie CIA nie biorą udziału w tych fizycznych eliminacjach wroga czy torturowaniu pojmanych?

Harry westchnął.

– Wiesz, Martin, jak jest na wojnie. Czasami nasi chłopcy się zagalopują i różnie to bywa – odpowiedział. – W każdym razie dyrektywa jest jednak taka, że CIA nadzoruje projekt, a brudną robotę odwalają Wietnamczycy.

– Doceniam, Harry, twoje zaangażowanie w nasz wysiłek wojenny w Wietnamie, ale pozwolisz, że udzielę ci pewnej rady. – Martin starał się unikać protekcyjnego tonu. – Takie projekty jak ten, o którym właśnie wspomniałeś, nie zadecydują o wygranej w tej wojnie, za to są nader kontrowersyjne i mogą kiedyś zostać w pierwszej kolejności wywleczone na światło dzienne przez różnych pacyfistów o krwawiących sercach i wspierających ich dziennikarzy. Musisz zatem zachować odpowiedni dystans, aby twoje nazwisko nigdy nie pojawiło się w prasie w kontekście tych projektów. Im bliżej wyborów prezydenckich, tym drastyczniejszych metod będzie się chwycił Johnson, by pokazać opinii publicznej, że wygrywa wojnę. Ale w tej kadencji wygrać się nie da.

– Dziękuję, Martin. Rzecz jasna, zastosuję się do twojej rady – obiecał Harry Adams. – Rozumiem więc, że mam spokojnie robić karierę w Białym Domu, nie wychylać się za bardzo i czekać na kolejnego lokatora, bo obecnego już spisałeś na straty. Kogo zatem obstawiasz, jeżeli mogę zapytać?

Martin nie widział powodu, aby ukrywać przed swoim człowiekiem w Białym Domu, jakiego szefa by mu życzył.

– Myślę, że najlepszym kandydatem na przyszłego prezydenta

jest Richard Nixon. Jeżeli tak się stanie, to czeka cię wielka kariera, ponieważ będzie on potrzebował takich zaufanych ludzi jak ty. Masz być politykiem, przyjacielu, a nie oficerem operacyjnym wywiadu. Krótko mówiąc, nie chcemy, aby udział w jakiejś awanturze CIA w Wietnamie obryzgał cię błotem i utrudnił twoją karierę.

– Możesz być najzupełniej spokojny – zapewnił pospiesznie Harry. – Nie przyłgnie do mnie nawet drobinka wietnamskiego błota.

Harry wracał do Waszyngtonu w wyśmienitym humorze, podbudowanym dwoma drinkami wypitymi w samolocie. Perspektywy, które roztoczył przed nim Martin Van Vert, zmuszały go do przewartościowania planów i wykazania się pomysłowością i odwagą w realizacji projektów administracji prezydenckiej, CIA czy Pentagonu. Wcześniej rozważał nawet częstsze wyjazdy do Wietnamu Południowego, żeby naocznie się przekonać, jaka jest skuteczność tych operacji, ale rady Martina były jednoznaczne i wykluczały takie eskapady.

*Take it easy, Harry* – pomyślał. Musisz sobie podarować zastrzyki adrenaliny *made in Vietnam*. Jeżeli najbliższe wybory wygra Richard Nixon, to potencjalnie masz przed sobą dwie kadencje kariery w Białym Domu i lukratywnej współpracy z Dominikiem. Nie zbawiaj Ameryki, Van Vertowie na pewno zrobią to lepiej od ciebie...

Martin miał tego dnia zupełnie inne sprawy do załatwienia. Od miesięcy nie mógł się zdecydować, jaki charakter i rozmach powinna mieć jego uroczystość ślubna.

Z jednej strony pragnął się pochwalić swoją piękną żoną przed nowojorskim towarzystwem, dając wszystkim do zrozumienia, że jej akceptacja jest warunkiem utrzymywania dobrych stosunków z rodem Van Vertów, na czym zależało niejednemu. Z drugiej zaś strony wiedział, że potrafiłby poradzić sobie z każdym, kto pod pretekstem, że rodzina Marii nie mieszkała w Ameryce Północnej przez ostatnie dwieście lat, nie okazałby jego małżonce należytego szacunku. Poza tym nie znosił pompacyjnych ślubów i wesel.

Wyszedł z apartamentowca na Park Avenue, wsiadł do czarnego cadillaca i kazał się zawieźć do Muzeum Guggenheima, gdzie od wczesnego rana przebywała jego narzeczona. Bez trudu trafił do sali, w której Maria i dyrektor Jameson, żywo ze sobą



dyskutując, przygotowywali nowe nabytki do prezentacji.

– Witajcie, artyści. Co nowego pokażecie nam, gawiedzi? – zainteresował się Martin, całując Marię i ściskając rękę dyrektora.

– Wystawę według scenariusza Lawrence’a Allowaya, za-tytułowaną *Systemic Painting* – odparł dyrektor. – Omawiamy proces jej instalowania. To kawał roboty.

– Słyszałem. *Systemic Painting* ma być odpowiedzią na impresjonizm i ekspresjonizm. Obrazy, o których wiadomo, jak będą wyglądać, zanim skończy się ich tworzenie. – Martin postanowił wykazać się erudycją.

– Nieźle jak na byłego szpiega – odpowiedział Jameson. – Zaledwie promil ludzkości słyszał o systemic painting.

– Muszę porwać Marię i ustalić z nią szczegóły ceremonii, podczas której zostanie moją żoną – wyjaśnił Martin, biorąc ją pod rękę.

– Najlepiej jechać do Las Vegas i załatwić to w pół godziny – zasugerował dyrektor, nie oczekując odpowiedzi. – Dodatkową zaletą jest niski koszt...

Czarny Cadillac zawiózł parę do niewielkiej restauracji rybnej na Lower East Side. Podawano tam kraby i krewetki prosto z sieci rybackich. Niezbyt skomplikowanym, ale pysznym daniom towarzyszyły doskonałe wina ze szczepów uprawianych w stanie Nowy Jork.

– Najpierw jemy, później mówimy o ślubie – zarządziła Maria, która uwielbiała owoce morza i wolała się nimi delektować w ciszy. Wychodziła ponadto ze słusznego założenia, że Martin najedzony będzie bardziej podatny na to, co miała mu do zaproponowania w tej trudnej sprawie.

Kiedy oboje zjedli już tyle krabów i krewetek, ile ich żołądki mogły pomieścić bez uszczerbku dla zdrowia, Martin przeszedł do rzeczy:

– Miotam się i miotam i na nic nie mogę się zdecydować, więc postanowiłem rozstrzygnąć sprawę po męsku – oznajmił, popijając białe wino, a widząc jej pytające spojrzenie, wyjaśnił: – Pozwolę ci podjąć decyzję samodzielnie!

– Znakomicie, kochanie. Bardzo się cieszę, że tak... hm... po

męsku to rozstrzygnąłeś. Na pewno nie było to łatwe – odpowiedziała Maria z lekkim sarkazmem w głosie, w najmniejszym stopniu niespeszona. – Moja propozycja jest następująca. Nie będzie żadnej imprezy ślubnej czy weselnej. Ślub odbędzie się wyłącznie w gronie rodzinnym, najlepiej w kaplicy rezydencji na Long Island lub, jeżeli wolisz, jako zamknięta uroczystość ekumeniczna w katedrze Świętego Patryka w Nowym Jorku. Jedynymi gośćmi powinni być Pat i Richard Nixonowie, którzy zostaną także naszymi świadkami. Ucztą weselną będzie kolacja z okazji Święta Dziękczynienia, na którą państwo Nixonowie i tak są już zaproszeni. Ślub zatem musi się odbyć w tym samym dniu. Po co nam dziki tłum gości, czyż nie wystarczy przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych i jego małżonka? Niech wiedzą, że ich obecność całkowicie zaspokaja naszą potrzebę gościnności. Co ty na to, Martinie?

Tego Martin Van Vert się nie spodziewał.

Propozycja politycznie genialna w swojej prostocie! – pomyślał.

– Powiem szczerze, Mario... brak mi słów. Że też sam na to nie wpadłem! – Były oficer CIA był całkowicie szczerzy. – Nie mam żadnych wątpliwości, że ojciec natychmiast zaakceptuje twój pomysł, bo ściślej powiąże on z naszym rodem przyszłego prezydenta. Myślę, że Richardowi Nixonowi też się spodoba. On bardzo lubi grać pierwsze skrzypce, a dawno nie miał ku temu okazji. Gdy John Kennedy pokonał go w wyborach prezydenckich i jego kariera polityczna legła w gruzach, Nixon bardzo to przeżył, a większość ludzi postawiła na nim krzyżyk. Oprócz mojego ojca i stryja. Tak, Mario, to znakomity pomysł!

– No to postanowione. Zastanówmy się teraz, gdzie weźmiemy nasz ślub. – Brazylijka nie widziała powodu, dla którego nie miałyby od razu zdradzić swoich preferencji. – Osobiście optowałabym za kaplicą i intymnością oraz rodzinnym charakterem ceremonii. Poza tym do wyborów pozostają jeszcze dwa lata i nie wiem, czy powszechna wiedza o tak ścisłych związkach Richarda Nixona z rodem Van Vertów dobrze by służyła sprawie jego wyborczego zwycięstwa. Wiesz, jacy potrafią być ludzie, a zwłaszcza media, ze swoimi spiskowymi teoriami dziejów. Nixon chyba nie jest ulubieńcem dziennikarzy...

– Masz absolutną rację, kochanie. Pismaki zdecydowanie nie kochają Nixona, więc nie warto dawać im pretekstu do opluwania przy okazji rodu Van Vertów – zgodził się Martin. – Z największą przyjemnością poślubię cię w rodzinnej kaplicy. Ale czy naprawdę nie żal ci bajkowego wesela, jakie moglibyśmy urządzić?

– Ani trochę. Wolę być w przyszłości regularnym gościem państwa Nixonów w Białym Domu – odparła pragmatycznie Maria. – Ty chyba też, co, mój drogi? Wtedy przyjdzie czas na ujawnianie bliskich stosunków, jakie łączą nas z prezydentem i jego małżonką.

– Poinformuję ojca o naszej, a właściwie twojej decyzji.

Martin pomyślał, że narzeczona zdradza instynkt polityczny, o jaki dotąd jej nie podejrzewał.

Szybko się uczy, przebywając w towarzystwie Van Vertów – stwierdził w duchu z niemałym zadowoleniem.

## 24 listopada

Punktualnie w samo południe w niewielkiej kaplicy rezydencji Van Vertów odbyły się symboliczne zaślubiny Martina i Marii, z udziałem protestanckiego pastora i katolickiego księdza Kościoła łacińskiego, do którego należała panna młoda. Pat i Richard Nixonowie z radością zgodzili się wystąpić w roli świadków.

Dopasowana biała suknia i długi koronkowy welon doskonale kontrastowały ze śniadą cerą i czarnymi włosami Marii. Wszyscy panowie, z piętnastoletnim synem Martina włącznie, ubrani byli we fraki, prążkowane spodnie i tradycyjne dla tego stroju szare szerokie krawaty spięte szpilą zakończoną perłą. Pat Nixon i Rose Van Vert, córka Martina, miały na sobie długie kremowe suknie. Towarzystwo prezentowało się niezwykle elegancko.

Półgodzinna ceremonia ślubna minęła jak z bicza trząśł i jej uczestnicy przeszli do głównego salonu, gdzie czekał już kamerdyner James z kieliszkami najlepszego dom pérignonu. Toast za pomyślność młodej pary wznosił Victor Van Vert.

– Droga Mario i drogi Martinie. W imieniu wszystkich zebranych i własnym życzę wam długich, szczęśliwych i spokojnych lat życia małżeńskiego. Chciałbym, Mario, abyś traktowała Van Vertów jak rodzinę, której zrządzeniem losu ci zabrakło. Tyle oficjalnej przemowy. Przed nami wiele wspólnych radosnych godzin. Proponuję więc, abyśmy zamienili te formalne stroje na coś swobodniejszego. Będzie to całkowicie stosowne, jako że uważam was, Pat i Richardzie, za część naszej rodziny.

Kolację zaplanowano na osiemnastą. Natomiast od rana, zgodnie z tradycją Święta Dziękczynienia, w całym kraju odbywały się mecze futbolu amerykańskiego, rozgrywane na szczeblu szkół licealnych, uniwersytetów i college'ów oraz amerykańskiej ligi zawodowej. Kulminacją dnia miało być starcie profesjonalnych drużyn Cleveland Browns i Dallas Cowboys.

Większość obecnych w rezydencji panów, w tym Richard

Nixon, była zagorzałymi kibicami futbolu, dlatego kamerdyner James polecił ustawić w salonie trzy telewizory, które równolegle pokazywały kilka meczów transmitowanych z różnych stadionów Ameryki. Nixon zajął miejsce na jednej z kanap obok Victora Van Verta.

– Pragnę ci, Victorze, podziękować z całego serca za twoje słowa pod adresem Pat i moim i za coroczne zaproszenia na świąteczną kolację. Zapewniam cię, że naprawdę się czujemy jak część waszej rodziny i zawsze będziemy wam za to wdzięczni. Proszę, abyśmy zostali świadkami na ślubie twojego syna, odebraliśmy zaś jako gest szczególnej przyjaźni.

– Przede wszystkim cieszę się, że dobrze się u nas czujecie. Ty i ja, Richardzie, nadajemy na tych samych falach, rozumiemy się bez słów, więc nasze wyjątkowe relacje towarzyskie muszą być naturalną tego konsekwencją – odpowiedział gospodarz.

– Masz rację, Victorze. Bardzo doceniam przyjaźń. Nauczyła mnie tego przegrana z Kennedym w sześćdziesiątym roku, gdy nagle zostałem sam. Wszyscy wtedy pobiegli zachwycać się Camelotem, jak ochrzczono Biały Dom Kennedych – mówił Nixon z zaciętą miną. – Pamiętam doskonale, że ciebie nie było w tym tłumie bałwochwalców...

– Dzięki Bogu to już historia, która nie ma prawa się powtórzyć – stwierdził z przekonaniem Victor Van Vert i zmienił temat: – Zdradzę ci mały sekret rodzinny. Otóż decyzję o charakterze, miejscu i stylu uroczystości ślubnej Martin powierzył koniec końców Marii, bo, wstyd powiedzieć, sam nie mógł się na nic zdecydować. Ta niezwykle skromna, ale też godna i sympatyczna ceremonia, która się odbyła w kaplicy naszej rezydencji, z wami jako świadkami i jedynymi gośćmi, to był jej pomysł. Podobnie jak połączenie ślubu ze Świętem Dziękczynienia. To piękna symbolika, która znalazła moje natychmiastowe uznanie i akceptację.

– Niesamowite! Więc Maria Van Vert jest kobietą nie tylko piękną i utalentowaną, ale także inteligentną – zauważył z uśmiechem były wiceprezydent. – Bardzo się cieszę, że mi to powiedziałaś, Victorze. Zawsze dbałem o to, aby wiedzieć, u kogo mam dług wdzięczności, wielki czy mały, bo każdy staram się spłacić...

Tego roku indyk podany na świąteczną kolację był wyjątkowych rozmiarów, o co osobiście zadbał kamerdyner James, a skórka – perfekcyjnie zarumieniona i chrupiąca. Siedząca przy stole obok Marii Pat Nixon zwracała się do młodej współbiedniczki z wyszukaną uprzejmością. W pewnym momencie, upewniwszy się, że jej słowa docierają jedynie do uszu Marii Van Vert, powiedziała:

– Wiem od Richarda, że tobie zawdzięczamy obsadzenie nas w roli świadków i jedynych gości na waszym ślubie. Mąż ma niewielu przyjaciół, zatem relacje z Victorem Van Vertem zawsze bardzo sobie cenił. Prosił mnie, abym ci dyskretnie podziękowała. Dziękuję ci, Mario, także we własnym imieniu, bo wiem najlepiej, jakie to ma dla niego znaczenie.

– Pomyślałam po prostu, że sprawi to przyjemność nam wszystkim, i jeżeli się nie pomyliłam, jest to najlepszy prezent ślubny – odparła szeptem Maria.

Nie usłyszała odpowiedzi. Poczwała natomiast, jak pani Nixon delikatnie uściśnęła jej lewą dłoń.

To był jednak dobry pomysł z tym ślubem – przeszło Marii przez myśl.

Tego roku państwo Nixonowie nocowali w rezydencji rodu Van Vertów, więc kolacja, a następnie męskie rozmowy przy portu, koniaku i cygarach przeciągnęły się do późnych godzin wieczornych. Maria i Martin również postanowili nie wracać na Manhattan i spędzili noc poślubną na Long Island.

Dallas Cowboys wygrali tego dnia znaczącą przewagą punktów z Cleveland Browns.

**1967**

**25 czerwca**

Dolores miała zapasowy klucz od apartamentu Malcolma przy rue Caulaincourt w Paryżu i pod nieobecność właściciela pełniła rolę gospodarza. Właśnie przyrządzała kawę dla siebie i Dominika, który przed chwilą tam się zjawił. Popijając aromatyczny napój, czekali na trzeciego uczestnika naprędce zwołanego spotkania.

Trzy tygodnie wcześniej, w poniedziałek piątego czerwca, izraelskie samoloty znienacka zaatakowały armię egipską, niszcząc na ziemi jej siły powietrzne. Podobnego uderzenia dokonano na lotnictwo syryjskie. Rozpoczęła się wojna, która trwała sześć dni i zakończyła się miażdżącym zwycięstwem Izraela nad siłami zbrojnymi Egiptu, Jordanii i Syrii. Przygrywką do wojny była decyzja prezydenta Nasera o blokadzie cieśniny Akaba dla żeglugi izraelskiej i niespodziewana okupacja półwyspu Synaj. Naserowi zabrakło jednak determinacji do wykonania decydującego uderzenia...

Zadzwoił dzwonek u drzwi wejściowych i Dolores pospieszyła je otworzyć, upewniając się przez wizjer, że to oczekiwana osoba. Do mieszkania weszła zdecydowanym krokiem pułkownik KGB Jekatierina Iwanowa. Przywitała się z obecnymi, po czym zajęła wskazane miejsce przy stoliku kawowym w salonie, gdzie czekała na nią duża filiżanka parującej kawy.

– Gratuluję, Dolores, świetnej kampanii wojennej. Zawsze uważałam, że generał Mosze Dajan to dobry żołnierz – rzekła na wstępie madame colonel. – Mianowanie go ministrem obrony Izraela na trzy dni przed atakiem na Egipt było niezłym posunięciem.

– Powiem tak... Na przełomie maja i czerwca mój szef Meir Amit był z dyskretną wizytą w Stanach. W Waszyngtonie spotkał się z szefem CIA Richardem Helmsem i sekretarzem obrony Robertem McNamarą. Obaj dali błogosławieństwo i wojnie, i nominacji

Dajana. W tej sytuacji nie było na co czekać, tylko za wszelką cenę należało zaatakować Arabów, zanim oni to zrobią – odpowiedziała Dolores.

– Bogowie na ogół sprzyjają zuchwałym i dają im premie – zauważył filozoficznie Dominik.

– Mieliśmy to szczęście – zgodziła się siostra Inez i zwróciła się do pułkownik KGB: – Miałś rację, zakładając, że jastrzębie zwyciężą. Wszystko było już na jak najlepszej drodze, aby wizyta szefa Mosadu w Kairze doszła do skutku, ale nagle część środowiska wywiadowczego związana z byłymi szefami Mosadu zaczęła tę inicjatywę torpedować. Na tyle skutecznie, że zakazano nam dalszych nieoficjalnych kontaktów z Egipcjanami. Priorytetem stała się wojna, a nie pokój.

– Jako rezydent KGB w Kairze dostałam instrukcję, by zachęcać Nasera i jego otoczenie do rozprawienia się z Izraelem. Wiem, że nasz wywiad wojskowy GRU alarmował Egipcjan, jakoby Izrael grupował wojska na granicy z Syrią, gotując się do uderzenia. Nigdy nie udało mi się potwierdzić tych informacji, więc sądzę, że były fałszywe. Ale zrobiły swoje: Naser, przekonany, że na Synaju nie będzie wielkich sił izraelskich, zdecydował się na jego okupację. Było jednak inaczej – mówiła pułkownik Jana. – Teraz pokonane kraje arabskie, szykując się do następnej wojny, muszą odbudować swój potencjał militarny, co uzależnia je od radzieckiego przemysłu zbrojeniowego i gwarantuje naszą obecność w tym regionie na lata; I o to najwidoczniej chodziło.

– Wygląda na to, że oprócz Nasera i Arabów wszyscy są zadowoleni z tej wojny – wtrącił się do rozmowy Dominik, patrząc na Dolores. – Ale Izrael zajął Zachodni Brzeg Jordanu, Strefę Gazy i Jerozolimę, którą proklamował nową stolicą. Jakkolwiek by patrzeć, to okupacja, a ta zawsze rodzi bunt okupowanych. Doskonale o tym wiemy, bo walczyliśmy przeciwko okupantowi niemieckiemu. Będziecie mieli wielkie problemy z tymi terytoriami...

– Zdaję sobie z tego sprawę, Dominiku, ale stało się. Teraz możemy jedynie przeciwdziałać wywiadowczo i kontrwywiadowczo. Musimy szykować nowe kadry do walki. Nasz odwieczny problem to ciągle potrzeba ludzi – odparła Dolores.

– Do tego zmierzam, moja droga – kontynuował Dominik. –



Mówiłem ci kiedyś, gdzie są doświadczone kadry. W Polsce...

– Masz rację, Dominiku – odezwała się pułkownik KGB. – A dzisiaj realizacja tego pomysłu może się okazać łatwiejsza, niż nam się wydaje.

– Zamieniam się w słuch, madame colonel. W jaki sposób możemy pozyskać tych ludzi? – zapytała Dolores.

– Jastrzębie z naszego Biura Politycznego wykonały pierwszy krok, doprowadzając do wojny na Bliskim Wschodzie. Teraz będą umacniać polityczną pozycję Związku Radzieckiego w tym regionie, oferując krajom arabskim pomoc militarną. Drugą stroną tego medalu będą działania służące międzynarodowej izolacji Izraela. W Moskwie już się mówi o zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Tel Awiwem. Ma to być mocny sygnał dla państw arabskich: „Jesteśmy z wami”. W ślad za Moskwą pójdą inne państwa Układu Warszawskiego. A kolejnym krokiem będzie pozbycie się z armii i służb specjalnych oficerów pochodzenia żydowskiego. W Polsce są takich tysiące. Gdy Izrael zostanie ogłoszony wrogiem, to do uznania ich za szpiegów i zdrajców pozostanie już tylko jeden mały krok... – zakończyła pułkownik Jana.

– W sumie to całkiem proste! Moim zdaniem w Polsce po roku nagonki wzajemne animozje sięgną szczytu – ocenił Dominik, przypominając sobie rozmowę z bratem. – Wystarczy wtedy jakiś drobny incydent, żeby rozpoczęło się wyrzucanie Żydów z armii, służb specjalnych, ale też z ministerstw czy uczelni. Jak w średniowieczu, gdy oskarżano ich o używanie krwi niemowląt do obrzędów religijnych. W dwudziestym wieku nie trzeba już nikogo wieszać czy palić na stosie, można za to zmusić do emigracji, i tyle!

– Sądzę – wtrąciła Dolores – że jesteśmy gotowi na zastosowanie każdego rozwiązania, żeby jak największa liczba tych oficerów trafiła do Izraela.

– Nie wykluczam, że KGB was w tym wyręczy, montując ów „drobny incydent” – odezwała się Jana. – W Polsce jest taka mała opozycja, w której działa wielu Żydów, dzieci przedwojennych komunistów. Idealny materiał na kozła ofiarnego. Radziłabym zatem, Dolores, uważnie obserwować sytuację w Polsce i być gotowym na przyjęcie kilkunastu tysięcy ludzi, gdy zaczną się exodus.

– Mam wrażenie, Jano, że raczej się nie zgadasz z waszym Biurem Politycznym, które dopuściło do tej wojny – zauważył Dominik.

– Błędem jest kategorycznie opowiedzieć się po jednej ze stron, zamiast w roli mediatora głaskać obie. Wybrano Arabów, bo to praktycznie cały Bliski Wschód, a Izraelczyków jest garstka. Zgodnie z tym rozumowaniem, popierając Arabów, obejmujemy naszymi wpływami wiele państw i nacji – odpowiedziała madame colonel. – Ale Żydzi to przede wszystkim diaspora na całym świecie, a nie Izrael. Największym błędem naszych aparatczyków jest antagonizowanie całej diaspory żydowskiej, bo gdyby chodziło o sam Izrael, to ich głupotę i krótkowzroczność dałoby się wybaczyć. Ta decyzja latami będzie się mścić na Związku Radzieckim i innych państwach Układu Warszawskiego, bo diaspora tak łatwo tego nie zapomni...

– A Cewi i ja nigdy nie zapomnimy, jak bardzo nam w tej chwili pomagasz – zapewniła oficer wywiadu izraelskiego.

– Jedyne tyle mogę zrobić. Niestety, mechanizmy, o których mówiliśmy, zostały już puszczone w ruch – odparła Jana.

## 17 września

Dominik i Harry zjawili się w stolicy Wielkiej Brytanii poprzedniego dnia, jeden przylatując z Wiednia, a drugi z Nowego Jorku. Amerykanin zamieszkał w Ritzu przy Piccadilly 150, wyszedłszy z założenia, że urzędnik Białego Domu zasługuje na hotel z górnej półki, a Harry Adams osobiście może sobie na taki pozwolić. Polak zadowolił się mniej prestiżowym, ale zupełnie przyzwoitym hotelem po drugiej stronie Hyde Parku, w okolicy Bayswater. Wynajął apartament z dobrym widokiem na park od strony Kensington Gardens, w niewielkiej odległości od dworca Paddington, gdzie nazajutrz miał nawiązać kontakt wzrokowy ze swoim źródłem.

Londyński niedzielny poranek rozkręcał się, jak zwykle, leniwie. Zwłaszcza okolice Paddington i Bayswater, znane z licznych pubów, restauracji i niewielkich hotelików, budziły się do życia bardzo powoli po swawolach sobotniego wieczoru.

Punktualnie o dziesiątej, gdy zegar na dworcu Paddington zaczął bić, Harry i Dominik nawiązali kontakt wzrokowy z odległości kilkudziesięciu metrów. Trwało to zaledwie kilka sekund. Żaden nie uśmiechnął się, nie kiwnął głową ani nie wykonał jakiegokolwiek ruchu świadczącego o tym, że się znają.

Dominik ruszył przed siebie, kierując się do wyjścia z dworca, a potem w stronę swojego hotelu, w którym zaplanował spotkanie. Harry powoli szedł za nim, utrzymując odległość około pięćdziesięciu metrów, ale przechodząc na drugą stronę ulicy. Umiarkowany ruch na dworcu Paddington wyraźnie kontrastował z wyludnionymi jeszcze o tej porze ulicami. Dzięki temu obaj szpiedzy łatwiej mogli się upewnić, że nie są przez nikogo inwigilowani.

Dominik wszedł do hotelu i zajął miejsce w jednym z foteli w holu. Na stoliku kawowym przed sobą położył klucz do apartamentu, tak aby plakietka z jego numerem była dobrze widoczna, a Harry nie miał kłopotu z odczytaniem. Upewniwszy się, że Amerykanin, który parę minut później zjawiał się w hotelowym westybulu, widział

numer, Dominik udał się schodami do apartamentu, zostawiając uchylone drzwi. Po chwili do pokoju wszedł Harry i zamknął je za sobą.

– Witaj, przyjacielu – przywitał się wylewnie, obejmując i ściskając Dominika. – Stęskniłem się. Chyba jestem sentymentalny.

– Po prostu długo się znamy i szczerze rozmawiamy, a to rzadkość. Kawa, herbata, coś mocniejszego?

– Może kawa po irlandzku z wkładką whisky. Dawno nie piłem – odparł Harry, podszedł do okna z widokiem na Hyde Park i z podziwem odnotował: – Ci Brytyjczycy potrafią jednak utrzymywać porządne parki.

– Nie da się ukryć. Pewnie pomaga to, że obce armie ich nie zdeptują – odpowiedział Dominik, przyrządzając dwie kawy po irlandzku. – Mam whisky Lagavulin prosto ze Szkocji. Może być?

Amerikanin przytaknął bez wahania. Lagavulin był legendą wśród szkockich whisky. Dominik podał kawę i rozsiedli się w klubowych fotelach w saloniku hotelowego apartamentu.

– Jestem bardzo zadowolony z systemu łączności, który zorganizowałeś, że nie wspomnę o profitach, jakie płyną z tej operacji – stwierdził na wstępie Harry. – Kurierzy są bardzo sprawni i mam poczucie bezpieczeństwa. Wiesz najlepiej, jakie to ważne.

– Cieszę się, że nie narzekasz. Ci chłopcy to zawodowcy, na których można liczyć w każdej sytuacji. Sam ich szkoliłem – odparł z satysfakcją Dominik. – Przejdźmy jednak do rzeczy. Z twoich ostatnich informacji wynikało, że Martin uważa prezydenta Johnsona za człowieka skończonego, na którego szkoda zachodu. Twoim przeznaczeniem zaś jest służyć następnemu prezydentowi, Richardowi Nixonowi. Czy w tej kwestii coś się zmieniło?

– Nie, według Van Vertów prezydentura Nixona jest przesądzona, i to przez dwie kadencje. Moje raporty nie są w stanie oddać, jak głęboko Martin jest o tym przekonany. I trudno się z nim nie zgodzić. Za kilka miesięcy w Wietnamie Południowym znajdzie się już pół miliona żołnierzy amerykańskich i niewiele mniej cywili z dziesiątków najróżniejszych agend rządowych. Ale nie idzie na lepsze. Dlatego CIA wymyśla programy jak ten, o którym wspomniałem Martinowi i od którego kazał mi się trzymać z daleka.

Śledzę zatem te działania z odpowiedniego dystansu...

– W wojnie partyzanckiej program eliminacji kadr nie ma sensu. Wzmaga tylko determinację i wolę walki przeciwnika – zauważył Dominik.

– Zapewne masz rację, ale ani Johnson, ani CIA tego nie wiedzą. Specjalnym wysłannikiem Białego Domu i samego prezydenta w Wietnamie Południowym jest niejaki Robert Komer. To były analityk CIA, kiedyś specjalizujący się w tematyce Bliskiego Wschodu. Z Agencji trafił do Rady Bezpieczeństwa Narodowego, podobnie jak ja. Ale w odróżnieniu ode mnie nader często bywa arogancki i agresywnie wręcz przekonany o możliwości wygrania tej wojny wszelkimi sposobami. Dlatego Johnson dał mu ogromną władzę. Komer sądzi, że jeśli pokona Wietkong na szczeblu wiosek, to zwycięstwo będzie już pewne. Zaprzągnął więc CIA do uruchomienia nowego programu, którego celem jest lepsze wykorzystanie możliwości wywiadowczych służących namierzaniu i likwidacji ludzi Wietkongu na terenach wiejskich.

– Chyba Agencja nie da się wmanewrować w zaplanowane skrytobójstwa? – zapytał wyraźnie zdziwiony Dominik. – To mogą być tysiące ludzi i kiedyś prawda wyjdzie na jaw. Taka promocja nie służy żadnemu wywiadowi.

– Ze strony Agencji – kontynuował Harry – program koordynuje William Colby, weteran OSS i niezły bystrzak. Pamiętam go z CIA. Zabiega o to, by nie przypisywać tego programu Agencji, tylko uznać go za element kompleksowych działań Komera, który sobie założył, że wygra tę wojnę. Colby nie chce, żeby ludzie CIA brali udział w eliminacji kadr wroga. Doradziłem mu, by nalegał na powierzenie tej roboty południowym Wietnamczykom, i chyba to kupił, bo negocjują sprawę z ich rządem. Zabijaniem mają zająć się ich służby specjalne, policja i oddziały paramilitarne. Program ma nosić wdzięczną ksywkę „Feniks”...

– Ty zaś zgodnie z sugestią Martina Van Verta stoisz z boku i jedynie kibicujesz tym działaniom? – upewnił się Dominik.

– Właśnie tak. To bardzo wygodna pozycja, jak się okazuje – przyznał Amerykanin. – Zresztą przy takich zbawcach świata jak Robert Komer i Henry Lodger nie da się inaczej. Oni koniecznie chcą tę wojnę wygrać własnymi rękami, a najlepiej w pojedynkę,

żeby zgarnąć dla siebie jak najwięcej chwały.

Na dźwięk nazwiska Lodger Dominik poczuł wewnętrzne ukłucie. Niczego jednak po sobie nie okazał, bo nie zamierzał wprowadzać Harry'ego w nieznane mu szczegóły pościgu za sprawcami tragedii przed hotelem Algonquin.

– A kim jest ten drugi dżentelmen? – zapytał spokojnym tonem.

– To stary pracownik CIA i kumpel Martina z OSS, a w tej chwili prawa ręka Williama Colby'ego przy wdrażaniu programu „Feniks” – wyjaśnił Harry Adams. – Spotkałem go niedawno na jakiejś naradzie w Waszyngtonie, dokąd ściągnięto go z Wietnamu. Wygląda mi na faceta, który najchętniej sam eliminowałby kadry Wietkongu. Nie kryje zresztą, że zamierza południowym Wietnamczykom osobiście w tym pomagać. Twierdzi, że żółtki zabiły mu w Wietnamie przyjaciela. Chyba też z Agencji.

– W wojnie partyzanckiej łatwo z tropiciela stać się tropionym – zauważył Dominik. – Martin powinien wybić mu z głowy takie harce.

– Komer i Lodger to nawiedzeni, a tym samym niebezpieczni ludzie. Wszelka dyskusja z nimi jest bezprzedmiotowa. Pograżą politycznie biednego Johnsona, łudzac go, że jeszcze trochę, a przechylą szalę zwycięstwa na jego korzyść – odpowiedział Harry. – W tej sytuacji prezydentura Nixona to najlepsze rozwiązanie dla Ameryki i nas wszystkich.

– To wypijmy zdrowie przyszłego pana prezydenta – zaproponował Dominik. – Kawą nie wypada, więc naleję lagavulin do szklaneczek.

Około czternastej Amerykanin pożegnał się, opuścił hotel i ruszył spacerkiem przez Hyde Park w kierunku Ritza. Dawno już uzgodnili, że nie będą w Londynie pokazywać się razem. Brytyjskie służby specjalne miały reputację sprawniejszych od włoskich, nie należało więc kusić losu. Harry postanowił zjeść lunch u Ritza, gdyż takie przeżycie kulinarne było mu jeszcze obce. Czarny kawior irański i mięso homara z rusztu wydawały się najwłaściwszym wyborem.

Dominik udał się do pobliskiego pubu przy Bayswater Street

po drugiej stronie Hyde Parku, gdzie zamierzał skosztować brytyjskiego folkloru w postaci słusznej porcji *fish and chips* oraz lokalnego piwa.

Jedząc i popijając, doszedł do wniosku, że pułkownik Jekatierina Iwanowa by mu nie wybaczyła, gdyby szybko nie podzielił się z nią informacją, że Henry Lodger wdraża program „Feniks” w Wietnamie Południowym. Niezbędne było spotkanie osobiste, choćby bardzo krótkie. Tylko kto mógłby pojechać do niej do Egiptu?

No jasne! – skonstatował w końcu. Tylko międzynarodowy playboy i zarazem wybitny znawca sztuki zawsze ma powód, żeby odwiedzić kraj piramid i kolebkę cywilizacji. Zaraz ustalimy, w jaki sposób przekaże informację rezydentowi KGB.

Skończył posiłek i udał się na poszukiwanie najbliższej budki telefonicznej.

## 14 października

Na sobotnim soirée w ogrodach Mena House goście dopisali nad podziw. Dyrektor Thomas Archer zorganizował to przyjęcie na prośbę syna przyjaciela, lorda Greya. Malcolm Grey, który już od początku tygodnia bawił w Kairze, był stałym bywalcem tutejszych muzeów oraz licznych wykopalisk archeologicznych nad Nilem i jego obecność w Egipcie wydawała się czymś niemal tak naturalnym jak piaski pustyni. Na soirée chciał zaprosić swoich miejscowych przyjaciół oraz wybranych przedstawicieli korpusu dyplomatycznego. W przypadku tych ostatnich doszedł do wniosku, że dobrze byłoby zrównoważyć Zachód Wschodem, z Rosjanami na czele, i zapytał Archera, czy nie zaproponowałby jakichś ciekawych ludzi. „Ależ oczywiście, mój drogi – odpowiedział wieloletni współpracownik starego lorda Greya i rezydent brytyjskich struktur Ligi Rodzin w wielu krajach. – Jest tam pewna madame, która na wielu osobach w Kairze wywarła niezatarte wrażenie. Bardzo pomogła w swoim czasie mojemu gościowi i zarazem przyjacielce, pani Rosalindzie Gutiérrez”.

„Pewna madame” kazała jednak dość długo na siebie czekać i dopiero po dwóch godzinach pełnienia, wraz z dyrektorem, roli gospodarza i witania ciągle napływających uczestników przyjęcia Malcolm stanął wreszcie twarzą w twarz z pułkownik KGB. Thomas Archer dokonał oficjalnej prezentacji, po czym oddalił się, żeby nadzorować służbę.

– Bardzo sprytnie wymyśliłeś to nasze spotkanie, milordzie – pochwaliła madame colonel, wznosząc kieliszek szampana. – Rozumiem, że jest coś pilnego do zrobienia...

– Powiem ci od razu, zanim ktoś wciśnie się między nas. Nasz przyjaciel Henry Lodger zainstalował się w Wietnamie Południowym i pełni tam ciekawą funkcję... – zaczął relacjonować Malcolm. – Dominik uznał, że najszybciej i najbezpieczniej będę mógł cię o tym poinformować właśnie ja. Pochwalę się jednak, że



soirée to mój pomysł autorski.

– Muszę wpisać do kajetu swoich sztuczek szpiegowskich. Dziękuję wam obu za tę wiadomość. Nie posądzałam pana Lodgera o taką nieostrożność – odpowiedziała z zadumą pułkownik Jana. – Spróbuję to wykorzystać.

Wrodzony takt nie pozwolił lordowi Greyowi dopytywać się o szczegóły, tym bardziej że kierunek dalszego rozwoju sytuacji wydawał mu się jasny. Lepiej było poświęcić tę chwilę na poruszenie innego tematu.

– Dolores jest ci niezwykle wdzięczna za wszystkie informacje i wskazówki, jakie jej przekazałaś w sprawach dotyczących Izraela. Masz w niej oddaną ci osobę – zapewnił Malcolm. – We mnie zresztą także. Jej wdzięczność jest również moją wdzięcznością.

– Dziękuję – odpowiedziała lekko zakłopotana Jana, nieprzywykła do takich wyznań, i natychmiast zmieniła wątek: – Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Niech Dolores podpowie Marii, aby na tegoroczną kolację z okazji Święta Dziękczynienia zaproszono do Van Vertów również ciebie. Czasu pozostało niewiele, więc należy się spieszyć...

– Przyznaję, że trochę mnie zaskoczyłaś. Możesz mi bardziej przybliżyć tok swojego rozumowania...? – poprosił Malcolm.

– Od paru lat Nixonowie są jedynymi gośćmi na tych kolacjach w rezydencji na Long Island. Victor Van Vert robi wszystko, żeby Nixon został prezydentem, bo ma w tym jakiś bardzo konkretny cel. A razem z ojcem wiesz najlepiej, do czego gotów jest się posunąć, aby zamierzony cel osiągnąć – cierpliwie wyjaśniała pułkownik Jana. – Sądzę, że byłoby dobrze, gdybyś poznał i zauroczył, jak tylko ty potrafisz, przyszłego amerykańskiego prezydenta i jego małżonkę. Gdy Nixon zamieszka już w Białym Domu, będzie to znacznie trudniejsze...

– Jasne! Jak mogłem na to nie wpaść! To świetny pomysł, a Van Vertowie są mi coś winni za przeprowadzenie licytacji kopii Marii w ekstremalnych warunkach. – Malcolm z entuzjazmem przyjął sugestię Jany. – Jak tylko stąd wyjadę, skontaktuję się z Dolores i pozdrowię Martina. Powinniśmy zdążyć.

Do rozmawiającej pary podeszła Amira, o której udział w

soirée dyrektor Mena House również zadbał. Lord Grey nieraz się z nią widywał podczas swoich licznych pobytów w Egipcie, dzięki czemu stali się dobrymi znajomymi.

– Amiro, skarbie, świetnie wyglądasz! Mocne wejście! – rzekł na powitanie Malcolm, a w jego głosie nie było krzty przesady, gdyż żona ministra spraw zagranicznych rzeczywiście wyglądała olśniewająco. Kruczoczarne włosy okalające śliczną sniadą twarz idealnie współgrały z obcisłą, ogniście czerwoną sukienką.

– Potwierdzam – zgodziła się rezydent KGB w Kairze i pomyślawszy, że już dosyć czasu przebywa w towarzystwie Brytyjczyka, rzuciła na odchodne: – Przypomina mi pani inną kruczowłosą piękność, która miała w Kairze mocne wejście. I też świetnie się prezentowała w czerwonej sukni. Pozwolicie, że pobiegnę poszukać swojego amerykańskiego odpowiednika.

– No tak, Rosalinda Gutiérrez! – westchnęła Amira. – Pewnie nigdy o niej nie słyszałeś, Malcolmie, więc opowiem ci historię naszej znajomości...

Kiedy doszła do spotkań w Nowym Jorku, które miały zapobiec niedawnej wojnie na Bliskim Wschodzie, Malcolm najwyraźniej był pod wrażeniem.

– Fascynująca opowieść! Podziwiam was, dziewczyny, za to, że próbowałyście nie dopuścić do wojny – przyznał, nie kryjąc zachwytu. – Co się dzieje z madame Gutiérrez?

– Nie widziałam jej od ponad roku – odparła Amira. – Czasami przyśle kartkę pocztową z jakiejś stolicy. Niestety, po tej wojnie część ludzi z establishmentu jest zdania, że Rosalinda była izraelskim szpiegiem. Okazało się, że w Izraelu działała partia pokoju, która starała się skontaktować z naszymi decydentami. Skoro do mojego spotkania w Nowym Jorku z żoną wiceministra obrony Izraela doszło dzięki Rosalindzie, to nasze jastrzębie uznały, że ona też była częścią tych starań. Nie mają, rzecz jasna, dowodów i osobiście nie wierzę w te pomówienia, ale dobrze, że się tu nie pokazuje, bo po klęsce wojennej, jakiej doznaliśmy, kozły ofiarne są w cenie – wyjaśniła Amira, wdychając, po czym szybko dodała: – Oczywiście mówię ci to w największej tajemnicy.

– Będę dyskretny niczym mumia – zapewnił Brytyjczyk. – Rozumiesz teraz, dlaczego wolę historię sztuki od polityki, że nie

wspomnę o szpiegostwie. Chociaż przyznam, że madame colonel, którą dopiero co przedstawił mi Thomas Archer, wydaje się niezwykłą kobietą...

– O tak! Mój przyjaciel, oficer naszych komandosów, powiedział mi, że pułkownik Iwanowa nosi w swojej torbie największy rewolwer, jaki kiedykolwiek widział, a on widział ich niemało. To najtwardsza kobieta, jaką spotkał. Podobno nawet ludzie ze stacji CIA wyrażają się o niej z szacunkiem! – zakomunikowała Amira z błyskiem w oku. – Wieść niesie, że w czasie drugiej wojny była w jakimś strasznym niemieckim obozie. Zapomniałam nazwy, chyba zaczynała się na A...

– Auschwitz? To rzeczywiście musi być twarda, skoro przeżyła. – Malcolm udał zaskoczenie, lecz jednocześnie pomyślał, że powinien coś Egipcjance wyjaśnić. – Auschwitz to był największy niemiecki obóz koncentracyjny, jaki kiedykolwiek istniał. Przez kilka lat zabito w nim ponad milion ludzi, z czego zdecydowaną większość stanowili Żydzi z całej Europy...

– W jednym obozie Niemcy zabili ponad milion Żydów? – wyszeptła z niedowierzaniem Amira. – To nieprawdopodobne! Gdyby powiedział mi to ktoś inny, uznałabym, że wygaduje bzdury. Dlaczego ja o tym nic nie wiem?

Lord Grey nie odpowiedział na to pytanie, gdyż wykład, który musiałby wygłosić pięknej Egipcjance, wykraczałby daleko poza przyjętą legendę znawcy sztuki i międzynarodowego playboya.

Nie o tym nie wiesz, żeby jastrzębiom różnej maści łatwiej było pchać naród do wojny – pomyślał.

Wziął Amirę pod rękę i dołączyli do wesołego towarzystwa jej ślicznych koleżanek.

## 23 listopada

Sugestię żony, by zaprosić na świąteczną kolację młodego lorda Greya, Martin przyjął jako doskonałą okazję do zrewanżowania się za mistrzowskie poprowadzenie aukcji w Muzeum Guggenheima. Jednak ostateczną decyzję uzależnił od zgody nestora rodu.

Victorowi pomysł natychmiast się spodobał. Zły stan zdrowia starego lorda kazał się spodziewać, że w najbliższym czasie to Malcolm będzie głównym partnerem do rozmów z ramienia struktur brytyjskich Ligi Rodów. Należało zatem mieć go po swojej stronie i... pod kontrolą. Zaproszenie na rodzinną uroczystość z udziałem przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych i jego małżonki niewątpliwie odniosłoby pożądany skutek, pokazując, że Van Vertowie mają siłę przebicia, która czyni ich najmocniejszym z rodów. Długie doświadczenie życiowe przekonało Victora, że taka demonstracja siły i wpływów zapewnia pełne podporządkowanie współpracowników. Ponadto uważał, że osobowość, inteligencja i erudycja Brytyjczyka będą atrakcją tego spotkania.

Skoro mnie oczarował swoją wiedzą o sztuce, to z pewnością oczaruje także Richarda i Pat – pomyślał.

Lord Grey zaskoczył jednak nawet swoich gospodarzy.

Kiedy dokonano wzajemnych prezentacji i towarzystwo, czekając na kolację, raczyło się drinkami w salonie, Malcolm przystąpił do uwodzenia przyszłego prezydenta. Zaczął jednak w sposób, który w pierwszej chwili zmroził zebranych, zwłaszcza Victorowi, krew w żyłach. Staął bowiem na wprost swojego rozmówcy i donośnym głosem, który musieli usłyszeć wszyscy obecni, z kamerdynerem Jamesem włącznie, powiedział:

– Ma pan, panie prezydencie, opinię twardego, a w kręgach niezycziwych nawet tępego antykomunisty. – Tu zawiesił głos i wydawało mu się, że usłyszał, jak Nixon przełyka ślinę. – Ale nawet gdyby tak było, uznałbym to za powód do chwały i tym się nie przejmował. Od wielu lat podziwiam pana za sposób, w jaki

debiutując w Kongresie w czterdziestym ósmym roku, rozprawił się pan z Algerem Hissem i jego siatką ukrytych komunistów w Departamencie Stanu. Zawsze chciałem usłyszeć o tym od pana. Czy taka prośba nie byłaby z mojej strony nadużyciem?

Były wiceprezydent z uwagą obserwował Brytyjczyka, zastanawiając się, czy ma przed sobą kpiarza, czy admiratora. Lata praktyki politycznej doprowadziły go jednak do wniosku, że szczerść, z jaką wypowiedziano prośbę, byłaby nie do podrobienia. Znany w całej Ameryce uśmiech, który w pierwszej fazie wypowiedzi lorda Greya zniknął z ust Nixona, po chwili na nie powrócił.

– Pańska opinia i prośba mi pochlebia, ale nie chciałbym zanudzać zebranych... – zaczął odpowiadać były wiceprezydent.

– Pozwoli pan, panie prezydencie, że zdecydowanie popnę prośbę naszego gościa z Wielkiej Brytanii – włączył się do rozmowy Victor, taktownie, ale stanowczo przerywając Nixonowi. Natychmiast zdał sobie sprawę, jak cenna jest inicjatywa Malcolma. – Chyba nie przesadzę, jeżeli powiem, że wszyscy z chęcią posłuchamy. No, może z wyjątkiem Rose...

Wybuch śmiechu przywitał tę dygresję i Richard Nixon przystąpił do opisywania swojego boju z Algerem Hissem.

Pat stojąca obok Marii nachyliła się do jej ucha i cichutko powiedziała:

– Nie przypuszczałam, że nawet Anglicy znają tę historię. W każdym razie ten miły dżentelmen trafił w dziesiątkę. Richard uważa, że ta sprawa ukształtowała go jako polityka, więc uwielbia do niej wracać i opowiadać jej przebieg.

– Lord Grey to bardzo zdolny i śmiały człowiek – odpowiedziała szeptem Brazylijka, uśmiechając się pod nosem. Intuicja kobieca już jej podpowiadała, że podbój polityka przez znawcę sztuki zakończy się sukcesem tego ostatniego.

Przebiegły z pana gracze, milordzie, i nie taki niewinny, na jakiego pozuje – pomyślała.

Kiedy były wiceprezydent skończył mówić, kamerdyner James ogłosił, że kolacja jest na stole. Lord Grey, któremu wyznaczono miejsce obok Richarda Nixona, natychmiast skorzystał z okazji i

poprosił polityka, aby opowiedział swoje wrażenia z wizyty w Caracas w 1958 roku. Władzę w Wenezueli sprawowała wówczas junta wojskowa, której przeciwstawiała się ogromna i dobrze zorganizowana opozycja komunistyczna. Kawalkada samochodów wioząca ówczesnego wiceprezydenta została w pewnym momencie otoczona przez wrogo nastawiony tłum.

– Skandowane hasło „Nixon do domu!” szybko zamieniło się w „Śmierć Nixonowi!” Było oczywiste, że tłuszcą steruje kilku prowodyrów. Jechałem w pierwszym samochodzie z ministrem spraw zagranicznych Wenezueli, a także z generałem Vernonem Waltersem, który pełnił funkcję tłumacza, i ludźmi z Secret Service. Pat była w drugim samochodzie, tuż za mną, w towarzystwie żony ministra. Tłum przyblokował mój pojazd tak, że nie mogliśmy się ruszyć. Jakiś osiłek zaczął wybijać tylną szybę metalową rurą. Szkło posypało się na generała Waltersa i na mnie. – Nixon opowiadał spokojnym głosem, ale mimika twarzy świadczyła, że na nowo przeżywa te dramatyczne chwile. – Wtedy do akcji wkroczyła nasza Secret Service. Było ich dwunastu. Wyciągnęli broń i grożąc nią, odepchnęli tłum na tyle, że kierowca mógł się przebić na otwartą przestrzeń jezdni. Chłopcy wskoczyli do pojazdów i umknęliśmy tym draniom, kierując się prosto do ambasady Stanów Zjednoczonych. Gdy wróciliśmy do Ameryki, wystąpiłem o najwyższe odznaczenia państwowe dla wszystkich dwunastu ochroniarzy i osobiście im je wręczyłem. Wystąpiłbym o odznaczenie także dla Pat, która w tych trudnych chwilach zachowała zimną krew, ale ona sama mi to odradziła...

Gdy były wiceprezydent kończył, jego słowom przysłuchiwali się już wszyscy biesiadnicy i obecna w jadalni służba z Jamesem na czele. Ostatnie zdanie wywołało życzliwy śmiech i burzę oklasków.

– To było interesujące przeżycie, którego jednak wolałabym nie powtarzać – podsumowała Pat Nixon i zwróciła się do Malcolma: – Lordzie Grey, niech pan nam opowie trochę o sobie, angielskiej arystokracji i sztuce. Victor mówił, że jest pan jej wielkim znawcą.

– To bardzo łaskawa ocena. Jestem po prostu skromnym opiekunem dziedzictwa kulturowego pałacu Buckingham i jeszcze paru posesji Jej Królewskiej Mości Elżbiety II – zaczął Brytyjczyk, wywołując rozbawienie zebranych, i przez następną godzinę

przykuwał ich uwagę anegdotami o sztuce i rodzinie królewskiej.

Po kolacji, gdy towarzystwo przeszło do salonu na koniak, porto i sauternes, były wiceprezydent podszedł do Malcolma i podziękował za przywołanie sprawy Algera Hissa.

– Jest pan interesującym człowiekiem, lordzie Grey. Ma pan talent zjednywania sobie ludzi i ich szacunku. W pełni to doceniam. Proponuję podtrzymać zawartą dziś znajomość. Może nadejść czas, gdy pana umiejętności posłużą wielkim sprawom.

– To byłby dla mnie zaszczyt, panie prezydencie – zapewnił Malcolm, czując, że taktyka, jaką opracował z myślą o rozmowie z Richardem Nixonem, zaczyna przynosić pierwsze owoce.

## 24 listopada

Wszyscy goście Victora Van Verta nocowali w rezydencji, więc rozmowy, podobnie jak poprzedniego roku, przeciągnęły się do późna. Rano, podczas śniadania, Victor wziął Malcolma na bok.

– Oczarował pan Richarda Nixona. Wysłuchałem mnóstwa komplementów pod pana adresem, milordzie. Brawo! Jak panu przyszło do głowy, żeby zadać mu te pytania dotyczące jego życiorysu?

– Przeczytałem jego książkę pod tytułem *Sześć kryzysów*. Napisał ją, gdy przegrał wybory prezydenckie z Johnem Kennedym. Uważna lektura bardzo pomaga zrozumieć autora – odpowiedział Malcolm.

– Ciekawe! Nie miałem pojęcia, że nasz przyszły prezydent jest również literatem – przyznał się Victor Van Vert. – Koniecznie muszę się zapoznać z tą książką.

Malcolm nie zdradził, że jeden z jego amerykańskich przyjaciół powiedział mu, iż kluczem do zjednania sobie byłego wiceprezydenta jest właśnie wyrażenie uznania za rozegranie sprawy Algiera Hissa. Ów przyjaciel zaś wiedział o tym od swojego znajomego, niejakiego H.R. Haldemana, od prawie dziesięciu lat najbliższego politycznego współpracownika Nixona. „Nie ma dnia, aby Richard Nixon nie wspomniał sprawy Hissa, nieważne w jakim kontekście” – twierdził Haldeman.

Po śniadaniu państwo Nixonowie oraz Malcolm i Maria, której spieszo było na wernisaż do Muzeum Guggenheima, odjechali czarnym rolls-royce’em w stronę Nowego Jorku. W rezydencji pozostał w komplecie klan Van Vertów. Nestor rodu zaprosił Fredericka, Martina oraz Vicka do biblioteki i ku ich zdziwieniu kazał kamerdynerowi Jamesowi podać szampana. Gdy kamerdyner rozlał trunek do kieliszków i opuścił pokój, Victor wznosił toast.

– Wypijmy za to, aby za rok o tej porze Richard Nixon był już trzydziestym siódmym prezydentem Stanów Zjednoczonych.



Ujawnię wam wtedy długofalowy plan działań ekonomicznych, które uczynią nasz ród najbogatszym i najpotężniejszym na świecie. Zapanujemy nad całą Ligą Rodzin. Nie nastąpi to oczywiście z dnia na dzień, ale przy odrobinie konsekwencji i ciężkiej pracy osiągniemy ten cel. Zwielokrotnimy nasz stan posiadania, a tym samym potęgę rodu Van Vertów!

– Zyski naszych firm z wojny w Wietnamie już są znaczące – zauważył Vick i wiedziony biznesową ciekawością, zwrócił się do ojca: – Nie bardzo sobie wyobrażam, co jeszcze możemy zrobić, aby je zwiększyć. Czy masz, ojcze, na myśli jakieś inwestycje? Uchyl nam rąbka tajemnicy. Może ty, Fredericku, coś nam powiesz...

– Nie mogę wam nic powiedzieć, bo nic nie wiem. Mój brat nie uznał za stosowne podzielić się ze mną swoimi tajemniczymi planami – odpowiedział Frederick z ledwie wyczuwalnym żalem w głosie.

– Dzisiaj musicie mi wybaczyć, moi drodzy. Za rok zrozumiecie, że zachowanie tajemnicy było absolutnie konieczne, ponieważ mój plan zakłada współgranie paru naczyń połączonych. Gwarantuję wam, że nie spotka was zawód. Wypijmy – rzekł Victor Van Vert, ucinając dalszą dyskusję.

Wypowiedzi nestora rodu nie przeoczył kamerdyner James. Mikrofon ukryty pod jednym z foteli w bibliotece spełnił swoje zadanie. Odbiornik kamerdynera pozwolił mu w czasie realnym stać się piątym, aczkolwiek niemyym i niewidzialnym uczestnikiem tej niecodziennej debaty. Wieczorem jak zwykle podzielił się swoją wiedzą z Gladys.

1968

26 stycznia

Powróż garoty powoli zaciskał się na chudej szyi Wietnamczyka przywiązanego do specjalnego krzesła z wysokim, wąskim oparciem. Sierżant spadochroniarzy, który obsługiwał garotę, dobrze znał to urządzenie i przesłuchiwani przez niego jeńcy z Wietkongu na ogół nie schodzili z tego świata przedwcześnie, nie ujawniwszy swojej wiedzy, a przynajmniej tego, co, jak sądzili, oprawca chce usłyszeć, by przerwać tortury.

Specjalistą od ustalania, co w wymuszonych zeznaniach jest prawdą, a co fikcją, był stojący przed pojmanym partyzantem południowowietnamski major spadochroniarzy Tran Ngoc. Na razie jednak nic nie usłyszał, gdyż jeńiec okazał się wyjątkowo twardy. Major skinął zatem głową na znak, żeby jeszcze docisnąć garotę.

Gdy sierżant wykonał pół obrotu drewnianym drążkiem, zaciskając przymocowany do niego powróż, jego twarz wykrzywił grymas wysiłku, który współgrał z grymasem bólu rysującym się na twarzy torturowanego. Jeńiec szarpnął gwałtownie głową w bok. Rozległ się suchy trzask pękającego kręgosłupa i głowa zwiśla bezwładnie na piersi. Sierżant spojrzał zdumionym i bezradnym wzrokiem na majora, niczym dziecko, któremu znienacka zabrano zabawkę.

– *Merde!* – zaklął Tran Ngoc, patrząc to na martwego partyzanta, to na sierżanta, który wciąż trzymał w obu rękach drewniany drążek garoty.

– *Excusez-moi, commandant!* To się nie powtórzy – wymamrotał w końcu sierżant, puszczać drążek.

– A to skurwiel! Zabił się – odezwał się z niedowierzaniem stojący obok majora Henry Lodger, który nigdy dotąd nie był świadkiem samobójstwa w takiej sytuacji.

– Zdarza się czasami. Widocznie miał dużo do ukrycia –

skomentował Tran Ngoc. – Swoją drogą, odważny. Każcie tu zrobić porządek, sierżancie, a my – zwrócił się do Henry’ego – chodźmy odetchnąć świeżym powietrzem. Wystarczy wrażeń na dzisiaj.

Amerykanin i Wietnamczyk opuścili barak, w którym urządzono salę przesłuchań. Silne promienie porannego słońca zmusiły ich do założenia okularów przeciwsłonecznych. Lodger wyjął paczkę papierosów i poczęstował majora. Zapalili i ruszyli w stronę bazy głównej i pasów startowych, żeby podziwiać lądujące i startujące samoloty bojowe.

– Powiem szczerze, że nie wiem, jak byśmy wszyscy sobie radzili na tej wojnie bez wsparcia waszego lotnictwa i helikopterów – odezwał się major, który był weteranem walk z Wietkongiem.

– Dlatego ją wygramy. Komuchy skończą jak ten cherlak w baraku – odpowiedział oficer CIA, który nie miał najmniejszej wątpliwości, że zwycięstwo jest wyłącznie kwestią czasu. – Ale przed nami weekend. Czas na rozrywkę, panienki i gorzałę.

– Masz rację, Henry. Nie można żyć samą pracą – przyznał Wietnamczyk. – Ale tu, w Da Nang, znamy już większość dziewczyn. W przyszłym tygodniu jest robota w Hue. Mam tam przyjaciela, byłego żołnierza naszej jednostki, który obecnie jest właścicielem najlepszego domu schadzek w mieście. To przybytek na najwyższym poziomie z naprawdę pięknymi kobietami. Zapraszam na małą eskapadę.

– Wiesz, Tran, że niechętnie opuszczam bazę w Da Nang, ale to, co mówisz, jest nadzwyczaj kuszące. Na jak długo planujesz pobyt w Hue? – żywo zainteresował się Amerykanin, który ciągle nie miał dosyć Wietnamek, odkąd kilka miesięcy temu odkrył urok tych niezwykłych kobiet.

– Dwa, trzy dni, nie więcej. W poniedziałek przemieścimy się helikopterem do Hue, noc spędzimy w przybytku mojego przyjaciela, we wtorek popracujemy nad Wietkongiem w tamtejszej bazie naszych sił specjalnych, w nocy znowu sobie popierdolimy, a w środę pomyślimy o powrocie – zaplanował major. – Chyba że chcesz zostać dłużej i zwiedzić zabytki. Hue to dawna, imperialna stolica Wietnamu i słynie ze wspaniałych monumentów naszej historii...

– Nie obraż się, Tran, ale może innym razem. Interesuje mnie

raczej historia najnowsza, najlepiej w wieku osiemnastu lat – odrzekł Henry Lodger i obaj wybuchnęli szalonym śmiechem, pozbywając się resztek stresu z porannego przesłuchania.

## 29 stycznia

Po upojnej sobocie i podobnej niedzieli, pełnych alkoholu i kobiet, Henry Lodger, wspomagany przez majora Tran Ngoca i sierżanta spadochroniarzy, nie bez trudu gramolił się w poniedziałek rano do helikoptera Bell UH-1H, lepiej znanego pod nazwą Huey. Maszyna mogła zabrać do trzynastu uzbrojonych żołnierzy, a ponieważ byli jedynymi pasażerami, więc lecieli w komfortowych warunkach. Pęd powietrza wpadającego przez otwarte boczne drzwi szybko ocucił oficera CIA.

– Oddam wszystko za piwo – szepnął Lodger, patrząc z nadzieją na majora.

Nie zawiódł się. Na skinienie głowy przełożonego sierżant wyjął z plecaka puszkę budweisera i podał Amerykaninowi. Lodger pił powoli, delektując się każdym łykiem, tak jak potrafi jedynie człowiek na mocnym kacu. Gdy skończył, sierżant podał mu już z własnej inicjatywy następną puszkę.

Huey zbliżał się do lotniska Phu Bai. Kiedyś była to wioska na obrzeżach Hue przy autostradzie numer 1. Obecnie funkcjonowała tu wielka baza amerykańska, mieszcząca dowództwa regionalne różnych rodzajów wojsk. Helikopter osiadł miękko na trawie w wyznaczonej części lotniska. Major, potwierdzając swoją obecność na pokładzie, skontaktował się przez krótkofalówkę z kierowcą pojazdu, który miał ich zabrać do miasta.

Duży, zakryty brezentową plandeką jeep podjechał pod same drzwi helikoptera i pasażerowie przemieścili się do niego w okamgnieniu, zabierając niewielkie plecaki z osobistymi rzeczami. Major wydał prowadzącemu jeepa spadochroniarzowi krótkie polecenie, które wywołało uśmiech na jego twarzy, i pojazd ruszył.

– Do miasta jest jakieś piętnaście kilometrów. Przejedziemy obok Cytadeli i Pałacu Cesarskiego, aby nikt nam nie zarzucił, że nie czerpaliśmy garściami z miejscowej kultury – oznajmił major spadochroniarzy, wiedząc, że jest to pierwszy pobyt oficera CIA w

dawnej stolicy Wietnamu.

Migiem zaliczyli cesarskie dziedzictwo Hue z perspektywy wojskowego jeepa i po kilkunastu minutach wjechali do byłej dzielnicy francuskiej na południowym brzegu Rzeki Perfumowej, gdzie znajdował się cel podróży. Zza drzew palmowych, z powodzi ozdobnych krzewów i kwiatów wylaniały się piękne wille w stylu kolonialnym będącym mieszanką architektury europejskiej i wietnamskiej. Zatrzymał się przed ciężką, ozdobną bramą z kutego żelaza.

Dochodziło południe. Mimo wczesnej pory widocznie spodziewano się gości, gdyż natychmiast pojawiło się dwóch Wietnamczyków ubranych w typowe czarne spodnie i koszule, z AK-47 przerzuconymi przez ramię. Z pasów i uprząży wojskowej, którą mieli na sobie, zwisały granaty zaczepne i obronne oraz dodatkowe magazynki z amunicją do broni maszynowej. Kiedy otworzyli bramę, wyszedł przed nią trzeci Wietnamczyk i stojąc w rozkroku, z bronią w ręku, zlustrował ulicę, którą nadjechali goście. Wrócił po chwili, uspokojony brakiem jakiegokolwiek ruchu. Wszędzie było cicho i spokojnie...

Dziedziniec, na który wtoczył się jeep, wyłożony był granitową kostką w kolorze grafitu. Na środku stała ogromna fontanna pełna elementów architektury wietnamskiej: wielka misa posadowiona była na czterech fantazyjnych rzeźbach smoków, woda zaś tryskała z paszczy trzech mniejszych. Smukłe palmy i krzewy róż w wielu barwach okalały dziedziniec. Jego zwieńczeniem był okazały dom wzorowany na pałacu An Dinh, perle architektury kolonialnej. Ekumeniczne połączenie elementów kilku europejskich stylów z najciekawszymi rozwiązaniami wywodzącymi się z kultury wietnamskiej sprawiało, że trudno było oderwać wzrok od fasady tego niezwykłego budynku. Nad drzwiami wejściowymi wisiał wykuty w kamieniu i stylizowany na wietnamskie pismo szyld w języku angielskim – Leniwy Smok.

Do drzwi wejściowych prowadziło kilka szerokich stopni z różowego marmuru. Na najwyższym stał wysoki, niezwykle przystojny mężczyzna w białej koszuli, czarnych spodniach i butach tego samego koloru. Czarny pasek ze złotą sprzączką dopełniał ubioru. Ciemne włosy okalały twarz, w której rysy europejskie

łagodnie mieszały się z azjatyckimi. Było w niej coś tajemniczego i zarazem pociągającego, jakby kryła całą mistykę Azji Południowo-Wschodniej. Na jego ustach błąkał się miły dla oka, ale trudny do scharakteryzowania uśmiech.

– *François, mon cher ami!* – wykrzyknął z niezwykłą dla niego radością major. Wyskoczył z pojazdu, zanim ten zdążył się w pełni zatrzymać, podbiegł do mężczyzny i ucałował go w oba policzki, a następnie mocno uściśnął.

– Tran, przyjacielu, witam w niskich progach – rzekł François, równie serdecznie odwzajemniając powitanie. – Przyrowadź swojego amerykańskiego druha. Sierżant i kierowca niech zaparkują samochód na tyłach budynku. Ktoś się tam zajmie wszystkimi ich potrzebami...

Puścił oko do Wietnamczyka i z wyciągniętą ręką podszedł do Lodgera, który doszedłszy do siebie po porannym kacu, wyskoczył z jeepa równie żwawo jak przedtem major. Uściśnął mocno rękę gospodarza.

– Mam na imię Henry i poczytywałbym sobie za zaszczyt, gdybyś się tak do mnie zwracał, François – powiedział Amerykanin z elegancją dżentelmena z Południa, mile zaskakując majora Trana, który nie miał jeszcze okazji poznać oficera CIA w takim wcieleniu.

– *Absolument, Henri, avec plaisir* – odrzekł François. – Zapraszam do środka. Na początek obowiązkowy kieliszek szampana prosto z Francji!

Weszli do holu, którego ściany ozdobione były wielkimi lustrami w bogato rzeźbionych, złożonych ramach z ubiegłego stulecia. Mozaikowa podłoga, wyłożona płytami z czarnego i białego marmuru, nadawała wnętrzu ton spokojnej elegancji, sugerując zarazem, zgodnie z alchemiczną tradycją, ludzkie słabości i namiętności. Pośrodku holu stała śliczna Wietnamka średniego wzrostu, ubrana w obcisłą białą sukienkę do połowy łydki, z wysokimi wycięciami z boków i kołnierzykiem stójką. Trzymała srebrną tacę, na której stały kieliszki z francuskim szampanem. François wziął z tacy dwa i podał je gościom, dla siebie zostawiając trzeci.

– Wypijmy za udany pobyt w pięknym Hue i moim skromnym przybytku – wznosił toast i wszyscy trzej mężczyźni wypili do dna.

Wietnamka, która odstawiła tymczasem pustą tacę na piękną komodę w stylu Ludwika XV, wzięła z kubelka z lodem stojącego na czarno-białej posadzce butelkę szampana i zręcznie napełniła kieliszki.

– Jakże cicho i spokojnie jest w Hue! Miła odmiana po huku i zgiełku baz wojskowych, zwłaszcza lotniczych – zauważył Lodger, czując ogarniające go odprężenie.

– Trwa właśnie wietnamskie święto Tet. Wielu mieszkańców wyjechało do rodziny, co potęguje wrażenie błogiego spokoju – wyjaśnił François. – Kilka moich dziewczyn też wyjechało, ale jestem pewien, że te, które pozostały, w pełni zaspokoją wasze towarzyskie potrzeby. Chodźmy do salonu i poznamy niektóre damy.

Mówiąc to, właściciel domu schadzek poprowadził gości do salonu, gdzie siedziało na sofach lub przechadzało się siedem kobiet. Henry Lodger nigdy nie widział tak pięknych Wietnamek. Wszystkie wysokie, idealnie zbudowane, miały na sobie różnokolorowe suknie, które podkreślały powaby kobiecego ciała.

Tak musi być w rajach – pomyślał oficer CIA.

Zajęty podziwianiem kobiet, które zaczął mu przedstawiać François, nie zwrócił zbyt wiele uwagi na wystrój i umeblowanie salonu, w którym Europa gustownie mieszała się z Azją. Stylowe meble francuskie wyłożone jedwabiem współistniały z ręcznej roboty parawanami chińskimi i najwyższej klasy meblami tekowymi. Pełne szczegółów rzeźby z kości słoniowej sąsiadowały z klasycznymi rzeźbami odlanymi z brązu. Nie było tam żadnych podróbek. Każdy mebel, rzeźba czy figura były oryginalne. Jedynym modernistycznym akcentem był bar z takiego samego różowego marmuru, z którego wykuto schody przed domem.

Tego popołudnia i nocy Henry Lodger przeszedł sam siebie, będąc po kolei z trzema kobietami, a następnie barszczując z nimi wszystkimi naraz, aż zupełnie opadł z sił i zasnął nad ranem snem spełnionego człowieka.



## 30 stycznia

Obudził go głos majora, który w pełni ubrany stał nad nim z kieliszkiem szampana w ręce.

– *Good morning, Vietnam!* Pozdrawiam Apolla! Pobudka! Kieliszek szampana na dzień dobry i do roboty – wesoło gaworzył Tran. – Potem znowu nadejdzie noc...

Henry wypił duszkiem kieliszek szampana, wziął gorący prysznic, wskoczył w paramilitarne ubranie, które nosił w Wietnamie, i posilił się dużą miską miejscowej zupy z grubym makaronem. Poczul, że jest gotowy sprostać każdemu wyzwaniu, zwłaszcza z pomocą majora. Gdy wyszedł przed dom, Tran Ngoc już stał przy jeepie, pałac gauloise'a, a sierżant siedział obok kierowcy.

– Dokąd pojedziemy tego pięknego ranka? – zainteresował się oficer CIA. Po upojnej nocy nabrał chęci, żeby zrobić coś pożytecznego dla swojego kraju, tym bardziej że zbliżało się południe.

– Podskoczmy do bazy w Phu Bai, to w niej wczoraj wylądowaliśmy. Nasze siły specjalne mają tam do dyspozycji dwa baraki, w których gawędzimy sobie z Wietkongiem lub ich sympatykami. Jest jakiś rozmówca do obsłużenia – poinformował go major, wskakując na tylne siedzenie jeopa.

Amerikanin usadowił się obok niego. Myśl, że niebawem tu wróci, wywołała u niego wzwód...

Dojazd do bazy zajął im niecałe czterdzieści minut. Kierowca zaparkował przed jednym z dwóch baraków i major, sierżant i Lodger weszli do środka. Pilnujący drzwi spadochroniarz zaszalutował Tran Ngocowi i złożył meldunek. Podeszedł kolejny żołnierz, wskazał drogę do jednego z pomieszczeń i odsunawszy zewnętrzną zasuwę, wprowadził ich do pokoju przesłuchań, którego ściany i podłoga wyłożone były metalowymi płytami. Na jednej ze ścian znajdował się nisko osadzony zlew okazałych rozmiarów, a pod nim – duża kratka ściekowa. Obok stał metalowy stół. W pokoju

nie było okien. Palily się tylko mocne lampy elektryczne. Żołnierz zamknął drzwi od wewnątrz dużym kluczem.

Pod przeciwległą ścianą stało metalowe krzesło na stałe przymocowane do podłogi. Siedziała na nim bardzo młoda i bardzo ładna kobieta ubrana jedynie w białą koszulę z oderwanymi rękawami, zakrwawioną w okolicy krocza. Nogi miała przywiązane drutem do nóg krzesła, a ręce, takim samym drutem, do jego oparcia. Ani twarz, ani nagie ramiona i nogi nie nosiły śladów bicia czy innych tortur. Sierżant podszedł do kobiety i podniósł jej zakrwawioną koszulę, odsłaniając zaciśnięte w kroczu szczupłe nogi. Zaśmiał się i wesoło popatrzył na majora i Lodgera.

– Ma ciotę, suka jedna – ocenił głosem fachowca. – Wietkong przysłał ją do jednej z okolicznych wiosek jako nauczycielkę, ale koledzy z naszej jednostki spadochronowej podejrzewają, że jest rezydentem ich wywiadu w tym regionie. Nie wydaje się rozmowna, więc spróbujemy nią wstrząsnąć...

Sierżant wydał polecenie żołnierzowi, który opuścił pokój i wrócił po chwili, niosąc akumulator i zwój drutów. Na podłączenie akumulatora do sieci i ustawienie reszty oprzyrządowania spadochroniarz z Phu Bai poświęcił minutę, po czym podał sierżantowi końcówkę kabla zaopatrzoną w zacisk.

– Od którego cycuszka zaczniemy, lewego czy prawego? – zapytał Tran Ngoc po wietnamsku.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, odsłonił lewą, jędrną pierś kobiety i zaczął delikatnie masować sutek, wesoło puszczając oko do pozostałych mężczyzn. Gdy uzyskał efekt, na jaki liczył, i sutek wyraźnie urósł, zacisnął na nim końcówkę kabla. Wyprostował się, odszedł kilka kroków i stanął w lekkim rozkroku przed przywiązaną do metalowego krzesła kobietą. Dał znak ręką spadochroniarzowi przy akumulatorze, który bez słowa przekreślił włącznik umożliwiający przepływ prądu.

Rażone prądem ciało kobiety natychmiast zaczęło drgać targane potwornym bólem, a z jej ust wyrwał się przerażający krzyk. Henry'ego Lodgera, który nigdy nie brał udziału w torturowaniu kobiety, nagle ogarnęło zwątpienie, ale wiedział, że nie powinien się wtrącać do metod południowowietnamskich spadochroniarzy. W tym momencie mógł co najwyżej wyjść, a w przyszłości nie brać udziału

w takiej sesji. Wtedy jednak straciłby twarz wobec żołnierzy i co za tym idzie – wszelki ich szacunek. Na to zaś nie mógł sobie pozwolić. Trwał więc na posterunku, żywiąc nadzieję, że z czasem przyzwyczai się do takiego widoku.

Krzyk urwał się nagle i targane bólem ciało przestało drgać. Sierżant podszedł do kobiety i zmierzył puls w przegubie.

– Pani nauczycielka zemdląła – oznajmił zebrany i dodał: – Może mieć niski próg bólu i mdleć nam co chwila. Trzeba wymyślić coś innego. Proponuję, panie majorze, szczury.

Major skinął głową, podszedł do przesłuchiwanej i chlusnął jej w twarz lodowatą wodą z kubka. Kobieta prawie natychmiast odzyskała przytomność.

– Niech mademoiselle łaskawie posłucha rady doświadczonego oficera – rzekł, nachylając się do jej ucha. – Sierżant zaraz tu przyniesie klatkę z wygłodniałymi szczurami i wyjaśni, co one mogą zrobić człowiekowi. Proszę się zastanowić, co należy powiedzieć, aby sobie zaoszczędzić bólu, a nam gorszącego widowiska. Dam mademoiselle czas do jutra na zebranie myśli. Kochany sierżancie, pani nauczycielka niecierpliwie czeka na wykład, proszę zaspokoić jej głód wiedzy.

– Rozkaz, panie majorze! Wyjaśniam i pokazuję – zaczął mówić po wietnamsku sierżant, wskazując prawą ręką to na klatkę z gryzoniami, to na urządzenie przypominające duży nocnik ze skórzanymi pasami. – Wściekły z głodu szczur zje wszystko: kabel elektryczny, mysz, ptaka, psa i... człowieka, jeśli trafi się taka okazja. Żeby mu to ułatwić, wiele wieków temu skonstruowano w naszym kraju takie oto naczynko. Jeśli odpowiednio przypniemy do niego damę, to znajdujące się w środku szczury będą miały w pierwszej kolejności dostęp do szanownej cipki, a potem pójdą dalej. Taka sesja z gryzoniami w brzuchu trwa na ogół pół dnia i jest przyjemna tylko dla nich...

Henry Lodger patrzył jak zaczarowany na sierżanta, słuchając jego wykładu w dokładnym tłumaczeniu majora Tran Ngoca. W świetle lamp elektrycznych nie było widać, jak bardzo zbłądł na myśl o tym, że jutro ta kobieta pójdzie w zaparte, nic nie powie, a sierżant przywiąże ją do naczynia z gryzoniami.

*Fuck*, nie wytrzymam pół dnia takiego spektaklu – ocenił

oficer CIA.

– Dziękuję, sierżancie – znowu rozległ się głos majora. – Doskonały popis znajomości teoretycznych podstaw tematu. Jutro przejdziemy do praktyki. Niech mademoiselle myśli, co nam powiedzieć. Dla towarzystwa zostawimy klatkę ze szczurami... Idziemy, panowie, dajmy pani zastanowić się w spokoju!

Wyszli na zewnątrz i Henry zaczerpnął kilka potężnych haustów świeżego powietrza. Od razu poczuł się lepiej. Przeciągnął się, naprężając mięśnie całego ciała. Kątem oka zauważył, że major mu się przygląda.

– Wojna w Azji jest bardzo brutalna, *cher ami*, zwłaszcza w wykonaniu Azjatów – wyjaśnił bez pytania Wietnamczyk i po chwili namysłu zadysponował: – *Alons, ça suffit!* Idziemy coś zjeść i wypić, bo czeka nas ciężki wieczór. Tu możemy pierdolić banialuki biednej mademoiselle, ale dziewczyny *chez François* wymagają pierdolenia *au naturel*.

Wsiedli do jepra i pojechali do restauracji w Hue specjalizującej się w owocach morza. Na początek major Tran zamówił dwa tuziny ostryg, tłumacząc, że to najlepszy afrodyzjak i wzmacniacz męskiej potencji, oraz dwie butelki dobrze schłodzonego chablis. W następnej kolejności wzięli krewetki w ostrym sosie i inne znane z pikantnego smaku specjały kuchni regionu Hue.

Jedli bez pośpiechu, wymieniając uwagi na temat przeżyć ostatniej nocy w przybytku François. Lodger był wniebowzięty.

– To rzeczywiście wyjątkowe miejsce. Dziękuję ci, Tran, że mnie tu zabrałeś. W porównaniu z *chez François*, że użyję twojego zwrotu, to, co jest w Da Nang, to jakaś amatorszczyzna – nie mógł się nachwalić. – Kim jest François? To chyba nie rodowity Wietnamczyk?

– François urodził się w Paryżu z matki Francuzki i ojca Wietnamczyka, który po drugiej wojnie światowej studiował na Sorbonie. Studia we Francji były normą w bogatych kręgach wietnamskich, a z takich wywodzi się rodzina François – tłumaczył major Tran. – On też skończył studia na Sorbonie, medycynę. To bardzo zdolny człowiek. Ale trzeba z czegoś żyć, więc założył ten interes. Ma całą masę bogatych klientów, którzy przyjeżdżają z

nieporównywalnie bardziej odległych miejsc niż my.

– Wcałe się nie dziwię! Widać, że bardzo starannie dobiera dziewczyny – podchwycił oficer CIA. – Już nie mogę się doczekać powrotu do François i kolejnej nocy. Musisz mi obiecać, Tran, że od czasu do czasu będziemy odwiedzać Hue...

Major z uśmiechem skinął głową.

Skończyli posiłek, dopili wino i ruszyli w drogę do Leniwego Smoka. Henry Lodger pomyślał, że dla formalności powinien wpaść do lokalnej stacji CIA. Doszedł jednak do wniosku, że nie dowie się tam niczego, o czym nie wiedziałby major Tran Ngoc. Poza tym szkoda mu było czasu na jałowe rozmowy z kolegami po fachu, podczas gdy każda minuta spędzona w Leniwym Smoku była na wagę złota.

Wpadnę do nich następnym razem – przeszło mu przez myśl i od razu poczuł się rozgrzeszony.

W salonie czekał już na nich François z całym zestawem drinków na bazie ginu, wódki i rumu. Henry dawno nie pił tak smacznie przyrządzonego i gładko spływającego do żołądka alkoholu. Czuł, że zaczyna uderzać mu do głowy. Gospodarz zaprezentował dwie zupełnie nowe i jeszcze piękniejsze kobiety.

– Oto, Henry, Li i Pi. Zachęcam, byś poznał je bliżej, zanim te niewinnie wyglądające drinki zwałą cię z nóg – zasugerował, patrząc na Amerykanina, który lekko się zataczał.

Z pewnym rozbawieniem obserwował go również major, który raczył się dopiero drugim ginem z tonikiem, prowadząc rozmowę z przystojną Wietnamką o europejskich rysach, szefową dziewczyn w Leniwym Smoku.

Henry Lodger skorzystał z rady gospodarza i dał się zaprowadzić Li i Pi do jednego z pokoi na piętrze. Nie oponował też, gdy piękne Wietnamki rozebrały go do naga, umyły, położyły na wielkim łożu z białą pościelą i zaczęły na przemian pieścić ustami jego penisa. Potężnego mężczyznę ogarniało coraz większe podniecenie...

Błogo zmęczony, zasnął ciężkim snem, w którym kochał się bez ustanku ze wszystkimi dziewczynami od François. Niektóre były przywiązane do metalowego krzesła w baraku spadochroniarzy w

bazie Phu Bai. Gdzieś w oddali słyszał przytłumione odgłosy ostrzału artyleryjskiego i broni maszynowej, ale nie były one w stanie go wybudzić.

## 31 stycznia

Między drugą a trzecią nad ranem połączone siły Wietkongu i regularnych jednostek armii północnowietnamskiej zaatakowały niemal wszystkie główne ośrodki Wietnamu Południowego. W Sajgonie drużyna samobójców przedostała się na teren ambasady Stanów Zjednoczonych, siejąc panikę i zabijając pięciu Amerykanów, dopóki nie została wybita do nogi przez amerykańskich komandosów, którzy wylądowali na dachu placówki.

Ofensywa Tet była całkowitym zaskoczeniem także dla Henry'ego Lodgera, który zaczął powoli wybudzać się ze snu dopiero około ósmej rano... Usiadł nagle na łożu, uświadamiając sobie, że odgłosy wojny, coraz bardziej natarczywe i realistyczne, są prawdziwe. Rozejrzał się po pokoju. Li i Pi zniknęły. Natomiast przy jego łożu siedział major Tran Ngoc. Ale nie miał już na sobie munduru spadochroniarzy południowowietnamskich, tylko mundur khaki oficera Wietkongu. Po jego bokach stało trzech bojowników w czarnych strojach, z gotową do strzału bronią wycelowaną w oficera CIA.

– Witaj, Henry. Jak minęła noc? Bałem się, że François trochę przeholował ze środkami usypiającymi w twoich drinkach i już nigdy się nie obudzisz – zagaił przyjaźnie Wietnamczyk. – Ubierz się i zejdziemy na dół. Ktoś chciałby cię poznać. Tylko proszę bez zbędnego bohaterstwa, bo ci ludzie natychmiast cię zastrzelą.

– Kim ty, kurwa, jesteś? – zapytał Henry Lodger, otrząsając się z resztek snu i na zimno analizując sytuację, w jakiej się znalazł. Wydawała się raczej beznadziejna. Szybko włożył ubranie, które rzucił mu jeden z czarno ubranych bojowników, i stanął przed byłym majorem spadochroniarzy, oczekując jakiejś odpowiedzi.

– Jestem pułkownikiem Narodowego Frontu Wyzwolenia Wietnamu Południowego, czyli Wietkongu – oznajmił Wietnamczyk. – Kiedy pozbędziemy się waszego nieproszonego towarzystwa, poradzimy sobie też z tymi pajacami z reżimu w

Sajgonie – wyjaśnił i dodał: – Możesz mi dalej mówić Tran. Schodzimy do salonu.

– Dobry jesteś, Tran. Nigdy bym cię nie podejrzewał. Teraz rozumiem, dlaczego kazałeś seans ze szczurami przełożyć na dzisiaj. *Good work*, nie wiem, jak bym to zniósł – przyznał się Amerykanin.

W salonie nie było śladu pięknych dziewczyn ani François. Przy różowym, marmurowym barze stały dwie kobiety w mundurach khaki. W jednej z nich Lodger natychmiast rozpoznał Wietnamkę, którą poprzedniego dnia widział przywiązaną do metalowego krzesła w bazie Phu Bai. Druga, ku zdumieniu oficera CIA, była biała, o hardym wyrazie twarzy. Kilka metrów dalej leżał na podłodze mocno związany sierżant spadochroniarzy. Dookoła stało kilku ciężko uzbrojonych bojowników Wietkongu. Wśród nich – potężny biały mężczyzna w czarnym stroju, ponieważ nie znalazł się mundur khaki, który by na niego pasował.

– Pani nauczycielki nie będę ci przedstawiał, bo poznaliście się wczoraj. Dodam dla porządku, że rzeczywiście jest z naszego wywiadu i wczoraj, jak słusznie zauważyłeś, los pozwolił mi ją ocalić. Miała pecha, bo wydali ją źli ludzie z wioski, w której się udzielała, ale i wielkie szczęście, że stało się to tuż przed naszą ofensywą Tet. – Tran w kilku słowach wyjaśnił jej założenia. – Ma charakter bardziej propagandowy niż militarny i jest skierowana do społeczeństwa amerykańskiego. Może ono wymusi koniec tej wojny. Zobaczymy. Pani, która stoi obok, sama ci się przedstawi. Tutaj nasze drogi się rozchodzą, *mon ami*. Zawsze będę ci wdzięczny za to, co mi powiedziałaś o programie „Feniks”. Nie byłeś złym kompanem i gdyby to ode mnie zależało, trafiłbyś do Hanoi Hilton, gdzie siedzą twoi współobywatele. Niestety, nie ja o tym decyduję. *C'est la vie*. Pójdiesz z panią pułkownik. Żegnaj, Henri.

– *Let's go, mister Lodger* – powiedziała biała kobieta.

Jej olbrzymi ochroniarz stanął tuż za Amerykaninem, a po jego bokach zajęło pozycje dwóch bojowników Wietkongu. Henry zrozumiał, że wszelki opór skazany jest na niepowodzenie, i ruszył za kobietą. Wyszli przed budynek i skierowali się do niewielkiego pawilonu w ogrodzie. Zanim usiedli na wiklinowych krzesłach, wielkolud chciał skuć ręce Henry'ego na plecach kajdankami, ale przełożona powstrzymała go ruchem ręki.



– *Nie nado* – powiedziała. – Pan Lodger nigdzie się nie wybiera.

Ochroniarz usunął się wraz z bojownikami Wietkongu kilkanaście metrów poza zasięg słuchu.

Nad strachem zaczynała brać górę wściekłość. Odczuwałby ją chyba każdy człowiek na miejscu Henry’ego Lodgera, który jedynie na specjalnych kursach OSS i CIA bywał skuty kajdankami, aby nauczyć się, jak w sprzyjających okolicznościach i przy odrobinie szczęścia można się z nich uwolnić.

– Kim ty, kurwa, jesteś? – zapytał po raz drugi tego dnia. – Jakim pułkownikiem? Czego, do licha?

– Ludzie na ogół mnie o to pytają. Jestem pułkownikiem KGB, natomiast moje nazwisko nic ci nie powie, więc nie ma sensu, abyś je poznawał. Możesz mi mówić po prostu Jana – odpowiedziała madame colonel.

– KGB? – powtórzył osłupiały Lodger. – A co wy tu robicie? Czego chcesz ode mnie i jakie są twoje zamiary?

– Chcę ci opowiedzieć parę rzeczy i wtedy resztę sam zgadniesz – rzekła Jana. – Pamiętasz drugi maja pięćdziesiątego ósmego roku i wypadek przed hotelem Algonquin w Nowym Jorku? Śmieciarka rozjechała wtedy piękną młodą kobietę i bardzo przystojnego mężczyznę. Za kierownicą siedział niejaki Denis Fargo, twój znajomy.

Henry Lodger nie wierzył własnym uszom. Wszystkiego by się spodziewał w Wietnamie Południowym, ale nigdy tego, że jakaś pułkownik KGB przypomni mu to zdarzenie sprzed dziesięciu lat.

Ja chyba śnię! – przeszło mu przez myśl i raptem naszła go refleksja: Czyżby Denis Fargo był największą pomyłką mojego życia? Co za nieudacznik!

– To był wypadek! – wykrzyknął. – Wszystko, co się wtedy stało, było wypadkiem przy pracy! Nikt nie zamierzał uśmiercić tych dwojga!

– Ale stało się, Henry! Kobieta, którą wtedy zabiliście, miała na imię Inez i była polską Żydówką. Jej facet i ojciec jej syna ma na imię Dominik. To Polak, który w czasie wojny kierował w Polsce dużą organizacją oporu, po wojnie zaś przekształcił ją w imperium

przemytncze na wielką skalę. Kilka lat temu w Rio de Janeiro wycisnął z Denisa Fargo wszystko, co ten miał do powiedzenia. Dominik to mój kumpel. Wiemy wszystko o waszych machinacjach narkotykowych w Ameryce Południowej i dlaczego zrobiliście zasadzkę przed hotelem Algonquin. Dlatego wyparowali Denis Fargo, Wuj Tomaso i Rick Sanmartino. Zostałeś ty i Martin Van Vert – mówiła Jana, patrząc Lodgerowi prosto w oczy.

– Powtarzam, to był wypadek! Ale co KGB ma do tego? – wyrzucił z siebie Henry. Zaczął go ogarniać niewytłumaczalny lęk.

– KGB nic do tego nie ma i o niczym nie wie, bo to nie sprawa wywiadu. Ale mężczyzna, który wtedy zginął, był moim bratem i należał do organizacji Dominika. Nazywał się Jan Ratz. Uzgodnił z Wujem Tomasem zasady współpracy w przemyśle narkotyków z Ameryki Południowej przez Nowy Jork do Europy i gdybyście się nie wpierdoliłi między wódkę a zakąskę, to wszystko byłoby cacy – wyjaśniła bez pośpiechu Jana.

Lęk nagle przerodził się w strach, bo Henry Lodger zrozumiał, że pułkownik KGB i ów Dominik nie ścigają ich przez tyle lat w imieniu jakiegoś rządu czy wywiadu, ale w ramach prywatnej wendety. Mszczą się za śmierć kochanki Dominika i człowieka z jego organizacji, brata tej Jany...

O Boże, ona jest tutaj, żeby mnie zabić! – doznał nieoczekiwanego olśnienia.

Bieg jego myśli przerwał nieludzki skowyt, który po chwili zamienił się w wycie przeplatane raz po raz krzykami. Mimo że Lodger nie znał wietnamskiego, wiedział, że jest to błaganie o litość. Spojrzał na siedzącą przed nim kobietę, ale na jej twarzy próżno byłoby szukać jakichkolwiek oznak litości czy współczucia.

– Wygłodniali przyjaciele z klatki dobierają się do dupy sierżanta – wyjaśniła Jana.

– Przyjechałaś mnie tu zabić? – Lodger mimo wszystko postanowił zaważczyć o życie. – To był pomysł Martina Van Verta. Fargo miał jedynie puknąć w samochód tej pary, a FBI wydalić ich z kraju... i byłoby po wszystkim. Van Vert uparł się robić czarną kasę dla CIA i nie chciał konkurencji...

– Możesz sobie darować, Henry. Denis Fargo już nam to

opowiedział – weszła mu w słowo pułkownik KGB. – Znamy rolę Martina Van Verta w waszej coraz mniej licznej szajce. Dlatego wydaliśmy za niego naszą kobietę...

– Maria da Gama to wasz człowiek? – wymamrotał z niedowierzaniem Henry Lodger. – To niemożliwe...

– Jesteś weteranem OSS i CIA, Henry, wiesz, że nie ma rzeczy niemożliwych – odpowiedziała Jana. – Sanmartino z pewnością mówił ci, co to jest wendeta. Inez, którą zabiliście przed hotelem, miała siostrę. Jest oficerem Mosadu. To ona wykończyła Wujka Tomasa w więzieniu. Maria da Gama zaś, przy naszej skromnej pomocy, z czasem wykończy Martina Van Verta i jego pieprzony ród.

Amerikanin milczał. Zdał sobie sprawę, że jego los jest przesądzony. Gdyby miał przeżyć, pułkownik KGB nie ujawniałaby mu tych wszystkich szczegółów.

Henry Lodger nie był tchórzem i jeżeli tego dnia była mu sądzona śmierć, to zamierzał przyjąć ją z godnością oficera i dżentelmena. Pamiętał jednak, że w OSS i CIA uczono go walczyć do końca bez względu na okoliczności i nikłe szanse przetrwania.

– Wydawało mi się, pani pułkownik, że Rosjanie i Amerykanie rywalizują ze sobą, ale się nie zabijają. Zwłaszcza oficerowie KGB i CIA – rzekł, bacznie obserwując kobietę.

– Ja nie jestem Rosjanką. Jestem Polką, a jak wspomniałam, KGB nic do tego nie ma. To wyłącznie osobista sprawa – odpowiedziała Jana.

– Polka w KGB, to ciekawe. Powinnaś pracować dla nas – zażartował oficer CIA, po czym poważnym już tonem zapytał: – Dlaczego powiedziałaś mi to wszystko o waszej grupie?

– Abyś miał przekonanie, że przeznaczona kara nie ominie człowieka, który was wszystkich w to wpakował – wyjaśniła madame colonel. – Może łatwiej wtedy umierać...

– Może... *Okay, lady, let's cut the bullshit.* Dostyc tego pieprzenia. Rób, co masz robić. – Oficer CIA poderwał się raptownie, przewracając wiklinowe krzesło. Wyprostowany, dumnie wypiął tors. Chciał pokazać tej kobiecie, kimkolwiek była, że umie pokonać strach, nawet w takiej chwili, i rzucił z uśmiechem: – Tylko

nie każ mi siadać gołą dupą na tej przeklętej klatce ze szczurami...

– *Sure, Henry, you've got it made!* Nigdy bym cię tak nie poniżyła. – Pułkownik KGB wstała i odstąpiła dwa kroki w bok, całkowicie odsłaniając Amerykanina stojącej niedaleko grupie bojowników Wietkongu pod wodzą ogromnego ochroniarza.

Jak na komendę jeden z nich przyłożył do oka zarepetowanego, gotowego do strzału kałasznikowa i oddał krótką serię w pierś Henry'ego Lodgera. Mężczyzna padł jak ścięty kosą, a na jego twarzy zastygł uśmiech.

Jana klękała przy zwłokach i palcami prawej dłoni zamknęła rozchylone powieki.

– Masz rację, Henry. My, oficerowie wywiadu, nie zabijamy się nawzajem – powiedziała sama do siebie. – Robią to za nas inni...